



<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

2047 3

BAŚŃ NAD BAŚNIAMI

NAPISAŁ

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.

I.

Pieśń I—VI.



LWÓW.
GUBRYNOWICZ I SCHMIDT.
1889.

<http://rcin.org.pl>

2041

BAŚN NAD BAŚNIAMI.

I.

NOWSZE WYDAWNICTWA KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA
WE LWOWIE.

	złr. ct.
Krechowiecki A. Starosta Zygwulski powieść. 2 tomy	3 40
Kubała. Jerzy Ossoliński. 2 tomy	7 60
Lemcke K. Estetyka. 2 tomy.	6 40
Liske X. Cudzoziemcy w Polsce. Podróże i pamiętniki	4 20
Małeckie A. Dr. Gramatyka histor. porównawcza języka polskiego. 2 tomy	6 —
Monumenta Poloniae historica. Pomniki dziejowe Polski, tom III. Wydanie nakładem Akad. Umiej., opracowane przez lwow. grono człon. komisji histor. tejże Akademii	12 —
— Tom IV. Wydanie nakładem Akademii umiejętności w Krakowie, opracowane przez członków lwowskiej komisji historycznej tejże Akademii	14 —
— Pomniki dziejowe Polski, Wydanie Akademii umiejęt. tom V.	15 —
Roczniki szkoły wyższej Dublańskiej. Rok I. 1888.	2 60
Roszkowski Gustaw Dr. O azylach i ekstradycyi ze szczególnem uwzględnieniem stosunków austro-węgierskiej monarchii. Warszawa w Scc, str. IV., 461 i 17	5 —
— O kodyfikacyi prawa międzynarodowego. Szkic naukowy. Kraków	— 60
Stadnicki K. Olgierd i Kiejstut, synowie Gedymina W. ks. Litwy	2 40
Smolka. Henryk Brodaty	1 —
— Wycieczka do Węgier	1 50
Stinde Rodzina Buchholców	2 40
Szaraniewicz. Trzy opisy hist. Halicza.	5 —
Wilkońska P. Na teraz. Powieść.	1 40
Wybranowski Alex. Sylva rerum. Wspomnienia. 1887	1 20
Zajączkowski Dr. prof. Zasady algebry	3 80
Zakrzewski W. Powstanie i wzrost reformacyi w Polsce	2 40
Zwłerciadło głupstwa. Powieść, napisał Ignotus.	3 20

BAŚŃ NAD BAŚNIAMI

NAPISAŁ

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.

I.

Pieśń I—VI.



LWÓW.
GUBRYNOWICZ I SCHMIDT.
1889.



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-000 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

Kraków. — Druk Wł. L. Ancezyca i Spółki, pod zarządem J. Gadowskiego.

698
<http://rcin.org.pl>

PRZEDMOWA.

Od dłuższego już czasu zajmują moją uwagę baśnie i skazki ludów Słowiańskich. Wyszły ze wspólnego skarbcza indoeuropejskich mitów, mają jednak właściwą sobie fizyognomię na całej ogromnej przestrzeni od Adryatyku, aż po wielkie jeziora Bałtyckie, gdzie się słowiańskie baśnie pod biegunem najlepiej przechowały, podobnie, jak „Sagi“ germańskie doszły do nas za pośrednictwem Islandyi.

Tak jak się tego spodziewać było można, ze względu na pierwotne siedziby Słowian i na kraje, które dziś zajęli, baśnie te przypominają najbardziej mity skandynawskie, a są przeplecione motywami przypominającemi często Grecyę, rzadziej Persyę starożytną. Wszelako najczęściej każda z tych baśni ma odmienny, a wspólnosłowiański charakter, który zdaje się świadczyć, że nie została użyczoną u Germanów albo Greków, ale że pochodzi ze wspólnej skarbnicy, pierwotnych Aryów. Tak to podanie o Psysze i wyobrażenia o świecie zagrobowym, które powtórzyłem w Pieśni IV-téj, choć podobne do greckich, przybrały w całej Słowiańszczyźnie odmienną, a wielce malowniczą postać, taką, jaką w niniejszej baśni czytać

można. Za starożytnością tych mitów przemawia także ta okoliczność, że odnajdujemy główne epizody baśni powtarzanych po dziś dzień w całej Słowiańszczyźnie, w tak zwanych bajecznych dziejach Polski, Czech i Chorwacyi, tudzież w podaniach kijowskich i nowogrodzkich, których starożytność nie ulega żadnej wątpliwości. Wszędzie rysują się te same postacie, w których nie trudno poznać niebo i ziemię, króla morskiego, demonów zimy, nocy i wichru, słońce, księżyc i piorun, ogień i deszcz, chmury, wiosnę i inne zjawiska przyrody. Zbadanie i roztrząsanie tych podań u nas dotąd dość zaniedbane, mogłoby być treścią poważnego i wielce zajmującego dzieła, a pragnąłbym móżdż, kiedyś choćby tylko część ogromnego zadania mitologa słowiańskiego spełnić, pisząc rozprawę o tém, co mogłem na tém polu zebrać i porównując przechowane podania, z obumarłemi wzmiankami naszych kronikarzy i z dokładnie znaućmi mi mitami, pokrewnych narodów. Słowianie nigdy nie posiadali mitologii gotowej. Nie mówię już o tém, aby kto był w Słowiańszczyźnie spisał coś podobnego do Puran indyjskich, albo do Eddy skandynawskiej, w których podania obrobione pragmatycznie, przedstawiają konsekwentną całość wolną od wewnętrznych sprzeczności. Mity słowiańskie nie dojrzały także nigdy do tego stopnia jak owe prześliczne podania greckie, które prawią wprawdzie sprzeczne szczegóły o każdej boskiej postaci, ale postać każdą narysowały wyraziście i indywidualnie. W baśniach i podaniach słowiańskich, pełno było motywów lokalnych, pełno wariant zupełnie jeszcze płynnych, a choć postacie pojedyncze miały tu lub tam własne imię, choć te imiona bywały czasem znane na większej przestrzeni kraju j. n. imiona Kroka i Leszka, wszystko to nie tworzyło nigdy systematu i dziś dla nas będzie podobno niepodobień-

stwem wydobyć z toni podań zupełnie osobiste i wyraziste postacie któreby miały niezawodnie powszechno-słowiańskie znaczenie.

Ale materyał do mitologii przechowany w baśniach i podaniach słowiańskich nadzwyczaj bogaty; cudowność w nich oryginalna, uczucie swojskie, rzewne a pogodne. I czém więcej się w tym materyale rozpatrywałem, tém wyraźniej zdawało mi się że z niego mogła urosnąć poezya własna, pełna osobistego życia i epicznej treści, i że ta poezya może już dojrzewała w chwili, kiedy zaprowadzenie chrześcijaństwa dalszy jój rozwój powstrzymało.

Co się nie stało przed wiekami, to się dziś już stać nie może. Słowianie autentycznego, mitologicznego systematu już mieć nie będą i mowa ich dziwnie wyrobiona i subtelna nie opowie już podań, któreby były z ducha ludu tak samo wyrosły, jak ona sama. Wszakżeż te szczątki pogaństwa, które aż do nas doszły, niesione przez gawędy gminne, przechowane w białym wierszu dziadów śpiewaków, albo spisane na pergaminie starych kronik, mogą i dziś jeszcze bawić, mogą może dziś jeszcze zająć koło słuchaczy, nietylko w wiejskiej chacie, ale także przy wieczorném czytaniu warstw oświeconych. Tak mnie się przynajmniej wydało.

Spróbowałem czy się nieda pisać coś podobnego do tego, coby nasi przodkowie byli bajali, gdyby pierwsza do nas zanesiona oświata nie była stanęła w przeciwieństwie do podań rodzinnych. Przyszwyeczajony pisać prozą, chciałem najpierw rzecz moją wyłożyć niewiązaną mową, ale wnet dostrzegłem, że to nie sposób, i spróbowałem pisać wierszem. Nareszcie zrobiło mi się w tece i bajek dużo i wierszów bardzo wiele; ani te bajki nie wyczerpują słowiańskich motywów, ani nie znajdziesz w Baśni nad Baśniami wszystkich po-

staci, choćby głównych, które się zdają wychylać ze mgły złotej słowiańskich baśni; ani nie ma niniejsza robota najmniejszej pretensyi do tego, aby była pracą naukową; jest długą baśnią i niczém więcej, baśnią osnutą na tle swojskiem, a której jedyną pretensyą to, aby mogła zabawić.

Taką tedy Baśń nad Baśniami wysyłając w świat, tuszę, że mi to darują ci, którzy będą pamiętać o tém, jak skromném jest zadanie gawędy, drukowanój w tém przekonaniu, że na żaden sposób nikomu nie zaszkodzę, gdy opowiem, to co się działo, kiedy z Krakusem i Piastem miód i wino piłem, ale one wciąż po brodzie tylko się lały, a w ustach nie bywały, co mnie się wydarzyło nie inaczej, jak każdemu dziadowi, który w szerokiej Słowiańszczyźnie bajkę opowiada.

Jezupol 12 lutego 1889.

Wojciech Dzieruszycki.

PIEŚŃ I.

ŻYWA.

Jeszcze za króla Kroka, gdzieś poza wsią stała,
Pod borem, nad strumieniem, wdowy chata biała
Mchem strzecha obrastała, śliwy w sadzie rosły,
Wisznie i stare grusze; stanął świerk wyniosły
Tuż koło samej chaty; pod oknami duży
Słonecznik głową kręci; pies przy wrotach stróży.
Wdowie na imię Jaga; bardzo stara była,
I bardzo była brzydka; skóra się zmarszczyła
Na niej jak liść kapusty; zgasły małe oczy,
A jeszcze iskrą złości wkoło niemi toczy.
W ustach baby ząb czarny sterczał, ząb jedyny,
A lękały się Jagi okoliczne gminy,
Bo wszyscy to wiedzieli, że baba zna czary,
Że pogodę zawoła, zawoła deszcz szary.
Dzieci czworo u baby pod strzechą bywało;
Dwoje tam po nieboszczce pasierbów zostało,
Przy nich dwie córki baby rodzone wzrastały.
Pasierb, parobek śniady i krępy i mały;
Na imię mu Czuryło; zdrów, dobry i silny,
Przy zabawie żwaw bywał, przy robocie pilny.

Pasierbica i siostra rodzona Czuryły
 Nazywała się Żywą; oczy piwne były
 U niej, a włosy jasne; włosy te ubiera
 W bławatki, które sama pośród żyta zbiera.
 Zresztą już w jednej zawsze koszuli chodziła —
 I to koszula gruba i łatana była;
 Więcej odzieży baba Jaga jój nie dała;
 Zato w kraśne fartuchy córki ubierała
 Rodzone, i w bogate stroiła korale.
 Sapucha z Welindą w świat patrzyły wspaniale;
 Dwie dziewczki czarnobrewa, ulubione — hoże;
 Nic nie robiły obie przez całe dnie Boże,
 I tylko swoje kosy ciągle przeplatały —
 Albo Żywie rozkazy, jak słudze dawały,
 Czuryłę wysyłały z siekierą do lasu,
 I z cepem do stodoły, a letniego czasu
 Z kosą na łąkę, albo w lan z sierpem na żniwo.
 Nie słyszeli dobrego słowa, jako żywo,
 Czuryło ani siostra Czuryły rodzona.
 Pies w chacie był szczęśliwszy, jak znenawidzona
 Sierota. To Czuryłe się wreszcie sprzykrzyło;
 Cep odrzucił w stodole i ruszył w świat — siłą —
 I przeszedł świat szeroki. Szczęście go prowadzi,
 Aż do Krakowa, gdzie wśród królewskiej czeladzi,
 U króla Kroka służy za chłopca w ogrodzie.
 Lepiej mu było w służbie w dalekim narodzie;
 A gorzej było biednej Żywie samój w świecie.
 Brat ją porzucił! — gorzko jój się życie plecie!

Welinda, wystrojona w korale czerwone,
 Zawołała dumnie na dziewczę opuszczone:
 „A widzisz jaki twój brat włóczęga — Czuryło!
 „Widać, że coś podłego w waszej krwi już było!“

„I tyś nie lepsza także,“ Sapucha dodała,
 Która koło Welindy swojej siostry stała
 W haftowanej koszuli. „Tyś jeszcze mniój warta.
 „Taką bywała matka twa, suka uparta!
 „Zrodziła szczeniąt dwoje, tak się zlekła płodu
 „Własnego, że uciekła z żywego narodu,
 „W kraj umarły, zapadły, by nie patrzeć na nie“.
 Biedna Żywa słuchała to siostry łajanie,
 I słowa nie odrzekła; poszła do ogrodu,
 Na grzędzie siadła, i wśród wieczornego chłodu
 Zapłakała pod płotem. Plakała — plakała;
 Czasem tylko szlochając w głos się odzywała:
 „Oj mammo, czemuś poszła tam w umarłe kraje!
 „Za Dunaj niepowrotny? Ja tutaj zostaję,
 „I pytam, mammo, czemuś nie wzięła mnie sobie?
 „Mammo! Matulo, mnieby było lepiej w grobie“!

A wtém nadeszła baba Jaga do ogrodu;
 Staęła na grzędzie wśród wieczornego chłodu,
 Pod płotem. Była baba we dwoje skulona,
 Sparta o kij sękaty, cała pomarszczona;
 A wrona na ramieniu u baby siedziała.
 Uderzyła swą pięścią w kark i zawołała:
 „A wstawaj ty nicpotem! A wstawaj leniwa!
 „A wstawaj drańcie! Z płaczu chleba nic nie bywa!
 „Darmo nie będę ciebie już więcej karmiła.
 „Weź kądziel, weź wrzeciono, i prządz tu, co siła!
 „Mnie roboty potrzeba. Do jutra do rana,
 „Ma być kądziel ta wielka całkiem rozmotana;
 „Masz mi zgotować nici aż po taką miarę!
 „Inaczéj jeść ci nie dam; dam różgą za karę;
 „Ty darmojadzie!“ Rzekła chrypiąc, zakaszłała,
 Poszła do chaty; wrona na strzechę zleciała,

Na strzesze zakrakąta. Żywa kądziel wzięła,
 Wrzecziono i konopie; cicho prząść zaczęła. —
 Już tam czerwone słońko w lesie zachodziło,
 I na pożegnanie świat cały pozłociło,
 A roboty zostało ponad wiarę mnogo.
 Więc Żywa załamawszy ręce woła z trwogą:
 „I cóż ja zrobię teraz? Nie jadłam wieczery,
 „I w nocy spać nie będę. Ranek mnie zabieży,
 „A roboty nie skończę. Jutro na śniadanie
 „Chyba sierota różgą macochy dostanie!
 „Oj Mamo! oj Matulo! Czemuś mnie nie wzięła
 „Z sobą w kraj niepowrotny, gdyś w śmierci usnęła!?”

Tak zawołała; dalej poprzędła cierpliwie,
 Milcząc bez pieśni, a dwie lzy ogromne Żywie
 Popłynęły po licu kraśném. Zaszło słońce;
 Noc wysłała na ziemię czarne swoje gońce:
 Wieczór i mrok. Świat najpierw zszarzał, zczerniał potem.
 Świece niebieskie, gwiazdy, zapłonęły złotem
 Jedne po drugich. Jedne jasno zapalono,
 Że się wydały niby królewne, z koroną
 Dumną na warkoczu; a drugie tak migwały
 Skromnie jak sieroty. I świat już usnął cały.
 Łuczywo w chacie zgasło. Jaga baba spała;
 Spały siostry niedobre. Sowa zakrzyczała
 I umilkła. Przy wrotach pies jeszcze zaszczeka;
 Wreszcie umilkł zmęczony. A głosu człowieka
 Nie słychać na wsi. Wszystko zamilkło dokoła.
 Nie zaskrzypią po drodze nawet ciężkie koła
 Spóźnionej bryki. Czasem zahuczą skrzydłami
 Chrząszcze po nocy. Żywa biedna z snem się łamie;
 Przędzie jak przędła dalej, i usnąć się boi.
 Nagle uczuło dziewczę, że ktoś za nią stoi.

Obróciła się Żywa i w nocy ujrzała,
 Że wielka czarna krowa, tuż koło niej stała.
 Przestraszona na równe zerwała się nogi.

Krowa głowę podniosła, i podniosła rogi
 Do góry wysoko, a Żywie się wydało
 Jakby z krowy coś ludzkim głosem przemawiało
 Pocichu, mówiąc: „Żywo, dziecię!“ Wtedy Żywa
 Gorzej strwożona kądział rzuca, w lot się zrywa,
 I ucieka do chaty. Teraz usłyszała
 Znowu głos ludzki, cichy. Stała; słuchała.
 Głos mówił: „Nie uciekaj dziecię tak odemnie!
 „Wołałaś matkę. Tyś nie wołała daremnie.
 „Wróciłam z grobu: wzięłam postać czarnej krowy.
 „Czemuż się trwożysz dziecię matczynemi słowy?
 „Wysłałam cię poratować. Jaga myśli w chacie,
 „Dziecino moja, tylko o twojej ztracie.
 „Czemuż biegniesz do chaty gdzie gotują zgubę?
 „Czemuż nie przyjdiesz do twój matki, dziecię lube?“

Jakby wryta stała Żywa na te słowa.
 Serce tak biło, że pierś aż pęknąć gotowa.
 Potem idąc powoli wróciła do krowy,
 Dłoń położyła między rogi, w środek głowy,
 I patrzyła się krowie czarnej w duże oczy.
 Krowa łbem wstrząśnie Ręka dziecku w dół się stoczy,
 A krowa dziewczęciu łeb na ramiona stawia,
 Uchem twarz mu pogłaszcze, i słowa wymawia
 Ludzkie po cichu: „Weź, zdejm córeczko wrzeczona,
 „I z kądziału te nicie, któremi spleciona;
 „Włóż je na moje rogi, a siadaj koło mnie
 „I bądź spokojną!“ Żywa usłuchała skromnie
 Rozkazu krowy: kądział dużą rozebrała —

Obydwa rogi krowie niemi omotała,
 I siadła u jój stóp. Wnet już dziewczę usnęło.
 Dokoła mnóstwo maku czerwono kwitnęło
 Na grzędzie. Ponad głową groch rozwinął kwiaty,
 Patrząc na dziewczę śpiące, i maku szkarłaty.
 Rosa poranna padła na ziemię, a ptaki
 Zaśpiewały. Poranek koralowe szlaki
 Od wschodu i północy kładł na niebo.

Wstała

Żywa, wzbudzona śpiewem ptasim. Zorza biała
 Gasła ostatki gwiazd na niebios szafirze;
 Na liściach maku drżały rosy krople świeże;
 Nad Żywą stała zawsze jeszcze czarna krowa,
 A u stóp krowy była robota gotowa,
 Którą Jaga wieczorem Żywie była dała;
 Sprzędzoną była miara złej macochy cała.
 Żywa płacząc za szyję krowę uchwyciła,
 I gorące całusy na oczy złożyła,
 Na oczy duże krowy czarnej. W takie słowa
 Zagadała do córki wtedy, matka krowa:
 „Dzisiaj już Jaga baba da tobie śniadanie,
 „Chociaż nie podziękuje. A w myśli jój stanie
 „Że tu się działy czary. Więc jutro z wieczora,
 „Znowu prząść tobie każe, jak kazała wczora;
 „Ale kogoś przy tobie zostawi na straży.
 „Jak kto przy tobie siedzie, matka śpiewać każe:
 „Zaśnijże jedno oko, zaśnij oko wtóre!
 „Wskutek pieśni sen weźmie ponad szpiegiem górę;
 „Szpieg zaśnie; ja przyjdę znowu do pomocy;
 „Ty spać będziesz; uprzedę wszystko jednej nocy“.

Krowa lbem wstrząśnie; ręka dziecku w dół się stoczy.
 Krowa idąc powoli poprzez sady kroczy.

Żywa patrzała długo, i tęskno patrzała,
 Jeszcze wtedy kiedy nic przed sobą nie miała
 Już, oprócz zagród wiejskich, oprócz drzew i sadów,
 Szukając gdzieś po trawie matki krowy śladów.

Wreszcie czerwona zorza chaty pozłociła,
 A mgłę białą nad rzeczką w srebro zamieniła;
 Pies koło wrót zaszczekał, złote słońce wstało,
 A we drzwiach wdowiej chaty głośno zaskrzypiało;
 I wyszła Jaga baba we dwoje skulona,
 Sparta o kij sękaty, strasznie pomarszczona;
 A wrona znów na ramię do baby zleciała.
 Jaga baba pod płotem znów na grzędzie stała,
 Wśród maku czerwonego, co kroplami rosy,
 Liście stroił, jak księżna, brylantami włosy.
 A Jaga baba wielkie usta otworzyła;
 Paszcza jak czarna brama u cmentarza była,
 A pośród gęby jeden tylko stał ząb czarny.
 Ozwał się, chrypiąc, baby Jagi głos emętarny:
 „A czyś uprzedła nici aż po ową miarę?„
 I wprost w dziewczynę patrzy baby ślępie stare.
 Żywa białą swą rączką nici pokazała; —
 Mówiąc: „Leży zmotana owa miara cała“.

Jaga baba zmróżyła swe oko czerwone,
 I pokręciwszy głową poszła w chaty stronę.
 Owego ranka dała już Żywie śniadanie,
 Ale nie dziękowała. Później we dnie wstanie,
 Swoje córki rodzone do sadu zawoła,
 I tak przemówi słysząc, że cicho dokoła:
 „O gołąbeczki moje i zazule złote,
 „Ktoś Żywy czarów uczy. Wołałam niecnotę
 „Wczoraj z wieczora; w nocym jój uprząść kazała

- „Nici po taką miarę. Choćby sto rąk miała,
„Tyleby jednej nocy nie sprzedała dziewczyna.
„Mówiłam: jak nie zrobisz ciężka twoja wina!
„Jutro dam tobie różgą a nie dam śniadania,
„Jak po tę miarę nici nie sprzedziesz do rania.
„To samo chciałam robić od ninia co nocy;
„Byłaby szczezła marnie bez czarów pomocy.
„Bez snu i jadła zginie każda do niedzieli.
„Sąsiedzi o śmierci jój tyleby wiedzieli,
„Że naszła ją gorączka i że ją zabrała.
„Takby ona trucizny od nas nie dostała,
„Takbyśmy pasierbicy wcale nie zabiły,
„A przecie potem same wśród obejścia żyły.
„Dobrzeby się nam wiodło. Ale zła dziewczyna
„Coś się teraz do czarów zabięrać zaczyna.
„Z tego podobno wielka nam urośnie bięda.
„Nie każda żona dobrze na więdźmę się przyda.
„Mnie się godzi być więdźmą; was tylko się godzi
„Gołąbki moje, czarów uczyć! Bo was rodzi
„Jaga baba! Jak dziecko to psie się poduczy
„Czarów, w mocy porośnie i tak nam dokuczy,
„Że nas gotowe z chaty wyrzucić. Więć trzeba
„Teraz się strzedz, aby nam nie zabrało chleba.
„Pójdę ja dzisiaj znowu do Żywy z wieczora,
„I zadam jój roboty, tak samo jak wczora.
„Sapucha starsza wieczór koło więdźmy siędzie,
„I całą noc czuwając patrzeć na nią będzie;
„Niby z niechcenia będzie z Żywą rozmawiała,
„Bacząc, aby moc czaru znowu się nie stała.
„Jeśli mimo rozmowy czar jaki się stanie,
„Sapucha patrząc czujnie pozna czarowanie.
„Jedno dobre i drugie“.

Czerwone godziny

Wieczoru przyszły znowu. Jaga do dziewczyny
 Poszła bosój — do Żywy w łatanój a szarój
 Koszuli. Rzekła: „Masz mi uprząść do tój miary;
 „Inaczój jeść ci nie dam — dam różgą za karę,
 „Ty darmojadzie!“ Poszło pod płot dziewczę szarę,
 Siadło znowu na grzędzie, i przędło jak wczora;
 Ale lzy już nie ciekły drugiego wieczora
 Po kraśném licu Żywy, a śpiewała śmiało
 O tём, co się sierocie biednej w bajce stało. —
 Przyszła do niój Sapucha i siadła na grzędzie
 W haftowanój koszuli. — Mak dokoła wszędzie
 Rósł czerwony i słuchał rozmowy, zdziwiony
 Że zuchwała Sapucha przyszła aż w te strony,
 Mówić z siostrą przyrodnią, jak z siostrą rodzoną. —
 Słońce zaszło; poczerniał świat i zapalono
 Wszystkie złote gwiazd świece na żalobném niebie. —
 Sapucha jak rodzoną tuliła do siebie
 Żywę. Tak się jój spyta: „Jakiego to cudu
 „Użyłaś, żeś tój nocy dokonała trudu,
 „Tyle, co w bajce? — Choćbyś i sto rączek miała,
 „Tylebyś jednej nocy nici nie zmotala.“
 Żywa odpowiedziała; „Niemasz wcale cudu.
 „Nie żalowałam tylko przędąc swego trudu,
 „I tak śpiewałam w gwiazdy patrząc, w noc, tam w górę:
 „Zaśnij że jedno oko, zaśnij oko wtóre!“
 Ledwie piosenkę krowy Żywa zaśpiewała,
 A już przy niój Sapucha na dwa oczy spała,
 Pośród nocy, na grzędzie, — gdzie się mak udaje. —

Nagle uczuła Żywa że ktoś za nią staje.
 Odwróciła się Żywa i w nocy ujrzała,
 Że wielka czarna krowa tuż koło niój stała,

I ciałem swoim ciemnym tysiąc gwiazd zakryła,
 Które noc na czarny sklep nieba wywiesiła.
 Więc Żywa płacząc krowę za szyję chwyciła,
 I w duże oczy czarną krowę całowała. —
 Nici zdejmie z kądzieli, rogi niemi stroi,
 Sama uśnie przy krowie; Jagi się nie boi. —

Nazajutrz rano, do dnia, zawiął wiatr poranny:
 Zorza światła wysłała na sklep nieba szklanny.
 Nad głową obu dziewcząt stanął kur czerwony;
 Zapiał głośno, wołając kury, swoje żony.
 Obie się przebudziły i oczy przetarły;
 A tam u wschoduienne wrota się rozwarły.
 Żywa się obejrzała; darmo szuka krowy.
 Sapucha do niej temi odzywa się słowy:
 „A cóżes to takiego teraz narobiła,
 „Ty dziewczyno leniwa? Matka ci mówiła
 „Abys uprzedła nici, aż po taką miarę;
 „Inaczéj jeść ci nie da, da różgą za karę.
 „A tyś nie robiła, tylkoś się przespała!
 „Tybys tylko daremnie chleb nasz zajadała!
 „Ale dziś zasłużona kara cię nie minie;
 „Zamiast śniadania różgą tylko weźmiesz ninie.
 „Obyśmy się już ciebie zpod strzechy pozbyli!“

Żywa za to łajanie tylko uśmiech miły
 Oddała siostrze, i w te jéj odrzece słowa:
 „Niedobrze siostrzo mówisz. — Robota gotowa.
 „Wszystko uprzedłam aż po miarę siostrzo droga;
 „A potem pomodliłam się trochę do Boga,
 „I usnęłam przy tobie“. Sapucha spojrziała
 Na grzędę. — A tam nici zmotanych nie mała

Kupa leżała. — Potém nic jój nie mówiła,
Tylko się milcząc w usta kraśne ukąsiła. —

Znów Jaga Żywie rano podała śniadanie,
Ale nie dziękowała. Później we dnie wstanie,
Swoje córki rodzone do sadu zawoła,
I tak przymówi, słysząc, że cicho dokoła:
„O gołąbeczki moje i zazule złote!
„Ze strachem teraz patrzę na Żywę niecnotę.
„Mocne posiadała czary. — Chatę wziąć gotowa.
„Pewnoby się ziściły te najgorsze słowa,
„Gdyby Sapucha, moja córeczka rodzona,
„Czarów tych nie dostrzegła w nocy przyczajona.
„Ale już podpatrzyła, i teraz nam powie
„Jakie czary się święcą u téj Żywy w głowie.
„Czary mocne mieć musi. — Choćby sto rąk miała,
„Jednej nocy nie sprzedzie tego, com kazała“.

Tak to się matka, Jaga baba, córki pyta
Sapuchy, w haftowanej koszuli. Jak zmyta
Stoi Sapucha przed nią. Nic nie odpowiada,
I oczy spuszcza. Tak się krasi twarz jój blada,
Jak niebo od porannej zorzy. Jaga czyta
Po twarzy córki — wreszcie raz wtóry się pyta.
A wtedy to dopiero Sapucha odpowie:
„Nie wiem, jakie to czary tam się święcą w głowie
„U Żywy. Zła dziewczyna, ze złej matki rodu,
„Zaśpiewała mi piosnkę tam, pośród ogrodu,
„Na grzędzie. Ledwo piosnkę swoją zaśpiewała,
„A jam już tam na grzędzie koło Żywy spała“.

Jaga baba to słyszy, i spogląda w gniewie
Na córkę, co o Żywy złych czarach nic nie wie.

I Jaga zawołała: „Pociechy nie będzie
 „Dla mnie z Sapuchy, kiedy usnęła na grzędzie!
 „Głupia! To mruk dziewczyna! Może dziś wieczorem
 „Welinda mi się spisze, i nie pójdzie wzorem
 „Siostry. Siędzie pod płotem na grzędzie przy Żywie;
 „Czarów może posłucha; nie usnie leniwie;
 „Albo być może tylko tym czarom przeszkodzi.
 „I jedno będzie dobre i drugie się godzi“.
 Sapucha zawstydzona opuściła głowę;
 Welinda młodsza słysząc matki swojej mowę,
 W głos się zaśmiała, zęby białe pokazała;
 Tak białych pereł żadna królowa nie miała.
 I u Welindy młodszej na szyi i łonie
 Sznur czerwonych korali jakby zorza płonie.

Wieczorem znowu Jaga Żywie kądział dała;
 Welinda przy niej siadła — Lecz czary zaspala.
 Nazajutrz Jadze Żywa dała całą miarę
 Nici przędzonej. — Błysły Jagi oczka stare
 Z gniewu. — Dziś znowu Żywie podała śniadanie,
 Chociaż nie dziękowała. — Ale na pytanie
 Matki, Welinda strojna w korale czerwone,
 Także tylko spuściła oczy zawstyżone. —
 W haftowanej koszuli Sapucha się śmiała.
 Jaga baba ze złości, jak osika drżała.
 Spojrzała źle na córki i kaszląc splunęła.
 Potém tak oto w gniewie wyrzékać zaczęła:
 „Oby mnie pierwój ziemia pochłoneła czarna,
 „Nim córki wychowałam takie — ja niezdarna
 „Wiédźma! toć u mnie cudze dzieci znają czary,
 „Własne nie znają! Trzeba będzie Jadze starój
 „Posiedzieć w nocy koło darmojadi Żywy.
 „Ród mój, choć młodszy, widać na to zbyt leniwy!

„Idźcie nicponie, strzeżcie się mojej kądzieli!
 „Będziecie w chacie spały; matka wam pościeli
 „Łóżeczko białe. Sama siędzie wśród ogrodu!
 „Nie takim spiuchem Jaga bywała za młodu,
 „Kiedy się czarów stariej wypytała sowy;
 „Kiedy rwała paproci kwiat, i jad węzowy
 „Kładła do ust, po nocy czekając ciekawie,
 „Aby zostać na czartów północnej zabawie.
 „Tak to w moc się urasta! Głupi kto spać lubi;
 „Życia połowę straci; rozum wcześniej zgubi.
 „Żywa pewnie po nocy nie sypia leniwie;
 „Strach przeto, czy moc moja nie przypadnie Żywie!“
 Tak rzekła pięścią grożąc. Dziewki zawstydzone
 Uszły przed gniewem matki, cicho w inną stronę.

I znowu poszła baba Jaga do ogrodu.
 Stała na grzędzie, wśród wieczornego chłodu,
 Pod płotem. Kij sękaty w rękę swych trzymała,
 I w te słowa do Żywy teraz się ozwała:
 „Jak pierwój, tak znów dzisiaj dam tobie robotę;
 „Nici uprzedzisz, zanim przyjdzie rano złote,
 „Aż po tę miarę, którą pierwój naznaczała.
 „Jeżeli nieskończone włókno zorza biała
 „Zastanie jutro, znowu nie dam ci śniadania —
 „Różgą ukarzę. Szkoda tylko odgrazania!
 „Wiem, że to zrobisz, czemu innych nie podola
 „Pięćdziesiąt żwawych dziewcząt. — Nie rozumiem zgola
 „Jakie palce masz zwinne! Widać, że krew inna
 „Była u twojej matki, niżli być powinna!
 „Nie zrodziła dla męża żony; czarownicę
 „Narodziła. Niewinne takie twoje lice,
 „Jak u dziecka małego, a znasz nadto wiele;
 „Czart chyba czarny siedzi w twoim białym ciełe.

„Złych czarów ja nie mogę cierpieć w mojej chacie;
 „Przy tobie tedy siądę tu w maków szkarlacie;
 „Czuwać będę przy tobie. Tak to przerwę czary“.
 Rzekła i siadła stara. — Mrok zapadał szary,
 Że zmarszczek już nie było widać jój na twarzy;
 Złe oko tylko tak się na pociemku żarzy,
 Jak robak świętojański, co na pruchno siada.

Przy Żywie siadła Jaga; patrzy; nic nie gada
 A patrzy. Żywie serce w piersi zamierało;
 Ani lzy w oku, ani pieśni jój niestało.
 I na niebie gwiazdeczki złote nie stanęły,
 I tylko chmury, szare niebo zaciągnęły.
 Wicher szumi po sadzie, Żywa dalej przędzie;
 Jaga naprzeciw siadła, a czas w ciągłym pędzie
 Goni nocne godziny; nikt go nie zawróci. —
 Wreszcie głowę schyliła Żywa i zanuci
 Drząc cała piosnkę, którą nauczyła krowa. —
 W Jagę nie patrzy. — Cicho wyśpiewuje słowa:
 „Zaśnijże jedno oko, zaśnij oko wtóre!“
 Zaśpiewała, a potem śmielój patrzy w górę.
 Swobodniej odetchnęła. Jaga tam leżała,
 Pośród maków wysokich, nieruchoma cała.
 Żywa myślała, że śpi. Już się jój nie boi.

Nagle uczuło dziewczę że ktoś za nią stoi. —
 Stanię na równe nogi; wita czarną krowę,
 I białemi rękami ścisza ją za głowę; —
 W oko duże całuje; — niemi mota rogi;
 W krowę patrzy; — Nie może spać, choć żadnej trwogi
 Nie czuje, myśląc że tam Jagę pieśń uspiła.
 Ale u Jagi wielka była czarów siła;
 Choć dwoje oczu Żywa pieśnią ululała,

Przecież Jaga, zła więdźma, na grzędzie nie spała —
 Czuwała. Trzecie oko sobie przyprawiała
 Styłu u głowy, — taką była czarów siła —
 I udawała tylko, że śpi. Trzecie oko,
 Jak oko ostrowidza, patrzy w noc głęboką. —

Tymczasem bieżną nici po rogach u krowy.
 Jak bieżną? nie opiszesz tego nigdy słowy. —
 Cudem bieżną. — Kto ujrzy, tego nie zrozumie;
 I bajarz takich cudów wyśpiewać nie umie.
 Przędza cała powstanie, nim ostatnia zgaśnie
 Gwiazda; pewno powstanie! Wtém ktoś głośno wrzaśnie,
 Wśród maku, popod grochem, co tam kwitnie w górze
 Nad makiem. — Takto w głodnych wilków nocnym chórze,
 Zimą, wśród zawieruchy, najgłośniej zawyje
 Wilkołak, — człowiek, który w wilczej skórze żyje,
 I ludzkie dzieci jada. — Coś z maku skoczyło.
 Zło mocne Jagę babę w wilka zamieniło. —
 Wilczyca duża krowę za kark paszczą dławi,
 Jak błyskawicą okiem strzyla, — zęby krwawi,
 Kości kruszy. — Na ziemię padła rycząc krowa
 I zginęła. A Żywa ze strachu gotowa
 Umrzeć i żalu; serce jój się dziko tłoczy, —
 Mrok jakiś dziwny, krwawy pada jój na oczy.
 Zachwiała się dziewczyna, jak chusta pobladła;
 Jęknęła przeraźliwie; — bez pamięci padła. —

Kiedy Żywa omdlałe swe rozтворzy oczy,
 Ujrze nad sobą Jagę, co ślepiami toczy
 Jadowicie; jak wędka we dwoje skulona,
 Sparta o kij sękaty, cała pomarszczona.
 Rano już nastawało szare, i mgła biała
 I zimna, urodzajną ziemię zalegała. —

Za Jagą dwie jej córki śmiały się na rosie;
 Złość świeciła im w oku; urąganie w głosie. —
 Sapucha woła: „A cóż, czyś przedzę skończyła?“
 „A czy będzie śniadanie?“ Welinda mówiła.
 Jaga jedynym zębem dziwnie zazgrzytała,
 I rzekła: „Widzisz, darmoś mi się wiedźmą stała.
 „Umarłych budzisz, mocne jakieś sprawiasz czary;
 „Jednak zła dziewczko, słusznój dziś nie ujdiesz kary.
 „Czarnój nie masz już krowy; pod płot zakopana.
 „Śniadania dziś nie będzie; różga obiecana
 „Tylko będzie. Idź teraz skarżyć się płotowi;
 „Może o czarnój krowie coś ci płot opowie“.
 Tak rzekła Jaga; różgą Żywę wysmagała;
 Córki się śmiały; wrona na strzesze krakała.

Żywa nieboga, blada, głodna, zapłakana,
 W szarój koszuli kłęczy przy płocie od rana.
 Słońce już świeci, już mgłę szarą rozegnało;
 Wonią kwiatu żytniego od lanu zawiało;
 Wiosna na dworze; w sercu Żywy zima blada.
 Sama na świecie, — do niej chyba płot zagada;
 Płot czarny, pochylony; tyki weń wpleciono,
 A na tykach gdzieś garnki wywieszono
 Czarne, denkiem do góry. — Wtém wichur się zrywa;
 Ledwo może się ostać na swych nogach Żywa. —
 Śliwy się trzęsą, wisznie się zginają w dwoje
 Grusze na wszystkie strony gną gałęzie swoje. —
 Wszystkie drzewa gadają drzew mową nieznaną;
 Maki to się położą, to znów razem wstaną,
 A wnet potem padają. — Płot cały się wali!
 Wiatr szumiał chwilę. Poszedł. Już huczy gdzieś w dali
 Nad lasem. Poszedł! I już niesłyszać go zgoła;
 Wkoło wdzięczy się cicho, znów wiosna wesola.

Płot cały rozwalony, garnki potłuczone;
 Czerepy razem z chrustem w różną padły stronę;
 Z całego płotu jeden kij już tylko stoi.
 Ależ o cudo! Kij ten rośnie! Kij się dwoi!
 Kij ten grubieje; z siebie wypuszcza konary.
 Żywa patrzy, a nie chce oczom dawać wiary.
 Z kija suchego drzewo urasta wspaniale,
 Jabłoń ogromna. Zwisle wśród liści dojrzałe
 Jabłka, jabłka złocone, żółte, niezrównane,
 Jabłka o woni miodu, wpierw ludziom nieznanne.
 Darmobyś wszystkie świata przeszukiwał sady,
 Takich nie znajdziesz jablek złotych. Zpod posady
 Drzewa, inny cud tryska; źródło zpod korzeni
 Płynie; woda przejrzysta jak tęczą się mieni:
 Tryska, pieni się, szumi.

Żywa zadziwiona

W górę podnosi swoje bielutkie ramiona,
 Do tych wielkich konarów, co gdzieś ponad głową
 Strojne w złociste jabłka. A wtém ludzką mową,
 Liście jabłoni szepcą, że Żywa zrozumie:

„Nie stój już dziecko moje w żalostnej zadumie;
 „I Izy obetrzyj. Matka bawi w jasnym Raju!
 „Jabłka z Raju przysyła, a wodę z Dunaju
 „Świętego. Nie ucierpisz głodu ni pragnienia;
 „Jabłka z wodą czekają na twoje skinienia.
 „Daremnie zła macocha na twą zgubę dybie;
 „Matka z Raju cię broni. — Każdy pocisk chybi“

W tej chwili gałąź jedna drzewa tak się skłania,
 Że Żywa mogła narwać jablek do śniadania.
 I królowie śniadania takiego nie mają;
 Smak niezrównany jablek, które dojrzewają
 Na drzewach rajskich, szczęściem duszę rozpromienia.

Zjadłszy jabłka uczuła Żywa moc pragnienia;
 Spojrzy na dół i widzi, że dzban u stóp leży;
 I to był dar cudowny umarłej macierzy.
 Dzban cały złoty płonął w słonecznym promieniu;
 Tym dzbanem Żywa wody nabrała w strumieniu;
 Do ust zaniosła; smakiem cudnym się zadziwi;
 Woda jak wino; taka w Raju ludzi żywi.
 Gdy się wody napiła z cudnego strumienia,
 Smutek jój minął, twarz się dziewczynie przemienia,
 Oczy się świecą jasno, uśmiech krasi usta,
 W sercu uciecha staje i wesołość pusta. —

Jaga baba i obie jój córki rodzone
 Wyszły z chaty bielonej burzą przestraszone.
 Popatrzą w stronę Żywy, i jabłoń zobaczą,
 Strumień i jabłka złote. Patrząc w górę, skaczą
 Ze złości. Jaga baba jak ropucha skacze,
 Co czarne muchy goni, a wrzeszcze i płacze;
 Sapucha i Welinda, córki Jagi baby,
 Skaczą tak ze złości, jak dwie zielone żaby,
 Co wiosną wyszły tańczyć na łąkę zieloną.
 Matka i córki skaczą, a ze złości płoną; —
 Klną i pięście ściskają. Nic to nie pomaga;
 Żywę nie może morzyć głodem baba Jaga;
 Widzi na oczy cuda; bardzo tém się trwoże
 Że Żywa tak czaruje; już patrzeć nie może
 Więcej na owe dziwa; serce jój się ściska,
 Że jabłoń złota stoi, woda winna tryska.
 Teraz już pasierbicy naprawdę się boi;
 Już na obejściu dzisiaj więcej nie postoi
 Jaga baba, i córki ze sobą zabięra;
 W las idzie; jadowne grzyby w lesie zbięra.

* * *

Żywa dzień cały sama pod drzewem została;
 I jadła i napoju aż zanadto miała,
 I myśl dobra splywała na nią; nie wątpiła
 Bowiem, że myśli o niej w Raju matka miła,
 I że nic już nie wskóra złość macochy Jagi;
 Nabrała przeto Żywa ducha i odwagi.

Za pole, w drogę zwraca Żywa swoje oczy;
 Patrzy: ktoś przez zielone żyto ku niej kroczy.
 Chłopak sukmanę czarną zwiesił na ramiona;
 Głowa w kapelusz, z pawiém piórem wystrojona.
 Pies przy wrotach nie szczeekał, a pobiegł wesoło
 Naprzód, chłopca przywitał, i poskakał wkoło,
 Kręcąc ogonem. Żywa patrzy — to Czuryło!
 Aby brat wrócił, ani się jój o tém śniło.
 Wybiega zpod jabłoni, na szyję mu skacze,
 Pyta o wszystko brata, śmieje się i płacze;
 Widzi, że zdrów wygląda, że dobrze ubrany;
 Pióra na kapeluszu, hafty u sukmany,
 Pas dokoła stanu lśni w kolory jaskrawe,
 Buty czarne się błyszczą, że w nich widzisz trawę,
 Jakby w zwierciedle.

Chłopak cuda opowiada:

O zamku tam w Krakowie, o skarbach nielada,
 Które tam widać co dzień na królewskim stole;
 O wojewodach starych i rycerskiém kole,
 Co w zbrojach jasných co dzień do stołu zasiada,
 Wraz z królem miód popija i zwierzynę jada.
 Mówi, jak czasem tura całego wkładają
 Na rożen, i jak rożen wielki obracają
 Aż trzy kuchty odrazu. Jak się już wygada,
 Nawzajem siostrę Żywę, o jój losy bada.

Żywa bratu powtarza wszystko — jak się stało.
 Wreszcie prowadzi chłopca pod jabłoń wspaniałą,
 Jabłka jemu podaje i wodę strumienia;
 Jedząc, nie może chłopiec odejść z podziwienia;
 Mówi, że takich potraw nie znają w Krakowie;
 Mówi, że wszystko w zamku królowi opowie.

Że Jaga w las odeszła, cieszą się oboje;
 Wspominają dni dawne i dzieciństwo swoje,
 I piosnkę, którą niegdyś ich matka rodzona
 Śpiewała małym dzieciom. Żywa rozmarzona
 Dawnych czasów pamięcią, nareszcie powiada,
 Że pieśń ową matczyną zaśpiewaćby rada.
 Staje pod drzewem; brata rękę ściska; śpiewa; —
 Śpiewa, a świat dokoła strój cudny przywdziewa.
 Pieśń wszystko budzi, wszystko wkoło przemienione,
 I wszystko jest piękniejsze, w jaką spojrzeć stronę;
 Pozłota wspomnień dziwnie wszystko przyobleka;
 Myślisz, że świat czaruje pieśń tęskna człowieka.

Czuryło słucha — patrzy. Każdy promień słońca
 Drga przy pieśni świątecznie; od końca do końca
 Nieba krąglego białe się złocą obłoki;
 Pieśni słuchając, młodość wspomniał świerk wysoki,
 Tam koło chaty. Tylko baby Jagi wrona,
 Dokoła strzechy lata, jakby przestraszona.
 Czuryło na dół patrzy. Inne jeszcze cuda!
 Nie wie, czy widzi prawdę, czy jaka uluda
 Dziwna nim władnie? Wszędzie wkoło, z popod trawy,
 I z grządek ogrodowych rośnie kwiat jaskrawy,
 Kwiat i piękny i wonny; lilie, tulipany,
 Narcyzy, fiołki, szafran wschodu zachwalany!
 A nad całym tych kwiatów rojem, płoną w górze

Dziewiczym wstydem kraśne, księżne kwiatów różel
 Ogród przy chacie białej w kwiatów łąn zmieniony,
 A w Żywy oczy patrzą wszystkich róż korony.

I nie dość jeszcze. Strumień zpod korzeni drzewa,
 Sádzawką czarodziejską wkoło się rozlewa;
 Żwierciadłem staje, w które patrzą piękne kwiaty.
 W sadzawce igra żwawo rybek lud srokaty;
 Czerwony, szafirowy, biały, srebrny, złoty
 Naród rybi w sadzawce dziwne tnie obroty;
 Tak przy ogrodzie kwiatów, żywy ogród drugi
 Migocze się i splata w jasnej barwy smugi.

I nie dość jeszcze. Spojrzał chłopiec tam do góry,
 Pomiędzy jabłka złote: ptaków cudnych chóry
 Zasiadły wśród zieleni; niby to klejnoty
 Wody nieporównanej, najprzedniejszej cnoty,
 Jaśnieją barw tysiącem; a klejnoty żywe
 Skaczą tam pośród jablek, skrzydła migotliwe
 Otwierają do lotu, a z dzióbków tysiąca
 Wtórują pieśni, którą śpiewa siostra, drżąca
 Wspomnieniem lat dziecinnych. I chociaż Czuryło
 Dużo widział w Krakowie, to co się jawiło
 Teraz jego żrenicy przewyższało miarę
 Wszystkich sadów królewskich, przewyższało wiarę!
 Oko królewskie tego nigdy nie widziało,
 Co dokoła szarego dziewczęcia jaśniało.

Żywa śpiewać przestała. Wszystko znikło z oczu.
 Słońce już nadół schodzi, po niebios przezroczu;
 Na ściany chaty padły słoneczne promienie,
 A promień jeden śmielszy zagląda do sieni,
 Gdzie kot śpi czarny. Maki czerwone na grzędzie;

Swiat dokoła zwyczajny — cicho, biedno wszędzie.
 Tylko jabłoń cudowna, nad dziewczęciami głową,
 Patrzy okiem ze złota w grzędę ogrodową;
 Tylko woda z Dunaju tryska z pod jabłoni;
 Tylko dłoń biała Żywy jest w Czuryły dłoni.

Czuryło spyta: „Siostró, czy widziałaś dziwa?“
 „O jakich mówisz, bracie?“ Zapytała Żywa.
 „Kiedyś ty zaśpiewała,“ Czuryło znów powie:
 „Powstały cuda, jakich ni śladu w Krakowie.
 „Kwiatów kobierce kraśne ogród zaścieliły;
 „W sadzawce pośród kwiatów rybki łuską lśniły
 „Złotą. U góry ptaków siadły śpiewne roje.
 „Myślałem chyba, że m szedł za rajskie podwoje,
 „W kraje zaczarowane. Piewej ludzkie oczy
 „Chyba w Raju widziały ogród tak uroczy.
 „We śnie zuchwałym króle o tém nie zamarzą,
 „Że im się w oczach cuda tak piękne pokażą,
 „Jak te, które wkoło nas ten ogród stroiły,
 „Wzbudzone twojej pieśni czarownicami siły.
 „Skoroś śpiewać przestała, znikły cudne Raje“.

„Zda mi się,“ rzecze Żywa, „że brat bajkę baję.“
 „Nie bajkę baję, siostró!“ Zaklnie się Czuryło,
 „Oby mnie tak piorunem dziś jeszcze zabiło,
 „Jak to wszystko widziałem na te własne oczy:
 „Sadzawkę, ryby, ptaki i ogród uroczy.
 „Powie królowi! Biegnę prosto do Krakowa!
 „Powie królowi! Z tego dla ciebie gotowa
 „Korona, dla mnie laska złota wojewody.
 „Ty tutaj zostań, koło jabłoni i wody
 „Cudownej. Czekaj. Wrócę! Prosto pędzę w drogę.
 „Pałą mnie usta. Milczec o tém dnia nie mogę.

„Do króla biegnę. Król na wojnę się wybiera;
 „Popiel zły sąsiad, w Polskie kraje wciąż się wdziera;
 „Lupi, zabija; Krok już dłużej nie poczeka.
 „Rycerstwo swe zwołuje i wojny nie zwleka;
 „Pójdzie zwyciężać. Ale za nim pójdzie w boje,
 „Ja opowiedzieć muszę to widzenie moje.
 „Królowi się przysłużę i przysłużę tobie,
 „A matka będzie rada ze mnie w swoim grobie.
 „Idę, na Jagi powrót nie poczekam wcale.“

Tak to mówił Czuryło i w wielkim zapale
 Siostrę uściśnął czule, i puścił się w pole.
 Szedł prędko ścieżką, szedł przez łąny i przez role
 Czarne. A kiedy słońce za bór się ukryło,
 Znikł Żywie z oczu brat jój parobek Czuryło.

* * *

Minęły dni, tygodnie. Dojrzewało żyto —
 Stertę z sianem na łące już słomą pokryto,
 Po obejściach wieśniaczych ułożono stogi.
 Wtém jeździec strojny stanął, gdzieś z dalekiej drogi,
 Przed chatą baby Jagi. Poznałeś po stroju,
 Że jeździec był to jakiś dworzanin z pokoju
 Królewskiego; cały był ubrany w bławaty.
 Rumaka do wrót przypiął. Sam poszedł do chaty
 Prosto i tam powitał Jagę. Spojrzał wkoło;
 Poklonił się jój córkom, i zaczął wesoło
 Przymawiać w takie słowa: „Szczęśliwa kobieta
 „W téj chacie mieszka. Szczęście wielkie tu zawita
 „Za chwilę. Jam powinien tutaj bić pokłony;
 „Stoi bowiem przedemną królowa korony
 „Lackiej przysła. Jedna z tych dwu dziewic w Krakowie

„Będzie niedługo panią. Sam król matce powie
 „Dzisiaj którą na żonę wybiera“. Tak prawi
 Jeździec, a na stół pierścień królewski postawi,
 I dalej mówi: „Widzę że mi nie wierzycie.
 „Pierścień świadczy, że prawdę mówię. Wasze życie
 „Zmieni się teraz matko. Odstąpicie progi
 „Tój chaty, i strój chłopski gruby a ubogi;
 „Będziecie w zamkach mieszkać, a chodzić w szkarłacie.
 „Król Krakus słyszał, że tu cud mieszka w tój chacie,
 „Cudo o którém marzą daremnie królowie.
 „Odkąd tę wieść usłyszał, w uściech, w sercu, w głowie
 „U króla Kroka tylko wasza córka bywa;
 „Rzucił wojsko gotowe i tutaj przybywa,
 „Aby waszą poślubić córkę. Mnie przysyła
 „Z tym pierścieniem, by matka szczęściu uwierzyła
 „Swojemu, i na gody wszystko zgotowała“.

Tak mówił poseł. Jaga z ławki swój powstała,
 Srodze zdziwiona usta swoje roztworzyła,
 Stała w środku izby i pokłony biła
 Posłowi. Z tój radości zapomniała mowy;
 I obie córki milcząc, pochylily głowy
 Nisko. Nieśmia uwierzyć. Królewskie pieczęcie,
 Świadczą, że gość nieznany mówi prawdę święcie.
 Wreszcie wszystkie trzy wstały; matka popatrzyła
 Na córki, córki na nią; i teraz słów siła
 Zaczęły prawić razem; ciągle dziękowały
 Za łaskę króla; mówiąc sobie przerywały
 Wzajemnie. Dziwnie było jakoś patrzeć na nie,
 Bo w ich radości tkwiło jakieś zamieszanie.

Aż Jaga baba przyszła nareszcie do słowa:
 „Jam na stoły królewskie dziecko dać gotowa,

„Nie dopiéro do łoża. Łaski to zawiele.
 „Przed wóz królewski obie córki me pościeleę,
 „Jeżeli król tak każe. Ale spytać wolno,
 „Jak to się stało, że król na tak nieudolną,
 „Na taką nędzną wdowę spogląda łaskawie?
 „Wszakże królewne świata o Krakusa sławie
 „Słyszą wszystkie? każda z nich zań jest pójść gotowa?
 „Czemże na łaskę stara zasłużyła wdowa?“

Posel się uśmiechnął, i spojrzawszy dokoła:
 „Królewien niemasz nigdzie piękniejszych,“ zawoła,
 „Jak wasze córki obie, wdowo! O nich sława
 „Kroka snąc doleciała, i przy królu stawa,
 „I wróży jemu szczęście. Dawno Krok stęskniony
 „Miłości: chociaż dzielnie znosi trud korony,
 „Często wśród uczyty woła, że królewska dola,
 „Bez żony ukochanej, to złota niewola
 „Tylko, to jarzmo złote, co mu kark rozgniata.
 „Mówi, że widział wszystkie już królewne świata,
 „Że z nich nie jedna piękne ma i hoże lice, —
 „Lecz, że mąż ich przymierze weźmie nie dziewicę, —
 „Że myślą o tém tylko jak są wywyższone
 „Ponad gmin ludzki; że on pragnie pojąć żonę,
 „A nie królowę. Kiedy skończy taką mowę
 „Krakus, puhar odsuwa, i opiéra głowę
 „Smutnie o ręce obie; potem milczy długo.
 „Otóż w ogrodach króla jest parobek sługą,
 „Krepy, mały i śniady — ma imię Czuryło.
 „Przez dni kilka Czuryły w ogrodzie nie było.
 „Krok łaskaw jest dla niego; gdy nań smutek padnie
 „Chodząc po sadach często Czuryłę zagadnie.
 „Kiedy Czuryło wrócił, prosił o rozmowę
 „Z królem. Wojsko na wojnę już było gotowe;



„Miało ciągnąć na północ przeciw Popielowi.
 „Po rozmowie z Czuryłą wojnę zastanowi
 „Krakus; każe hetmanom czekać; a wyprawę
 „Weselną każe robić. Snać twych córek sławę,
 „Zaniósł w zamek Czuryło; sławę zasłużoną,
 „Za którą jedną Krakus uwieńczy Koroną“.

Coś Jaga brwi zmarszczyła; a posła zapyta:
 „A czy Czuryło z królem w te progi zawita?
 „To syn mój. Matka by go rada uściskała“.
 Tak rzekła. Małym okiem w posła twarz patrzyła
 Ostro.

Posel odpowie: „Czuryło w Krakowie
 „Krok postawił Czuryłę pod straż, po rozmowie
 „W której słyszał o córce waszjej. Krakus każe
 „Czuryle uciąć głowę, jeśli się pokaże,
 „Że mu nieprawdę mówił. Jeśli prawda sławie
 „Sprosta, hetmanem będzie już na téj wyprawie
 „Syn wasz Czuryło. Ale o to nie masz lęku.
 „Żadna sława nie zrówna waszych córek wdzięku.
 „Jednak zbyt długie, matko, już nasze rozmowy.
 „Gotujcie gody! Każę wam krótkimi słowy:
 „Gotujcie gody! Krakus dziś sielanki pragnie;
 „Do obyczajów chłopskich swój królewski nagnie
 „Kark. Chce tu widzieć, družby, swachy, korowaje.
 „Spieszcieże się z weselem! Zaraz król tu staje“.

Weselój na swe córki spojrzé stara Jaga;
 Z pośpiechem robi to co dworzanin wymaga;
 Kręci się, krząta; córki do ludzi posyła;
 Rychło, a Jaga piękne wesele sprawiła.
 Gdy po wsi wieść poszła, że król Krakus się żeni

Z córką Jagi, sąsiedzi wszyscy, ucieszeni
 Chwałą co na wieś spada, co mogli do chaty
 Niesli; więc stanął stół w chléb, w miód, w mięso bogaty.
 Na obejściu stanęli baby, gospodarze,
 Dziewczęta i parobcy, młodzi, średni, starzy,
 Wszyscy poubierani w swe świąteczne szaty;
 Aż się tłumom dziwiły ściany staréj chaty.

Jaga baba pocichu z tłumu się wykradła,
 I z uśmiechem na twarzy pod jabłoń przypadła
 Cudowną. Tam siedziała Żywa. Nie wiedziała
 O poselstwie królewskim. Jaga przed nią stała
 Jak dawniej; na kształt wędki we dwoje skulona,
 Sparta o kij sękaty, cała pomarszczona;
 Ale stara twarz teraz dziwnie wykrzywiła,
 Bo przed Żywą tym razem uśmiech udać chciała.
 „Duszko,* zakracze: „już się dość długo gniewamy.
 „Już przeszło miesiąc nie chcesz przymówić do mamy.
 „Małunia była prędką, ale któż bez winy?
 „Nieprawda Żywo, wszystko sobie przebaczymy?
 „Stoisz tu pod jabłonią, już tak bardzo długo,
 „Że miesiąc dalej będzie liczył już pełń drugą,
 „Odkądeś się na swoją mamę pogniewała.
 „A widzisz: mama lepsza; mama zapomniała
 „O wszystkich twoich winach. Widzisz jak tam mnogo
 „Ludu przed chatą stoi, i czerni się drogą,
 „I jeszcze nawet stoi na łące zielonéj.
 „A wiesz ty dlaczego, tłum taki zgromadzony
 „Przed moją chatą? Oto króla się spodziewa.
 „A wiesz ty dlaczego król Krakus tu przebywa?
 „Oto dlatego, bo tu szuka sobie żony.
 „Do baby Jagi król się wyprawił w te strony;
 „U baby Jagi Krakus chce szukać królowéj;

- „Z bratem twoim Czuryłą mi ił jakieś rozmowy,
 „I wojnę zastanowił; wyjechał na swaty,
 „Nie do zamków królewskich, a do mojej chaty.
 „Ma wybrać jedno z dziewcząt, co się tu chowają;
 „A ludzie ci przyjazdu króla wyglądają.
 „Welinda i Sapucha już tam stoją obie;
 „A ludzie wszyscy wcale nie myślą o tobie;
 „Ze wszystkiem zapomnieli. Mama przypomniała,
 „Że jedna córka tam pod jabłonią została.
 „Kiedy król tu przyjedzie, wszystkie trzy zobaczy;
 „Pomiędzy niemi żonę sobie wybrać raczy.
 „Drugaby pasierbicę umyślnie chowała;
 „Jabym nigdy sumienia takiego nie miała.
 „Myszę nawet, że brat twój ciebie wspomnił pewno
 „Królowi. Jestem matką, choć nie jestem krewną
 „Twoją. Jak matka muszę dbać o twoją dolę.
 „Nie wiem, czy ponad dzieci rodzone nie wolę
 „Ciebie. Z pod téj jabłoni teraz wyprowadzę;
 „Wkrótce może, przy królu na tronie posadzę!“

To mówiąc wyciągnęła Jaga rękę. Żywa
 Nie wierzyła, by miłość to była prawdziwa,
 I na tę złą macochę patrzała zdziwiona.
 Do wykrętów i kłamstwa jój przyzwyczajona
 Od dzieciństwa, dziś przecie nie pojęła Jagi.
 Odmówić jój żądaniu nie stało odwagi
 Żywie; zło przeczuwała; jednak rozumiała,
 Że brat mówił królowi o tém, jak śpiewała
 Pod drzewem; o tém jakie wtedy widział dziwa.
 Że do niej król przyjedzie umyśliła Żywa;
 Za Jagą tedy poszła z pod cienu jabłoni.
 Jaga dłoń jój włożyła do swéj uschléj dłoni;

Okiem swoim małeńkiem patrzy w oko Żywy;
Na uśmiech jój zaświtał uśmiech niegodziwy.

Idą za chatę; tam to stały w pól zwalone
Chléwy, na pomieszkanie wieprzom przeznaczone;
W dwu świnie były; inne zdawna pustką stały;
Dokoła leżał nawóz świński zestarzały,
I obrastał chwastami; lobuz rozkoszował
Wielkimi liśćmi; szalój bielal; grzyb się chował
Popod chlewów powałę. Drzwi przy jednym chlewie
Były otwarte; tu w kark dała Jaga Żywie;
Suche pazury w szyję ze wściekłością wbiła,
I do chlewu ją pchnęła. Taka była siła
U baby Jagi, że tak dziewczę się toczyło
Jakby macocha chłopcem, ono piłką było.
W chlewie upadła Żywa na stęchlą podłogę.
Jaga drzwi zatrzasnęła; o nie sparła nogę
Mocno, a potém kłudką zamknęła drewnianą.
Żywa w mroku płakała, tam za chlewu ścianą,
A Jaga zacierając ręce szła powoli
Ku chacie, i myślała o królewskiej doli
Swoich córek; a jeśli myśl przyszła, że może
Żadnej Krok nie zechce mieć królową na dworze
W Krakowie, — jedno zawsze Jagę radowało,
Że choćby już się wszystko na przekorę stało,
Jeśli córek nie weźmie Krakus, głowę utnie
Pasierbowi jój, zato że skłamał wierutnie.

* * *

Lud krzyczy w niebogłosy; krzykiem króla wita.
Poprzed chatę zajeżdża złocista karéta,
Ale pusta; zajeżdża tak po pannę młodą.

Za nią rycerze młodzi jaśniejają urodą
 Męską; na koniu jadą; pancerze stalowe
 Na nich słońca promienie odbijają płowe.
 Karéta sześciokonna; na koniach sztangrety
 Siedzą trzej, a lokaje z tyłu u karety
 Zwiśli, jak w Maju chrząszcze na gałązkach drzewa
 Leśnego. Przed jeźdźcami chorągiew powiewa:
 Orzeł biały na krwawém polu. Sztandar niesie
 Rycérz przodem, a za nim tak gęsto jak w lesie
 Jodły rosną, tak sterczą rycerskie kopije.
 Myślisz że niebo na wskrós kopjami przebiję,
 Orszak króla młodego; tak się jeżą w górę.
 Poza rycerstwem widać jeszcze wielką chmurę
 Prochu żółtego co się drogą szybko toczy;
 Z paniami nadwornemi jadą lśniące koczy,
 Aby królowa miała służbę na skinienie.

Wszystko zajeżdża poprzód chaty niskiej sienie
 Z hukiem. Lud wrzeszcze wiwat. Poprzód chaty drzwiami
 Stańta Jaga baba ze swemi córkami.
 Dokoła lud utworzył dwa wielkie ramiona;
 Na kształt rogala gawieź wkoło ustawiona.
 Ale gdzie król? Wyjeżdża z pośrodku rycerzy
 Jeździec młody i dzielny, w żelaznej odzieży.
 Na barkach skrzydła orle, na głowie korona.
 Wieś cała poprzód chatą Jagi zgromadzona,
 Na jego widok kornie do ziemi się skłania.
 Takto gdy czasem latem wiatr silny ugania
 Po łąkach żytnich, żyto się kłania w pokorze,
 Jak jedno wielkie, płowe, złote, Lackie morze.

Krok lud wita pokłonem lekkim młodej głowy;
 Z konia nie z siada. Temi odezwie się słowy:

„Jak slyszalem nad wszystkie chata ta szczesliwa;
 „Pieknosć, mlodosć i cnota tutaj doma bywa.
 „Tu pod tą starą strzechą słomianą się chowa
 „Moja małżonka przysła a Polski królowa,
 „Dziewica cudna. Patrzyć na nią pragną oczy
 „Moje. Serce me tęskne mało nie wyskoczy
 „Z piersi. Zaczarowany przez dziewczyny sławę,
 „Zastanowiłem wielką wojenną wyprawę
 „Przeciwko Popielowi, co mój kraj napada.
 „Chrzęst zbroi milczyć musi. Pieśń ślubna zagada
 „Do świata i narodu. Przyjeżdżam po żonę.
 „Pokażcie ludzic głowę na którą koronę
 „Złotą mam złożyć?”

Slysząc te królewskie słowa,
 Rzesza krzykiem niebieski sklep zwalić gotowa.
 Ucichła. Szczęściem niebo tam u góry stoi
 Jak dawniej cicho; pod niem zmienny lud się roi,
 A ono trwa błękitne.

A Jaga się zbliża
 Do króla wraz z córkami; w ostrogi rycerza
 Całuje wiedźma; konia całuje w podkowy;
 To samo czynią córki. Rumak Krakusowy
 Dęba staje; mało że Jagi nie podepcze;
 Ona z córkami klęczy na ziemi i szepcze
 Niby pacierz, bije się w piersi, wreszcie woła:
 „A któż naszą pokorę opowiedzieć zdoła!
 „Wdzięczneśmy tobie królu; przed tobą pelzamy
 „W prochu; na dziękczynienie słów nawet nie mamy.
 „Dwie moje córki tu pod starą strzechą rosna.
 „Jak widzę aż w Krakowie o nich teraz głośno.
 „Co prawda piękne! Ani nawet ranna zorza

„Nie jest nigdy tak piękną jak Sapucha hoża,
 „W haftowanój koszuli, co u stóp twych leży.
 „Nie tak jest wdzięczny pierwszy wiosny powiew świeży,
 „Ten co kwiatkom błękitnym otwiera źrenice,
 „Jak Welindy méj młodszéj córki jasne lice.
 „I ona leży u stóp twoich w prochu panie!
 „Korale ma na szyi.“

Rzekłszy nie powstanie
 Jaga z prochu; całuje głośno końskie ślady;
 I córki obie pełzną w prochu, jak pstre gady
 Dwa.

Krakus nierad z tego. Widać to po twarzy.
 W oku króla gniew jakiś z wątpieniem się waży;
 Coś jak wzgarda po ustach królewskich przechodzi.
 Wreszcie król rzecze: „Matko to się tak nie godzi!
 „Choć królem jestem, choćem zwykł chodzić w koronie,
 „Z ziemim rodem, po śmierci ziemia mnie pochłonie.
 „Taka pokora gorsza od pychy królowny.
 „Wstańcie mówię!“

Wołał, a głos Krakusa gniewny
 Poszedł po tłumach, jak głos piorunu potężny;
 A w gniewie był piękny Krok, pancerny, orężny,
 W złoty wąs strojny. Jaga z córkami powstała;
 I teraz słowa więcéj wyrzec nie umiała;
 Stały jak stoją smutnie przy ścianie okłoty,
 Na dworze zapomniane, w czasie szaréj sloty.

Król Krakus po dziewczętach obu wzrokiem toczy;
 To na téj, to na tamtéj spocznią pańskie oczy;
 Coś nie wesolo patrzy; czegoś król się dąsa,

I czoło ciągle marszczy i podkręca wąsa
 Niespokojnie; leniwie wzrokiem swoim wleczy
 Po dziewczętach; spodziewał się snąć innych rzeczy.
 Wreszcie tak się odezwie, cedząc z wolna słowa:

„Do moich uszu doszła dziwna jakaś mowa
 „O tém że w waszym sadzie jabłoń nad jabłonie
 „Rośnie, strojąc owocem złotym swoje skronie
 „Zielone; jak słyzałem, jabłka z tego drzewa
 „Smak mają niezrównany, woda się rozlewa
 „Z pod korzeni jabłoni jak zamorskie wino.
 „Postanowiłem że się ożenię z dziewczyną
 „Co mnie jabłka te poda, i co w złotym dzbanie
 „Poda mi wodę ową; więc na powitanie
 „Nie chcę pokłonów ani pochlebstwa; to drzewo
 „Pokażcie złote!“

Tak to król mówi. A w lewo

I w prawo malém okiem zyrka baba Jaga.
 Już powoli wstępuje na powrót odwaga
 W serce baby. Więc córki obie z sobą woła,
 I powoli wychodzi z wieśniaczego koła,
 Mruczając słowa: „Chodź królu! drzewo ci pokażę;
 „Jabłkiem złotem, i winem i żoną obdarzę,
 „Tak jak chcesz“. Król te słowa słyzy, z konia zsiada,
 I idzie w ślad za Jagą. A ona coś gada
 Pocichu do swych córek.

Gdy chatę minęli,

Na grzędzie pośród maków odkwitłych stanęli;
 Groch strączki młode zwiesił ponad maku głową;
 Wysoko buja ponad grzędą ogrodową
 Jabłoń wspaniała; jabłka na niej złote płoną.
 Jabłkami tak się szczyci jabłoń, jak koroną

Pan potężny Krakowa; a zpopod korzeni
 Tryska woda tęczowa, błyszczy się i mieni
 W tysiiąc kolorów, w perły lśniącej białej piany.
 Przy wodzie leży dzbanek ze złota ulany.
 Słońce jedno na niebie, drugie w dzbanie płonie
 Odbite. Jabłoń w złotej swych jabłek koronie
 Patrzy dzisiaj łaskawie; gałęzie spuszczone
 Na dół, schodzą aż prawie w nurty wód spienione,
 A każde dziecko może uszczknąć z téj jabłoni
 Owoc cudowny co się tak ku wodzie kłoni.

Krakus patrzy zdziwiony. Wprost za królem bieży
 Pies stróż chaty, i wacha kraj pańskiej odzręży;
 A nieco dalej kogut dumny zpańska kroczy;
 Króla dziś wita; od kur prostych dumnie boczy.

Jaga baba na córkę swą Sapuchę skinie;
 Jabłka podać królowi kazala dziewczynie,
 Kazala wody nabrać do złotego dzbana.
 Biegnie dziewczyna drżąca — złęczniona — rumiana,
 Staje koło jabłoni i wyciąga dłonie
 By urwać jabłko, które patrząc w wodne tonie
 Do ziemi prawie głowę spuściło złoconą.
 Ledwo rękę wyciągnie, a gałęzie wioną
 Do góry tak wysoko, że chociaż dziewczyna,
 Chcąc jabłko chwycić ręką, na palcach się wspina,
 Jabłka nie dostanie; i choć dziewczę skoczyło,
 Jabłka przecie nie wzięło, tak wysoko tkwiło
 W powietrzu zawieszzone. Sapucha zmieszana
 Zgina się na dół, szuka złocistego dzbana.
 Dzbanek na słońcu leży i jaskrawo płonie.
 Dziewczę po dzban wyciąga obie swoje dłonie;
 Ale dzban jakby żywy! Wciąż się toczy wkoło

Jabłoni. I tak dźwięczy coś kruszec wesoło,
 Jakby się śmiał z dziewczęciami; ono darmo biegnie;
 Dzban ujdzie skoro dziewczę po dzban ten się zegnien.

Wreszcie dziewczka stanęła, i zmieszana cała,
 Za twarz się uchwyciła, głośno zapłakała.
 A Jaga zawołała: „Snać nie tyś sądzona
 „Na królowę. Welindzie ma przypaść korona.
 „Idź Welindo, i przynieś jabłko, wodę w dzbanie!
 „Tobie napewne złote szczęście się dostanie“.

Welinda się ukloni. Sapucha powraca
 Z płaczem. Welindy próżna siostry uczy praca
 Rozumu. Chociaż jabłoń znów się nisko zgina,
 Podając niby jabłka, - nie wierzy dziewczyna
 Zdradnemu drzewu. Bierze drabinę zpod stoga,
 I o jabłoń opiera ostrożnie, nieboga!
 Chociaż jabłka do ręki niby same schodzą,
 Welinda idzie tam gdzie konary się rodzą
 Drzewa; tam nie uciekną już jabłka na pewne,
 Choć gałęzie jabłoni tak dziwnie powiewne.
 Welinda na ostatnim szczeblu wreszcie staje,
 I chcąc jabłka uchwycić naprzód się podaje.

W tym, w oczach króla staje nowe wielkie cudo;
 Tak czasem we śnie walczysz z powiewną uludą!
 Drzewo wyrosło nagle, wzrosło tak do góry,
 Że myślisz że dostanie szczytem aż pod chmury;
 Pień cienki, niebotyczny z wiatrem się ugina --
 Niema już więcej o co się oprzeć drabina.
 Jabłka tam zwisły w górze, gdzie orłów mieszkanie;
 Dziewczę nie ręką, ledwo okiem je dostanie.
 Raptem drabina jęknie, trzeszczy - dziewczę zbladło;

Drabina pęknie — dziewczę w dół na ziemię padło,
Tam gdzie strumienia szkliste wody się pienily.

Lecz nowe cudo — z źródła powstał potok zgnily,
Pełen rtęci zielonej i cuchnącej wody;
Welindę przywitaly krzycząc żab narody.
Welinda staje z wody zablocona cała; —
Jak zatopiony długo pal — tak wyglądała;
Chwasty zielone w warkocz jój się powplatały;
Na twarz jój osiadł chrząszczów czarnych naród cały;
Błoto zielone smutną postać jój pokryło;
Trudno odgadnąć, czy to żywe dziewczę było,
Czy straszidło błotne.

Szła z płaczem. Pięście ścisła
Jaga ze złości. Krakus gniewnie okiem błyska,
Wąsem tak jak kot rusza; szuka rękojęści
Miecza; postać królewska coś straszego wieści
Jadze. Wtém kogut stanął butnie koło chlewu,
Jak król; wtórując błyskom królewskiego gniewu
Pieje zuchwale; ciągle nogą o drzwi drapie;
Pies śmielszy jeszcze króla za kraj płaszczu łapie
Czerwonego, co uwiśł dokoła zbroicy.
Oko królewskie gniewnie błyska zpod przyłbicy;
Krakus chciał psa uderzyć; ale pies tak w oko
Spojrzé króla gniewnego, rozumnie, głęboko,
Że Krakus dłoń opuścił; idzie w jasnej zbroi,
Tam gdzie go pies ciągnie, gdzie kogut piejąc stoi.

Przed chlewem stanął Krakus. Tu pies o drzwi skacze —
Kogut umilkł; król słyszy że ktoś w chlewie płacze.
„Otwórzcie!“ woła. Jaga z lęku prawie kona. —
Sapucha drzwi otwiera srodze przełknięona.

A teraz Krok ogląda — dziw nad wszystkie dziwa: —
 W tym chłwie starym stoi cudne dziewczę: Żywa!
 Stoi w szarj koszuli, bosa, zawstydzona;
 Krok do niej w uniesieniu wyciąga ramiona,
 I w głos zawoła: „Toś ty chyba dziewczę owo,
 „O którém do Krakowa doleciało słowo
 „Dziwne i godne słuchu. Mówił mi Czuryło,
 „Sługa mój, że trzy dziewcząt w chacie Jagi było;
 „Rodzone dwie, pieszczone; trzecia, pasierbica,
 „Codzień łzami zlewała swoje młode lica.
 „Dla ciebie jabłoni rośnie, rajska tryska woda,
 „A śpiew twój taką piękność cudną ziemi doda
 „Do codziennj krasoty, że kto patrzy na to,
 „Myśli że chyba rajskie zawitało lato
 „Między śmiertelnych ludzi Ciebie tu macocha
 „Zamknęła, co swe tylko własne córki kocha,
 „A ciebie nienawidzi. Zła ta baba chciała
 „Aby która z jej córek królową się stała.
 „Baśń dziwną usłyszałem; przyjechałem w swaty;
 „A jednak nie wierzyłem jadąc tu do chaty;
 „Myślałem że Czuryło, może kłamie śmiało;
 „Ostrożnie przeto z razu rzeczy się badało;
 „Prosiłem by mnie które dziewczę jabłko dało
 „Złote z jabłoni owj; z źródła co pryskało
 „Z popod korzeni, wody w szczerozłotym dzbanie;
 „Lecz żadna z dziewcząt obu, jabłka nie dostanie,
 „Ni dzbanka nie uchwyci; jabłka w górę gonją,
 „A dzban złoty ucieka, gdy się po dzban skłonią.
 „Gniw pierś rozrywał; chciałem mego dobyć miecza;
 „Krwii rozlew powstrzymała dziwna zwierząt piecza.
 „Kiedym u ojca bywał mińki mi mówiły,
 „Że są u zwierząt niemych boskie jakieś siły;
 „I Lech to sam potwierdził w chwili swego zgonu,

„Gdy dawał w moje ręce wlaść Lackiego tronu.
 „Sam w boju doświadczyłem jak przecucie zwierza
 „Od wojewodów lepiej wroga moc odmierza,
 „Jak koń wietrzy zwycięstwo, i jak kłeskę czuje —
 „Jak przed bitwą już kruków czarnych moc się snuje,
 „Ponad pobojowisko; — bydlę głód wywróży;
 „Przed ostrą zimą bury wilk podewsią stróży;
 „I przyszłość i dzisiejszy dzień zna każde zwierze;
 „I ja przeto zwierzętom niemyms zawsze wierzę.
 „Pies czarny tedy i kur, w gniewie mnie wstrzymały;
 „Dzięki im wieczne za to — ciebie pokazały!“

Tak Krakus mówi; oczy skromnie spuszcza Żywa: —
 W te słowa do Krakusa potem się odzywa:
 „Ja niewiem kim ty jesteś; ale słowa twoje,
 „I odzież twoja prawią, że przed królem stoję.
 „Czem służyć mogę tobie, ja dziewczyna gminna,
 „Wiem panie miłościwy, żem to czynić winna;
 „Chcesz jabłek złotych, i chcesz wody w dzbanie;
 „Biegnę je przynieść tobie, królu mój i panie!“

Rzekła i biegnie prosto ku złotej jabłoni.
 Jak dawniej stoi; nisko swe gałęzie skłoni,
 A jabłka niezrównane patrzą w nurty wody,
 Co jasném lśni zwierciadłem, złotej ich urody.
 Przy wodzie dzbanek błyszczy. — Żywa jabłko bierze,
 A dzban złoty zanurza w źródło wody świeże;
 Jabłko i wodę niesie, i Krokowi wręcza:
 Król zato pocałunkiem Żywie się odwdzięcza.
 Jabłka nie jé, nie pije nawet rajskiej wody,
 Przed lud prowadzi Żywę król i rycierz młody;
 Widzi ją naród cały, widzą ją rycerze,
 I widzą panie dworskie; król za kibić bierze

Dziwecę bosc w koszuli szarćj, i król woła:
 „Radujżc się narodzie, raduj się dokola!
 „Oto ninie wybrana władczyini Krakowa!
 „Oto jest żona moja — a Polska królowa!“
 Żywa rękoma dwoma oczy swe zasłania,
 A naród jak lan żytni, nisko jćj się kłania;
 Rycerze w lśniących zbrojach w górę oręż wznoszą;
 Wołają głośno: „witaj!“ — i patrzą z rozkoszą
 Na pićkność królówćj; — a tylko dworskie panie
 Dziwią się temu, jaka myśl u królów stanie
 Czasem dziwaczna!

Jagi niemasz ani śladu,
 Ani jćj córek. Tak to bywa gniazdo gadu
 Jadowitego, w ziemić skryje się głćboko, —
 Potćm je ludzkie wićććj nie dostrzeże oko. —

Huczne wesele było na wsi; pićśni brzmiały,
 Miód się lał stary, dziewczki wkoło zapląsały,
 Biorąc do śródka Żywć; Krakus rzucił zbroję,
 Przywdział sukmanć kmiecią na ramiona swoje, —
 Jak młodziar ze wsi skocznie rwał dziewicze koło,
 I tak zdobywał Żywć; lud się śmiał wesolo.
 Wieczór po łąkach wszystkich ognie zapalono;
 Do chaty poszedł Krakus sam ze swoją żoną;
 Na łąki poszły tłumy odprawiać swawolć;
 Od skocznych tańców każde roilo się pole.
 Przy chacie straż została tylko; w chacie szczęśćie
 Pićrwszćj nocy dziewicze świćciło zamćżćie;
 Miłość mieszkała w chacie.

Nastćpnego rana
 Widziano znowu w zbroi rycćrza i pana;

Wyszedł wiodąc za rękę królowę narodu
 W szacie jedwabnej; i do królewskiego grodu
 Ruszył orszak weselny; tłumy go żegnały.
 Zbrojnie ciągnie przez pola korowód wspaniały,
 Na kształt węża wielkiego; znika już w oddali;
 Za lasem pożegnano błysk ostatni stali.
 Chata została pustką, i kogut czerwony
 Odjechał wraz z królową w karecie; pieszczoney
 Stróż domowy, pies czarny biegnie koło koni;
 Odtąd nikt już złodziejom przystępu nie broni.
 Co dziwniejsza z ogrodu jabłoni złota znika;
 Wyschła cudownie woda z rajskiego strumyka.
 Pustką chata została; także Jagi wrona
 Uleciała; świerk został i strzecha zamszona
 Została; został czarny kot dni kilka w sieni;
 Potem uciekł. Przez króla wszędzie wyprawieni
 Posłańce Jagi baby szukali daremnie; —
 Znikła z córkami — może w mateczników ciemnie —
 Może pomiędzy ludźmi — któż to zgadnąć zdoła?
 Na pustej chacie tylko puszczyk smętnie woła.
 I to nawet dla ludzi jest rzeczą nieznaną,
 Z jakiej przyczyny Jagi baby tak szukano?
 Czy królowa ją chciała ukarać przykładnie?
 Czy przebaczyć jej chciała? — Nikt tego nie zgadnie.

Tego roku już Krok sam nie poszedł na wojnę;
 Czuryło wojewoda powiódł hufce zbrojne;
 Popielowe podjazdy rozgromił szczęśliwie,
 I powrócił zwycięzcą Krok został przy Żywie,
 Na swym zamku królewskim w pradawnym Krakowie.
 Jak bardzo był szczęśliwy, bazarz nie opowie.
 Szczęście na Polskę całą sprowadziła Żywa;
 A na zamku Krakowskim różne złote dziwa

Jawiły się ludowi. Gdzie baszta wyniosła
 Strzegła prawego skrzydła zamku, jabłoń rosła,
 A na niej się rodziły, w każdej roku porze,
 Jabłka złote. Pojedziesz daleko, za morze
 Szumiące, a nie znajdziesz pewno w żadnym kraju,
 Jablek o takim smaku; rosną tylko w Raju
 I tu pod okiem Żywy na zamku u Kroka.
 I tam gdzie jabłoń rośnie, gdzie baszta wysoka
 Czolo swe dumnie wznosi na zamku prawicy,
 Na strumieniu przejrzystym jak mig błyskawicy
 Mienia się barwy tęczy. Z pod drzewa korzeni
 Strumień tęczowy tryska, toczy się i pieni;
 A kto z tego strumienia napije się wody,
 Myśli że jakieś rajske spożywa jagody. —
 A nikt z drzewa złotego jablek nie dostanie;
 Darmo pną się rycerze i zamkowe panie;
 Czém wyżej ręka sięga, tém wyżej konary
 Jabłoń podnosi! Snać tu dziwa — śnać tu czary!
 Jedna tylko królowa jabłka owe zrywa;
 I wodę ze strumienia czerpie tylko Żywa
 Dzbankiem złotym; nikt więcej. Przed ludzmi uchodzi,
 Jakby uluda jaka, woda co się rodzi
 Pod korzeniem jabłoni.

I nie koniec cudu.

Czasem królowa stanie pod drzewem wśród ludu,
 I pieśń zaśpiewa; wtedy świat cały się zmienia;
 Kwiatów kobierzec kraśny w barw wszystkich odcienia
 Ziemię przywdziewa blaskiem i barwą i wonią;
 Strumień z pod drzewa staje się czarowną tonią,
 W której migocą ryby, jak słoneczne świty;
 Ptaków rój cudny spada na jabłoni szczyty,
 Piórami lśni barwnymi, i wtoruje śpiewem

Temu, co śpiewa Żywa, tam pod cudnym drzewem.
 Kiedy tak śpiewa piękna narodu królowa,
 Jak w ziemię piękność, w naród wstępuje moc nowa
 I zdrowie; kmiecie dzielniej orzą skiby czarne,
 Mężniej w bój ciągną Lechów zbrojnych roty gwarne;
 Popiel najezdca zawsze teraz pokonany;
 Urodzaj niewidziany niosą polskie łany;
 Lud błogosławi pani, a król kocha żonę,
 I miłość wszystkich Żywie pozłaca koronę;
 A kiedy dziecko Krakus piastował w swych rękę,
 Pełną stała się Polska radośnego wdzięku;
 Córce królewskiej wszyscy wróżyli na pewno,
 Że będzie pierwszą w świecie tym białym królewną! —

* * *

— Pośród szarej północy stał zamek ponury.
 Nad wieżycami były wiecznie mroczne chmury,
 A czarne mury zamku z bagna wyrastały
 Czarnego; koło bagna rude sosny stały.
 Kędy okiem popatrzysz w świat z zamkowej wieży,
 Na kraju płaskim czarny bór sosnowy leży;
 Bór sosnowy o śmierci tylko smętnie marzy,
 I ziemi całej wryty dziwny strach na twarzy.
 W tym zamku Popiel mieszka; to czarodziej możny;
 Mocą swego zaklęcia owdadnął kraj mroźny
 Północy — kraj ten wiecznie trzyma w swej niewoli;
 Kraj wichrem jęczy — tak go berło twarde boli.

Przez bagno idzie droga; ułożono kłody
 Sosnowe po przez błota i uśpione wody.
 Po kłodach Jaga baba z córkami swojemi
 Ostrożnie stąpa, ciągle patrzy, czy na ziemi

Niema zasadzki jakiej? Pośród mostu szpary
 Wielkie stały otworem; a przez nie szuwały
 Wyrastały z bagniska; czasem oko wodne
 Z popod dylów patrzyło. Trzęsawisko głodne
 I pełne biésów nieraz już wędrowca zjadło;
 Więc dziś bardzo ostrożnie Jadze isć wypadło; —
 Sama kij osikowy w swojej dzierży dłoni,
 I córkom kije dała. Z trzęsawiska toni
 Wychodzi czasem między mostu zgniłe kłody
 Ręka kościana; chwyta za nogi; do wody
 Ciągnie. Wtedy śmiech trupi jakiś się rozlega
 Po bagnie tém przeklętem, od brzegu do brzegu.
 Lecz biésów się nie lęka, straszna wiédźma Jaga;
 Krzyknie jak puszczyk; kijem rękę trupią smaga
 Osikowym; uwalnia tak i własną nogę,
 I od swych hożych córek precz odgania trwoję
 Nieujętą, — w kozuchu, we dwoje skulona,
 Sparta o kij sękaty, cała pomarszczona!

Doszła pod mur zamku. Pod murem rów głęboki,
 A na nim most zwodzony; dalej wał wysoki,
 A w wale, niby paszcza, wielka czarna brama.

Jaga krzyknie. Tak krzyzcć Jaga tylko sama
 Umić; wrona co siadła u Jagi na rękę,
 Krakanie przymieszała swe do wiédźmy jęku;
 Echo się odezwało za zamkowym wałem,
 I wilki tam zawyły głośno stadem całem;
 A z fosy gad się wspina, sykiem Jagę wita;
 Most się spuszcza z hukiem, a brama głośno zgrzyta.
 Wielkolud rozwarł bramę; jedno tylko oko
 Błyszczy jemu w czole, na sążni sześć wysoko;
 Rozwarł chrapy — i białe kły pokazał w gębie;

Na cetnar kości będzie przeszło w każdym zębie.
 Jaga wielkoludowi przeszła między nogi;
 A za nią idąc córki całe drżą od trwogi;
 Poraz piérwszy stanęły u Popielów proga. —

Ludzie Popiela także mianem Czarnoboga
 Nazywają dla złości i dla wielkiej mocy,
 Bo strachem w koło zieje groźny pan północy!

Nieraz Jaga bywała już w tym grodzie trwogi.
 Wilki kudłate kładą się wyjąc u nogi
 Wiédźmy, i dziki, co na dziedzińcu tam były
 Stadem czarném, przybiegły chrapiąc z całej siły:
 Rysie do nóg skoczyły, łaszac się jak koty;
 Na głowę nietopérze siadły, swémi loty
 Koronując wiédźmę. Szła. A córki jój drżały,
 Bo poraz piérwszy na ten czarny strach patrzyły.

Za dziedzińcem stał karzeł u drugiej już bramy,
 Na pięść słuszny: „Witamy,“ zapiszczał, „Witamy!“
 „Już dawno Jagi baby tutaj niewidziano“.
 Jaga odpowió: „Dzisiaj przed Popielem staną
 „Moje córki raz piéwszy; czas im już do dworu.
 „Przedstawię je królowi, już ninie z wieczoru“.

Karzeł kłania się nisko; a wiédźma przechodzi,
 I wraz z córkami swemi, już w zamkowe wchodzi
 Krużganki; idzie naprzód między mroczne mury.
 Wszędzie na straży stoi trupów lud ponury; —
 Pożółkłe trupy ludzkie, dawno zasuszone
 Stoją z dzidami; zęby z ust wyszczyżone
 Zaschniętych; na wierzch wyszły krągłe, martwe oczy,
 A jak pergamin — skóra. Jaga śmiało kroczy

Przez naród ten umarły; za nią obie córny
 Idą, napół nieżywe, w Popielowe mury.
 Nareszcie poprzez czarne, rozwarłe podwoje,
 Weszła wiedzma w prywatne Popiela pokoje.

Tutaj świat inny. Wstępu tylko broni trwoga,
 A wspaniale w komnatach jest u Czarnoboga.
 Siedzi w sali sklepionej; dokoła pomroka
 W głębi dalsze nie puszcza już ludzkiego oka;
 Lampa jedna zwieszona w górze u wiązania
 Oświeca środek izby — resztę mrok zasłania,
 A złoto tylko czasem wśród nocy się świeci.
 Lampa z kryształu, zwieszona u pajęczych nici;
 Światło okrągłej lampy na kobierzec pada,
 A na kobiercu Popiel na tronie zasiada.
 Wkoło na stołach wielkie księgi rozłożone;
 Za księgami błękitną zwiieszano oponę,
 Na której złotem wszystkie gwiazdy haftowane,
 Znaki zimy i śmierci i pisma nieznanne
 Jakieś. Popiel, mąż silny, czarną brodę nosi;
 A nad czołem wysoka korona się wznosi
 Ze złota, brylantami suto osadzona;
 Szata na nim téj barwy co owa opona,
 W podobne szyta znaki; księga na kolana
 Rozłożona. Z postaci znać w Popielu pana;
 Choć milczy rozkazuje; a po pięknej twarzy
 Znać, że o tajemnicach jakich wielkich marzy
 Pan północy. —

Gdy Jaga weszła, zakaszłała.
 Od księgi odwróciła się Popiela biała
 Twarz; spojrział Jadze w oczy; lekko głowę skłoni,
 A Jaga całus składa na królewskiej dłoni.

Córki, przez matkę piérwój dobrze wyuczone,
Zdaleka stoją, aż do ziemi pochylone.

W szarym rogu komnaty, ktoś syknął, błysnęło,
I siedem głów ognistych w ciemnościach stanęło
Wysoko; głowy Żmija ogniem z paszczy zioną;
Oczy Żmija jak gwiazdy pośród nocy płoną;
Siedem karków wraz rośnie z tułowia jednego,
Z tyłu skrzydła się jeżą; — karki króla strzegą.
Żmij poczuł ludzi; gniewnie siedem paszcz otwierał;
Syk jego w ciszę nocną jakby miecz się wdzierał.
Sapucha wrzasła z trwogi, siostrze lice zbladło,
Lecz Popiel kiwnął ręką, i głów siedem spadło.
Żmij się napowrót zwinął w łusk błyszczących szacie.
Jak pierwiój było cicho w półciemnej komnacie.

Popiel przerwał milczenie; rzekł: „Jago, witamy!
„Dobrze żeś przyszła, wiedźmo; wielkie troski mamy
„Od roku; dziwnie wzrosła moc Kroka na ziemi;
„Zwycięża teraz zawsze nad hufcy mojęmi;
„Zda się że mur żelaza objął jego kraje;
„Zlego robić nie mogę; moc czarów ustaje.
„Tyś z jego państwa rodem; może niesiesz radę?
„Mów, czy tam wymyśliłaś jaką nową zdradę
„Którąbym mógł zwyciężyć zastępy Krakusa?
„Może ci znana jaka potężna pokusa,
„Którąbym zdołał uspić czujne wojewody?
„Albo do buntu wzbudzić Słowiańskie narody?“

Tak rzekł Popiel łaskawie. Jaga rzekła: „W sprawie
„Téj, a nie innéj właśnie, w zamku twoim bawię,
„Panie potężny; i tu dziewczki te przywodzę;
„Sapuchę i Welinę; obie panie, rodzę!

Król z wiedźmą długo szepcą; idzie w radę rada.
 Wreszcie Popiel powstanie z krzesła i zadzwoni.
 Przepaść się rozpada wśród komnaty; a z toni
 Czarnej przepaści owój wyszedł bies rogaty;
 Miał kurze łapy, ogon, i niemieckie szaty;
 Ukłonił się przed Jagą i złożył jój w dłonie
 Dwie małe złote puszki; potem znowu tonie
 W przepaści, i posadzka w izbie znowu cała.
 Jaga baba dziękując nisko się kłaniała.

Popiel zawoła: „Idźże — czyń z córkami swoje!
 „Ja wojsko zwołam: puszczę w Polskę straszne roje
 „Mych biesów. Mimo pieśni Żywy stanie trwoga;
 „A choć wreszcie pokona Krakus Czarnoboga —
 „Nie wyszle wojewody — na bój sam pojedzie;
 „Zostanie Żywa sama. Zdrada się powiedzie!“

Jaga kłania się nisko; cofańcem wychodzi;
 Odchodząc cieszy się tem że Żywie zaszkodzi.
 Z córkami razem trupie straże ominęła,
 Dziedzińce i bramy; znów na bagnie stanęła,
 Idąc drogą z kłód.

Z dali surmy głos usłyszy:
 Tak w zimie zawierucha wichrem głośno dyszy.
 To Popiel trąbi; stanął u szczytu wieżycy,
 A za nim żółte trupy, martwi wojownicy
 Królewscy, mocą czaru wielkiego zakłęci.
 Gdy surma gra Popiela, złego moc się święci
 Na ziemi.

Już Zmij zionął z paszczy wielką chmurę,
 Co jak śmierć czarna leci z zamku, w dal i w górę,

Ku południowi; za nią leci Żmij ukryty;
 Z trzęsawisk głowę wznosi naród jadowity
 Gadzin, czekając czy nie usłyszy rozkazu,
 Gotów świat cały żądłem swym zatrueć odrazu.

Lecz tego Popiel niechce. — Zatrąbił raz wtóry. —
 Wichur zimny zaświstał przez lasy i góry; —
 Szron niesie biały, drobny, ostry, niezliczony,
 Z zimnej, czarnej północy w południowe strony;
 Tém oczy wyżre ludziom; tém twarz im popali,
 Usta zamrozi, siekąc ich gorzej od stali.
 Mary i biesy straszne, rogate poczwary,
 Zaległy wpośród szronu, północny mrok szary;
 Upiory z grobów, strzygi co pragnieniem płoną,
 Gotowe ludom ziemi sięść ląknąc na łono,
 I krew ich wszystką wyssać; czekają rozkazu
 Aby świat cały trupem uczynić odrazu.

Lecz tego Popiel niechce. — Zatrąbił raz trzeci. —
 Wojsko ohydne jakieś, wrzeszcząc przez mgłę leci
 Pod zamek: wojsko konne małych żółtych ludzi,
 Sprośnemi okrzykami północ głuchą budzi;
 Oczy ich małe tak się jarzą jakby świeće, —
 Czapki z futra ogromne, kwadratowe lice,
 Kozuchy na nich wełną na wierzch wywrócone,
 Pod nimi konie małe, a jak wilki wrone;
 Roją się tak jak mrówki; czekają rozkazu,
 Gotowi świat szeroki stratawać odrazu.

I Popiel tego pragnie; sam konia dosiada;
 Sam wrzaśnie głośno; — pędzi — a za nim gromada
 Dzika, nieprzeliczona w głąb puszczy się wdziera. —
 Żmij wraca na swe łożo, a wichur umiera

Szepecząc, i wojsko dziczy tylko gna w południe.
 Pod kopytami koni ziemia czarna dudni; —
 Wnet luna krwawa Słowian kraj na popiół spali,
 I trupem ludzkim każdą cichą wieś zawali;
 Placz powstanie i rozpacz na naród usiędzie,
 I jedna Jaga baba tém się cieszyć będzie.

* * *

Wieść o srogim najeździe doszła do Krakowa;
 Nie było rady, męża żegnała królowa.
 Nie były to podjazdy; sam Popiel na czele
 Stał wojska, i kraj cały się grzebał w popiele.
 Pieśń Żywy podtrzymała narodowe męstwo,
 Ale trzeba aby król sam wydarł zwycięstwo
 Popielowi; ramienia nie stać wojewody!
 Królowę żegna tedy Krakowa król młody;
 Od szczęścia się oddziéra i na konia siada;
 Odtąd z rycerstwem tylko i o bojach gada.

Z płaczem królowa męża swego pożegnała;
 Długo ze szczytu wieży na północ patrzała,
 Aby widzieć ostatnie męża swego ślady.
 Potém osiadł na licu pani smutek blady;
 Tylko koło kołyski dziecka swego siada;
 W sadzie zamkowym bawi, i ze smutkiem gada
 O mężu co tam walczy, na dalekiej wojnie. —
 On o niej zapomina gdy tam służy zbrojnie
 Ojczyźnie; trud odgoni mu z serca tęsknotę;
 Cieszy się patrząc na swych hufców męską cnotę,
 Albo układa jakby tam pokonać wroga;
 Mierzy śmiało swe moce z mocą Czarnoboga,
 A wie że żona siedząc bezpiecznie w Krakowie,

W zdrowiu o bojach jego zwyciężkich się dowie.
 Myśli o powinności, nie myśli o żonie,
 A Żona biedna w smutku mało nie utonie;
 Nic myśli nie rozerwie, serca nie rozgrzeje; —
 Tęsknota po komnatach dużych zamku wieje
 Jednostajnie; i do niej się domięsza trwoga,
 Czy Krok nie legnie w boju od straszego wroga?
 Nie mężom źle na wojnie; nieszczęśliwe żony,
 Przy których doma tylko smutek zostawiony!
 Nie wiem czegoby Żywa zato dziś nie dała,
 Gdyby za mężem w boje polecieć umiała,
 Gdyby mogła tam stanąć, wśród szczęku oręza,
 Gdzie nieprzyjaciół gromi żelazna dłoń męża!

Kiedy tak Żywa smętnie w ogrodzie siedziała,
 I o mężu dalekim tęskno rozmyślała,
 Weszło dziewczę nieznane przez złocone wrota.
 Czegoś szukało najpierw tam gdzie jabłoń złota
 Rosła; potem w szpalery głębsze weszło. Staje
 Wreszcie koło królowej i płakać się zdaje;
 Rękoma twarz zakryło, wzdycha, głośno szlocha;
 Potem mówi: „Królowo! umarła macocha
 „Twoja“.

Słyszac te słowa Żywa z ławy wstaje;
 Zbliża się do dziewczyny; Sapuchę poznaje
 W haftowanej koszuli; krzywdę zapomina,
 I wyciąga ramiona do niej; a dziewczyna,
 Łzy obcierając, wpadła w objęcia królowej.
 A po chwili tak mówi podstępne słowa,
 Gotując zemstę matki: „Moją matką była
 „Jaga; jednak nie dobra była; z czartem żyła
 „W przyjaźni; tobie srogo dokuczyla Żywo!

- „Wiem żeś ty z nami także była nieszczęśliwą;
 „Myśmy siostry grzeszyły; wyznaję tę winę;
 „Ale przyczyną złego nauki matczyne;
 „Matka nas namawiała, i serce nam trula.
 „Zła już zewszystkiem siostra, Welinda nieczuła,
 „Po śmierci matki przyjaźń z czartem po niej wzięła;
 „Pono już teraz gdzieś na Sobotniej stanęła
 „Górze, i z niedobrymi tam płasy wyprawia,
 „Albo siedząc na miotle, przez wiatr się przeprawia.
 „Choć matka swe nauki często mi dawała,
 „Jam przecie czarownicą nigdy być nie chciała.
 „Znam maście dziwne, nie chcę zaznać lękiej mocy;
 „Gdybym wiedźmą została nie spałabym w nocy,
 „Ze strachu aby biesy nie przyszły do chaty.
 „I ciebie żałowałam w mém sercu przed laty;
 „Alem nie śmiała żalu pokazywać, z trwogi
 „Że z rozkazu méj matki, bies weźmie na rogi
 „Za litość; więc milczałam. Dziś już jestem wolna;
 „Chcę tobie służyć jakiem tylko tego zdolna;
 „Chcesz to w kuchni zostanę; chcesz będę ci szatną;
 „Może na niańkę będę ci bardziej przydatną.
 „Co chcesz rozkazuj; będę w zamku tobie sługą.
 „Teraz chcę pokutować. Grzeszyłam za długo“.

Słyszac Żywa wyrzuca resztę żalu z duszy.
 Bo mówcież! Kogoż skrucha tak szczerza nie wzruszy?
 I mówi siostrze: „Niepłacz, niepłacz siostrzo droga!
 „Mąż mój na bój pociągnął z mocą Czarnoboga
 „Walczyć; sama zostałam. Dobrze żeś przybyła
 „Smutek przerywać ciężki, siostrzo moja miła!
 „Nie braknie ci niczego; dam ci złote szaty.
 „Będziemy znowu bawić razem jak przed laty.
 „Patrzysz na moje perły co się mienią w tęczę —

„Na klejnoty we włosach, na tkanki pajęczę
 „Koronek? I zazdrościsz siostrze? Dobrze bywa
 „Siostrze czasem: siostra twa jest czasem szczęśliwa
 „Bardzo, ale nie przez te cacka. Na nic one!
 „Za jedną chwilę z mężem, rzucę precz koronę.
 „Teraz mój mąż na wojnie; tam orężem błyska
 „Nad wrogiem, i zwycięża — a mnie żal uciska“.
 Tak rzekła.

 Już Sapucha koło siostry siadła,
 I czule na ramieniu swoje ręce kładła.
 Rzecze: „Jeżeli tobie tak tęskno za mężem
 „Co tam kraj nasz szeroki zasłania orężem,
 „Powiedz dlaczego siedzisz w Krakowie? dlaczego
 „Za mężem niepociągniesz w bój? Ciebie nie strzegą
 „Straże; tobie posłuszni dworzanie. Bywało
 „Już nieraz że widziano w boju panią białą
 „Przy mężu. Może tobie zabrakło odwagi?“

 Tak mówiła przebiegła córka baby Jagi,
 A żywa słysząc w takie odrzecze jęj słowa:
 „Jabym zginąć za męża mojego gotowa;
 „Ale zakazał jechać na wojnę. Nie mogę
 „Przeto za mężem moim lubym jechać w drogę.
 „Mąż mój powiada, mówią wszystkie wojewody,
 „Że kogoś tu na zamku mieć muszą narody.
 „Kiedy król już żonaty, na stolicy żona,
 „Połowa majestatu doma zostawiona.
 „Więc gdybym pojechała, z zamkiem rozbrat wzięła,
 „I wśród krwawej zamieszki przy mężu stanęła,
 „Mążby mnie skarcił; byłby o to niespokojny,
 „Czy praw powagi słucha, ten tu gród dostojny?
 „Żadnego nie zostawił tutaj wojewody;

„Więc we mnie patrzą, jak w twarz prawa lackie grody.
 „Postać moja nie rozum krótki w kraju władnie. —
 „Jeśli odjadę, co się stanie? nikt nie zgodnie“.

Sapucha słucha; potem tak do siostry gada:
 „A cóż mi powiesz, jeśli będzie na to rada?“
 Zdziwiona patrzy siostrze swojej w oczy Żywa.
 Sapucha milczy, potem znowu się odzywa:
 „Możesz Żywo, przy mężu bawić niepoznana:
 „I choć odejdiesz, może tu nie braknąć pana.
 „Zostaniesz w zamku, a przy mężu siedzisz mile,
 „Jeżeli tylko siostrze twój zaufasz chwilę.
 „Przy mężu niepoznana będziesz zostawała:
 „Że w zamku bawisz będzie widzieć Polska cała“.

Zdziwiona wielce słucha takiej mowy Żywa,
 I mówi sama potem: „Prawisz jakieś dziwa;
 „Słów twoich nie rozumiem; ucho mowy słucha,
 „Lecz rozum nie pojmuje“.

A nato Sapucha
 Znowu podejmie: „Przecież tyś się napatrzała
 „Na cuda nieraz? Jeśli dosyć będziesz śmiała
 „By użyć czarów Jagi, tak ci wszystko sprawię,
 „Że tu w twojej postaci w Krakowie zabawię,
 „A ty przy mężu będziesz bawić niepoznana.
 „Tak serce uradujesz, a usłuchasz pana
 „Twego. Wiem że nie święte baby Jagi czary;
 „Na dobre je użyję: ujdę przeto kary,
 „Jak tuszę. Oto, siostro, środek mam przy sobie,
 „Co wszystko tak jak życzysz może sprawić tobie.
 „W spadku od mojej matki wzięłam, stariej wróżki,
 „Wśród innych czarów wielu, także te dwie puszki;

„W nich maście dwie cudowne tajnie przechowano;
 „Kto niemi czoło natrze, ten cudowną zmianą
 „Przybierze postać taką jaką sam zapragnie;
 „Tak świata ład dziwacznie siła czarów nagnie!
 „Raz tylko czar ten mdleje w ciągu każdej doby,
 „Kiedy noc na świat kładzie czarny płaszcz żaloby;
 „O północy odpada kształt zaczarowany;
 „Tak go zrzucisz naówczas łatwo jak lachmany
 „Zużyte; póty będziesz we własnej postaci
 „Chodziła, póki nocy piejąc nie zatraci
 „Kogut; przy świetle dziennem będziesz przemieniona,
 „Przy boku męża twego niepoznana żona;
 „A ja w Krakowie siędę tutaj na stolicę,
 „Postać przybrawszy twoją, kibić, głos i lice.
 „Chcesz, a nawet skrzydła ptasie ci przyprawię,
 „Byś prędzej była świadkiem męża twego sławie;
 „Jak ptak ulecisz, spadniesz do obozu z góry;
 „Gdy zechcesz na twójgo męża spojrzysz z chmury;
 „Gdy zechcesz będziesz przy nim“.

Słyszając takie dziwa,
 Chce się cieszyć, a wierzyć nie potrafi Żywa.

Mówi: „Pokaż moc czarów najpierw na sobie!

„Natrzyj twe czoło; jeśli staniesz w méj osobie

„Przedemną, to uwierzę“.

Słyszając takie słowa,
 Rzeknie siostra z uśmiechem: „Na wszystkim gotowa
 „Dla ciebie“. I z zanadrza wyjmując dziewczyna
 Dwie puszkę, a z puszkami sobie tak poczyną
 Jak przed chwilą mówiła. Jedną w bok odkłada;
 Potém, w grubój sukmanie, jakieś słowa gada
 Niezrozumiałe; drugą ostrożnie otwiera,

Maść z niej wyjmuję, czoło tą maścią nacięra.
 Stało się tak prędko, że oko nie widziało
 Jak proste dziewczę wiejskie królową się stało.
 W miejsce sukmany atlas ciało przyodziewa,
 A we włosach korona z brylantów olśniewa
 Oko; pas złoty kibić Sapuchy ujmuje;
 Po wszystkim tkanka haftów pajęczych się snuje.
 Co dziwniejsza, nie tylko wdziała Żywy stroje,
 Sapucha także rysy odmieniła swoje;
 Nie Sapucha więcej — przed Żywą stoi Żywa!

Na oczy widzi cuda; — musi wierzyć w dziwa
 Przez siostrę obiecane. Bierze tedy puszkę
 Sapusze przekazaną przez jej matkę wrózkę,
 Maścią z puszek nacięra swoje białe czoło. —
 Już szare skrzydła Żywa roztoczyła w koło;
 Patrze — na nogach żółtych, cienkich, gęsich skacze; —
 Chce mówić — a gęganiami ptasiem tylko płacze!

Siostra na nią nie baczy; suknią zaszeleści,
 Idzie do zamku; ręką swe koronki pieści.
 Przyszła do bramy, strażę przywitały panią;
 Do komnat idzie; i dwa pазie idą za nią.

Straszna trwoga na biedną Żywę teraz padła.
 O dziwo! Podleciała i na okno siadła
 Od tej komnaty, w której dziecko jej leżało.
 Naprzeciw okna wielkie tam zwierciadło stało.
 W zwierciadło patrzy Żywa; w zwierciadle obaczy
 Że jest szarą gęsią. A pani spojrzeć raczy
 Z dumą w to okno; spojrze i pазiom swym rzecze:
 „Jakiż to ptak szkaradny po zamku się wlecze?
 „Tyle tu krzyku, że mi z tego pęka głowa;

„Dziecko się maże ciągle, że nie słyhać słowa,
 „Kiedy kto do mnie mówi; dziecko tak się maże,
 „Że chyba je Marzanną odtąd nazwać każe,
 „A tu jeszcze gęś szara koło okna siada,
 „Skrzydłami w szyby bije, i gęgając gada.
 „Odpędźcie ptaka! jeśli znowu tutaj wróci
 „Zastrzelić każe“.

Słyszac, Żywa się zasmuci
 Ciężko. Chce płakać; gęga. Już gęś poleciała!
 I gdzie się w świecie podziać teraz biedna miała?
 Szerokie niebo! Krok tam walczy na północy.
 Do Kroka w dal polecieć teraz w Żywy mocy;
 Sapucha to spełniła co przyobiecała;
 Zakłęła siostrę Żywę do ptasiego ciała.
 Ale czyliż to ciało kiedy znów porzuci?
 I czy niewieścia postać kiedy do niej wróci?
 Poznała swoją płochość w pełni teraz Żywa;
 Już wie jak grzeszy ciężko, kto czarów używa.
 Męża było usłuchać; teraz już przepadło!
 Że na wieki wygnana serce jęj odgadło.
 Do wojska nie poleci; tam by pierwsza strzala
 Głodnego cióra, pewną gęsi śmierć zadała.

Rozwarła skrzydła; wzbila się w dalekie światy;
 Samotnie leci ponad lasy, ponad chaty,
 Ponad role orane, sady i ogrody,
 Ponad mrowiska czarne i ludzkie narody.
 Przez świat prowadzi Żywę gęś — moc jakaś Boża,
 Nad ład maleńkich ludzi ziemskich — wprost do morza!

Morze ogromne szumi; kędy spojrzé oko,
 Zobaczy niebo, pod nim toń morza głęboką;

Morze tak barwę mieni jakby pawie pióro;
 Błękitem świeci, to się z czarną zlewa chmurą,
 To znowu niby łąka trawą zielenieje; —
 A po morzu bezbrzeżnym jednostajnie wieje
 Wiatr. Fale wznoszą szumne szczyty białej piany,
 I morze pomarszczone jakby lan zorany
 Sochą wichru. Nad morzem buja mgła szarawa,
 A morza falom Strybóg daje święte prawa:
 U ludzi bywa także królem Czechem zwany.

* * *

Leci Żywa samotnie ponad stepem piany
 Morskiej; a gęga biedna, mówić już nie zdoła:
 Gęganiem tylko pana fali słonej woła.
 Usłyszał, i rozwarła się pod gęsią fala;
 W chwili w której zachodząc słońce toń zapala
 Ogniem, łódź bursztynowa złotem zajaśniała;
 Jak promień słońca niesie łódkę fala biała,
 A Żywa umęczona na tę łódź upadła,
 I zniosła jajo złote, ledwo na niej siadła.
 Nie długo jajo leży: wnet skorupa pęka,
 I z niej wychodzi dziecka mała ludzka ręka;
 Po chwili Żywa widzi dziecko co na łodzi
 Dziwnie się uśmiecha do ptaka co je rodzi:
 Od razu dziecko wstaje, na ławeczkę siada,
 I wiosłem bursztynowem z dziwną mocą włada.

Od razu dziecko mówi i słowiańską mową,
 W te do rodzicy gęsi się odezwie słowo:
 „Jam tobie na pociechę matko moja dany;
 „Przez tę łódź i przez falę będę ja chowany,
 „Aż do chwili którą mi przeznaczyły Jędze,

- „Które nie odstępują ludzkich losów przędzy.
 „Jest ich trzy, a w chatach na kurzój łapce siedzą,
 „Co było pamiętają, a co będzie — wiedzą.
 „One teraz wróżą o grzechu i o sądzie.
 „Rody ludzi śmiertelnych na rodzajnym łądzie
 „Ulegną mocy czarnej co im jarzmo wtłoczy
 „Na kark. Siadł już na zamku robak który stoczy
 „Serce króla. Król grzesząc czarną śmierć powoła;
 „Śmierć owładnie grodami, śnieg zasypie siola
 „Co siadły po rolach, i pokuta nastanie.
 „Będzie w świecie Popiela martwe panowanie;
 „Jednak nie potrwa wiecznie. Wielka zimy siła,
 „A nie przeszkodzi by się wiosna odnowiła.
 „Kiedy wyrosnę, matko, pójdę na naukę;
 „Wśród zamków czarta zbadam czarną czarta sztukę;
 „Z dłoni moc jemu wyrwę; odnajdę dwóch braci
 „Dotąd nie narodzonych, i zło się zatraci.
 „Ojciec pomszczony znowu władnie; dobrze będzie;
 „A słońce promieniejąc na szczyt nieba siedzie,
 „Świecąc ludziom wesoło. Lecz pamiętaj, matko,
 „Że objawiona przyszłość musi być zagadką
 „Dla tłumu ludzi marnych; bo przyszłość przepadnie,
 „Jeżeli lekkomyślny gmin ją w czas odgadnie.
 „Pracy narodu trzeba nam do zmartwychwstania;
 „A pewny żniwa oracz do snu głowę skłania.
 „Jeśli nie zorzą ziemi, ziemia nic nie zrodzi;
 „Kto się na ziemię spuści, ten dzieci zagłodzi!
 „A ty pamiętaj matko byś przy mnie została.
 „Jeśli wrócisz na Wawel rzecz przepadnie cała;
 „Z grzechem się złączysz, matko, nie odwrócisz złego.
 „Tak oto wróżą Jędze co téj nici strzegą,
 „Na której świata losy tego namotane.
 „Zanim wyrosnę, zanim się mścicielem stanę,

„Masz mnie piastować, matko; a kiedy wyrosnę,
 „Pod cieniem twój jabłoni, wypiastuję wiosnę
 „Dla ludzi. I dla tego trzeba by mnie zwano
 „Piastem. Więc, matko, dziecku nadasz Piasta miano”.

Tak przymówił Piast mały. A na łodzi siedzi
 Przy nim gęś, i nie może dawać odpowiedzi;
 Tylko naciąga szyję, i nastrzępia pierze.
 A dziecko swoim wiosłem falę dzielnie bierze,
 I płynie przez morze.

Wśród fali co się śmieje,
 Wiecznie wiatrom, i pośród ciemności, widnieje
 Skala biała co się nad morzem wzniosła w dali.
 Noc szara schodzi cicho na dziedzinę fali
 Szumnęj; Księżyc powstaje, a twarz jego blada
 Patrzy na falę, i toń morską smętnie bada,
 Pytając o tych co tam niegdyś powpadali;
 A morze tak wygląda jakby tarcz ze stali
 Na którą powbijano gwoździe srebrnolite.
 Wznoszą się do księżyca fal spienionych szczyty;
 A coraz wyraźniejsza, co raz bliższa skala,
 Co wstaje pośród fali żywój, jakby biała
 I nieruchoma mara.

Wóz na niebie znaczy
 Północ. Łódź przybiła do skały, a Piast skaczy
 Na ład. Łódź stoi cicho jak zakłęta. Żywa
 Z krzykiem, w swojej postaci na łodzi się zrywa
 Bursztynowej; sukienka tylko gęsia padła
 Na dno łodzi. Królowa w jasnej szacie siadła
 Na skale koło dziecka; świeci na jój skroni
 Korona brylantowa; a nad nią jabłoni

Cudnej konary złote jabłka rozwiesiły.
 Korzenie drzewa pośród twardej skały tkwiły
 Potężnie, pośród morza wśród bezdennej toni,
 Po której wichrem gnana fala tylko goni.
 A wprost z opoki twardej, z pod drzewa korzeni,
 Tryska źródło tęczowe, błyska się i mieni
 Wodą słodką, smaczniejszą jak zamorskie wino,
 Niosąc ludziom życie, nad słonych fal równiną.

Żywa jabłek narwała, naczepała wody
 Dzbanem złotym; i sama jadła, jadł Piast młody;
 Wodą rajska popili; potem rozmawiali,
 Póki świtu pierwszego zorza nie zapali
 Nad morzem.

Wtedy Żywa syna pożegnała,
 I wnet znów szarą gęsią z królowej się stała.
 W obłoki podleciała, przeleciała wody,
 I aż na ląd przybyła, gdzie ludzkie narody
 Orzą czarne zagony. Tu na ludzkie sprawy
 Patrzała, i słuchała szmeru mownej sławy,
 Co chodzi pośród ludzi, i co o tém prawi
 Jaki król gdzie panuje? jaki bój się krwawi
 Na świecie? a jakiemu narodowi błogo?
 A jaki naród ucisk gniecie ręką wrogą
 Z żelaza? I słucha co podróżny powie,
 O tem co się tam święci w królewskim Krakowie?

Wieczorem znów wróciła na samotną skałę
 Pośród morza, o którą biją fale białe
 Jednostajnie; a fale bursztynową niosły
 Łódź; a na łodzi siedział Piast mały, i wiosły
 Robił bursztynowemi. Siadali oboje

Pod drzewem co owoce podaje im swoje
Złote; i napijali się wraz wody z Raju;
I tak bywało odtąd codzien po zwyczaj.

Morze szumiało; stała opoka wśród piany;
Na opoce téj jabłoń owoc pozłacany
Niosła; strumień się pienił pośród słonej wody;
Gęś szara odwiedzała w lot ludzkie narody;
Piaśt pacholę cudowne, w bursztynowej łodzi
Po fali szumnej jadąc, śmiało wiosłem wodzi;
A o północy matka przy dziecku swém staje,
I boskiego pokarmu kosztować mu daje;
A dziecko owo pięknie wzrasta, potężnieje;
A morze wielkie falą do wichru się śmieje.

PIEŚŃ II.

KOLENDA.

Długo ta wojna trwała; moc narodu padła;
Tysiącami nowych dusz poza grobem władła
Śmierć. W lot z pobojuwiska duszy się zrywały
Tłumno; — a każda dusza we dnie gołąb biały
Co leci między chmury; w nocy człowiek zoczy
Duszę umarłą, jako gwiazdkę co migoczy
Wśród jasnej mlecznej drogi.

Ziemia krwią się spila.

Cudów dokazywała w boju wielka siła
Króla Krakusa; młócił wrogów; poniósł rany,
Liczne. Żelazny pancerz króla rozorany
Mieczem, i od ran sitem było jego ciało;
A pośród ran tych męstwo jak słońce jaśniało.
Nieraz po nocy pośród pobitego ludu
Sypiał, i dziwił się skąd to taka moc trudu
Wstała, kiedy zapewne, tam na zamku, Żywa
Co rana pieśń zbawienia i zwycięstwa śpiewa?
Dziwił się Krakus temu, że się zdrada wkradła
Nieraz do wojska, i że nagła trwoga padła

Czasem bez powodu na wojsko? Jednak stoi
 Król jak dąb, w cnotę wierzy, śmierci się nie boi,
 Służy ojczyźnie; przeto wreszcie odparł wroga.

Z łupem uszedł, lecz uszedł zastęp Czarnoboga.
 Zostawił ziemię mieczem śmierci rozoraną.
 Na pamiątkę téj wojny długo pozostaną
 Gruzy miast; a co gorsza wróg najezdca srogi,
 W zamkach kilku granicznych zostawił załogi;
 Ztamtąd to nieraz na kraj podjazdem wypadnie,
 A przestrach i rozboje będzie szerzył snadnie
 Wśród narodu. Ale tu stanie już ramienia
 Wojewody by bronić naród od cierpienia.
 Królowi do dom spieszno; chce powitać żonę;
 Wojsko rozpuszcza, jedzie sam w krakowską stronę;
 Czuryłę z sobą bierze. Rycerzy zostało
 U kresów kraju tylu ilu być musiało
 Dla bezpieczeństwa.

Naród zaległ miejskie wały;
 Z krzykiem tłumi zwycięzcę króla powitały;
 A u zamkowej bramy królowa stanęła,
 I króla męża swego czule uścisnęła,
 Skoro zsiadł z konia na ziem. Jaśniała koroną
 Królowa dumnie. „Witaj, witaj wreszcie żono!”
 Krok rzekł: „Nareszcie spocznę przy tobie. Do dłoni
 „Prawie mi przyrósł miecz. Chodź ze mną do jabłoni
 „Ze złotemi jabłkami! tam oręż odłożę.
 „Przy strumieniu, na trawie, będzie pierwsze łóżę
 „Moje w Krakowie“.

Czegoś bardzo się królowa
 Zmieszala, kiedy Krakus te wymówił słowa;

Ku ziemi piwne swoje źrenice spuściła;
 Zbladła najpierw, potem się krwawo rumieniła;
 Wreszcie do męża temi wszczęła mówić słowy:
 „Sielskie, grube zabawy, dla zwycięskiej głowy
 „Króla, nie są przystojne. Chłopom je zostawmy!
 „Dla nich jabłonie, dla nich trawa, a my bawmy
 „Przy stole obłożonym przez złote naczynie!
 „Niech chłopci jabłka jedzą; królom sięć przy winie!
 „Dla ciał grubych niech gruba chłopska służy strawa,
 „A nam się godzi tylko królewska zabawa.
 „Stół zastawiony; siedzisz przy nim wśród purpury,
 „I na głowy pospólstwa podle spojrzysz z góry;
 „I ja tak spojrzę. Dumną będę jak przystoi
 „Na panią groźną, której chłopski gmin się boi“.

Czegoś Krakus się zachnął. Spojrzał w oczy żonie.
 Piękną była królowa w brylantów koronie,
 A stała nieruchomie; na twarzy i cienia
 Nie było widać radości, ani też wzruszenia,
 I chyba pycha tylko przyoblokła czoło.
 Więc Krakus się odezwał mówiąc nie wesoło:
 „Nato cię w chacie brałem, by nie mieć królewny
 „Dumnęj przy boku“. Tak rzekł do żony król gniewny,
 I dodał. „Chodź pod jabłoń!“ — Idzie ku jabłoni;
 Znużenie wojny siadło na królewskiej skroni;
 Król kroki włócił powoli; serce w nim milczało
 Jak grób. Doszedł pod wieżę kędy drzewo stało
 Cudowne; patrzy — drzewa niema ani śladu;
 Strumienia czarownego niema pośród sadu
 Królewskiego! Na widok serce się zapadło
 W Kroku; wydało mu się że mu życie zbladło
 Jakby całun. Brwi zmarszczył; spojrzął na Czuryłę,
 I zapytał się „Co to?“ A w głos taką siłę

Gniewu wprawił że zadrzał Czuryło.

W pokoje

Szedł król milcząc, i milcząc zrucił z siebie zbroję
 Ciężką. Zawołał żonę. Stała królowa
 Przed mężem w krwawej szacie z jedwabia. W te słowa
 Odezwał się Krok do niej siedząc nieruchomy
 Na ławie poduszkami zasłanej: „W te domy
 „Królewskie wniosłaś niegdyś szczęście; wniosłaś, Żywo,
 „Nie dumę hardą królów, a miłość prawdziwą
 „Żony. Zapominałem przy tobie o tronie,
 „I dziwnie słodko wtedy bywało w mém łonie
 „Znużoném. I rad byłem myśląc że przywita
 „Z powrotem z ciężkiej wojny, żona i kobieta,
 „Nie królowa co patrząc ciągle w berło swoje,
 „Świata niezna, zna tylko królewskie pokoje.
 „Tak myślałem. Miłością tyś nie przywitała
 „U progu męża twego. i tyś się już stała
 „Tu, pod cieniem korony, czém bywają panie,
 „Którym się tylko ludzkie serce nie dostanie;
 „A zresztą mają wszystko: skarby, piękne ciało,
 „Wygody, władzę, pychę i szatę wspaniałą.
 „Takię mieć nie chciałem, i dziś nie chcę mieć żony;
 „Więc jak mnie witasz nie patrz tylko w blask korony,
 „Świecidła którym próżność radujesz kobiecą;
 „I nie myśl o tych herbach co na bramie świecą
 „Zamku naszego; kochaj tylko! I mów, Żywo,
 „Gdzieżeś podziła, rajskie drzewo, owe dziwo
 „Z którego wypływała radość dla narodu,
 „I dla mnie? Dziś szukałem drzewa wśród ogrodu
 „Daremnie. Mnie się zdaje prawie, że tu z domu
 „Ktoś mi szczęście i radość wykradł pokryjomu.
 „Czar znikł złocony; żona tylko stoi blada; —

„Nie śpiewa i nie mówi, mężowi nie rada.
 „Kiedy mnie tu nie było żona panowała;
 „Sama miecz w ręku, sama wagę sądu miała
 „W ręku; jak widzę rozkosz jój sprawiała władza,
 „A teraz, że mąż wrócił, mąż jój ten zawadza“.

Skończył Krok; a królowa drżąca, jak śnieg biała,
 Nieporadnie przed królem mężem swoim stała.
 Wreszcie na twarz wystąpił uśmiech wymuszony;
 Wstrzęsła włosami, które zwisły z pod korony
 Na ramiona w czerwone przyodziane szaty;
 Ramiona wyciągnęła. Piękna jak przed laty
 Żywa, w objęcia męża swego czule pada,
 I na usta Krakusa pocałunek składa:
 „Jam rada tobie“, mówi „bez ciebiem marniała;
 „Na nic bez ciebie berło, korona wspaniała
 „Na nic się nie zda. Teraz żeś ty tu powrócił,
 „I ów strach zniknie, który mię tak ciężko smucił
 „Odkąd uschła cudowna jabłoń“. Słodkie słowa
 Mówiła, w słodki uśmiech stroi się królowa;
 A Kroka biorą jakieś dziwne tajne dreszcze;
 Żona wstrętna jakby gad; coś mu w duszy wrzeszcze
 Że sprośna wiedźma przy nim jako żona siadła,
 I jad, i grzech, i zgon, do ust całując kładła.

Zadrzał Krakus, i stanął, z krzykiem; pelen trwogi
 Odepchnął żonę — uszedł cwałem poza progi
 Zamku; padł tam gdzie drzewo stało, jakby kłoda,
 I leżał nieruchomy tam gdzie niegdyś woda
 Rajska tryskała. W sercu jakby w jakim grobie
 Pusto było. A pani zamku poszła sobie
 Do komnat swoich, — pannom rozkazy dawała,
 Błada była i suknie swoje rozkładała,

Ale na dziw wszystkim od męża odepchnięta
 Jedną lzy nie wylała pani niepojęta
 Krakowskiego zamku.

I coraz gorzej było.

Krakus bywał samotny; w sercu jemu tkwiło
 Coś złego; szukał klucza jakiejś tajemnicy;
 Wypytywał się dworzan. Zamku urzędnicy
 Mówili jedno tylko, że pewnego rana,
 Po Krakusa wyjeździe, jabłoń pozłacana
 Znikła nagle, i znikły owe rajskie wody,
 Które od ślubu króla zamkowe ogrody
 Zlewały. A jak to się stało niewiedzano.
 Królowa się zmieniła także wraz z tą zmianą
 W ogrodzie. Pierwej tylko za mężem tęskniła;
 Albo koło kołyski dziecka swego była,
 W to dziecko zapatrzona; albo wśród ogrodu
 Samotna. A z tęsknoty troska o narodu
 Losy sama królowę oderwać zdołała;
 Sercem zakony zgadła; serce ludu miała
 W rękę swych; matką ludu wtedy Żywę zwano;
 A często pieśń czarowną królowej słyszano
 Wówczas, kiedy stawała pod złotą jabłonią
 I śpiewała. A teraz wszyscy ludzie stronią
 Od królowej, i tylko płochych dworzan rzesza
 Płaskim dowcipem płochą tę panią rozśmiesza;
 Szuka zabawy, strojów — a stroni od rady,
 I dziecka nienawidzi dziwnie swego. Wady
 Te wszystkie urzędnicy zasłaniali mową;
 Z osobna wzięte chwalił panią każde słowo,
 A razem potępiają.

Zresztą Krok to widzi

Sam, jak teraz naród swą panią nienawidzi!
 Drżą sługi, niańka dziecko jój własne ukrywa
 Przed nią. Inną już się dziś zgoła stała Żywa.
 Dziwne to. Nikt nie słyszy więcej jój śpiewania;
 Zda się nie myśli wcale; za śmiechem ugania
 Tylko głupim; już męża nie rozumie zgoła.
 Krakus stracił nadzieję; więcej jój nie woła;
 Nawet nie ufa żonie; a czasem z pod oka
 Spogląda na Czuryłę; i boleść głęboka
 Świta w królewskim wzroku i gniew przytłumiony.
 Nieznośnem się wydaje ciężenie korony
 Na czole. Płaszcz królewski oddech pana tłumi;
 Własnego losu Krakus więcej nie rozumi.

Wszystko czarne dokoła. Naród króla brzydzi,
 Tyle zbrodni się rodzi, tyle buntów widzi.
 Z zamku wieje zepsucie. Nie idzie nikt prosto;
 Rozpusta dworu ludu najstraszniejszą chłostą.
 Rycerze niewieścieją; zamiast męskiej rady
 Szukają senatory śmiesznej maszkarady,
 U dworu pani. Wszystko w całym kraju kłamie;
 Strach jakiś miękki hufce wojska w boju łamie.
 Król jeden jeszcze bywa na stolicy mężem;
 On prawo trzyma dłonią swoją, a orężem
 Broni kraju; lecz czuje że siły nie starczy
 Już długo; rozpacz glucho w sercu Kroka warczy.
 Znużony życiem raz na łożo swoje pada,
 I usnął król, a we śnie przyszła dziwna rada.

* * *

Kiedy Krok spał, usłyszał głos. Szła chmura blada
 Przez niebo we śnie szare; i dolny świat cały

Był szary i bezbarwny. Wtém się odezwały
 Słowa głośne z chmury téj; głos rzekł: „Spojrzyj w górę
 „A radę poda tobie Kroku niebo bure,
 „Co obłokami swoje zakryło otchłanie“.
 A zdało się Krokowi że stał na polanie
 Leśnej, wśród mdłego światła. Drzewa liść straciły
 Do koła, a konary czarne tak się wiły
 Jak robactwo. Słuchając głosu spojrzal w górę,
 I ujrzal jako wyszła na niebo ponure
 Ręka ogromna. Ręka owa podawała
 Łuk wielki Lecha: A przy łuku tkwiła strzała,
 Jak łuk żelazna. Krakus poznał ojca strzałę;
 W orle pióro oprawne błyszczą ostrze białe,
 Które na znak zwycięstwa podał Lech, przy śmierci,
 Do jego rękę. Pancierz najgrubszy przewierci
 Ta strzała łatwo, z tego łuku wypuszczona,
 A smok trafiony strzałą ryknie, padnie, skona
 Głos wtedy z chmury wola: „Kroku! weź tę strzałę
 „I łuk ten twego ojca. Strzel. Żelazo białe
 „Padnie, tam gdzie się chowa pociecha i rada
 „Dobra dla ciebie“. Rzekł głos. Chmura się rozpada,
 Niebo znów błękitnieje, zielenieją drzewa,
 I świat na nowo blaski wiosny przyodziewa.

Krok się obudził. Wstał z samotnego łoża,
 Wierząc że objawiona jemu wola Boża.
 Ubrał się. A noc była. Wziął tedy krzesiwo
 I stałą iskrę wzniecił. Iskra skoczy żywo
 W górę; płonie czerwono przez chwilę i pada
 Na pochodnię. Pochodnia sycząc, o czymś gada
 Niezrozumiale, potem żarem jasnym płonie.
 Krok niesie światło. Idzie. Lecha łuk przy tronie
 Królewskim stał od dawna już nieużywany.

Krok do sali tronowej poszedł. Ciemne ściany
 Ogromnej izby płomień oświecił czerwono;
 Po ścianach wszędzie bronie ciężkie rozwieszono,
 A błysk pochodni od nich stokroć się odbija.
 Słupy duże kamienne król z pochodnią mija;
 Gdy idzie długie czarne uciekają cienie;
 Rudy blask słabo zajrzał w wysokie sklepienie
 Sali; a Krakus koło tronu łuk i strzały
 Odnalazł, które tam już lata długie spały
 Bezczyinnie. Wziął je do rąk. Brzękły głośno, rade
 Że przecie raz w świat pójdą. Błysły świty blade
 Raz jeszcze po sklepieniu.

Krok wyszedł już z sali;
 Przeszedł króźganek; wyszedł na dwór. Wisła w dali
 Szumiała u stóp zamku. Już na dworze dniało.
 Był to Czerwiec, i nieba sklep opaską białą
 Zorza stroiła zaraz po północy; rosy
 Pełno było na świecie; noc gadała głosy
 Tysiącznemi; i chwili ptactwo nie milczało
 Po łęgach; po kałużach żaby przez noc całą
 Krzyczały. Bór się czernił w dali; nie słyszano
 Boru, bo daleko legł, i swą czarną ścianą
 Graniczył z blaskiem zorzy; ale pewno gada,
 Bo dźwięków pełna matka ziemia, z wiosny rada.

Krok spał łuk; drży cięciwa, syczy wielka strzała;
 Na wielkim piórze orlem, precz w świat poleciała,
 I nad brzegiem Wisły gdzieś w oczerety padła.
 Krakus spytał się siebie: „Czy ta strzała zgadła
 „Że pośród oczeretu pociecha schowana
 „Dla mnie? Czy dobrze wieździe kroki swego pana?
 „Czy sen nie marą tylko był?“ Tak się król pyta;

Jednak nadzieję senną gorączkowo chwyta;
 Wielkim krokiem z zamkowej góry szybko schodzi.
 Poranny wiatr królewskie smutne czoło chłodzi,
 Powiewem świeżym. Szedł Krok przez łąkę zroszoną
 I mokrą. W grząskiej ziemi kroki jego toną.
 Niebawem w oczerecie stanął, gdzie szuwały
 Po kolana sięgały.

Coraz widniał szary

Ranek. Żeleziec strzały błysnął w oczach jasno;
 Strzała z łuku puszczonej między trawą kwaśną
 Leżała. Krok się schylił po nią; a na strzale
 Siedzącą ujrzał żabkę długą na dwa cale.
 Chciał żabkę niecierpliwie z rzuca ostrza strzały,
 Kiedy z jej ust te ludzkie wyrazy zabrzmiały:
 „Stój Kroku! Nie odrzucaj teraz dobrej rady!“
 Zdziwił się Krakus, że tak mogą mówić gady
 Po ludzku; patrzy w żabę; żabka tak zielona
 Jak jabłko niedojrzałe.

Noc na niebie kona

Już — już dalej zapłonie słońce. Krok zdziwiony
 Ostrożnie do zamku niósł żelaziec ostrzony
 Strzały; na nim siedziała cicho żaba. Wstało
 Słońce, i jasność na świat wyprawilo białą,
 Kiedy król łuk położył nazad tuż przy tronie,
 Strzałę w swoim pokoju odłożył na stronie,
 I służbie swój zabronił by jej nie ruszała;
 Mała zielona żabka na jej ostrzu spała.

Krok dzień cały czekał aż się żaba obudzi
 Wieczorem; wiedział bowiem że na wspak od ludzi,
 Żaby sypiają we dnie; nieprzytomnie chodził

Pomiędzy dworzanami, i w to tylko godził
 Myślą, jaką to radę żaba dawać może,
 Kiedy rady nie znajdzie wśród ludzi na dworze
 Wielkim? Ciekawy jaką radę żaba zrodzi
 Po zamku chodził, jak zwierz, po swój klatce chodzi.

Nareszcie noc nadeszła. Krok siadł w swój komnacie,
 Przy wielkim stole; choć noc była, siedział w szacie
 Rycerskiej; kazał służbie odejść, i polecił
 By nikt nie śmiał przychodzić; pochodnię zaświeceł
 Sam; a żaba zielona ze strzały zeskoczy,
 Siędzie na stół i w króla wielkie patrzy oczy
 Oczkami okrągłemi; — i długo milczenie
 Trwało. Po komnacie wciąż uganiały cienie
 Przedmiotów, bo pochodni płomień to się zwracał
 W jedną, to w drugą stronę; raz jasno pozłacał
 Sufit, to znów przygasał, niosąc ciemność prawie
 Do izby. O wczorajszej Krakus myślał sprawie.
 Żaba milczała. Może królowi się zdało
 Tylko, że wczoraj ludzką mowę z żabką małą
 Rozmawiał? Może to był sen tylko? Nadzieję
 Marną Krok był uchwycił. Sam się z siebie śmieje.
 Jakżeż mógł w takie dziwa wierzyć? Czoło schyli
 Ku żabie; rękę na stół kładzie. W jednej chwili
 Skoczyła żaba na dłoń otwartą. Coś zwierzę
 Tak w króla oczy spojrze, że Krok znowu w wierze
 W te cuda utwierdzony; i sam pierwszy rzecze
 Do żaby: „Żabo, wzięłem ciebie w moją pieczę
 „Wczoraj; bardziej cię strzegę od własnej korony;
 „Tyś tu w zamku bezpieczna; bociany i wrony
 „Tobie nie grożą tutaj; liści dam ci sporo:
 „Ale radź jak przyrzekłaś! Życie dla mnie zmorą.
 „Żonę kochałem; teraz nienawistna żona.

„Po ojcu berło wziąłem; chwieje się korona
 „Od śmiechu moich dworzan. Ciągłe korowody
 „Sprawia tutaj królowa precudnej urody,
 „A płochego serca, i kłamstwa uczy dworu;
 „Baśnie dziwne od rana puszcza do wieczoru
 „Między ludzi. Zamiast rad, plotki tylko słyszę;
 „Na twarzach widzę farbę, pachnidłami dyszę;
 „Na Wawelu panuje dziś pijaków grono;
 „Kobieta igra Lecha berłem i koroną;
 „Grody graniczne co dzień wrogie hufce biorą;
 „Powiadam tobie, żabo, życie moje ciężką zmorą“.

Żaba zrazu nie mówi, tylko zakwaczała;
 Po chwili słowa ludzkie z siebie słyszeć dała,
 Jak wczoraj z rana: „Jeśli się pytasz, odpowiem.
 „Chcesz się radzić rycerzu z małym błotnym mrowiem,
 „Co się na ziemi legło? Rozumu nie stało
 „Tobie? Więc na ministra wołasz żabę małą,
 „Zieloną? Baczże królu, abys nie był śmieszny!
 „Mówisz, że żona płocha, że dwór bywa grzeszny
 „U ciebie? Mówisz, że tak skaczą tu dworzany,
 „Że mało hołupcami zamku tego ściany
 „Nie rozwałą? i u mnie na to szukasz rady?
 „Chcesz, aby żaba ludzkie poskramiała wady?
 „Masz się pierwój przekonać o żaby rozumie.
 „Nim komu dajesz rządzić, spytaj się, czy umie
 „Co robić, jak przystoi? Żona naprzykrzona
 „Na zamku twoim władnie? Jak pustego dzwona
 „Głos, śmiech jej się rozległ po Słowiańszczyźnie całej?
 „Nie chcesz z nią kłótni; przeto ty mężu nieśmiały
 „Uciekasz od niej? Berłoś oddał w ręce baby,
 „By nie słyszeć jej krzyku; u zielonej żaby
 „Szukasz rozumu? Może lepiej słuchać żony.

„Nie dość męstwa; rozumu trzeba dla korony.
 „Między żoną a żabą, wybież po naradzie!
 „Niech każda przed cię jawny tego dowód kładzie,
 „Że coś rozumie przecie, na tym świecie białym.
 „Nie żądaj cudów, zrazu poprzestań na malém.
 „Zażądaj od królowej, aby dowód dała,
 „Że tego warta, aby żonom królowała.
 „Mów, że królowa pierwsza w kraju gospodyni;
 „Niechajże teraz mądrze ciasta moc rozczyni,
 „I niech upiecze rychło ciasto nad ciastami.
 „Każ równocześnie głosić po mieście trąbami
 „Że jeśli jaka w całym mieście gospodyni,
 „Od pani twojej lepiej dziś ciasto rozczyni,
 „Siedzie na pierwszym miejscu wśród dworskiej biesiady,
 „I w pierwszej parze z tobą pośród maszkarady
 „Tańczyć będzie, królowej jawnie na przekorę.
 „Ja także do miszenia ciasta się zabiorę;
 „Drzwi pozamykasz; sama w pokoju zostanę.
 „Jeżeli z ciastem pierwszym przed tobą stanę,
 „To dowód, że się godzi mój zasięgnąć rady,
 „Gdy cię tak cisną żony i twych dworzan wady;
 „Jeśli jednak zwycięży ciastem twoja żona,
 „Jój się radź; snąć, że głupią jest żaba zielona!“

Królowi podobala się ta żabia rada;
 Pomyślał sobie: „Nie od rzeczy robak gada!“
 Dał żabie liści sporo; sam się spać położył.
 Nazajutrz wstał wyspany z rana; odzież włożył
 Na siebie, i szedł prosto do żeńskiej komnaty,
 W której królowa swoje przeglądała szaty,
 Myśląc, co wdzieje wieczór, gdy pośród zabawy,
 Śmiechem będzie zagłuszać wszystkie państwa sprawy:
 I szcęk oręza, co u granic szczyrby czyni;

I głos narodu, co ze łzami sądy wini,
Przekupstwo wojewodów i łakomstwo dworu.
Na czele niewiast miała pani wśród wieczoru
Stanąć dworskiego; jój się miały kłaniać pany,
I dla niej miał być tylko zamek pozłacany.

Krok rzadkim bywał gościem w komnatach królowej;
Zdziwioną tedy panią temi wita słowy:

- „Jam ci zwykł wszelką dawać na zamku swobodę;
„Sama mi wychowujesz tu panięta młode,
„Nie do boju, a tylko do hucznej zabawy;
„Rycerze tańcząc z tobą, dziś szukają sławy.
„Nie możesz mnie oskarżać, bym był naprzykrzony;
„Raz na rok prawie tylko zaglądam do żony.
„Jednak jam twoim mężem, jam królem narodu;
„Pamiętam nawet, że sam tu rządził za młodu,
„Zanim z moich ręki władzę odebrała,
„I sama panią tańcu i gędzby się stała.
„Kiedy rządziłem, pierwszym byłem Polskim mężem,
„Nie rodem tylko, siłą także i orężem.
„Tyś teraz, Żywo, ponad wszystkie Polskie żony
„Wywyższona pięknnością i blaskiem korony.
„Lecz niewiasty nie żyją dla samej zabawy;
„Innemi, ważniejszymi zaprzątnięte sprawy
„Chlubę zdobędą sobie. Niechże moja żona
„Niewieściej cnoty cudu najpierwsza dokona.
„Jak ja niegdyś na wojnie, niechaj w kuchni słynie!
„Tak jak jam dzierzył oręż, niech chwytą naczynie
„Do rąk kuchenne! Tak chcę. Chcę, by zasłynęło
„Wśród kobiet ciasto, coby swój początek wzięło
„Z pracy rąk twoich własnych. Masz mi ciasto sprawić,
„Którebym mógł na grodzie zamkowym postawić,
„Jako klejnot koronny. Na miasto trębaczę

„Wyjdą z mego rozkazu. Nadgrodeę wyznacę
 „Dla téj niewiasty, co mi poda jutro rano
 „Ciasto przedniejsze. Wszystkie ciasta jutro stana
 „Na zamkowym dziedzińcu; wszystkie zmierzyć każę,
 „Wszystkie pokosztuję, i wszystkie pilnie zważę;
 „A które ciasto pierwszą otrzyma pochwałę,
 „To sprawi swéj piekarce niepomierną chwałę:
 „Siędzie na pierwszym miejscu wśród dworskiej biesiady,
 „I w pierwszej parze ze mną pośród maskarady
 „Tańczyć będzie przed tobą, tobie na przekorę.
 „Żywo! radzę zakasaj tve rękawy w porę;
 „Wołaj służbę, miś ciasto, rób, co się należy!
 „Spisz się, a naród potem może i uwierzy,
 „Żeś ty panować warta“.

Pani słyszy słowa,
 Lecz żartem tylko jéj się wyda Kroka mowa;
 Ruszyła ramionami i nie nie odrzekła.
 Kiedy Krok to obaczył, wzięła go złość wściekła;
 Krew mu w twarz uderzyła, tupnął głośno nogą,
 Brwi zmarszczył nad oczyma i zawołał srogo:
 „Ja nie żartuję! Ja na prawdę rozkaz daję.
 „Już mi się dłużą twoje taneczne zwyczaje;
 „Już nie chcę śmiechu, raz chcę przecie pracy dożyć.
 „Spiesz się do pieca twego duże ciasto włożyć!
 „I strzeż się, byś się jutro z hańbą nie spotkała,
 „Że która z twych poddanych lepsze ciasto dała,
 „Na dziedziniec zamkowy“! Rzekł i trzasnął drzwiami.

Lice królowej gniewem, oko zaszło łzami;
 Przez chwilę nieruchoma wśród komnaty stała,
 A potem raptem z głośnym szlochem zapłakała;
 Na krzesło padła. Jakiś dziwny śmiech królowy

Z płaczem zmieszany spłoszył cały lud zamkowy;
 Służba przybiegła; tupie nogami królowa;
 Tak oburzona, że nie może przyjść do słowa.
 Jakaż myśl dzika przyszła mężowi do głowy,
 Że chce piekarkę czynić ze złotój królowy?
 Pani tak się wydało, jakby wywracano
 Świat do góry nogami. Sługi przy niej staną;
 Rycerstwo dworskie płaczu pani swojej słucha.
 Długo milczy, nareszcie woła: „Zawierucha
 „Z głowy koronę strąca!“ I znów szlocha głośno
 I ręce załamuje; nad dolą nieznośną
 Niewyraźnie narzeka. Królowa niemocna
 W gniewie swym tak się miota, jak czasem ćma nocna,
 Co widząc światło w izbie, w szybę bije głową,
 I szyby zbić nie może szklannój.

Wreszcie mową

Przerywaną królowa służbie powiedziała,
 Jak niesłychana rzecz dziś panu się zachciała!
 Ledwo wierzą dworzanie strasznie przerażeni.
 I w cóż to teraz świat ten biały się zamieni,
 Kiedy królowa sama musi miścić ciasto,
 Jak gdyby była prostą na mieście niewiastą?
 Cóż robić? Słuchać trzeba! Już tam trąby grają,
 I wolę króla głośno w mieście ogłaszają.
 Na każdym progu stoi baba w całym mieście,
 I słysząc trąbę, marzy o ogromnym cieście,
 Lekkiem jak piórko, w smaki przyprawionem cudne.
 Wnet dymem uwieńczone całe miasto ludne,
 I czarny słup dymu, od każdego komina,
 W niebo pogodne prosto do góry się wspina;
 Woń słodka ciasta wszystkie ulice zalega.
 Każda gosposia jakby oparzona biega,

Na służbę gderze, sama tłucze swe naczynie;
 Od mąki każda biała; każdój sekret słyńie
 Kuchenny i zwycięstwa każda baba pewna.

I królowa do kuchni iść musi; choć gniewna,
 Już na to nie poradzi. Dopuścić nie może,
 By która z kobiet miejskich rej wiodła na dworze.
 Zdjęła z siebie atlasy, bieliznę przywdziała,
 Poszła do kuchni, wojsko kuchtów zawołała,
 I na piec wielki patrzy. Nie ma w całym mieście
 Pieca takiego; robią na Wielkanoc dwieście
 Bab w tym piecu odrazu; jak jaka stodoła,
 Piec sześciu roślących chłopów z cepem zmieścić zdoła;
 Za Lecha go robili niemieccy mularze.
 Niebaczna w mieście żona o zwycięstwie marzy;
 Do stawu grobla, a do pieca ciasto bywa!
 Już dworzan rzesza wróży pani wielkie dziwa
 Z pieca owego. Każdy rycerz fartuch bierze
 I czapicę kucharza. Jedwabne odzieże
 Zrucono. Zamiast kwiatów biorą dworskie panie
 Chochle do ręki. Księgę astrolog dostanie
 I w księdze konstelacye niebios pilnie bada
 I powie potem, jakie ciasto nie osiada
 W dzisiejszym horoskopie. Kuchty mąki stosy
 Przynoszą; poszły na to z dwu folwarków kłosy
 Pszeniczne. Z jaj stłuczonych cieknie żółte morze.
 Ciasto gotowe było o zachodu porze;
 Sama królowa własną ręką się go tknęła
 Tak, że na koniec palca kawał mąki wzięła.
 Dziesięciu kuchtów ciasto pańskie to poniosło
 Do pieca. Nikt nie siada, aby ciasto rosło;
 Bo gdyby siadł kto z dworu, stać się może snadnie,
 Że ciasto nad ciastami to haniebnie spadnie.

Czekają z tchem zapartym; i królowa czeka
Stojąc. Téj nocy żadna nie uśnie powieka.

Krok drzwi zamknął od swego pokoju, i w stajnię
Poszedł spać. Tu za młodu sypiał Krok zwyczajnie
Na ziemi koło konia; dziś dawne zwyczaje
Krok sobie przypomina; służbie rozkaz daje
Surowy, aby nie szła do jego komnaty;
Zakazał łożko ścielić, broni czyścić szaty.
Zakazem owym właśnie paż rozciekawiony,
Siadł przy drzwiach od sypialni cicho przyczajony,
I słuchał, coby się tam poza drzwiami działo?
Przysięgał się nazajutrz, że tam coś śpiewało
Cudnie, jak gdyby siedem dziewic piało chórem,
A gędzba słodka Raju była pieśni wtórem.
Ale to pewno chłopię tam pod drzwiami spało
I śnienie nocne jemu prawdą się wydało.

Nazajutrz bębnią zrana na zamkowej straży.
Na dziedzińcu o ciasta wielki sąd się waży.
Przez bramę powpuszczano wielką moc narodu;
Od głów się roją schody królewskiego grodu;
W tłum jeden zbite czapki; głowa ponad głowę
Wygląda. Pełne okna i dachy zamkowe;
Tylko pośrodku miejsce wolne zostawiono. —
Dziedziniec otoczony smukłych wież koroną,
A wieże z góry patrzą na dwa ciasta rzędy.
Przy nich stoją niewiasty strojne jak wśród grzędy
Wiejskiej ślazowe rószezki kraśno ustrojone
W przeróżne barwy; patrzą w jedną tylko stronę
Wszystkie: w zamkową bramę; bo przez te podwoje
Królowa przyszle na ten sąd pieczywo swoje.
Zresztą już wszystkie ciasta we dwa rzędy stoją;

Każde wspaniałe, każde chwali panię swoją.
 Nie łatwo powiesz, które godne jest nagrody;
 Wszystkie wzrostu równego i równej urody.

Wreszcie skrzypnęła brama; dziesięć kuchtów dźwiga
 Ciasto królowej. Jedno spojrzenie rozstrzyga
 Spór cały. Ciasto żółte, wonne, okazałe.
 Ciasta miejskie jak grzyby koło niego stały
 Niepokaźne, a ono się dębem wydało;
 Tak dumnie pośród gminu ciast jakby król stało!
 Rosło ludziom nad głowy, a szczyt lukrowany,
 Na kształt szczytów tatrzańskich, na naród poddany
 Ciast pomniejszych spoglądał hardo.

Dumna pani

Za ciastem weszła z dworem. W jedwabie ubrani
 Paziowie niosą kraj jej aksamitnej szaty;
 We włosach błyszczą u niej brylantowe kwiaty.
 Młodzi dworzanie czapki niosą w swojej dłoni
 Jedwabne. Jak lan żyta, naród się ukloni
 Królowej; wszyscy czapki w górę podrzucili.
 Pani po ludzie spojrzę, ledwo głowę schyli
 Zlekka; z uśmiechem pychy pośród ludu stoi;
 Czeka na męża swego; sądu się nie boi.

Skrzypnie brama przeciwna, król w pancerzu wchodzi,
 I rycerzy skrzydlatych orszak z sobą wodzi;
 Mała korona złota mu błyszczy na głowie.
 Naród kłania się nisko, król jemu odpowie
 Uklonem.

Milczą wszyscy. Nareszcie królowa
 Do męża się odezwie w takie oto słowa:

„Sprawujże twoje sądy! Zda się, że pieczywa
 „Nie będzie się wstydziła twoja żona Żywa.
 „Widzisz, że chociaż zwykle żyję dla zabawy,
 „Przecież chlubę zdobędę i innemi sprawy,
 „Gdy zechcę. Jeśli wszystkie ciasta te rozważesz,
 „Przecież królowej zawsze królową być każesz.
 „Siędę na pierwszym miejscu wśród dworskiej biesiady,
 „I w pierwszej parze z tobą podczas maskarady
 „Tańczyć będę. A jeśli kto się tylko waży
 „Zajrzeć mi w drogę, plunę jemu w środek twarzy,
 „Rozebrać każę, smagać każę i żelazem
 „Ściąć, żeby mnie umiano uczcić drugim razem,
 „Jak się należy“.

Na to Krok głośno zawoła:

„Żywo, nie bądź przed czasem zanadto wesola!
 „Jeszcze, wiem o tém pewnie, jedno pieką ciasto;
 „Jeszcze nie jesteś pierwszą w Krakowie niewiastą!
 „Poczekaj chwilę, żono, może się pokaże,
 „Że ciasto tve za małe, a zbyt wiele waży“.

Tak Krok zawołał głośno, a z poza rycerzy
 Wyszedt chłopaczek mały w kuchennej odzieży;
 Cały był w bieli, cały w fartuchy ubrany,
 W ogromnej czapce białej, mąką obsypany;
 Liść zielony kapusty na dziedziniec kładzie;
 Ukłoni się królowi, królowej i radzie,
 Potém zwróci się milcząc i do zamku wraca.
 Na liściu tym spoczywa jakiejś muchy praca;
 Ciasteczko małe, jakby ziarneczko fasoli.
 Ciastko to w oczach tłumu urasta powoli;
 Na drożdżach dziwnych rośnie, choć już upieczone.
 Tłum usta rozwarł, patrzy cały w jedną stronę;

Królowa otworzyła swe usta szeroko,
 Ze zdziwieniem wzrost ciasta śledzi każde oko.
 Ciasto rośnie i przytém przedziwnie wonieje.
 Królowa już się gniewa; — tłum się głośno śmieje;
 Ciasto dumne królowej już się grzybem staje,
 A nowe ciasto przy niem olbrzyma udaje;
 Rośnie, wciąż rośnie, wreszcie tak do góry bieże,
 Że wzrosło ciasto butne ponad zamku wieże;
 Z dumą z góry spogląda z za murów na miasto;
 A tak dziwnie lekkie to nad ciastami ciasto,
 Że wietrzyk na dziedzińcu żartem je obraca.
 Czarodziejki to chyba, a nie muchy praca!
 Królowa ze złości zbladła, za włosy się chwyta,
 I na uściech się pieni i zębami zgrzyta;
 A lud głośno się śmieje, kiedy gniew jój widzi,
 Bo lud serdecznie swojej pani nienawidzi.

Krok rad ze wstydu żony, i podkręca wąsy.
 „Na nic, żoneczko“, mówi „twoje głośne dąsy.
 „Było ci ciasto lepiej misić! Teraz chwała
 „Nie tobie, tylko jakiej innej się dostała.
 „Stół suto zastawiony, czeka na biesiadę;
 „Proszę, panie, rycerzy, proszę panów radę,
 „By poszli do jadalnej, wielkiej w zamku sali,
 „I tam gospodyń naszych królowę witali“.

Gdy tak Krok mówił, odejść zechciała królowa
 Z dworem swoim; płonące lice w ręce chowa,
 Srodze zawstydzona. Krok ją nazad przywoła;
 Sam jój rękę podaje i wśród dworzan koła
 Prowadzi przez krużganki do biesiadnej sali.
 Weszli dworzanie. W koło stołu wszyscy stali,
 Patrząc na pierwsze miejsce świetnie przystrojone,

To znów na drzwi. Czekają, rychło kto oponę
 Odchyli i wprowadzi, kuchni polskiej panię.
 Głowę spuszcza królowa, spuszczają dworzanie.
 Krakus z uśmiechem mówi: „Przyjdzie pani żonie
 „Na szarym siadać końcu, w téj tu stołu stronie;
 „Komu innemu miejsce pierwsze się należy“.

Król rzekł. Królowa milczy. Cichy szept młodzieży
 Ciekawość zdradza. Krakus do dworu powiada:
 „Siadajcie! Dawno pani uczyt już zasiada
 „Na swoim miejscu“. Wszyscy patrzą w tronu stronę,
 Kędy przednie naczynia złote zastawione;
 I nie zgoła nie widzą. Król kazał, siadają,
 Lecz wszyscy wzrokiem, milcząc, pytanie stawiają
 Jedno. Król myśl ich zgadnął i tak odpowiada:
 „Oto tu patrzcie, pierwsza piekarka zasiada
 „W kraju tym całym. Ona zwycięstwo odniosła.
 „Jój to robota dzisiaj nad ciasta wyrosła
 „Wszystkie, i jój należna cześć niewiast i chwala!“

Tak król mówił, a dworska ciżba wciąż patrzyła
 W puste miejsce. Krakus coś wskazuje na stole;
 Szmer nowy, szmer zdziwienia wstaje w dworzanie kole;
 Patrzą: żabka zielona pośród złota siadła.
 Ktoś głośnym śmiechem parsknął. Pani gorzej zbladła
 Jeszcze, a król rzekł: „Patrzcie żaba ta zielona,
 „Na królowę biesiady dzisiaj przeznaczona.
 „Ona zrobiła ciasto, co dziw ludu rodzi;
 „Bardziej od méj królowej, żabę czcić się godzi!
 „Niechże dziś dla niej jednej głośna chwala wstanie!
 „Niechże się jednej żabie kłaniają dworzanie!
 „W kąć przed nią pójdzie moja nieporadna żona!“

Tak król zawołał. Ciżba dworska zawstydzona
Milezy; pocichu płacze żona Krakusowa.
Król Krakus miodem starym zalał swoje słowa,
Wnosząc zdrowie żaby; miód wypili dworzanie,
Życząc żabie zielonej długie panowanie.
Niebawem koło stołu powstała ochota;
Z rąk do rąk pomiędzy dwór poszła czara złota
Miodu; a po nią przyszło niebawem i wino
Węgierskie. Tak król podpił sobie wraz z drużyną
Swoją. Nawet królowej wino pić kazano.

Wreszcie końca biesiady znak surmami dano;
Wszyscy powstali. Grajki skoczną gędźbę w sali
Wielkiej zamku i paniom i młodzi zagrali.
Sam król węża podkręci, na dłoń żabę kładzie,
I pośród ciżby dworskiej rej w tańcu prowadzi;
Zda się sam podskakuje; za nim idą pary;
Płaszów takich nie widział dotąd zaimek stary;
I wojewodowie brwi marszczą, patrząc na to.
Królowa poniewolnie wlecze złotą szatą,
Tańcząc; maskę przywdziała na swoje jagody,
Ale po drzeniu ciała poznać gwiew. Dwór młody
Cały, dobrze że maską ukrywa swe twarze;
Wyrzów tak nie widać, a w tanecznym gwarze
Giną niedosłyszane słowa, śmiechy giną,
Których taniec królewski dziś stał się przyczyną.
Późno taniec się skończył. Pani do komnaty
Swój poszła, i złocistej nie zruciwszy szaty
Na łożo swe padła, i przez całą noc czarną
Zgrzytała zębami wciąż, przez żal i złość marną
Pychy zdeptanej.

* * *

Krakus z żabą na swój dłoni

Do swój izby uchodzi, dwór od siebie goni,
 Mieczem o ziemię rzuca, sam na krzesło pada;
 Żaba w oczy mu spojrzy i tak doń zagada:
 „Tyś, królu, za daleko poszedł w gniewie pono:
 „Tak się nie poniewiéra nigdy swoją żoną.
 „Srom jawny żony i na męża ciężko spada.
 „Jeżeli miłą tobie, Kroku, moja rada,
 „Daj żonie twojej pole, niechaj się poprawi;
 „Nie tylko chochła, igła także żony sławi.
 „Powiedz, że choć ją żaba w kuchni pokonała,
 „Sama potem odwetu sposobność jój dała.
 „Wzywam na pojedynek Żywę. Igła będzie
 „Orężem. Niechaj Żywa z pannami zasiędzie
 „Do haftów; niech kobierzec haftuje rok cały,
 „Obrazów różnych pełen, barwami wspaniały.
 „Po roku żaba drugi kobierzec wykona.
 „Sama świadkiem roboty będzie twoja żona.
 „Aby widziała, kto jest robotnicą cudu;
 „A piękniejszy kobierzec chwałę pośród ludu
 „Da robotnicy“. Tak to żaba poradziła.

Stało się zadość radzie. Nakupiono siła
 Nici o różnej barwie. Różnych włókien stopy,
 Pod oknami królowej, aż po pod niebiosy
 Się wznosiły; aż gniazda na nich budowało
 Ptactwo polne. Zamorskich kunstmistrzów nie mało
 Sprowadzono, którzyby rysowali wzory
 Na kobierzec. Od ranku aż do nocnej pory
 Frauencymer królowej haftami się bawił;
 Sama królowa strzegła, aby jój nie sprawił
 Wstydu kobierzec; przeto umilkły na dworze
 Plotki; tańców nie stało; cicho jak w klasztorze

Bywało ; tylko igły po kanwie skakały
 Bez wycoczynku. Pani krząta się dzień cały
 Koło swych panien, sama do haftów się bierze ;
 Młodzież płocha się nudzi, i zamkowe leże
 Gnuśne opuszcza, widząc, że płonne zaloty ;
 A zaciąga się nazad w zbrojne Lackie roty,
 Aby z rozkazu króla ciągnąć na granicę.

Powoli się odmienia spraw publicznych lice ;
 Król znowu rządzi w Polsce, a królowa szyje
 Tylko, i hafty dzierzga. Jadowitą żmiję,
 Co mu pierś stoczyła, już rzucił Krok pod nogi,
 I dzięki radom żaby, smutku, żalu, trwogi,
 Niepokoju się pozbył. I błogo rok cały
 Minał, aż znów Czerwcowe gorąca nastaly.

W dzień oznaczony zdawna, wśród tronowej sali,
 Król wraz z senatorami w koło zasiadali,
 Aby sądy sprawować ; koło króla siadła
 Królowa milcząc ; służba jój kóbierec kładła
 Na środek sali, między senatorskie ławy.

Kobierzec ten przyczyni pewno pani sławy ;
 Z cudownym kunsztem na nim dawne haftowano
 Czyny Krakusa : w oczach widza hufce staną,
 Co niegdyś zpod stolicy Niemców odegnały ;
 Krakus w zbroi złocistój, pod nim rumak biały
 Pnie się dębem do góry i podkowy swemi
 Mierzy w twarz króla Niemców ; ten z konia do ziemi
 Chyli się zwyciężony trwogą ; na hetmana
 Upadek patrzy zgraja Niemców zamięszana ;
 Zewsząd tratują Laccy skrzydlaci rycerze

Niemców ; w głębi wznoszą się w górę harde wieże
Krakowa, i tłum wielki z nich patrzy na boje.

W miarę jak rozkładano haftów długie zwoje ;
Na środku sali radnej, wzrastał podziw rady ;
Szmer pochwalny rozszedł się pomiędzy gromady
Dworzan ; z dzieła wspólnego dumne dworskie panie
Patrzyły na misterne owo haftowanie
Z uśmiechem. Do obrazu podobne to dzieło ;
Przyszło się dziwić, skąd się cierpliwości wzięło
Tyle, ażeby ścięgi wykonać tak drobne,
By szwy do malowania się stały podobne.

Z dumą piękną swą głowę podniesie królowa,
I zwyciężając, takie głośno rzecze słowa ;
„Widzisz moją robotę, królu mój i panie!
„A może żaba teraz tu z kobiercem stanie
„Piękniejszym. Ale pragnę abym to widziała,
„Jak żaba ów kobierzec będzie haftowała.
„Przed rokiem od Rusalek wzięłeś ciasto owo,
„Co w oczach naszych rosło nad wieżę zamkową,
„Ponawiając bajeczne, jakieś dawne cuda ;
„Potem żabę wywlokłeś. Już ci się nie uda
„Z żony twojej śmiech robić. Niechaj haftowanie
„Samo po przed oczyma mojemi tu stanie.
„Jeśli Rusalka jaka mnie zwyciężyć zdoła,
„Nie będę się wstydzila ; wszakżeż nie podola
„Kobieta nieśmiertelnej i jasnej bogini,
„I nikt wyrzutu Żywie z tego nie uczyni“.

Tak rzekła pani hoża ; król zezwolił głową.
Jak gdyby wywołana przez królowej słowo,
Żabka mała stanęła w swój zielonej szacie
Po środku izby. Cichy szmér szedł po komnacie ;

Panowie swoje głowy ku sobie chylili;
 Panie zachichotały; umilkły po chwili,
 Skoro królowa okiem po nich potoczyła.
 Żabka tak cicho stoi, jak gdyby nie żyła
 Wcale; a dokoła niéj osiada mgła biała,
 Co na kształt brylantowéj rosy zajaśniała,
 W przepaskę tęczy strojna. Wszyscy swoje oczy
 Zwrócili na pas barwy wśród mglistych użroczy.
 Chwilę nie widać żabki; raptem znowu staje
 Widoma. Rozszerzają się dokoła kraje
 Tęczy, i tworzą coraz większe lśniące koło.
 I w téj chwili pieśń dziwna zabrzmiała wesoło,
 Nie wiadomo skąd, jakby stu ptaków śpiewanie
 Na wiosnę. Widzą, słyszą cuda dworskie panie —
 I milcząc na królowę patrzą z popod oka.

A w tém tysiąc promieni trysnęło z obłoka
 Cudnego; bieżną wszędzie; zaścielą komnatę,
 Tworząc dokoła żabki cudnych kwiatów szatę
 Żywą; kwiat każdy pachnie, a nad nim motyle
 Lecą miłośne; między zieleń mruży mile
 Ruczaj srebrzysty; lśniące w nim płasają ryby;
 W głębi czarny bór stanął; — pod sosnami grzyby
 Swoje głowy tysiączne wznoszą prosząc sloty;
 U góry słońce wielkie toczy krąg swój złoty
 Po sklepie szafirowym; w dole lud się roi,
 Bieżąc do pracy w pole; a z daleka stoi
 Wieś bielona, drzewami suto obsadzona;
 Siano wonieje cudnie!

A królowa kona
 Na tronie swym z zazdrości, patrząc na te cuda.
 Kobierzec żabki istna to wiosny uluda,

I nikt nie powie, które piękniejsze są błonie;
 Czy te, któremi ziemia stroi swoje skronie
 Na wiosnę, czy te, które żabka utworzyła.

Cizba dworska zdziwiona w milczeniu patrzyła
 Na cudny obraz. Krakus spojrzy na swą żonę
 I rzecze: „A cóż? Chyba przyjdzie dać koronę
 Polską téj żabie?”

Na twarz królowej krew biła
 Fałą czerwoną. Wreszcie pani przymówiła:
 „To czarownica! Życzę tobie takiej żony.
 „Przy niej będziesz nad inne króle wywyższony,
 „Krakusie! Lepiej szyje, lepiej ciasta piecze,
 „Niżli wszystkie kobiety. Więc ciesz się człowiecze!
 „Weź ją na żonę sobie! — Pójdę w czarne bory,
 „By nie patrzeć na twoje dzieci, — na potwory
 „Z Żaby zrodzone; by nie słyszeć śmiechu ludzi,
 „Co się na widok twojej żony w świecie zbudzi
 „Szerokim. Ciesz się żoną co ma cztery nogi!
 „Z zieloną, lipką żoną, spędzaj żywot błogi,
 „Krakusie, — a mnie wypędź! Pójdę ponad wody
 „Leśne; one zwierciadłem będą mej urody!
 „A ile razy spojrzę na mój obraz w wodzie,
 „Zaśmieję się z ciebie w głos. Zwykle w ludzkim rodzie
 „Pięknej żony szukają; tyś szukał kucharki,
 „Coby najładniej myła tve królewskie garki!
 „I ty szukałeś szwaczki; — a wzgardziłeś Żywą,
 „Aby na tron posadzić żabę obrzydliwą!
 „Zaiste nie uwierzą temu przysze rody!
 „Królowne dawniej w inne chadzały zawody;
 „Pięknością szły o lepsze. Niechaj tutaj stanie,
 „Na żony i królowej shańbionej wezwanie,

„Niewiasta, coby miała ozdobniczysze lice
 „Odemnie! — Zaraz sama odstąpię stolicę
 „Piękniejszej — ale nie téj żabie!“

Takie słowa

Wyrzekła pani dumna złotego Krakowa.
 Krók na nią spojrzy milcząc, a ona wychodzi
 Ze śmiechem głośnym. Duma taki śmiech narodzi
 Obrażona, a przecie śmiech ten serce rani
 Tego, którego śmiechem dumny człowiek gani.
 W ślad za królową poszły panie, w ślad się śmiały: —
 Od śmiechu szyderczego trząsł się zamek cały.

Krok spojrzal w koło; zmarszczył brwi; potem zawoła
 Głośno na panów radnych, co stali dokoła:
 „Idźcie precz stąd! chcę być sam!“

Wyszła tedy rada,

A król gniewny na środek kobierca upada
 Cudnego, na kolana; w żabkę utkwil oko,
 Wstrząsł się jak dąb wśród burzy, i westchnął głęboko:
 „Żabo, tyś twoją radą mnie dziś wstyd sprawiła.
 „Nie ja dziś zwyciężyłem; żona zwyciężyła
 „Ona się śmiała głośno, mnie rumieniec palił,
 „Żem się żabą bogdanką przed dworem pochwalił.
 „Już nie śmiem stanąć poprzec narodu oblicze.
 „Ale — żabo, masz jakieś siły tajemnicze,
 „Którymi sprawiasz, gdy chcesz, dziwne jakieś cuda.
 „Wierzę, że postać nędzna to tylko uluda,
 „Którą zakrywasz twoją właściwą istotę;
 „Wierzę, żeś ty bogini jakiejś dziecko złote,
 „Że Wilą jesteś, albo Rusalką z jeziora;

„Zruć tedy błagam postać małego potwora,
 „I stań się sobą, byś mnie od wstydu zbawiła“.

Przez chwilę długą żabka nie nie przymówiła.
 Wreszcie odpowie: „I mnie ubodły te słowa,
 „Które ci w twarz cisnęła, wychodząc, królowa.
 „Jam żabka wcale ładna; nie żadna potwora;
 „A do przechwałek, pani twoja nadto skora.
 „Bo jeśli zechcę, postać przybiorę dziewicy,
 „Przy której ona zgaśnie, jak promienie świecy
 „Gasną woskowej, kiedy jasno słońce wschodzi.
 „Światłowida, królowa trzęsawisk, mnie rodzi.
 „Od dzieciństwa rej wiodę wśród żabięgo dworu.
 „A gdy zechcę, o chłodzie letniego wieczoru,
 „Z wody cichój wyszedłszy, wdziwam postać nową,
 „I z żabięj wnet się stanę człowieczą królową.
 „Wtedy panie me dworskie w dziewczki przemienione
 „Ze mną płas wyprawiają. Potém nazad tonę
 „W wodzie w postaci żabki, albo w świat wychodzę,
 „Cuda wyprawiam, grzechy karcę, waśnie godzę;
 „Bo mam moce cudowne, — jak wiesz. Przed twą żonę
 „Stanę w postaci ludzkiej; piękności koronę
 „Z czoła dumnego strącę. Na imię mi dano
 „Kolęda. Wyjdz stąd królu! Jeszcze dzisiaj rano,
 „Za chwil niewiele, stanę przed oczyma dworu
 „W postaci dziewiczej, — i będę do wieczoru
 „Tu bawić między wami, w panien mych orszaku.
 „Zniknę potém. Już radzić nie będę; — i znaku
 „Więcej nie znajdziesz żabięj królowy Kolędy.
 „Kaź żonie haftować; sam rozdawaj urzędy,
 „W bój ciągnij, kieruj radą, bezemnie bądź mężem;
 „Jak niegdyś, Kroku, głośno zasłyniesz orężem.
 „Panię twoją na zawsze teraz upokorzę,

„Cicho już będzie siedzieć na krakowskim dworze,
 „I ty cichą ukochasz. Ale idź z komnaty!
 „W samotności przybiorę królownej bogaty
 „Strój, a potem przed tobą jaśniejąca stanę,
 „A przy mnie sługi, z wszystkich wód laskich wezwane,
 „Orszak utworzą hoży, w dziewczki przemienione.
 „Wieczorem wrócę władnąć w wód ojczystych stronę.
 „Ale pamiętaj, i daj mi królewskie słowo,
 „Że w królestwo powrócę moje, i królową
 „Żab będę tak jak dawniej. Szata żabia spadnie
 „Ze mnie; jeżeli człowiek wrogi nią zawładnie,
 „Jeżeli w ogień rzuci, moc czarowną stracę,
 „A gościnę u ciebie zbyt drogo zapłacę;
 „Już nie powrócę nigdy w ciche wodne tonie,
 „I nie będę chodziła w żab jasnej koronie;
 „Zwykłą niewiastą tutaj na zamku zostanę;
 „Berło moje na wieki już będzie złamane.
 „Więc zanim pójdziesz, zanim mą postać odmienię,
 „Daj słowo, daj rycerskie, święte zapewnienie,
 „Że kiedy w rękę twoją żabki skórę złożę,
 „Bezpieczną będzie“.

Rzekła. „Bądź mi świadkiem Boże“,

Zawołał Krok na to, „że jak mojego oka
 „Zabię szaty ustrzegę! Stale jak opoka
 „Będę tobie strzegł wiary. Daję na to słowo —
 „I czią rycerską rękę i państwem i głową“.

Tak się Krok zaklął święcie; żabka usłuchała.
 Wstał Krok z kolan i wyszedł, a żabka została
 Sama w komnacie. Krakus wszedł do komnat żony,
 A za sobą usłyszał śpiew niewysłowiony.

* * *

Król szedł do komnat żony; siadł — podkręca wąsa.
 Naprzeciwko na krzesle — królowa się dąsa.
 Panny stoją dokoła. Milczenie trwa długo.
 Wreszcie królowa powie: „Wszak masz żonę drugą,
 „Żabę. Cóż chcesz odemnie?„

A Krakus odpowie:
 „Przyszedłem się przypatrzeć twojej pięknej głowie,
 „I ją porównać z żabą, by wiedzieć na pewne,
 „Która z was piękniejsza?„

Rzekł. Błysną pani gniewne
 Oczy.

Wtem ułyszano wśród komnat, w oddali,
 Muzykę dziwną; nito oddźwięk strón ze stali
 Na harfie czarodziejskiej, którą wiatr potrąca;
 A niby słowika pieśń miłośna, gorąca,
 Którą na wiosnę budzi noc senną. Zdziwiona
 Królowa słucha. U drzwi zadrżała opona;
 Potém, choć bez dotknięcia ręki, ustąpiła
 Na bok, i drzwi spiżowe niewidoma siła
 Cicho rozwarła. Z tronu królowa powstała; —
 — Myślisz, że w głaz zmieniona już, — tak twarz jój biała.
 Królowi okrzyk z piersi wydarł się zdziwienia;
 Cudne chyba stanęły w komnacie widzenia!
 To wcielone sny słońca, które wtedy miewa,
 Kiedy śpiącemu w łożu rajski ptak zaśpiewa
 Pieśń wśród krajów Zachodu. Na czele królewna
 Stąpa. Z tęczy utkana szata jój powiewna, —
 Z promieni jasnych tkane jój złociste włosy,
 A w nich brylanty świecą, czy téż krople rosy
 Porannój, rozświeconój słonecznemi świty.

Kibić jój objął pasek szczerze z ognia lity,
 W rękę jój spoczął wachlarz z rajskich ptaków piérza;
 Od szat swoich piękniejsza stokroć, prosto zmierza
 W królowę. Oko, w którym wszystkie nieba tonie
 Ujęte, szuka serca, co w Sapuchy lonie
 Ukryte drży ze złości. Za Kolędą kroczy
 Wianek dwunastu dziewic cudownie uroczy;
 Piękne nad wyraz, sercem ludzkim by zawładły
 Łacno, gdyby przy pani swojej tak nie bladły.

Z uśmiechem przymówiła Kolęda do żony
 Krakusowej: „Mówiłaś, że chętnie korony
 „Ciężar odłożysz, jeśli piękniejsza tu stanie.
 „Innego nie wezwę sądu, i na twoje zdanie
 „Się spuszczę. Sama osądź, której się należy,
 „Ażeby po Wawelu w królewskiej odzieży
 „Chodziła odtąd?“

Rzekła, potem się zwróciła
 Do Krakusa i rączką białą położyła
 Do jego ręki skórkę jakąś zasuszoną,
 Mówiąc: „Czuwaj nad moją wieczorną osłoną,
 „Jako przyrzekłeś“.

Krakus mowy téj nie słyszy
 W Kolędę zapatrzony; — a zaledwo dyszy
 Królowa. Pierś jój sparło.

Kolęda zawoła:
 „Chodźże ze mną królowo do radnego koła
 „Mężów, co sprawy kraju rozsądzają spółem!
 „Staniemy obydwie przed wojewodów kole, —
 „Staniemy poprzód młodzią, co na zamku bawi; —

„Niech nasze wdzięki wedle ich zasługi sławi!
 „Wszak o piękność szły dawniej królewne w zawody?
 „Wszak nie będziesz się wstydzić twój hożej urody?
 „Wszak przy mnie staniesz godnie pośród mężów koła?
 „Wszak o piękność nikt z tobą o lepsze nie zdola
 „Walczyć? Nieprawdaż? samaś to dzisiaj mówiła,
 „Gdy cię rano, haftując, żaba zwyciężyła?“

Te słowa wymówiwszy, Kolęda ujęła
 Za dłoń królowę; i wraz z nią pochód zaczęła
 Rozprowadzać po zamku. Tamta mimowoli
 Szła prowadzona; głowę spuszcza; wzrok ją boli
 Dworzan, którzy z podziwem patrzą na dwie panie.
 Sapucha ukradzione klęła panowanie;
 Przeklina Popielowe maście, matki rady.
 Kolędę zaś z okrzykiem witają gromady
 Dworzan, jak ptactwo wita wschodzącą jutrzeńkę;
 A okrzyk każdy zwiększa zléj królowej mękę;
 To gwoździe, które w serce jój wbijają żywe;
 To po ciele jój białem deptanie zelżywe
 Biesów.

Krok patrzył długo w Kolędę jak wryty,
 Idąc za nią bezmyślnie jak cień; a zachwyty
 Mocne tak mu źrenicę ogniem rozjarzyły,
 Że aż widome iskry jemu z oczu były.
 Taką twarz Krakus miał, gdy przy boku Żywy,
 Przed laty, kochał żonę i bywał szczęśliwy.
 Od dawna oko zgasło, teraz zajaśniało
 Na nowo; i coś znowu na twarzy się śmiało
 U Kroka. Idąc śpiewał pieśni niezrównane
 Orszak Kolędy; — w sercu Sapuszyném ranę
 Otwierał wielką, Kroka ciągnął niewolnika. —

Wtém Krakus spojrzal w słońce; zadrzał cały; — znika
Z pochodu. Darmo króla szukają dworzanie. —

Wnet w kuchni, pośród kuchtów zamieszany stanie;
Woła: „Gdzie ogień?” rzuca coś w ogień czerwony.
W ogniu coś zasyczało, a król nazad w strony
Pogonił, w których ludziom Kołęda jaśnieje; —
Patrzy na nią jak w obraz, jak dziecko się śmieje.

Dzień cały trwały w zamku śpiewne korowody;
By ujrzeć Kołędę, młodź biegała w zawody.
Zasiadła wśród biesiady pierwsza, jak królowa,
I laskawie każdemu majestatu słowa
Wypowiedziała. Chciała Sapucha pod ziemię
Się ukryć, gdzie w ciemnościach mieszka kretów plemię
Ślepe; tak to ją wzrokiem bodły ludzkie oczy.

Tymczasem słońce koło swe wielkie zatoczy
Ku Zachodowi; wieczór już bliski nastaje.
W sali tronowej ręką znak milczenia daje
Kołęda; wstaje z tronu, między ludzi schodzi —
I takimi słowami w złą królowę godzi,
Co stała tam na dole srodze zamieszana:
„Na dzień tylko zajęłam koło twego pana
„Miejsce tobie należne. Chciałam zetrzeć rogi
„Twojej dumie. Na wieki rozchodzą się drogi
„Nasze. Powracam w wody moje i przywdzieję
„Nazad postawę żabki. Tegoroczne dzieje
„Tobie będą nauką; może cichsza będziesz,
„I rozum lepszy odtąd, królowo, posiędziesz.
„Jeśli zostaniesz taką, jakąś dotąd była,
„Ktoś inny cię ukarze; jam tylko uczyła.

„Porzucam zamki ludzkie; już mnie wieczór woła;
 „Pomiędzy siostry, w stawy, powrócę wesola!“

Przystąpiła do Kroka Kolęda i prosi,
 Aby jęj oddał małą skórkę, którą nosi
 Na sobie od rana. Krok ją chwytą za dłonie;
 Twarz cała namiętności dzikięj ogniem płonie.
 „Nie idź!“ zawoła: „bo bez ciebie marnie zginę!
 „W grób mnie zanosą jutro, a ty będziesz winę
 „Niosła mojego zgonu. Tyś mi słońcem była;
 „Nocy nie zniosę, gdyś mi przez chwilę świeciła“.

Kolęda słucha mowy Kroka niecierpliwie:
 „Królu!“ zawoła, „ja się słowom twoim dziwię
 „Nie mało. Poradziłam tobie na twe żale;
 „Żonie dałam naukę; sama się oddałam
 „Nazad tam, z kądem przyszła. Oddaj, com ci dała
 „Rano! Wszakem cię święcie o to zaklinała!
 „W twoich ręku mojego żywota połowa:
 „Nieśmiertelność i czary! — Dotrzymajże słowa!
 „Wszak zwywałeś na świadka obietnicy Boga!
 „Oddaj! Słońce zachodzi! Oddaj! bo mnie trwoga
 „Bierze, żeś ty jest kłamca i żeś rycérz podły,
 „Według Niemieckiej jakiejś, a nie Polskiej modły; —
 „Że ty jesteś niesłowny i godzien pogardy,
 „I że słowo masz kruche, pancierz tylko twardy
 „Na piersi. Nie dręcz! Oddaj! Bo na poły zginę!
 „Nie wiész, o nie wiész, Kroku, jaką straszną winę
 „Spełniasz, gdy mnie przymuszasz, abym tu została
 „Pomiędzy ludźmi“.

Rzekła — głośnie zapłakała,
 Ręce jęj drżały — zda się, że z rozpaczny kona;

Pada na ziemię, jakby sarna przełęczniona
 Na śmierć. A Krakus oczy spuszcza; milczyć musi
 Ze wstydu; wreszcie ledwo te słowa wydusi:
 „Szatę, którąś mi dała, spaliłem dziś rano“.

To rzekł król; i jęk wielki, głośny usłyszano!
 Błada Kołęda padła na ziemię omdlała;
 Sapucha dłoń gryzła w kącie i piekłem się śmiała;
 Krakus szarpał swe włosy — oburącz — szalony.
 Orszak Kołędy uszedł w żabki zamieniony;
 Każda dziewica białą postać swą zmieniła,
 I w oczach dworzan, z izby żabką wyskoczyła.
 Słońce zaszło za góry. Kołęda powstała; —
 Błada była, jakby słup z lodu była cała,
 Ręce na piersi białe cicho założyła
 Odtąd jak posąg niemy między ludźmi żyła.
 Posłuszną Krakusowi Kołęda bywała
 We wszystkiem; tylko nigdy się nie odezwała
 Słowem, na jego mowę. Rozkaz jego zgadła
 Każdy, nie wymówiony jeszcze, — lecz nie siadła
 Nigdy na przeznaczoną dla Żywy stolicę;
 Gdy królowę spotkała, uchyliła lice
 Pokornie; — bo chciała być na zamku li służą. —

Naród widząc, że Krakus żonę pojął drugą,
 Stronił od dworu. Puste bywały komnaty;
 I choć Krakus był w skarby i włości bogaty,
 Chociaż ramieniu jego nie zabrakło sławy,
 Choć zwycięskie na kresy prowadził wyprawy,
 Chociaż sądził i rządził, wielce nieszczęśliwy
 Był kochanek Kołędy — kłamca — a mąż Żywy.
 Jedna żona milczeniem mu czyni wyrzuty —
 A drugiej płaczem głośnym dzień każdy zatruty;

Czy Krakus spać się kładzie, czy téż z łoża wstaje,
Zawsze pani Krakowa jego z płaczem laje.

Nawet sługi uchodzą z dworu nieszczęsnego;
Już tylko strażę chłopskie wież Wawelu strzegą —
A król własnemu słowu już nie daje wiary; —
Dom jego więzieniem.

Chcąc ujść domowej kary,
Z chłopstwem w lasy uchodzi, i wyprawia łowy,
By szumem smętym lasów myśli wyгнаć z głowy,
Co pajęczyną duszę jego zaciagnęły.
Odkąd porą zimową tęgie mrozy wzięły,
Krakus się wyniósł z zamku; na straży zostawił
Czuryle wojewodę, — by na grodzie bawił
I narodem rządził; sam już zamieszkał w lesie.
Do puszczy goni dzikięj, ten któremu rwię się
Wszystko doma; — do puszczy do legowisk zwierza,
Po śniegu białym, Krakus konno z chłopstwem zmierza.

* * *

Była straszna zawieja, jaka w Marcu bywa.
Śniegu wielka powierzchnia burzy się, jak żywa
Fala na morzu; ledwo dostrzeżesz na stepie
Gdzie niebo a gdzie ziemia. Jakby skrzydłem trzepie
Trupiem śnieżnica; w górę wznosi trupią głowę
I wyje; — ten zrozumie wycie, kto zna mowę
Upiorów. Na sto kroków nie widać już świata
Na polu; tyle śniegu kołuje, ulata;
To góry wielkie sypie, to je znów rozrywa;

A biały obłok śnieżny nieba sklep zakrywa
Całkiem, i aż na ziemi się kładzie.

Wśród lasu

Grania trąby nie słyszysz od wichrów hałasu;
Bo choć na dole, pośród gąszczy jeszcze cicho,
Z drzew wierzchołkami dziwny płas wyprawia лихо;
Chwyta je, ręką swoją trzęsie, zgina, łamie,
Aż jęczą grzmotem drzewa. Czasem wichru ramię
Pień dębu stuletniego wyrwie, i z posady
Swojej zwali na młode pośród puszczy sady
Drzew; i naonczas trupa moc wśród lasu legnie;
Olbrzym padając drzewa złamie, splecie, zegnje,
I drzew tylu upadkiem zwierza moc zawali.
Jęk drzew i zwierza echo gdzieś powtórzy w dali,
A myśliwy złękniony, co tchu goni w pole;
Woli już widzieć wichru na stepie swawolę;
Woli, aby go mrozem w twarz zmarzniętą piekło,
I oczy zasypało, — byle się uciekło
Z matni, co w lesie śmiercią grozi.

Towarzyszy

Ślad Krakus zagubił. Koń parska, wacha, dyszy
Ciężko, — czasem ze skargą zarzy; a drży cały
Pod królem; czasem cwałem goni. Zajęczały
Drzewa na nowo — a koń jak nie żywy staje.
Lęk minął; głowę spuszcza, — idzie. Wiatr ustaje
Na chwilę, — cicho, — koń łeb na nowo podnosi, —
Puszcza się klusem znów, i wicher o litość prosi.
Krakus na koniu siedzi w szubie przelękniony,
Skostniały; puszcza cugle; w jakie zechce strony
Koń go poniesie.

Nagle koń przed chatą stanie.

Ogień błyszczący przez okno; słyhać psa szczekanie.
Krok rad odetchnął; z konia swego szybko zsiada,
I w okno zakołatał; a z głębi zagada
Głos ludzki niewyraźnie, wichrem przygluszony.

Drzwi chaty odchylono cicho; w sieni wrony
I sowy chórem wrzasły; — koń spłoszony skoczył,
A Krakus widok dziwny w głębi chaty zoczył.
Było jasno — czerwono; płonął ogień w piecu
Wielki; w koło po ścianach, na skrzydlatym wiecu
Ptactwo siedziało czarne. A w dole na toku
Lepianym, skrzydła, nogi i głowy w natłoku
Dziwnym pełzały; każdy kawał żył z osobna;
Różnym głosem wrzeszczały głowy; niepodobna
Głosy owe rozróżnić srodze pomieszane. —
A kościotrup ludzki spał się o białą ścianę
W kącie chaty, i śmiał się; jego chichotanie
Głośniejsze jak wrzask ptactwa. Drapią się po ścianie
Nietoperzów wieńce. Strach patrzeć na te dziwa!
Na piecu kocioł kipi.

Dziewka urodziwa

W chłopskiej odzieży siadła na drewnianej ławie;
Szyja jój biała błyszczy w koralu oprawie
Bogatěj. To Welinda. Z matką do tój chaty
Przybyła i tu mieszka; mędrsza jak przed laty,
Już dorównywa matce; czarów moc poznała
Już dobrze. Dzisiaj Jaga z wichrem uleciała
Pohulać, a Welinda sama w chacie siadła.

Krakus dom czarownicy poznał. Twarz mu zbladła,
Gdy ujrzał owo wstrętne mrowie; lecz tój nocy

Wicher na dworze władał w tak straszliwej mocy,
 Że nawet paszcza czarta wyda się ochroną,
 Przed mocą dusicielki zimy rozwściekloną.

Welinda z ławy wstanie, panu się pokłoni
 Kornie, a potem całus złoży mu na dłoni
 I na kolanach, wreszcie do nóg mu upadnie,
 A z ziemi wstawszy, króla w te słowa zagadnie:
 „Nie wiem, królu, czyś sługę twoją poznać raczył.
 „Raześ mnie jeden pierwój w twém życiu zobaczył;
 „Ja to pamiętam dobrze, bom w ciebie patrzała
 „Jak w zorzę; przy mnie siostra moja biedna stała
 „Sapucha; Ale dla nas ty nie miałeś oczu,
 „A wzrok twój tonął w Żywy źrenicy uźroczu.
 „Trzecią widziałeś tylko siostrę; twoją żoną
 „Jest teraz i królową. Chatę opuszczoną
 „Zostawiłyśmy we wsi; nieznośną nam była,
 „Bo tam po tobie nazbyt jasna pamięć żyła.
 „Myśmy do boru uszły, by zapomnieć w borze.
 „Siostry wielkie tęsknoty zatopilo morze,
 „I z tęsknoty umarła. Przy życiu zostałam
 „I pociechy w zaklęciach i wróżbach szukałam.
 „Warzę tu ciągle zioła i zgaduję z pary,
 „Co się dzieje na zamku w Krakowie. Więc czary
 „Te kocham z całej duszy. Toć one o tobie
 „Mówią mi: o twój chwale, radości, żalobie;
 „Každy dzień życia twego poznałam dokładnie,
 „I wiem, że teraz tobą złe zaklęcie władnie.
 „Moja siostra przez ciebie w zamku opuszczona,
 „A miejsce jej należne wzięła inna żona;
 „Przyszła w postaci żaby, czarem cię owładła,
 „Myśl twoją zamąciła, a serce ukradła;
 „A teraz wciąż milczy, jak posąg przy tobie;

„I odkąd na Wawelu bawi, jakby w grobie
 „Tak smutno tam na zamku. Ty szukasz zabawy
 „I zapomnienia w lesie. Nie wiesz, jakie sprawy
 „Dziwne Kolęda iści teraz. Ja nie powiem,
 „Bo na wieść samą ciału tobie ścierpnie mrowiem.
 „A teraz, królu, siadaj na drewnianej ławie;
 „Misę ubogą jadła przy tobie postawię;
 „Konia uwiążę w sieni i rzucę mu ziarna.
 „Mniejsza, co w zamku sprawia tam zmora cmentarna,
 „Kolęda z żaby rodem; siostrę pognębiła! —
 „Mniejsza, jakie tam dziwa Polsce urodziła
 „Na zamku! Spocznij, królu, u Welindy w chacie!
 „Tyś zwykł sypiać na puchu i leżyć w szkarłacie,
 „Na złotem łożu; tyś zwykł i jadać na złocie;
 „Daruj, że biędą raczę, w téj leśnej prostocie,
 „Ciebie, królu. Czém chata bogata, tém rada“.

Krakus zdziwiony słucha słów Welindy; siada
 Na ławę zmęczony, a przemrożony, senny.
 Welinda daje misę, daje placek pszenny
 I piwo w dzbanie. Sama konia przywiązała
 I ziarna jęczmiennego miarę posypała.
 Ptactwa członki rozdarte, spać poszły w kąt chaty,
 I już umilkł pod stropem żywy lud dzióbaty
 Ptaków. Kot czarny mruknął i usnął na ziemi.
 Król piwo wypił. Piwo mocy niedobremi
 Myśl mu zaczyni; bo to piwo czarowane,
 Z umysłu Krakusowi przez Welinę dane;
 Kto piwo takie pije, ten wszystkiemu wierzy,
 Co mu powiedzą.

Kiedy u końca wieczery
 Był Krakus, w te Welinda ozwała się słowa:

„Piękną była Kolęda, i słodką jój mowa.
 „Więc nie dziw, królu, że ci serce omotała,
 „I że twą wolą władła czarodziejka biała!
 „A lepij, abyś teraz nie wiedział o płodzie
 „Ohydny, jaki zrodzon przez Kolędę w rodzie
 „Twoim“.

Krakus słuchając, wlepił swoje oczy
 W twarz Welindy i rzekł: „Jak robak, tak mi toczy
 „Myśl, słowo twoje. Nie praw zagadek! Powtarzasz,
 „Że coś straszno rodzi Kolęda. Tak stwarzasz
 „W myśli zamęt straszliwy. Powiedz prawdę całą!
 „Pewnie od niej gorszym jest to, co przeleciało
 „Mi przez serce po twojej zagadce“.

Król pyta,
 A wicher tam na dworze chatę w ręce chwytą
 Swoje, jęczy i wyje, i tak zatrząsł chatą,
 Że mało niewzleciała z zawieją skrzydlatą
 W dal, wirując po stepie. Ptactwo zakrzyczało,
 Ogień przygasał na chwilę, potem ścianę białą
 Znow rozświecił, i znowu w chacie cicho było.

Welinda nieruchoma, niezłęknioma siłą
 Burzy, pośrodku chaty stoi i uklada
 Ręce na piersi; w króla patrzy; wróżąc gada:
 „Tam w zamku dziś tobie syn, Krakusie, narodzon.
 „Strach powstaje z kołyski, a Polsce pan splodzon,
 „Co z żaby jest. Tam w zamku dziecko teraz kwili
 „Miłości dla żon dwojga, — syn przeklętej chwili,
 „I grzechu syn. Twarz starą ma złego człowieka,
 „Lecz zamiast oczu węgle zawiera powieka
 „Płonące; szpony smocze z kołyski wyklada; —

„Ciało ma długie węża; po niemiecku gada,
„Odrazu wyuczone“.

Słyszac takie słowa,
Dusza w Krakusie z gniewu rozplonac gotowa.
Szuka oręzu swego rękojeści dłonią; —
Usta jemu zadrzały, żyły ponad skronią
Się wzdeły; pomstę woła na Kolędy głowę, —
Wikła wyrazy, — prawie już postradał mowę.

Ze słów zawilych wiedźma Welinda odgadła,
Co usłyszana hańba jemu w serce kładła;
Nie zmieniawszy postawy, nie zmieniając głosu,
Dalej tak mówi: „Można zetrzyć z twego losu
„Tę plamę niegodziwą; — można oto ninie!
„A jeśli ty zezwolisz, sama to uczynię.
„Mam ja w tej izbie konia, którego dosiędę:
„Przez straszną zawieruchę na nim lecieć będę
„Na Wawel; za godzinę tam na zamku stanę.
„Daj tylko w moje ręce twym dworzanom znane
„Znaki twego rozkazu. Wziąwszy znak do dłoni,
„Welinda z zamku twego poczwarę wygoni,
„Co ród twój hańbą wielką szarpać przeznaczona;
„Chociaż jej niesłyszała, a przecie wykona
„Wolę twoją o królu, bo wszystko zgaduje
„Czarem, co światy widzi, i słyszy i czuje
„Myśl ukrytą w milczeniu“.

Tak mówiac swe dłonie
Wyciąga do Krakusa — a z ognia, co płonie
W piecu ogromnym taka na nią jasność pada,
Że ogniem się wydaje sama — jędza blada.

Krakus wzrokiem zmożony Welindy znahory,
Z palca kamień czerwony zdjął, na którym wzory
Różne wyryto; do rąk jój znaki oddaje.

Welinda się uśmiechnie, — koło ognia staje,
Wielką łopatę bierze, tam wspartą o ścianę,
I do niej mówi jakieś wyrazy nieznane.
Ledwo skończyła, a zgrzyt głośno się odzywa; --
Łopacie rosna nogi, zęby, ogon, grzywa.
Dziwnie narzędzie martwe postać swoją zmienia;
Nie koń to i nie pajak, — rumak potępienia!
Głowa ogromna, płaska i zawsze drewniana,
Oczy jak dwie latarnie, z pyska cieknie piana,
Nóg osiem długich, dołem kończą się w kopyta. —

Krakus się zląkł. Welinda za grzywę stwór chwyta,
I nań wyskoczy, wyjąc. Wiatr wielki się zrywa.
Za chwilę tysiąc iskier w burzę się dobywa,
Z pod strzechy chaty, a wśród iskier jasnych roju
Wyleciała Welinda.

Został sam w pokoju

Krakus; nierad sam z siebie, — coś złego przeczuwa;
Chciałby się zerwać, ale stopy mu przykuwa
Do ziemi piwo wiédźmy, — ława ciało trzyma;
I choć się wola króla przeciw temu zżyma,
Usypia. Koń zarżał. Na dworze zaświstało,
Jakby wichur chciał zburzyć wściekle ziemię całą.

*

*

*

W noc tę burzliwą, straszną, radość zawitała
 Do komnaty Kolędy. Tam dziecina biała
 Na Wawelu zrodzona; królewę przecudne,
 Chłopię takie urocze, jak szczęście uludne,
 Co się czasem zaśmieje ludzom, zanim padnie
 Grom na ich głowę. W izbie matki światło władnie
 Złote, co z głowy dziecka cichą strugą płynie;
 Stara przy łożu baba wróży, że zasłynie
 Dziecko owo świetlane na szerokie ziemie,
 Że jego chwałą będzie się cieszyło plemię
 Ludzkie, tak jako światłem ninie ucieszone
 Ściany komnaty. Matka ciągle patrzy w stronę
 Dziecka; dwie łzy spłynęły po wesolej twarzy; —
 Snać przeszłość zapomniała, o przyszłości marzy,
 Szczęśliwa że jest matką. Dziecko dać kazała
 Na łoże; przymówiła; a dziecina mała
 Cudem się śmieje matce. Wszyscy w całym dworze
 Czują że teraz miną długie gniewy Boże,
 Że radość w zamku wstanie. Nawet zamku strażę
 Głośno się teraz śmieją, że dziedzica w darze
 Krakusowi Kolęda czarodziejka niesie;
 I tylko żałowano, że król bawiąc w lesie
 Na łowach, o szczęściu swém niewie sam.

Królowa

Chodzi po swęj komnacie, świat przekląć gotowa.
 Drzwi i zamki zaparła; ścisła pięście gniewnie; —
 Naród śmieje się w mieście; — ona płacze rzewnie.
 Wnet godzina wybije, w której przemieniona
 Będzie nazad w Sapuchę Krakusowa żona.

W sieni zamku ponury siedzi wojewoda
 Czuryło. Przykrzy mu się oddawna niezgoda

Pomiędzy jego siostrą a królem. Królowej
 Brat jeszcze ma buławę. Łaskawemi słowy
 Do niego król nie mówi dawno. Łacno zgadnie,
 Że przy dziecku Kolędy Czuryło przepadnie.

Wtém drzwi duże od sieni z trzaskiem otworzono;
 Weszło do sieni dziewczę z szyją ustrojoną
 W korale. Zdziwiony Czuryło poznaje,
 Że to Welinda, jego siostra, przed nim staje;
 Brata nie wita; pieczęć w jego ręce kładzie;
 Pieczętka na krwawniku w złocistej osadzie;
 Pieczęć królewska Lecha już własnością była,
 Gdy rządził Polską; z nią to rozkazy przysła
 Najświętsze Krakus. Powstał kornie wojewoda
 Na znak ten.

W te doń słowa rzecze siostra młoda:

„Nie pytaj zkąd przybywam? Rozkaz mam od Kroka.
 „Śmierć na krnąbrnych przyniesie najmniejsza przewłoka
 „W spełnieniu rozkazu. Idź, weź z sobą żołnierzy,
 „Pójdź do komnaty, w której Kolęda dziś leży,
 „I każ za drzwi wyrzucić i matkę i syna!
 „Nie pytaj jaka tego rozkazu przyczyna? —
 „Nie pytaj, kędy Krakus dzisiaj w nocy bywa? —
 „Idź, spełniaj rozkaz co tchu, bo inaczej Żywa
 „I ty głowę położą!“ Tak się odezwała
 I czekając posłuchu, przed swym bratem stała.

Czuryło przetarł oczy; — ledwo oczom wierzy; —
 Jednak z pieczęcią Kroka idzie do żołnierzy,
 I rozkaz im powtarza, a znak pokazuje,
 Którym Krakus dziś radość narodu zatrjuje
 Swojego. A żołnierze słuchają, — bo muszą.

Welinda biegnie do swéj siostry z czarną duszą,
 Do Sapuchy. Kołacze o drzwi. „To ja!“ woła,
 „Wieżę niosę. — Puszczaj siostró! bo to wieść wesółá,
 „Nieraz o téj godzinie do mnieś przyleciała
 „Ze skargą na Kolędę. Już pomsta nastala!
 „Oto z łóza żołnierze Kolędę wyrwali,
 „W ręce jéj dali dziecko, któremu się pali
 „Słońcem głowa. Już mówi, już niemilczy, dumna;
 „Strach jéj, że dziecko weźmie wielka zimy trumna
 „W swe objęcia kościane; załamuje ręce, —
 „Błaga o litość strażę, i o dziecka męcę
 „Im opowiada, łkając; — jakby żołnierz wołę
 „Miał! Już ją wiodą teraz, i w żelazném kole
 „Zbroi żołnierskich, idzie przez sień, nieszczęśliwa
 „Matka, na zawieruchę, a wicher się odzywa
 „Na dworze świstem, aby jéj powitać syna.
 „Otwieraj, siostró, radość dla nas się zaczyna!“

Sapucha drzwi otwarła; we własnej postawie
 Siostrę swoję uściska — zaśmieje się sprawie
 Złéj; i zachichotały obie. W oknie stają,
 A oczy, jak u kotów w ciemność wyglądają,
 Płonąc. Wyją z radości.

Coś tam zapłakało.

Kolęda na dziedzińcu tam z dzieciną małą
 Stoi, a wicher śniegiem kołuje dokoła.

„Hejże na pohulankę!“ Sapucha zawoła:
 „Lećmy!“ Trzykroć klasnęła, wyjąc, w swoje dłonie,
 I wraz z siostrą Welindą w zawierusze tonie.
 Obie postać przybrały straszną: długie szpony
 Z rąk im wyrosły; z tyłu zwiesiły ogony

Smocze; — przestraczem zieją. Welinda dosiada
 Konia swojego; siostra Sapucha rozkłada
 Skrzydła niedopérza. Ich głosem przywołana,
 Jaga na wicherze jedzie; — a z rozkazu pana
 Czarnych mocy, Popiela, od mrowia się roi
 Dokoła: tutaj wielka, biała mara stoi,
 Wśród śniegu, jak słup śniegu; a tam dalej szczeka
 Sfora psów czarnych; to znów kościotrup człowieka
 Ogniem zieję z kościanej i skrzypiącej szczęki.

Kolędę opadają wszystkie owe lęki
 Piekielne, rycząc; ona, z dzieckiem na swém łonie,
 Leci przez wicher porwana; — przez powietrzne tonie
 Leci; śnieg wkoło płąsa; więdźmy swoje ręce
 Ku niej wyciągają; śmiech zimę budzi. W męce
 Matka z zimna kostnieje, i daremnie tuli
 Dziecko swoje drzące do zmarzniętej koszuli.
 Wichr hula; ziemia skrzepla już na trupa czeka.

Wtém, — na kształt ogromnego światów trumny wieka,
 Powstaje coś czarnego; świata pół zakrywa; —
 Przeciw śnieżnicy białej czarna noc się zrywa
 Do boju; — na Kolędę idzie. — Już ją wkoło
 Otoczyła. Została pośród ciszy. Czolo
 Dziecka płonie wśród nocy jasno. Pościelono
 Pod Kolędę lożnicę, nocą obwieszoną
 Dokoła. Jakies biedną wybawiły moce,
 I z dzieckiem śpi spokojnie pośród zbawczej nocy.
 Z chmury dla niej powstała przestronna komnata,
 Która wśród zawieruchy spokojnie ulata
 Ponad morze północy. Dołem szumi fala,
 Sapucha i Welinda patrzą z brzegu, z dala, —
 Jak obłok ulatuje. Uszła im ofiara!

Zgrzytnęły obie, — a ich matka, Jaga stara,
Zawoła: „A do domu! Niech tam sobie chowa
„Dziecko swe w obłoku! Leć nazad do Krakowa,
„Sapucho, tam w dzień jasny będziesz królowa.
„Mniejsza tam że Kolęda w obłok się schowała!“



PIEŚŃ III.

ZWYCIĘZTWO POPIELA.

Nad ranem zawierucha ustala zimowa ;
Słońce zeszło ; a w chacie u Welindy sowa
Za piec spać poszła. Krakus się zbudził na ławie ;
Spojrzał dokoła, ujrzał mrowie, i o sprawie
Wczorajszej wspomniał. Coś się w nim serce ścisnęło. —
Na pole spojrzał. Widział, że mu pierścień wzięło
Licho, — że prawdą było, co się wydarzyło
Wczoraj, — że rozkaz wydał, — że to się nie śniło,
I że gdzieś czarownica z wichrem poleciała,
Aby zgubić Kolędę.

Grozą chata cała

Jak piérwój zalegała. Woła swego pana
Rżeniem koń Krakusowy. Oblała go piana
Całego, jakby był sto mil przeleciał w nocy ; —
Snać, że go biesy miały w swojej wrogiej mocy
Na tym noclegu ; snąć tak w nocy dosiadały,
Że bokami robił, i że od potu biały
Był. Gdy go ujrzał Krakus, drżały pod nim nogi,

Baśń nad Baśniami.

I ledwo żyw się wydał jeszcze wskutek trwogi.
 A przecie, kiedy Krakus już odwiązał konia,
 I konia wyprowadził na śnieżyste błonia,
 Rad temu bywał rumak. Znów głowę poniesie,
 Ogón roztoczy, lekko szuka śladu w lesie,
 Aby ujść prędzej z miejsca przeklętego.

Z boru

Krok wnet wyjechał. Minał już obłęd wieczoru;
 Pole się uścieliło białe, — na niem słońce
 W śniegu szklistym, błyszczącym swych promieni końce
 Topiło, tak, że morzem klejnotów świat biały.
 W dali wysokie wieże Krakowa jaśniały
 Śniegiem pokryte.

Krakus wjechał wnet do grodu;
 Po wszystkich rynkach stały tam kupy narodu
 Milczące. Przed swym panem czapki zdejmowały; —
 A przecie milczał czegoś w mieście naród cały,
 Kiedy Krakus przejeżdżał. Król owe milczenie
 Zrozumiał nadto dobrze. Wjechał poprzód sienie
 Zamku. Konia odebrał giermek ulubiony,
 I do stajni prowadził, — a w zamek złożony
 Poszedł król. Milcząc wszyscy króla przyjmowali
 Z pokłonem.

Krakus poszedł do sypialnej sali
 Swojej; szubę swą rzucił, i sługi się spytał,
 Czy wczoraj do zamku gość od niego zawital
 Wysłany? i czy pierścień przyniósł wszystkim znany
 Królewski? i czy rozkaz wykonały pany
 Zamkowe?

Sługa odrzekł, że wygnano wczora
Kolędę w zawieruchę zimową, z wieczora,
Wraz z dzieckiem.

Na to Krakus jeszcze się zapyta,
Jaka Kolędzie straszna poczwara spowita?

Sługa zdziwiony spojrz w oczy swego pana.
Krok pytanie powtórzy: „Wszakżeż niesłychana
„Poczwara, — jakieś cudo, — tū się narodziło
„Z Kolędy? Wszakżeż wczora tu w zamku ożyło
„Obrzydzenie włożone w kołyskę złoconą?”

„Nie, królu,” sługa rzecze: „ze złotą koroną
„Włosów kręconych jasne dziecko narodziła
„Kolęda; był to chłopiec; a promieni siła
„Cudowna cały zamek ustroiła w zorzę, —
„A w ludzką pierś wstąpiło pocieszenie Boże,
„Na widok tego dziecka. Matka mu się śmiała;
„Cieszyły wojewody; głośno czeladź cała
„Śpiewała chwałę twoją i twojego syna.”

Lza słudze w oku błysnie, gdy dziecko wspomina
Owo cudowne. Krakus raz jeszcze się spyta:
„A gdzież to dziecko?” Tak rzekł i odpowiedź czyta
Łakomie w oczach sługi.

Sługa spuścił głowę,
I dał panu odpowiedź, gwałtem cichą mowę
Z piersi wytrącając: „Tak jak kazałeś, panie,
„Matkę wraz z dzieckiem, z zamku, na długie konanie
„Wygnano; pośród śniegu, pośród zawieruchy,
„Błądzą już pewno teraz ich obojga duchy,

„Jęcząc nad krzywdą swoją; — kruki rozszarpały
 „Kości umarłych; grobem dla nich świat ten biały,
 „Zimowy.“

Tak rzekł sługa, a król go uderzył
 W twarz, tak że padł na ziemię, i więcej już nie żył,
 Za prawdę ukarany, po nad miarę srodze. —
 I odtąd zamek cały, żył już w ciągłej trwodze
 Przed gniewem Krakusowym.

* * *

Już odtąd nie chodzi

Krakus na sądy. Odtąd rozpustnicy młodzi
 I bezwstydni jedyném towarzystwem króla; —
 Z rozpaczy Krakus pije, szaleje i hula;
 Głośno powiada, że żyć cnotliwie nie warto,
 I że sumienie jemu z wnętrzości wydarło
 Mocą nieszczęść, na które nie zasłużył sobie.
 Na świecie sobie przykrzy, tak jak upiór w grobie,
 I jakby upiór śmiechem przeraża narody.

Nocy w dnie zamieniając, posiwał król młody;
 Puhar jedyną radą, — przyjacielem trunek;
 A gdy skarbów niestarczy, — pomocą rabunek.
 Między śmieszków i błaznów złoto garścią ciska,
 A skoro jemu złota niestanie — uciska
 Naród cały.

Na zamki panów murowane
 Wdarły się sługi króla, i w pierś pana ranę
 Zadali śmiertelną. Padł pan zamku w ramiona

Żony zamordowany. Potém przelekniona
 Pani o życie dzieci małych, wszystkie rodu
 Skarby wynosi z tajnych ukrywek

W narodu

Ubogiego obejścia, pod dachy słomiane,
 Idą potém służalcy wybierać nieznane
 Dotąd daniny. Wdowie zabierają krowę,
 Z szyi sieroty zdarli sznurki koralowe,
 Które matka przed śmiercią dziecku darowała.

Przeciw królowi w Polsce jedna kłątwa wstała,
 A woły ciągną codzień pod Wawelu mury,
 Na wozach drabiniastych złota całe góry.
 Polska przedtém od złota płonęła jak zorza, —
 Miodem słodkim splywała od morza do morza, —
 O głodzie chyba w baśni żałośnej prawiono.
 A teraz wszystkie skarby Polski razem płoną,
 Na zamku Krakusowym, krwią zarumienione.

Łzami narodu Krakus ozłocił koronę.
 Sam nie wie, co ma począć ze skarby swojemi.
 Sługom wiele darował; kazał zgarnąć z ziemi,
 I ponieść na swych plecach, co się unieść dało;
 Wszyscy na ziemię padli, a kilku skołało
 Pod ciężarem łakomym.

Całe trzosa złota

Kazał Krakus na wiosnę zakopać do błota,
 Zaraz po roztali, tak mówiąc: „Niech pod ziemię
 „Złoto idzie, w mrok ciemny! Niech umarłych plemień
 „Umarłe złoto strzeże na moje przybycie!
 „Kiedys się skończy przecie to przekłete życie.

„Pośród ciszy i nocy będę udręczony
 „Wspomnieniem Polski, tronu, kochanki i żony!
 „Wtedy wścieknę się w grobie. Trzeba zapomnienia
 „Wśród szalonego śmiechu, dla mojego-cienia,
 „Tam pod mogiłą. Złotem podle mary kupię,
 „By kłamstwem wyścieliły mi komnaty trupie.
 „Więc niech to złoto, tam pod czarną ziemią czeka,
 „Aż robaki martwego rozloczą człowieka!“

Tak to powiadał Krakus, i pot ludzki krwawy
 Do ziemi zakopywał dla trupów zabawy.
 Potem sobie grób kazał wykopać wspaniały.
 Tam gdzie mnogie narodu wpierw mogiły stały,
 Miał stanąć jeden kopiec, pod chmury wysoki,
 A pod kopcem grób czarny, jak piekło głęboki.
 Zwołano ludzi tysiąc i kopać kazano;
 Kości umarłych, w kupy białe pozrzucono
 Dokola; i mogiła co raz wyżej rosła;
 Wreszcie z ziemi stanęła wieżyca wyniosła,
 Przez ludzi usypana, a kości dokola
 Leżały niegrzebane. Nocą czaszka woła
 Każda o pomstę; jęczą złamane piszczele,
 I skargę słyhać w szarym po trupach popiele.

Wiosna przyszła. Śniegu już w Polsce nie stało,
 I codzienn wyżej słońce po niebie jechało;
 I niesłychana w Polsce nastąpiła pogoda.
 Przez śniegi zasilona, pękła trawka młoda,
 A oziminy sobą pola zaruniły.
 Skowronek wzleciał z piosnką; — dzwon to wiosny miły,
 Ludziom; a pierwsze kwiaty główki szafirowe
 Wesolo wywiesiły ponad trawki nowe
 Kobierce. Lecz nie długo to wesele trwało.

Słońce co dnia jednako na niebie jaśniało;
 Nigdy plamki na niebie żadnej niewidziano,
 I niebo jedną było, jednostajną ścianą
 Błękitu, nielitośnie, ponad ludzi głowę,
 Zgiętą w sklepienie światła, w stalową podkowę,
 W znak straszliwej posuchy. Przedwcześnie upały
 Ptakom milczeniem, śmiercią dla roślin się stały;
 Trawy uschły, przedczasem pożółkniały zbcza,
 Drzewa nie pękły nawet; od morza do morza
 Polska się stała trupem; a tumany piasku
 Tańcząc, ludziom o głodzie prawily, wśród blasku
 Nielitośnego słońca. W polu życie kona,
 A w piersi ludzi wszystkich nadzieja stracona.

„Krok winien, Krakus winien!“ cały naród woła!
 I cizbą głodną Wawel obstał dokola.
 Dziecko u piersi uschłój swojej matki kona,
 A dziewczyny młodej twarz głodem obczerniona,
 Jakby pruchno wygląda; pośród niego oczy
 Niby światła cmętarne. Robak naród toczy!
 Starcy stoją wśród tłumu w trupim majestacie;
 Młodzież leży niemocna; jakby w jakiej szacie
 Nadto szerokiej — w skórze własnej chodzą kości.

W królu się wzbudził znowu smętny głos litości;
 Jak niegdyś chciał zestąpić w środek swego ludu,
 Chciał mu podawać radę, chciał mu ulżyć trudu,
 Chciał mu być ojcem znowu i pomocną ręką,
 Dźwignąć z upadku. Wyszedł z zamku; ale męką
 Swoją tak raził króla naród ogłodzony,
 Że król w głos zapłakał. A kłątwy na wsze strony
 Króla oblatywały. Stał w złotej koronie,
 I stał w zbroi skrzydlatej; płaszcz szkarłatem plonie

Na królu. Oczy zakrył; rzesza go obiegła,
 Konając; klątwa straszna z ust narodu biegła
 Na czoło króla.

A tak lud wołał: „Za winy
 „Twoje przekłete, królu, giną wszystkie gminy
 „I wszystkie grody z głodu. Bóg karze nas zato,
 „Coś ty nagrzeszył; klątwą obłożył skrzydlatą,
 „Sępem piekielnym, naród cały. Nakarmiona
 „Złotem ziemia nie rodzi więcej; ziarno kona
 „Pośród roli zakłętój; uschły w sadach drzewa!
 „Tyś kości ruszył z grobów; śmierć przeto się gnięwa
 „Czarna na lud Słowiański, — i śmierć w Raju zgrzyta,
 „I ramieniem kościaném całą Polskę chwyta.
 „Polska z bólu się wije przez ciebie, przekłety!
 „Ziemia kości wydała, a dusze Raj święty
 „Wygonił. Już niewolno umarłym być w Raju!
 „Wyjąc, wracają mary do żywego kraju,
 „I nocą siedą koło twój królu mogiły.
 „Radeby koście grzebać; ale braknie siły
 „Rękom z powietrza, aby nowe kopać groby;
 „Więc siedzą tylko mary, i jękiem żaloby
 „Noc trwożą, albo suche tak składają koście
 „Umarłych, że z nich lepią sobie ciała. Goście
 „Straszne na kraj nachodzą wtedy, i upiory
 „Spruchniałe idą w chaty, w siola, w zamki, w dwory,
 „Od nas żywych głodniejsze. Jeśli kto ukryje
 „Z lat dawnych chleb u siebie, chleb ten upiór wyję
 „Zębem zgłodniałym; a gdy jój nie stało jadła,
 „Do łóżka poszła mara, i na dziecko siadła
 „Spiące; z serca ssala krew. Twoja królu wina!
 „Duma twa i łakomstwo zgrozy téj przyczyna!
 „Ty nas zabijasz; tyś nam winien wrócić życie!

„Przez ciebie śmierć i zgroza rozesłały wicie
 „Swoje na świat szeroki. Napraw zło, coś zrobił,
 „Albo giń marnie! Ty nas wskrzeszaj! Tyś nas dobił!
 „Albo nas ratuj, kiedyś królem tego kraju;
 „Albo umrzesz. Psy pożrą ciało; — nad Dunaju
 „Cichego brzegiem dusza twoja będzie lkała;
 „Darmo na łódź śmiertelną tam będzie czekała;
 „Nielża jej iść do Raju; bo trup niegrzebany
 „Przez ptactwo i przez suki będzie rozszarpany“.

Tak tłum głodny zawołał i cisnął na pana
 Swojego kamieniami; lecz ręka znękana
 Głodem nie miała siły, i nie doleciały
 Kamienie; padły o ziem. Jęknął naród cały
 Raz jeszcze, i raz jeszcze przeklął króla z wraskiem.
 A słońce na to patrzy z niezmienionym blaskiem,
 I swój rydwan po niebie bezobłoczném toczy,
 I skwaru brzemień krwawe na kraj Polski tłoczy.

Wtedy to Krakus w takie odezwie się słowa:
 „Nie płaczcie już, nieszczęśni! Bo rada gotowa
 „Dla was na zamku czeka. Przywrócę wam dolę
 „Dawną“. Rzekł tak i odszedł.

A na spieklą rolę
 Pod zamkiem padło owe pocieszenia słowo:
 Padło na falę Wisły, i na ziemię płową
 Od skwaru, i na naród, co tam konał z głodu;
 I słowo dreszcz nadziei wzbudziło w narodu
 Piersi. Jakieś szemranie przeszło po gromadzie
 Radośne; nowe życie w tej królewskiej radzie
 Świtało; każdy chwycił za nadzieję dłonią.

Tak to powódź zaleje kraj, a ponad tonią
 Samotna wierzba stérczy i gałęzie długie
 W dół spuszcza, patrząc w szumnie rozhukaną strugę
 Wody. Dziecko przez wodę wezbraną porwane,
 Tonie; fala je niesie gdzieś w morza nieznane;
 Fala do ustü leje się śmierci strumieniem;
 Oddech już staje, oczy już się śmierci cieniem
 Do połowy zaćmiły. Rękę ponad wodę
 Trzyma, walcząc z konaniem czarném dziecko młode.
 Wtém ręka owa spotka gałąź wierzby długą,
 Co patrzy na powodzie, spuszczone nad strugą
 Szaloną; palce gałąź chwycą wpół świadomie, —
 Serce chłonie mdłą życia nadzieję łakomie,
 Choć gałąź tak słaba, że lada bąk ją złamie,
 A woda tak jest silna, jak olbrzyma ramię.

* * *

W zamku Krakus szedł prosto do żeńskiej komnaty,
 W której królowa swoje przeglądała szaty,
 Myśląc, co wdziecie wieczór, gdy pośród zabawy
 Śmiechem będzie zagłuszać wszystkie państwa sprawy.
 Bo chociaż naród kona, śmieje się królowa,
 I co chwila zabawa u niej staje nowa.

Krok rzadkim bywał gościem w komnatach królowy:
 Zdziwioną tedy panię temi wita słowy:
 „Lata minęły już od naszego wesela;
 „Wtedy życie kwitnęło; dzisiaj śmierć zaściela
 „Swoje łoże po Polsce; z trwogi schną narody.
 „Dzisiaj mam włosy siwe; wtedy byłem młody
 „I piękny jakby słońce; i wtedy bywało,

„Że tutaj na Wawelu od szczęścia jaśniało.
 „I myśmy się kochali, jak gołębi dwoje;
 „Patrzałem przez dni całe w te tu oczy twoje
 „I dziwną siłę jakąś z twoich oczu piłem;
 „Przy twoim boku, jakoś inném życiem żyłem,
 „Jak zresztą tu na świecie, a na twojej twarzy
 „Uśmiechało się szczęście, co się Bogu marzy
 „Na niebie. Błogosławił nam wciąż naród cały,
 „I w Polsce wielkiej wszystkie twarze nam się śmiały
 „To minęło! przepadło! To się już nie wróci,
 „I wspomnienie szczęścia już tylko gorszą cuci
 „Boleść w pamięci naszej. Nie wiem, czyja wina
 „I nie pomnę od czego się klątwa zaczyna,
 „Co nam tak w złą nienawiść miłość zamieniła?
 „Wiem tylko: w tobie niegdyś dziwna była siła,
 „Wtedy gdy jeszcze jabłoń tam pod zamkiem stała,
 „Cudowna, ozłocona, i kiedy tryskała
 „Woda z Dunaju, z popod korzeni jabłoni;
 „I tyś wtedy stawała pośród jablek woni
 „Jesiennój, i tyś wtedy pieśń boską śpiewała;
 „Wtedy ogrodem była nasza Polska cała
 „W oczach moich. Wtedy to kwiatów, ptaków, cudu
 „Moc jaśniała na ziemi, a szczęście wśród ludu
 „Gościło. Oręż twardniał, a pierzchały wrogie;
 „Kraj mlékiem krwiém splywał, w niebo rosły stogi
 „Chłopskie. Byłem lepszy, a miłość wtedy taka
 „Ku tobie we mnie była, jakby piosnka ptaka
 „Wiosenna!“

Krakus skończył, a jego królowa
 Mężowi swemu w takie odpowiada słowa:

„Cóż ci się królu marzy? Pocóż to gruchanie?
 „Wszak co się stało, Kroku, już się nie odstanie?

„Czasu nikt nie zawróci. Już minęła pora
 „Pierwszój głupiej miłości. Wszakżeśmy nie wczora
 „Ślub brali? A co zaszło już pomiędzy nami,
 „Miłość zabiło. Już jój nie wskrzesisz czarami
 „Żadnemi. Dziwnym jesteś królu mój i panie,
 „Że tu przychodzisz“. Rzekłszy koło okna stanie
 Królowa, obrócona do króla plecami.

Krakus odrzekł: „Nie — żono! — nie ta myśl mnie mami,
 „Abym mógł ciebie kochać, jak dawniej kochałem;
 „I wśród nocy ciemnej śpiąc, takich snów nie miałem.
 „Wiem, że przepadło szczęście mojego żywota:
 „Wiem, że wieczór nie wraca nigdy zorza złota
 „Poranku. Tak jak myślisz, nie jestem szalony;
 „Król przyszedł do królowej, a nie mąż do żony.
 „Naród ginie od głodu; ty go karmić możesz.
 „Naród udręczony; kres cierpieniom położysz.
 „Stań znowu z lutnią twoją koło owój wieży,
 „Co u końca prawego skrzydła zamku leży;
 „Stań tam, z kąd znikła jabłoń złota! Poprzed ludem
 „Konającym pieśń śpiewaj! stań się znowu cudem
 „Zbawienia. Zaraz z nieba deszcz na ziemię padnie,
 „Rola zeschła znów pęknie, szczęście ludem władnie“.

Skończył król, a królowa pobladła odrazu
 Jak chusta. Szczęście, że Krok nie widział wyrazu
 Odwróconej żony; bo byłby uczuł trwogę
 Wielką, takie w jój oczach widać było wrogie
 Myśli. Cicho królowa odpowie w te słowa;
 „Alboż o tę hołotę zaboli mię głowa?
 „Niech chłopstwo ginie marnie! Niewielka jest szkoda!
 „Chłopom przypadła nędza, a królom swoboda
 „Złota. Głupi nad miarę i wart śmiechu ludzi

„Król, co dla dobra ludu swój majestat trudzi.
 „Jam dla rozkoszy berło ujęła w me dłonie.
 „Nie pójdę przecie poprzód lud podły w koronie
 „I z gęsłą w rękę, śpiewać jak podrózne dziady.
 „Chcesz narodowi radzić? Szukaj innej rady!“

Krakus słowa usłyszał; wstał na równe nogi:
 Miecza dobył i za kark żonę chwycił. Trwogi
 Krzyk wydała królowa, gdy oręż stalowy
 Przed sobą zobaczyła. A takimi słowy
 Do dumnej téj pani król Polski się odzywa:
 „Ty pożałujesz dumy twój przekłętój, Żywa!
 „Miecz ten już nieraz krew pił. Twoją krew wypije,
 „Jeśli mnie nie usłuchasz. Król dla ludu żyje,
 „A nie naród dla króla. A jeśli królowie
 „Wyrzekną głośno słowa podobne twój mowie,
 „Godni śmierci. Więc masz wziąć twoją gęsł do rękę,
 „I masz zaśpiewać dzisiaj pieśń dziwnego wdzięku,
 „Co Polsce szczęście wróci. Inaczéj zabiję
 „Ciebie, — i to żelazo serce tobie wyje
 „Niedobre“.

Tak to mówił Krakus, i żelazo
 Trzymał u gardła żony. Drżała — a z odrazą
 Nań patrzała tak wielką, jak nienawiść węża,
 Którego mąż rozdeptał, i co godzi w męża
 Stopę, zębem zatrutym.

Ze spuszczoną głową
 Stała królowa; z zębów takie cedzi słowo:
 „Jam posłuchać gotowa. Pamiętaj Krakusie,
 „Żem twój woli uległa; żelaznej pokusie
 „Miecza twego uległam. Ja śpiewać nie chciałam,

„I kłatwie jutrzejszej — nie ja początek dałam.
 „Więc pójdę śpiewać, pójdę zakląć zachód słońca!
 „A ty pauiętaj, że pieśń ta będzie już końca
 „Zwiastunem, posłem śmierci dla mnie i dla ciebie.
 „Ja dziś stanę się płaczką na własnym pogrzebie;
 „Zginę! — ale jam rada, że zginiecie ze mną. —
 „Dziś dla Krakowa przepaść otworzę bezdenną!“

Rzekła, i gęślę w ręce swe białe chwyciła;
 A w jój oczach świeciła czarownicy siła
 Przeklętej. Z gęślą w rękę śpieszyła pod wieżę —
 Na wał, z którego widać całe ludu leże
 Potępione. Stanęła i ręką znak dała;
 Za nią Krakus stał. Ogniem płonęła jój biała
 Twarz, i dziwnie czerwone usta pani drgały.
 U dołu chore ludu tłumy słów czekały
 Zbawczych. Mdły naród kornie do ziemi się skłania.
 Tak to, kiedy w urodzaj, wiatr silny ugania
 Po lanach żytlich, żyto się kłania w pokorze,
 Jak jedno wielkie, płowe, święte, Lackie morze.
 Lecz dzisiaj smutno wszystkie pochyłono głowy,
 Skoro po Polsce zawał trupi wiatr — głodowy!

Pani usta rozwarła; pierwszy głos wydała;
 Nie śpiew to był; to wrzask był; a rzesza tam cała
 Wstrętem przejęta padła twarzą wprzód na ziemię.
 Krakus zadrżał. Tam u stóp pani zbrzydłe plemię
 Gadów zasyczało. Woń siarki kraj zaległa;
 Na niebo ciemność ruda, złowroga wybiegła
 Podobna do pożaru. Krwawe słońce jęko
 Zachodząc; był to taki jęk, jak gdyby pękło
 Niebu serce odwieczne. Wichrem zaszumiło,
 A Krakus poznał, że się potępienie stało!

Teraz królowa ręką po strunach uderzy;
 I głos powstał wojenny, jakby szczęk puklerzy
 I mieczów, pomięszany z jękami konania.
 Krakus się chwieje, ręką oczy swe zasłania
 Prawą, lewą spał się o czarny mur zamkowy; —
 Bo głos gęśli podobnym jest do trupiiej mowy. —
 Takiego głosu człowiek nie usłyszał żywy
 Pierwój. A noc ciemniejsza głodne deszczu niwy
 Pokrywa. Idzie naprzód noc. Strach padł na ludzi;
 Uchodzą z popod zamku; przestrach siłę budzi
 Na nowo w trupach owych; ludzie uciekają,
 A pomiędzy narodem głodnym strzygi stają
 Z chichotem. Pośród zamku, blade wojewody
 W kątach skuleni z trwogi; a piekielne płody
 Dzikie — i obrzydliwe do koła królowój
 Się roją; małpy czarne z węzowemi głowy
 Skaczą po basztach starych; a syczą gadziny;
 Pajaki, jak ptak wielkie, wylażą z szczeliny
 Każdój Wawelu, z ziemi lizą: między niemi
 Króluje pośród nocy — jeden stwór olbrzymi —
 Pająk tak wielki, jak słoń; stanął tam na Kroka
 Mogile, nogi roztacza, w świat patrzy z wysoka,
 Rad ze swojej szkarady.

Na widok potworu

Wisła zapłakała, i czerwienią wieczoru
 Się zarumieniła tak, że wśród ciemnej nocy,
 Jak strugi krwi jaśniała. A Sapucha w mocy
 Swojej czarnej raz jeszcze całym głosem wrzasła;
 Na niebie błyskawica blysnęła i zgasła;
 Noc ciemna po niej jeszcze ciemniejszą się stała;
 Raz jeszcze świat zapłakał

Królowa przestała

Grać; na ziemię upadła jakby jaka kłoda;
 Do umarłej podobną była pani młoda
 Krakowa. Znikły teraz okropne widziadła —
 Małpy i pająki, a Wisła znowu zbladła;
 I cicho jak przed pieśnią po nocy szumiała;
 I noc duszna i ciemna piękną się wydała
 W swoim pokoju. Zamek czerniał się wśród mroku.
 Ludzie odetchnęli i minęła uroku
 Piekielnego moc.

Krakus wstał i szedł do żony.

Leżała na znak. Nad nią stanął pochyłony
 Mąż. Myślał, że umarła. Lecz roztwiera oczy —
 Drgnie cała, jęknie, krzyknie i na nogi skoczy,
 Trzęsąc warkoczem z tyłu; i w te krzyknie słowa:
 „A jakżeż cię cieszyła moja pieśń godowa?
 „I powiedz, czy oddałam Polsce dawną siłę?
 „I powiedz, czy ci granie mojej lutni miłe?
 „I powiedz, czym już kłatwę z twojej Polski zdjęła?
 „Czy ziemia konająca wpiérw, znów odetchnęła
 „Po mojem śpiewaniu?“

Tak to się pani pyta,

A Krok w gniewie oburącz żonę swoją chwyta
 I tak w ramiona ciśnie, że aż jęk wydała.
 „Królowo“ — rzecze — „źleś ty Polsce czarowała!
 „I jam niedobrze czynił, kiedym posłał swaty
 „Po królowę do niskiej, podłej, chłopskiej chaty;
 „I to nie dobre było, że wierzyłem mowie
 „Twojego brata, sługi. Kłamie ten, co powie,
 „Że równe królom dusze w chłopskiem siedzą ciele;
 „A nieszczęśliwym bywa ten, co wierzy wiele.

„Przez ciebie, Żywo, klątwę na kraj ten zaniósłem,
 „A brat twój był w Krakowie śmierci tylko posłem.
 „Żeś była moją żoną, zostawię ci głowę —
 „Lecz turma mocna w nocy zamknie swą królowę.
 „Dasz tu lutnię przeklętą, a jak psa zgruchocę!
 „A brata twojego krwią zamku mur pozłożę
 „Biały!”

Tak rzekł i wołał wielkim głosem straży;
 Przyszły, a piekło całe na królewskiej twarzy
 Przy świetle ich pochodni zapłonęło trwogą,
 Tak strasznie, że zaledwo w twarz tę patrzeć mogą.

Pod Krakusem zadrżały nogi, drżała mowa
 W ustach królewskich, — kiedy w te przemówił słowa:
 „Prowadźcie tu Czuryłę, bo twarz Wojewody
 „Raz jeszcze chcę zobaczyć. Za lata swobody
 „Chcę jemu podziękować! Idźcież, czy słyszycie!
 „Chcę jemu podziękować za szczęśliwe życie,
 „Które on mi sprawił; a w zamian go obdarzę —
 „Królewskim dziękowaniem“.

I odeszły straże.

Królowa patrzy w gniewne oczy Krakusowe,
 I sycząc w oczy jemu ciska taką mowę:
 „Tyś podły i tyś mocny! Wiem ja o tem panie!
 „Wiem także, co się ze mną jeszcze ninie stanie;
 „W noc pójdę — w każdą przypadną; — a mojego brata
 „Tu przedemną twoja dłoń do innego świata
 „Wyprawi we krwi. Pójdzie on w zielone Raje. —
 „Lecz Popiel poszle pomstę na te twoje kraje!
 „Nie darmo jam śpiewała! Złamałam moc twoją!
 „Czarty twego Krakowa więcej się nie boją;

„Popiel zwycięży. — Gdy przez ciebie brat mój skona,
 „Chwała twoja na wieki już będzie skończona;
 „Wyśle mściciela!“

Tak to pani zawołała!

A straż już z wojewodą poprzód królem stała.
 Krakus na piersi ręce swoje w krzyż założył,
 I rzekł do Czuryły: „Ty! Jam przez ciebie dożył
 „Szczęścia wielkiego! Tyś mi dobrą sprawił żonę!
 „Przez ciebie, chamie podły, ja w rozkoszy tonę!
 „Już dawno obiecałem tobie dać podziękę
 „Za czarodziejską siostry twojej, wróżki, rękę!
 „Ty moim swatem byłeś; ty przyniosłeś szczęście,
 „W te progi na Wawelu, przez moje zamęcie!
 „Więc tobie podziękuję!“

Tak rzekł. Jakieś słowa
 Chciał powiedzieć Czuryło. Nie doszła mu mowa,
 Bo zanim co przymówił, a już miecz stalowy
 Krakusa utkwil w piersi jego do połowy!
 Czuryło jęknął; krew mu zpod serca buchnęła,
 I krew czerwona dymiąc pod stopy płynęła
 Króla. Chwilę stał jeszcze Czuryło, a ręce
 Na ranę wśród piersi kładł; twarz mu drgała w męce
 Piekielnój; wreszcie z hukiem padł, i legł nieżywy.

Z usty bladych królowej wstał śmiech niegodziwy,
 Szyderczy. Zawołała: „Że zabiłeś brata,
 „Tobie dziękuję, krolu; bo pomsta skrzydlata
 „Przyjdzie na ciebie. Jam o niego tyle dbała,
 „Co o Marzannę małą. A będę czekała
 „W kaźni na tych gości, co z dalekiego świata
 „Przyjdą tu, przywołane przez mojego brata.

„Posłałeś go do Raju. Brat mój pogrzebiony —
 „Mnie wolność, tobie pomstę poszle w Lackie strony!“

Rzekła i znów umilkła i spuściła głowę,
 By w oczy nie popatrzył król. Podstępna mowę
 Na on czas powiedziała wiedźma niegodziwa.

A Krakus jój uwierzył i znów się odzywa
 W te słowa: „Nie do Raju pójdzie brat Czuryło.
 „Skrzydlate ptactwo jego krew tu będzie pilo,
 „Przed oknem turmy, w której będziesz ty płakała!
 „Zczesznie dziś, ja powiadam, złych czarów moc cała!“
 To mówiąc lutnię chwycił; — cisnął nią na ziemię,
 Że pękła na kawały. „Tak“ — zawołał — „plemię
 „Przepadnie twoje!“

Panię swą zawiodły strażę
 Do turmy ciemnej. Poszła tam w żywych cmentarze;
 Poszła, gdzie noc jest wieczna, i gdzie twarde ściany
 I łańcuchy ciężkie są. Tam dzban ołowiany
 Koło niej postawiono, czarny chléb jój dano.
 Za żywcem pogrzebioną z zgrzytem zamykano
 Drzwi ciężkie i żelazne. Noc ją otoczyła,
 I odtąd, choć dychała, skryła ją mogiła.
 A Czuryło umarły, otoczony strażą,
 W twarz słońca promienistą patrzył trupią twarzą.
 Ład świata przewrócono; umarłym kazano
 Być na świecie, wśród ludzi; żywych pogrzebano.

A choć w ciemności siadła tam Sapucha lęka,
 Przecież jój nie zdusiła złego śmiechu męka.
 Śmiała się. Choć ją ciemność otoczyła wkolo,
 Tam pomiędzy robactwem, było jój wesolo;

Bo wiedziała, jaką myśl Krakusowi dała.
 Przed trupem niegrzebanym siła Boża, biała,
 Dobra i obrończa wstecz z Polski uchodziła;
 Nad trupem niechowanym rosła czarna siła
 Popielowa. Od dawna się cicho wzmagała;
 Teraz już zwyciężyła. I z tego się śmiała
 Ta zła wiedźma, Sapucha, córka potępienia,
 Kiedy z robactwem siadła — tam — w nocy więzienia!

Bo wiele kropli trzeba, zanim pełna miara;
 I wiele grzechów trzeba, zanim spadnie kara.
 Sapucha, kusicielka, już czarę przelała;
 Śmierć szła na naród; — przeto Sapucha się śmiała.

* * *

Pośród czarnej północy siedział Cesarz złego
 W złotój komnacie, której żółte trupy strzegą;
 Usiadł poprzód kotarą w gwiazdy wydzierzganą,
 I czytał w księdze mądrość złą, ludziom nieznaną
 Śmiertelnym. Na twarz piękną króla północnego
 Wystąpił uśmiech; coś mu prawi księga złego,
 Co duszę jego cieszy; a prawi o zgonie
 Słowiańskiego narodu. Więc na czarnym tronie
 Śmieje się piękny Popiel, i księgę odkłada,
 Na bok; a taką mową do czartów zagada,
 Jaką tylko złe czarty wyrozumieć mogą,
 A jakiej ludzie, zwykli z czarną słuchać trwogą,
 Choć jój nie rozumieją, jak Niemców szwargotu. —

Słowa te Żmij usłyszał, co tam leżał w mroku,
 W ciemnym rogu komnaty. Błysło jemu w oku
 Jednym najpierw, a potem oczu czternaścioro

Tak zapłonęło, jak błysk gromu nocną porą
 Wśród burzy. I Żmij siedem wielkich paszcz otwierał:
 Syk jego w ciszę nocną, jakby miecz się wdzierał.
 Popiel słów kilka rzekł do zbudzonego tworu,
 A potem wyszedł na wał wielki swego dworu
 Cesarskiego. Stał tam u szczytu wieżycy;
 A za nim kroczą żółte trupy, wojownicy
 Królewscy, mocą czaru wielkiego zakłęci.
 Gdy surma gra, Popiela złego moc się święci
 Na ziemi.

Wnet Żmij zionął z paszcz swych wielką chmurę,
 Co jak śmierć czarna leci z zamku w dal i w górę,
 Ku południowi; za nią leci Żmij ukryty;
 Z trzęsawisk głowę wznosi naród jadowity
 Gadzin, czekając, czy nie usłyszy rozkazu,
 Gotów świat cały żądłem swém zatruć odrazu.

A Popiel zezwolił, i skinął ręką białą.
 Spróżnie wkoło od gadów ludu zasyczało.
 Główki niepoliczone z rowu zamkowego
 Wyszły, za niemi ciała długie, wąskie biegą
 I błyszczą; śliska skóra kłębi się po ziemi.
 Już w puszcze czarną wpadły; Żmij leci nad niemi,
 Ciężkimi skrzydły bije, ogniem z paszczy zije.
 Popiel z wieży spogląda; trup się za nim śmieje
 Żółty.

Roje robactwa w Polskie wpadły siola —
 A śmierć wnet za ich śladem się ścieli dokoła.
 Nocą wpadł najazd węzów. W rolę się schowały
 Jałową, tak, że we dnie niewidomy cały
 Ten rój. W nocy wśród mroku, leżą w głodne chaty

Kmiecie, i tam kásają. Wleżą popod szaty
 Matki, co dziecko karmi, choć mléka niestało
 W jój piersi. Na pierś wlezie zimne gada ciało,
 W pierś ukási, i dziecko i matkę utruje.
 Trupa zostawi, wyjdzie, ciało długie snuje
 Po nocy, nowych szuka ludzi; znajdzie dwoje.

Choć w kraju głodno: chociaż czarne gody swoje
 Śmierć roztoczyła, młodzi wśród nocy usiedli
 I o przysłem swém szczęściu, zakochane wiedli
 Rozmowy, mocą złudzeń młodzieńczych ujęci.
 Nad uschlą rolą już się młodym calus święci
 Na uściech. Gad powoli lał po chłopca nodze
 Do góry, — do ust doszedł, — i ukásił; — w trwodze
 Wrzaśli oboje. — Daléj pelza gad po nocy;
 Dziewczyzna jęczy; chłopca śmierć ma w swojej mocy
 Kościana. W Polsce śmierć swój tabór rozłożyła,
 A rzesza Popielowa krwią się nakarmiła
 Czarną.

Pod gród Wawelski sam Żmij zleciał duży —
 I pośród nocy swemi pazurami pluży
 W boku góry zamkowej. Staczają się bryły
 Ziemi na dół, do Wisły. Nurty się wznosiły,
 Szumiąc, mętnie do góry, ilekrotnie padła
 Do wody bryła ziemna. Ale światem władła
 Noc chmurna; nawet gwiazdy oko nie widziało,
 Co się tam popod zamkiem na Wawelu działo.
 I Żmij w zamkowej górze zrobił wielką jamę
 I do niej wlał.

A kiedy zadniało, przez bramę
 Domu swojego, głowy wystawił w świat szary,
 A dym i smród zaćmiły wejście do pieczary.

Dym ciężki wzbil się w górę, zaszedł w miejskie mury
 Po ulicach się ścielił na kształt żółtej chmury,
 Co z siarki bucha, gdy kto siarkę w ogień kładzie.
 Długi słup dymu poszedł po skalistym spadzie
 Góry Wawelskiej, zaszedł w dziedzińce zamkowe;
 Dworzanom oczy pali, w gardle dusi mowę;
 Ciurom głowa się kręci, padają złamani
 Na ziemię; czują smrody ciężkie piekła w krtani
 Swojej.

Król smrodem Żmii sprośnej obudzony
 Z łoża zeskoczył. Pośród mgły żółtej, korony
 Swojej nie mógł odnaleść; bo nawet blask złota
 Zaćmił oddech gadziny. Jak piekielne wrota
 Zieją grzechem, tak smrodem ziała paszcza smoka.

Krakus tém odurzony, posłał po proroka
 Zamkowego, i kazał jego pytać o to,
 Jakby ująć przed tym smrodem i przed tą sromotą,
 I przed śmiercią, co siadła na Krakowskim grodzie?

A byłto wróżbiarz wielce sławiony w narodzie.
 Miał na imię Wierzbęta; znał gwiazd korowody —
 I umiał mowę, którą szczebioczą narody
 Ptasie. Nieraz na polu pośród ścierni siadał,
 I w obrotach robactwa bliską przyszłość badał.
 Choć człowiek był już stary, dzielną miał urodę,
 I lice miał rumiane; tylko białą brodę
 I długie włosy białe nosił dla odznaki,
 Że zna obroty ptasie i gwieździste znaki.

Ale dziś zbladł; śnać dławił go śwąd. Wśród mgły szarój,
 W obliczu króla, pośród straży, dziś mdlał stary.

Spytany, spuścił głowę, głaskał brodę białą,
 Wreszcie mówiąc, sam się chwiał, i coś się tam chwiało
 W jego głosie.

Lecz mówił: „Krakus złamał słowo
 „I przeto kłamca teraz jest narodu głową;
 „Spalił koszulkę żabią, za to lud karany;
 „Bo biada narodowi, kiedy kłamią pany!“

Tak wróżbita zawołał; a ostatnie słowa
 Brzmiały tak uroczyście, jakby święta mowa
 Boskiego przeznaczenia. Krwią mu zaszyły oczy;
 Zda się nie widzi, jak Krok wprost na niego kroczy.
 Zda się, że wróżbiarz pijany. Na twarzy Krakusa
 Wstyd płonie; świta gniewna i krwawa pokusa;
 Wąs królewski się jęży, dłoń króla się ściska;
 Jakby wieszca chciał pożreć, tak nań okiem ciska.
 Coraz Krok podobniejszy do głodnego kota;
 Wróżbiarz wydał się myszą, a w królu ochota
 Wstała myśliwska; zaraz na wróżbiarza skoczy;
 I zje go; o tém prawią mu wyraźnie oczy.
 Lecz jęknął stary. Krokiem władnęła moc święta;
 Stał jak wryty.

Głośno zawołał Wierzbęta:
 „Król wygnał niewolnicę, gdy spowiła syna;
 „Bez sądu wygnał w gniewie; gniew złego przyczyna;
 „Bo wtedy narodziła narodowi szczęście
 „Kolęda, na Wawelu zostało zamęcie
 „Złe. Żywa szarą gęsią błądzi ponad falą
 „Morską, wraz z synem twoim. W naród gromy wałą
 „Przez królowę, co w zamku. Jój miano Sapucha;

„Jéj wiano: złego, nieszczęść, śmierci zawierucha!
 „Ale król kłamca, zguby naszéj nie odwróci,
 „I siebie i ten naród cały w paszczę rzuci
 „Śmierci; po zbrodni zbrodnię pełni; złamał słowo!
 „Umrze naród, któremu bywa kłamca głową!“

— Skończył Wierzbęta. Krakus gniewnie tupnął nogą —
 I temi słowy głosił swoją wolę srogą
 Dworzanom: „Pies ten szczeka głośno. I tak dola
 „Narodu jest nieznośna. Gdy jeszcze swawola
 „Wierzbęty bunt roznieci, naród ten przepadnie.
 „A teraz niechaj wróży, niechaj to odgadnie,
 „Pies stary szczekający, z czego dymu chmury
 „Wyszły, co się ze smrodem z dołu pną do góry
 „Po stokach Wawelu! Niech co tchu odpowiada! —
 „Czy prawdę odgadł, zaraz potém sam wygada!
 „A lepiej, niechaj milczy! Kłamstwa słuchać nie trza.
 „Z ptakami przywykł gadać; niechże wśród powietrza
 „Wraz z ptakami polata. Chwycicie starca ciury!
 „Podrzucie go wysoko, ponad zamku mury!
 „Niech leci; niechaj w ognia słup śmiertelny wpada!
 „I niech ze śmiercią, tam o kłamstwach moich gada!“

Tak to Krakus zawołał; służba słuchać zwykła. —
 Postać starca rzucona w górę, w dymie znikła
 Gęstym. Giermki patrzą przez strzelnice zamkowe,
 By śmierć straszną oglądać. Widzą dziwo nowe:
 Dym się rozszedł — Wierzbęta leci wśród pogody
 Poza murem zamkowym, ponad Wisły wody.
 Lecz z boku góry, w miejsce ciemnego obłoku,
 Wyszło siedem łbów Żmija; każdy śmierć ma w oku,
 A syk straszliwy w paszczy. Wyszły lby poczarne
 Z ziemi; na nich z łusk wzory zielone i czarne

Świecą się; na nich stoją najężone rogi;
 A z nich na świat wychodzi w dal potęga trwogi.
 Piorunem wyciągnięta jedna długa szyja,
 Za starcem poleciała; — już go chwycił Żmija.
 Starzec jęknął; a kości jego raz chrupnęły,
 W paszczy potworu. Naród w górze lęki wzięły
 Wielkie, i dwór Krakusa na twarz upadł cały; —
 Bładly lica, ćmiły się oczy, serca drżały.

Wreszcie wstali dworzanie; z podziwem ujrzeni
 Powietrze czyste; dym po mieście się nie ścieli
 Więcej; można oddychać. Potwór najedzony
 Przestał ziać ogniem z paszczy. U góry, czerwony,
 Święty blask słońca przedarł się nawet przez parę,
 I nad głową ujrzano, jakby słońca marę
 Walczącą z ostatnimi już kłębami kurzu.
 Cieszył się zatem lud na zamkowym podwórzu
 I w mieście, że śmierć starca Żmija nakarmiła.

Lecz po godzinie para stęchła znów się wzbila
 W górę; wstało nieszczęście; miasto się przyćmiło,
 I znowu w Krakowie tak, jak w piekle jakim było.
 Gorzej było. Grzech pośród ludu wstał straszliwy;
 Zrozumiano, że człowiek, co poleci żywy,
 Z zamku rzucony w paszczę ogromnego Żmija,
 Swoją śmiercią zagasi dym ten, co zabija
 Lud, na całą godzinę. I okropność wstała
 W mieście ostatnia. Ludu ciżba wściekła cała,
 Co godzinę pochwyci kogoś pośród siebie,
 Na mur wywleka, w paszczy wielkiej Żmija grzebie.
 Darmo błaga ofiara; samolubne tłumy
 Jęków nie słyszą; martwe serca, a rozумы
 Szukają tylko chwili króciutkiej wytchnienia.

Gród samolubny dojrzał już do potępienia.
 Syn na ojca, na dziecko matka wzniosła dłonie;
 Po ulicach krzyk słyhać ciągły; w zbrodni tonie
 Miasto. Powietrze pełne jest grzészego tchnienia;
 Śpiąc nawet, czujesz, żeś ty w grodzie potępienia.

* * *

Nocą, na łożu leżał Krakus rozbudzony.
 Wśród zgrzytu dni dzisiejszych, myśl mu uszła w strony
 Młodości błogie. Myślał jak szczęście przepadło;
 Wątpienie dziwne jakieś sercem jego wladło.
 Dawno nie wierzył, by tak naprawdę być mogło,
 Żeby u Żywy cnotę takie zło przemogło
 Nowe. Wierzbietę zabił w gniewie; ale słowa
 Wierzbiety weszły w serce króla; wieszczka mowa
 Budziła wciąż wątpienie, budziła nadzieję,
 Że nie Żywą ta wiedźma, co się piekłem śmieje
 Tam w turmie. Że gdzieś znikła zopprzed oczu Żywa
 Wraz z drzewem i ze źródłem i z pieśnią.

I zrywa

Się król z łoża, i chodzi po komnacie dużej;
 A myśl mu, za Wierzbietą, wciąż o Żywie wróży;
 Sumienie jego kąsa; trupy nań wołają,
 Tych wszystkich których zabił, którzy w nocy stają
 Przy nim, z piersią skrwawioną. Zda się, że gdzieś słyzy
 Głos Kolędy, wraz z głosem dziecka, co tam dyszy,
 U jej umarłej piersi, samo już nieżywe.
 Wierzbiety mara wróży miota niecierpliwe
 Przeciw królowi, ręką kości stos wskazuje
 Niegrzebanych, i naród, którego tak truje

Grzech królewski, że pada nieżywy dokoła,
I w śmierci, za grzech króla, pomstę z nieba woła.

Wśród głosów wielu, z turmy zaleciał nieświęty
Chichot królowej. W czoło bił się król przeklęty,
Słyszac śmiech więdźmy; patrzy w ciemność; widzi marę.
Czuryły. W oczy spojrzę jój — i woła: „Karę
„Poniosłeś ty słuszną, za mowy twe kłamliwe,
„Za to, żeś chwalił złotą, a dał czarną Żywę“.
Tak krzyknął Krakus, rozmawiając z marną
Mrzonką własnej myśli i z ułudą cmętarną,
Z niçością wymarzoną, co w nocy stanęła
Przy nim, gdy go sumienia złego męka wzięła.
Sam krzyczał pośród nocy. Ale przed nim stała
Mara mordowanego, z plamą krwawą, biała!
I głową tak ruszyła, i tak wstrząsa włosem,
Jak gdyby słowom króla zaprzeczyła głosem
Wielkim. A Krakus marze spojrział bystro w oczy,
By poznać prawdę; ale znikło mdle uźroczce,
Pod bystrém okiem króla.

Król wdział szaty swoje
Dzienne. Przemogły Kroka wielkie niepokoje.
Chciał iść pod basztę ową, w której pogrzebiona
Żywcem królowa naród przeklina, gdy kona
W ciemnościach. — Tam leżały pewno koście białe
Czuryły. Pewno ciało zjadły psy zgłodniałe,
Wraz z ptactwem, do tój pory; lecz Krok białej kości
Się spyta, czy ta, która sobie głośno rości
Prawo do miana Żywy, nie jest strzygą nocną,
Co na Kraków usiadła stary, kłatwą mocną,
Piekielną, dławiąc naród?

Stanął Krok pod wieżą,

Na miejscu, w którym zwłoki Czuryłowe leżą,
Niegżebane. A widzi wielki dziw przed sobą.
Dokoła świat posuszną spalony żalobą;
Tu kłęb róż wyrósł piękny; prześlicznie woniały
Róże, a wśród nich leżał i nagi i biały
Czuryło, tak jakby spał, a nie był zabity;
Leżał wśród nocy ciemnej kwiatami spowity;
A z popod liści ponik przejrzysty szeleści,
I z kwiatem niezabudki lubieżnie się pieści.

Król stanął jakby wryty, i na kształt figury
Stał drewnianej, którą lud ustawił na góry
Jakiejs wierzchołku aby zdaleka widziano
Świątą dla ludzi postać, pilnie uciosaną;
Lub na kształt nieruchomej jodły pośród boru,
Lub na kształt kamiennego słupu, co u dworu
Jakiegoś bramy stoi i przechodniów wita.

Krok w różach i w strumyku tajemnicę czyta
Jakąś; serce w nim bije; a stanął zdaleka;
Ciemnością kryty patrzy na ciało człowieka
Zabitego, co piękném jest po dniach tak wielu.
A blask był w tych różach i woń była tam w zielu
I w wodzie, które czasy wspominały dawne,
I ukochanej żony owe pieśnie sławne,
Co niegdyś niosły szczęście i zwycięstwo pewne,
Zanim na Wawel spadły śmierć i Boże, gniewne
Klątwy.

Raptem usłyszał Krakus, że nad głową
Ktoś gęga, tam wysoko, głośnie ptasią mową,
Płacze ludzkie; a serce w królu się ścisnęło.

Gęś szara przyleciała, i siadła na białą
 Ziemię, opodał kłabu, i skrzydłami biła.
 A w tém na ratuszowej wieży uderzyła
 W Krakowie północ. Ludzki jęk się wydarł z łona
 Ptaka szarego, i gęś była przemieniona
 W niewiastę, w oczach króla. Oczy wyciężone
 Krakusa czarnej nocy przedarły zasłonę
 Grubą, i Krakus poznał — rysy swojej żony.
 Ta, która do niedawna wśród blasku korony
 Złotój zamkiem rządziła, także takie miała
 Rysy, lecz zawsze wstrętną dla męża bywała
 Dziwnie; a w téj oto tę słodycz dawną wita
 Krakus, przez którą mężem zawładnie kobiéta
 Każda, kiedy go kocha.

Szata gęsia padła

Na ziemię; a niewiasta przy ciele usiadła
 Brata swego i cicho piosnkę zanuciła
 Z lat dawnych; tylko teraz bardzo cichą była
 Pieśń, tak cichą, że ledwo słowa doleciały
 Uszu Krakusa. Głośna przed laty, kraj cały
 Budziła; ta pieśń cicha miejsce czarowała,
 Które kwitło dokoła zabitego ciała
 Czuryły; nowe życie na różach rodziło
 Nowe kwiaty; zakwitły pączki, pieśni siłą
 Do góry wywabione, tak gęsto i tłumnie,
 Jak bańki na mydlanej wodzie. Róże dumnie
 Setne korony swoje w nocy roztaczały,
 A popod niemi głośnieją wody zahuczały
 Strumienia.

I zrozumiał Krakus teraz słowa,
 Za które spadła stara i wróżebna głowa

Wierzbęty; i zrozumiał Krakus owe wstręty,
 Które wciąż w nim budziła królowa; nieświęty
 Śpiew jój rozumiał, długie swoje krwawe bole,
 Pokusę, co go zmogła i okropną dolę
 Narodu. To rozumiał. Lecz jak to się stało?
 To serce Krakusowe darmo zgadywało,
 Chociaż mało nie pękło pośród niepokoju.
 Myśl Krakusowa wpadła do domysłów roju
 Tak, jak mucha ugrzęźnie pośród pajęczyny;
 Daremnie się szamocze; nie dojdzie przyczyny
 Zmiany, co zaszła dziwnie, tu w zamku, przed laty?

To tylko wie już Krakus, że tu Żywa z szaty
 Gęsiej wyszła; pamięta jak to można czary
 Przemódz; własny wspomina wiarołomstwa stary
 Grzech, grzech swój pierwszy; chyłkiem, pocichu zachodzi
 Po skórę gęsią, chwyta ją w ręce, i godzi
 W skórę mieczem żelaznym, na sztuki ją kraje,
 Tak, że z całej téj szaty piérze li zostaje,
 Które wiatr w świat roznosi szeroki.

A Żywa

Przez ten czas ciągle ponad brata ciałem śpiewa
 Półgłosem; i godzina na śpiewie minęła.
 Wreszcie śpiewać przestała; pośród róż stanęła
 Przez chwilę, i dokoła siebie popatrzyła,
 Chcąc dostrzedz, czy przy zwłokach brata sama była?
 Czy kto jój nie podpatrzył? Ujrzała wśród cieniu
 Skuloną postać Kroka. Widząc, w przerażeniu
 Wielkiem krzyknęła, jęknęła, i na ziemię padła,
 Pomiedzy róże, jakby zniknąć chciała. Siadła
 Cicho skulona, ale już się nie ukryła.

Wstał Krakus i szedł między róże tam, gdzie była
 Żywa, w bieli, przy trupie. Rękę na nią włożył,
 Spojrzał na nią ze łzami i usta otworzył,
 Mówiąc do niej w te słowa: „Czemuś mnie rzuciła
 „Żywo? Wraz z tobą uszła z piersi mojej siła
 „Męska. Naród mój przepadł, kiedyś uleciała
 „Ptakiem, bo widzę teraz, żeś się gęsią stała,
 „I żeś tu złe straszycło przy mnie zostawiła“.

Tak mówił Krakus; Żywa milczała; zakryła
 Twarz swoją oburącz i szlochanie słyszano
 Ciche, co z jej piersi szło. Ponad ukochaną
 Żoną stał Krakus, milcząc. W górze noc milczała;
 A Żywa drżała. Wreszcie twarz odkryła, wstała,
 W oczy męża spojrzała. Twarz jej była blada;
 Po uściech jej szedł dreszcz; a nareszcie zagada
 W takie słowa do męża: „Byłam nieposłuszna
 „Tobie; za tobą chciałam gonić; przeto słuszna
 „Kara na mnie spadła, i uleciałam ptakiem
 „Z zamku, ale nie twoim, a przeciwnym szlakiem,
 „Zaklęta przez złe moce sługi twego wroga,
 „Pana nocy, zimy i śmierci, Czarnoboga.
 „Przy tobie pozostała ta, co mnie zaklęła
 „W gęs, a na swe ciało postać moją wzięła
 „Kłamliwie; i zatrula naród. Mnie król morza
 „Wybawił. Przy mnie rośnie syn twój, jakby zorza
 „Piękny, jak błyskawica bystry. Ale w szatę
 „Moją muszę powrócić. Nie wiesz, gdzie skrzydlate
 „Moje przystroje? Dla mnie czas już lecieć w drogę.
 „Przy tobie dłużej, Kroku, zostać już nie mogę“.

Krakus to słysząc, chwycił ją za obie dłonie;
 Nie już mówi, lecz słowo mu na uściech plonie,

Jak ogień na słomianej strzesze: „Zostań,“ woła,
 „A u mnie będzie szczęście, i życie dokoła
 „Znów zajaśnieje błogie. Pocóż tobie lecieć?
 „Nie lepiejże przy mężu blask miłości wzniecić
 „Stariej na nowo? Mówże! Tyś wpierv odleciała
 „Zmożona czarami. Dziś już rozdarta cała
 „Moc złych czarów. Jam szatę porozdzierał twoją
 „Piérzastą. Zostań ze mną. Jeszcze mury stoją
 „Zamkowe, które nasze witały zamęście;
 „Wróc do nich, Żywo, z tobą wróci do nich szczęście!
 „A wiedźma, czarownica która cię zakłęła,
 „Połowę swój zapłaty już tu w lochach wzięła
 „Zamkowych. Siedzi w nocy, własne gryzie dłonie,
 „A owad swoje gniazdo ścieli na jój lonie
 „Białem. Jak zechcesz, stokroć jeszcze gorsze kary
 „Na nią wymyślę. Będę nękał, aż poczwary
 „Kształt przyjmie napowrót, aż do swojego miana
 „Się przyzna. Potém wiedźma będzie ćwiartowana
 „Tu, na dziedzińcu moim. Ręce obie, nogi,
 „Do czterech związę koni; zwiśnie pośród trwogi
 „Śmiertelnej. Przyjdzie czeladź plwać na wiedźmę naga;
 „A potém każę konie smagać, a pod plagą
 „Konie zadrzą, i pójdą cwałem w cztery strony;
 „Na każdym koniu zwiśnie członek pokrwawiony
 „Wiedzmy, a tulów jędzy wraz z kłamiwą głową
 „Legnie osobno, żywy!“ Taką Krakus mową
 Błagał Żywę, i ukląkł przy niej, a rękami
 Chwytał jój kibić.

Lice swe załala łzami

Żywa; a ręce swoje ciągle załamuje.

Krakus w jój twarz, jak orzeł w słońce się wpatruje.

Chciałby się napić rajskiej słodocy z jój oka,

Chciałby to słońce jasne zawrócić z wysoka,
I na ziemię z powrotem sprowadzić.

Lecz ona

Tak mówi: „Rzecz, o którą błagasz, zabroniona.
„Chcesz bym wróciła w twoje łóżce? Chcesz bym z tobą
„Żyła jak niegdyś? Nie wiesz, żeś już nie sam sobą,
„A innym już człowiekiem, gorszym tysiąc razy;
„Na tarczy twój tysiąca grzechów czarne skazy
„Widać; a była białą niegdyś. Wiesz, jak siłę
„Czarów rozdziierać; kłątwy więdzm, kłątwy zawile
„I mocne drzész lub palisz; Kolęda ci świadkiem;
„Wszakżeż jój także odzież spaliłeś ukradkiem
„Tak, jak moją rozdarłeś. Była tobie żoną
„Drugą, była rozkoszą w zamku zabronioną,
„I grzechem pierwszym, smutnym. Posłusznie milczała;
„A przecie pąstwą gniewu twojego została,
„Krakusie! Tyś ją wygnał świadomie na pole,
„Aby z dzieckiem zamarzła. Więc ja zostać wolę
„Z daleka, bym się grzechu nie stała przyczyną.
„Pójdę piechotą ponad morza falę siną,
„I nad morzem mojego będę chować syna.
„Nie chcę, by na mnie spadła jaka twoja wina;
„Bo mnie sądzono, abym niewinną została.
„A tak, jak śniegiem gęstym miecie zima biała,
„Tak grzechem i tak winą w życiu twojem wiało
„Odtąd, — że nic białego w tobie nie zostało
„I teraz nowe zbrodnie wróżysz, — krwawe czyny
„Nowe, — któremi dawne twe odświeżysz winy,
„Zlewając je krwią nową. Idę precz od ciebie!
„Iść muszę; — bo od wieków zapisano w niebie,
„Że syn mój, — syn niewinnój, grzechy Twoje zmaże

„I z narodu Lackiego zedrze jarzmo wraże,
 „Które nań spadnie ninie. A więc — precz odchodzę.“

To słyszał Krakus; jęknął, wrzasnął, ryknął srodze,
 Jak lew; lecz nie śmiał wstrzymać odchodzącej żony;
 A długo za nią gonił w ślad wzrok wyteżony
 Królewski; oczy zaszyły w ślup. Szła; znikła w cieniu
 Nocnym; a Krok usłyszał jój śpiew; jak w westchnieniu
 Rozpaczy, tyle smutku było w owym śpiewie
 Ostatnim, co zaleciał na wiatru powiewie
 Nocnego w usze króla.

I znowu wśród nocy
 Cicho było. Gród spoczął w lękiej Żmija mocy;
 Ślup wielki, rudy wzbil się ponad grodu mury,
 I swąd nieznośny zleciał z owój ruděj chmury
 Na ziemię. Wnet słyszano krzyki w mieście; ludzie
 Ludzi drugich rzucali na zér Żmija; w trudzie
 Śmiertelnym grzeszył Kraków. A straszno królowi
 Było. I myśli, że się krzyk ten śmierci znowi
 Co godzina.

Ku ciału przezeń zabitego
 Wojewody, — ku ciału temu, które strzegą
 Roże, — oczy swe zwrócił Krakus. Świadek winy
 Ostatnią był pociechą teraz, wśród krainy
 Przekłętėj, bo wspominał Żywę. Krakus okiem
 Szuka róż i ciała; a w pociemku głębokim
 Nocy bezgwiezdnej niemasz ich już ani śladu.
 Tam u dołu słyhać syk olbrzymiego gadu,
 Co człowieka pożera. Znikł ostatni Żywy
 Ślad; pozostał już tylko tam w jamie zelżywy
 Okropny gad — Żmij wielki! i rozpacz została,

Co w piersi Krakusa, jak w domu zamieszkała
 Swoim. I długo na tém miejscu, jak nieżywy,
 Klęczał Krakus. Trzy razy w mieście przeraźliwy
 Krzyk słyszano tych, którzy żywego człowieka
 Rzucają w paszczę Żmija, w której śmierć go czeka
 Szkaradna. Trzy kroć rudy dymu słup się ścielił
 Po mieście zarażonem, i już dzień się bielił
 Na niebie, a tam Krakus, jakby skamieniały,
 Klęczał; a smętnie patrzył na to zamek biały
 Lecha.

* * *

Wreszcie wstał Krakus i poszedł w komnaty
 Zamku, do dziecka, które Żywa tam przed laty
 Zostawiła. Dziewczę to w opuszczeniu żyło.
 Gdy ojciec nadszedł, dziecko małe się bawiło
 Z gołąbkim białym. Ptak ten przywykł do Marzanny;
 Bo sierota zwykła chleb swój dzielić poranny
 Z gołębiem; przylatywał, roztaczając pióra,
 Co rana do sieroty; a to właśnie pora
 Śniadania była wtedy.

Kiedy Krok stroskany

Do dziecka przyszedł, spojrział na strój zaniedbany,
 I na twarz bladą córki; stał przez chwilę długą,
 A po licu królewskim łzy pociekły strugą
 Słoną; — stał; a nareszcie milcząc w swe ramiona
 Chwycił dziecko. Marzanna wielce przełęczniona,
 Odwykła od pieszczoty ojca, uchwyciła
 Szyję Kroka oburącz, a twarz swą co siła
 Do piersi ojca wielkiej przytulili; drżała,

Milcząc; i taką nikłą, wątłą była cała,
 Jak kwiat piękny, wiosenny, który znieść nie może
 Promieni jasnych słońca, i co się w pokorze
 Lękliwiej na dół chyli i tuli do trawy;
 By go nie spalił ojciec jego, dzień jaskrawy.

Z dzieckiem na rękę zwołał Krakus wojewody;
 W orszaku swojej rady szedł na lochów schody
 Kamienne do żelaznej kaźni, w której żona
 Królewska harda była żywcem pogrzebiona.
 Stróż więzienny ogromnym kluczem wielkie zamki
 Pootwierał. Klucz zgrzytnął, zajęczały klamki,
 Drzwi ciężkie i kowane na zawiasach skrzyły,
 I do ciemności grobu odbłysk wpadł niezwykle
 Rudój pochodni.

Skuta łańcuchem do ściany
 Stała w białej koszuli królowa. Zbłąkany
 Wzrok pani nienawiścią ział wściekłą. Zgrzytnęła
 Zębami zła Sapucha, gdy przed nią stanęła
 Drużyna męża. Łańcuch raz na nią zadzwonił
 Znowu i umilkł; a śmiech straszny się wyłonił
 Z ust pięknych

Aż zadrzał Krakus na wspomnienie,
 Że bywał wiódzmy mężem. Dziecko niósł w więzieniu
 Sapuchy; stanął przed nią; dziecko wyniósł w górę,
 I patrząc w oczy jędzy, te słowa ponure,
 Uroczyście wymówił: „Tyś przybrała Żywy
 „Postać; wiem o tém; i mnie oszukał kłamliwy
 „Pozór. W to uwierzyłem, coś ty nam kłamała;
 „I w to samo wierzyła Lacka ziemia cała;
 „Przeto przez ciebie struta, ziemia ta przepadła;

- „Wierząc w to kłamstwo twoje do grobu się kładła
 „Już; i ja byłem ziemi téj smutnej grabarzem.
 „Chcę, aby prawda wstała dzisiaj nad smętarem.
 „Nie wiem czy życie wróci i ludziom i ziemi;
 „Lecz zanim obłoży cię kat sprawiedliwemi
 „Kary — chcę, aby prawdę w Polsce całej znano.
 „A więc przysięgnij tu na głowę nieskalaną
 „Tego dziecka, jakiem jest twe imię prawdziwe.
 „Nie chcę by lud powtarzał, żem ja ścinał Żywę.
 „Choć nie przysięgniesz, dziecko za przysięgę stanie.
 „Jeżeli kłamstwem będzie twe odpowiadanie,
 „Sama siebie ukarze twa mowa kłamana;
 „Tu wobec dziecka tego w ziemię po kolana
 „Zapadniesz się. A więc mów!“

Skończył Krakus mowy.

Na to Sapucha rzekła wyraźnemi słowy:

- „Mnie na imię jest Żywa; i nigdy nie znano
 „Mnie pod inném mianem; tak od dziecka nazwano!
 „Inne o mnie świadectwo na uściech nie stanie
 „Moich, i ani dziecko, ani przysięganie
 „Mnie nie strwoży. Rzekłam to, com mówić miała.
 „Jak mnie zabijesz będzie wiedzieć Polska cała,
 „Że Żywa, twoja żona, przez ciebie się kładła
 „Do grobu“.

Gdy to rzekła zaraz się zapadła

Sapucha po kolana do surowej ziemi.

Cofnęli się dworzanie Kroka, z lęku niemi,

A Krakus podniósł wyżej dziecko ponad głowę,

I uroczyściej jeszcze swą powtórzył mowę:

„Na dziecko to zaklinam: powiedz twoje miano!

„Chcę, żeby przed twą śmiercią, prawdę w Polsce znano.

„A jeśli skłamiesz znowu, ziemia cię pochłonie
 „Aż po pas. — Pójdiesz żywcem w czarne grobów tonie!“

To rzekł Krakus. Sapucha zaś odpowiedź dała:
 „Mnie Matka przy kołysce Żywą nazywała“.
 To rzekła i po pas do ziemi się zapadła;
 Zadrżała; jeszcze bardziej niżli wpieryw pobladła
 I usta zakąsiła. A dwór ostupiały
 Stał dokoła Krakusa, z lęku niemy cały.

Wtedy Krok dziecko podniósł wyżej ponad głowę,
 Że własne ramiona swe wyprężył, — i nowe,
 Ostatnie zapytanie zadał swojej żonie:

„Mów ty, coś śmiała chodzić w złocistej koronie
 „Przy mnie, — i mów ty, coś mnie latami kłamała,
 „Że jesteś Żywą — ty, coś się zakąła stała
 „Łoża mojego — jakie miano tve prawdziwe?
 „A jeżeli z twych ust wyjdą obrzydliwe
 „Kłamstwa znowu — nie będzie już potrzeba kata;
 „Ty sama siebie wygnasz z ludzi żywych świata;
 „Ty się zapadniesz w ziemię teraz ponad głowę,
 „I śmierć ukarze teraz nieprawdziwą mowę.
 „Ziemia cię pożré; żywcem ci zasypie oczy,
 „Jeśli w obliczu dziecka kłamstwo znowu stoczy
 „Twe usta robaczliwe“.

Tak to Krakus mowy
 Swoje skończył z Sapuchą straszliwemi słowy,
 Chcąc trafić w jój złe serce. Ale jęzda blada
 Niezmiennie kłamiąc, temi słowy odpowiada:
 „Powtórzę, com mówiła. Jestem twoja żona,
 „Żywą, przez ciebie dzisiaj strasznie pokrzywdzona“.
 Rzekła, a ziemia pod nią jak człowiek jęknęła,

I za życia Sapuchę wiedźmę pochłoneła.
I śladu nie było już, gdzie Sapucha stała.

Krok dziecko swoje spuścił, a dworska struchlała
Ciżba. Poszła z więzienia z głowy spuszczonej,
Myśląc, jak tam zimno być musi w głębi ziemi,
I jak tam ciemno. I Krok poszedł. Nie zamknięto
Nawet bramy więzienia; bo tam z ziemią świętą
Rozmawiała królowa, milcząc; i już straż
Dla niej nie trzeba było; nikt się nie odważy
Już przeszkodzić rozmowie, i uwolnić jeńca;
Nie trzeba drzwi i zamków na straż potępieńca.
Bramy więzienia przeto otworem skrzypiały,
I do ciemnic zachodził zdziwiony dzień biały,
I szare świty rzucił na ceglane ściany.

* * *

W komnacie swojej zasiadł Krakus, król stroskany,
Sam z dzieckiem — sam z Marzanną — córką zostawioną
Niegdyś w zamku przez Żywę; a wspomnienia płoną
Piekłem w głowie Krakusa. Czasem dziewczę chwyta
Gorączkowo rękoma i w jej twarzy czyta
Podobieństwo do Żywy; czasem tuli zbliżona
Do piersi dziecko małe, całuje i ściska,
I pieszcząc prawie zdusi; obléwa je łzami;
Swém kochaniem nazywa; a znowu czasami
Dziecko szorstko odepchnie, twarz odeń odwróci,
I z głośnym jękiem, sam się na swe łoże rzuci.
I tak dziewczę to niegdyś całkiem zapomniane,
Stało się teraz droższém ponad wszystkie znane
Królestwa ziemi.

Pośród żalu królewskiego,
 Niespostrzeżoneienne godziny ubiegą
 Do końca; noc się zbliża i mrok się rozściela
 Po komnacie. W powietrzu wrogiego Popiela
 Moc przeczuwasz. Głodnego dziecka słyhać płacze,
 I króla kłątwy dzikie, szały i rozpacze
 Głośnie.

Wtém pośród mroku oczu zaświtało
 Dwoje, i coś czarnego przed Krakusem stało.
 Był to bies mały w czarnej, niemieckiej odzieży; —
 Szpadę nosi przy boku, pirog w ręku dzierży,
 Ogon krwi ma stylu i rogi na głowie;
 Ukłoni się królowi i te słowa powie:
 „Ja jestem posłem twego potężnego wroga.
 „Myśl o tobie, cny królu, nigdy Czarnoboga
 „Nie odstąpi; i zawsze twoja, panie, dola
 „Jego obchodzi. Słyszał, że brzydka swawola
 „Losów ciebie skarala ponad zwykłą miarę.
 „Choć dziś zwycięża, pomni twe zwycięstwa stare,
 „I nie chce abyś zginął. On rycerską bronią
 „Chce tylko walczyć z tobą. Od podstępu stronią
 „Króle ze wstętem. Tylko niewolnicy szydzą
 „Ze swoich nieprzyjciół, gdy ich kłęski widzą.
 „Popiel słysząc o twojej oplakaniej doli,
 „Nie chce się śmiać, a teraz pomódz tobie woli.
 „Chce wojsko tu wyprawić, najechać twe kraje;
 „Lecz chętnie tylko z dzielnym mężem na bój staje
 „Rycerski. Tyś złamany. W twój głowie się tłoczy
 „Wątpienie, i pierś swoją swoim żądłem toczy
 „Zjadliwém. Nie wiesz, jakie to straszliwe dziwo
 „Iścilo się w zamku tym z twoją żoną Żywą?
 „Wiész, że cię czary mocne w srogi błąd zawiodły,

„I radbyś poznał rogi, co cię srodze bodły
„W serce. Nie możesz zgadnąć kto nieszczęście sprawił?
„Wątpienie cię zlamalo. Przeto mnie wyprawil
„Do ciebie pan mój, Popiel, pan białej północy;
„Chce, żebyś ból ukoil, chce, byś stanął w mocy
„Dawniej do boju. Chce mieć chwalebne zwycięstwo;
„Nie rozpacz chce pokonać, tylko twarde męstwo
„Krakusowe. Nawet twoje chce ukoic żale;
„Wię że kochasz w pamięci gorąco i stale
„Panię twą pierwszą, złotą i jedyną żonę;
„Wię żebyś dał królestwo za chwile wrócone
„Dawne twojego szczęścia; przeto mnie przysyla
„Na to, by ci się pierwsza doła znów iscila.
„Byłeś już w lesie, w chacie, kędy wiedźma siadla
„Welinda; raz truciznę w twoje ucho kladla;
„Lecz bardzo wiele może, a Popiela sługą
„I niewolnicą bywa. Jedźże w drogę drugą,
„W las niezglębiony, i do owęj leśnej chaty,
„Wśród której z wiedźmą mieszka czarny lud skrzydlaty,
„Na sztuki rozszarpány, przecie zawsze żywy!
„Wszakżeż już tobie znane, Kroku, owe dziwy
„I czary? Przeto wejdiesz w chatę niezłękniomy,
„By tam wreszcie poznać los twojej pierwszej żony.
„Welinda cię przywita; ty jej spojrzuj w oczy,
„I mów imię Popiela; ono złość przytłoczy
„Welindy tak, jak łamie berło Popielowe
„Północ. Przed tobą wtedy ugnie swoją głowę
„Welinda już naprawdę i posłucha ciebie;
„Pójdzie; i wśród popiołu w piecu dzban wygrzebie,
„Milcząc. Dzban to cudownej mocy; w nim jest woda
„Na pozór zwykła. Ona tobie dzban ten poda,
„A ty do ust przyłożysz dzban o dziwnej mocy.
„Jak gdyby słońce raptem zeszło pośród nocy,

„Tak jasnym w twojej myśli wnet się wszystko stanie,
 „Gdy połkniesz kilka kropli wody w owym dzbanie.
 „Już będziesz wiedział, co się w zamku tym świeciło,
 „I kiedy znów się spotkasz z ukochaną, z miłą
 „Żoną swoją; wątpienie z duszy twój uleci,
 „A mądrość swą pochodnię jasną w myśli wznieci
 „Twojej; będziesz wszechwiedny: wróci męstwo twoje,
 „I z godnym siebie wrogiem wznowi Popiel boje“.

To rzekł bies. Krakus słuchał, ledwo już zdziwiony,
 Bo nadto był do dziwnych spraw już zwyczajony,
 By się miał czemu dziwić. Biesa już nie było,
 Skoro przemowę skończył; tylko coś się śmiło
 Wród nocy, i coś znikło. Krok stanął na nogi;
 Wiedział, że Popiel zawsze jemu bywał wrogi;
 Pomniał, że go Welinda do grzéchu kusila;
 Wiedział, że biesa tego szle niedobra siła
 Do niego; winien radę odeprzéc daleko;
 A jednak te nadzieje nowe jego pieką
 W sercu, tak że się im już opierać nie może.
 W las go ciągną, do chaty, jakieś moce boże,
 Niepokonane. Służbie rozkazu nie daje;
 Dziecka nie puszcza; w stajni przy koniu sam staje,
 Wśród nocy; konia siodła i konia dosiada.

Z miasta, z dzieckiem, na koniu wyjechał. Noc blada,
 Letnia była, pochmurna; po za chmur osłoną
 Snać księżyc w pełni świeci, duże gwiazdy płoną
 Z rzadka; bo jasno; ale nie widać miesiąca,
 Ani gwiazd. U stóp ciągnie się ziemia ląknąca,
 Sucha, szeroka. Na niej wszystko jakieś szare,
 Wszystko zwiędnięte, nędzne, wpółumarłe, stare,
 Jak kłatwa Popielowa. W głębi bór czernieje,

A wiatr ciepły i duszny pośród nocy wieje,
Wyjąc jak płaczka.

W las powiodła droga
Krakusa. Na ten las i patrzeć teraz trwoga;
Posucha jakby pożar drzewa wypaliła;
Na ziemi tylko leży suchych liści siła;
Gdzieniedzie swoją głowę wynosi dąb stary,
Z resztą liści zielonych; a innych drzew mary
Suche stoją wśród lasu; pnie aż popękały;
Pod wichrem ciepłym trzeszczy tylko las znędzniały.
Wśród lasu stała chata Krakusowi znana;
Koniowi na jój widok wystąpiła piana
Na ciało z lęku.

Krakus z konia na ziem skoczył,
Niosąc dziecko na rękę, i do sieni kroczył,
Gdzie uwiązał konia. Tu krzyk ptactwa, śmiech trupa
Do uszu dolatywał, a dziwaczna kupa
Skrzydeł i łap i dzióbów laźła mu pod nogi.
Koń głowę spuścił na dół — i drżał cały z trwogi.

Krakus odchylił drzwi od izby. Przed nim stała
Welinda w stroju chłopskim, a na szyi miała
Duże korale. Nie witał jój Krakus; Popiela
Imię wymówił tylko. A wciąż się rozściela
U stóp Krakusa rój nóg i dzióbów krzykliwych,
Kości suchych, i skrzydeł, i dziwów nieżywych,
A przecie biegających. Na Popiela miano
Zaśmiał się głośniej ów trup, co stanął pod ścianą;
Welinda głowę swoją nisko pochyliła.

Na piecu, kędy kot spał czarny, węgla siła
I popiołu szarego legła. Pogrzebała

W tym popiele Welinda i milcząc, dostała
 Z głębi téj czarnej kupy, dzban stary, lepiany,
 Szczerniały, popękany. A trup tam u ściany
 Zaśmiał się znowu głośno, okropnie. W zawody
 Z trupem krzyknęło mrowie. Dzban był pełny wody;
 Welinda go Krokowi z ukłonem podała,
 A potem ze spuszczoną głową przed nim stała.

Krakus popił téj wody. Na brzuch padł na ziemię;
 Na brzuchu musiał pełznąć w to szkaradne plemię,
 Które się mrowiło tam na podłodze chaty.
 U góry wrzasnął chórem czarny lud skrzydlaty.
 Łuskami obrósł Krakus; usta zasyczały,
 Kiedy chciał mówić. Krakus był to położ biały,
 Ogromny, w złoto strojny, wąż koronowany
 Podobnie jak narodów ludzkich mocne pany,
 Wąż piękny, pozbawiony odtąd ludzkiej mowy.

Welinda przymówiła doń takimi słowy :

„Wiesz teraz wszystko wężu; niechaj ci pomoże
 „Wiedza. Idź w las, pod ziemię, w ciemne wężów łożo,
 „Do któregoś Sapuchę wygnał. Raz na dobę,
 „Gdy północ na świat dolny włoży swą żalobę,
 „Będziesz człowiekiem; ale jeśli kto oczyma
 „Ludzkiemi cię zobaczy wtedy, Kroku, niema
 „Dla ciebie rady; umrzesz! Idźże precz z téj chaty
 „Przed lasem się pochwalić z twojej nowej szaty!“

Usłyszał położ; głowę podniósł, a na głowie
 Nosił złotą koronę. Spojrzał: nie masz w żadnym słowie
 Téj mocy, co w tym wzroku niemym ogromnego
 Węża; a choć złość z pychą podłą serca strzegą
 Welindy, zrozumiała, odmówić nie mogła,

Bo wzrok ten litość zrodził, a litość przemogła
Welindę.

Rzekła tedy: „Bądź spokojny gadzie.
„Ja sama to wyproszę na Popiela radzie,
„Aby mi wolno było chować córkę twoją.
„Na radzie nie odmówią, bo czarty się boją
„Sierót krzywdy“.

Raz jeszcze położy spojrzal w oczy
Welindy — dziękując — a potem swe potoczy
Sploty w las. Koń mu zarżał raz na pożegnanie;
Położy piorunem, sycząc, położy na wygnanie.

* * *

Rano daremnie króla szukano w Krakowie.
Więszy jeszcze strach padł na ludzkie w mieście. mroowie
Od tego, jaki pierwój trwał. Ludzie nieradni
Czekali, aby wiedziéć, czy się świat zapadnie
Pierwój, czy sami wymrą? W życie nie wierzyli
Więcój. W okropnej nędzy byli; jednak chwili
Śmiertelnej się lękali, zgrzytając zębami.
A Żmij smrodem zatruwał miasto ich, a skrami
Z paszcz siedmiu straszyl.

Wtém padł na lud pogrom trzeci,
Wojsko ohydne jakieś, wrzeszcząc, przez mgłę leci
Pod zamek; wojsko konne małych, żółtych ludzi
Sprośnemi okrzykami ziemię chorą budzi;
Oczy ich małe tak się jarzą, jakby świece;
Czapki z futra ogromne, kwadratowe lice;

Kożuchy na nich wełną na wierzch wywrócone;
 Pod nimi konie małe, a jak wilki wrone;
 Roją się tak, jak mrówki; czekają rozkazu,
 Gotowe świat szeroki stratować odrazu.

To wojsko Popielowe. Pośród nich zasiada
 W namiocie Popiel piękny, co północą włada.
 Namiot ma wielki, srebrny, błyskawicą tkany;
 A sam w gwieździsty płaszcz i koronę ubrany.
 Z namiotu nie wychodzi, bo poślubił żonę;
 Pragnie dzieci, którymby zapisał koronę
 Zlego. A Jaga Baba we dwoje skulona,
 Sparta o kij sękaty, cała pomarszczona
 Przy mężu w złotogłowiach jak królowa staje;
 Wraz z mężem niewidoma prawa wojsku daje.
 Popiel złość jej ukochał, podziwiał szkaradę;
 Chciał z nią mieć dzieci prawe; chciał osiąść jej radę.

Dowództwo ponad wojskiem Welindzie oddane.
 Dziewczę na koniu jedzie, w pancerz przyodziane,
 Poprzed swe wojsko. Słońca promienie złociste
 Nie są jaśniejsze, niżli jej rynsztunki szkliste.
 Posła wyprawia swego, aby szedł do grodu.

Na widok posła dziczy, starsi wiec narodu
 Przed zamek powołali. Stoją blade tłumy
 Nieradnie, i słuchają zły poselstwa dumy.
 Posel na stok góry szedł, aby go widziano
 Z dołu. Naród był blade; blade było rano
 Nad Krakowem; mgła szara miasto zalegała.
 U stóp posła, gotowa słuchać, rzesza stała.

Posel zawołał głośno: „Pan wielki Północy
 „Wojsko swoje wyprawil w niezliczonej mocy,

- „Pod mury potępione waszego Krakowa.
 „Jedna pokora miasto przed zgubą uchowa.
 „Córka króla Welinda, co wojsku hetmani,
 „Mnie tu do was przysłała; to łaskawa pani;
 „Chce tylko tu panować; nie więcej nie pragnie.
 „Nie pożałuje tego, kto przed nią kark nagnie.
 „Otwórzcie tedy bramy, puście jej załogi
 „Do Krakowa, a miasto uniknie pożogi;
 „Wy śmierci unikniecie. Lecz jeśli kto zgoła
 „Zechce z panią walczyć, nie wybawić nie zdoła
 „Miasta od pewnej zguby; domy popalimy;
 „Gdzie miasto wasze było, będą tylko dymy
 „Chodzić po zgliszczach; potem nawet dymy zgasną,
 „I ludzie wszyscy pójda gdzieś w otchłań przepaśną
 „Śmierci; i pamięć nawet po was nie zostanie.
 „Radzę wam przeto — przyjmcie nowe panowanie
 „Bez oporu! Poddajcie się naszej władczyni!
 „Ona dziś wam wiadomym pierwszy rozkaz czyni,
 „Który zakończy wasze długowieczne boje.
 „Zanim z obozu ruszy chobrze wojska swoje,
 „Zanim do miasta raczy zawieść swe załogi,
 „Pragnie od was dowodu poddaństwa i trwogi;
 „Żąda kluców Krakowa. Na tém nie przystanie:
 „Chce ujrzeć wasze pierwsze lubo mierne danie;
 „Po parze wróbli szleście od każdego w mieście
 „Dymu. Idźcieże prędko! Prędzój wróble weźcie,
 „I klucze miejskie weźcie! Pozrucajcie bronie
 „Wasze po za mur miejski! Idźcie w cześnym gronie
 „Wojewodów do pani, co wojskiem dowodzi;
 „Na twarz przed nią padnijcie, boć nigdy nie szkodzi
 „Pokora wobec panów. Przyjmie wasze dary
 „Pani potężna. Jej już własnością gród stary

„Będzie, w którym mieszkanie. Potem już nie zburzy
 „Pani wspaniałomyślna grodu, co jój służy“.

Tak to poseł przymówił. A rzesza słuchała
 I ze spuszczoną głową nieporadnie stała.
 Wtém Pelka, junak młody, rycerz zawołany
 I z męztwa w krwawym boju i z rozumu znany,
 Stał przed tłumem koło posła, i w te słowa
 Przymówił: „Głupią zda się posła tego mowa!
 „Że ktoś tak mówić może, to przecie dziwota,
 „Chyba już nasza dawna zapomniana cnota,
 „Że o poddaństwie mówi ten człowiek zuchwale,
 „Jakby nie było armat więcej w miejskim wale,
 „Jakby nie stały wieże, które Lech postawił.
 „Jakby zardzewiał oręż, który Krok zesłał,
 „Jakby bez króla naród nie mógł stanąć w boju!
 „Wszak twierdze niezdojbyte są dla czerni roju
 „Konnój. Królowa swoje groźby na wiatr miota:
 „Aby nam módz zaszkodzić, niestarczy ochota;
 „Na to podłości naszej lub niemocy trzeba.
 „My się poddamy kiedy słońce spadnie z nieba.
 „Dzisiaj będziemy waleczyć; wrogom odpowiemy,
 „Że łaski nieprzyjaciół wcale znać nie chcemy“.

Tak Pelka wołał. Ale wdole, w podłym tłumie
 Garść tylko przyklasnęła. Poseł w dzikiej dumie,
 Stał na stokach zamkowej góry, patrząc nadół
 Na to, jak drży i pelza podły gminu padół.
 Ale lud nie śmiał powstać przeciw Pelki mowie;
 Bo przecie słuszność słów tych czuło podle mrowie.

Wtedy powstał wśród tłumu wojewoda stary;
 Przy posle stanął; skinął, by uciszyć gwary
 Tłumu. A tłum ten zamilkł, by znów słuchać mowy;

I Pelce przeczył starzec omdlałemi słowy.
 Wołał: „Pelka szaleńcem, Pelce jest pstro w głowie!
 „Dzisiaj każe wam walczyć, jutro może powie,
 „Że lepiej wolnym ginąć, niżli żyć w niewoli;
 „Straszne wasze nieszczęście jego nie zaboli;
 „Swojém szafuje życiem i wasze poświęci;
 „Przez jego zapal wyście już z góry wykłęci;
 „Wy macie wszyscy ginąć dla szumnego słowa;
 „Boju i śmierci radzi zapalona głowa.
 „Ale w Krakowie zawsze zwycięża rozwaga.
 „Słuchajcie tego, czego się prawda domaga!
 „Nawet zwycięskie boje są klęską straszliwą;
 „Wśród bitwy śmierć zabiera ludzi ręką chciwą,
 „Jak żniwiarka kościana. Mądry się nie broni;
 „Lepiej od wojny łaska wroga nas zasłoni.
 „Czyż ten nie śmieszny, kto dla próżnego honoru
 „Pędzi na ścieżki śliskie wojennego toru?
 „Czyż nie zbrodniarzem człowiek, co naród naraża
 „Na gniew wielkiej królowej? Toć ona zagraża
 „Śmiercią buntownikowi; pokornym przyrzeka,
 „Że spocznie ponad nimi jój mężna opieka.
 „Mówię wam przeto, ludzie, narzućcie okowy
 „Na Pelkę szalonego; niech kaganiec mowy
 „Nie dopuści. Jak na psa nałóżcie kaganiec!
 „Oddajcie w ręce pani możnej miejski szaniec,
 „Jeszcze cały, nie psuty przez wojenne szkody!
 „Wróble w dani zaniosą w obóz wojewody,
 „I pod nowém tém berłem będziecie w pokoju
 „Żyli szczęśliwi. Wy już niezaznacie boju
 „Z Popielem. Będzie dobrze“.

Ledwo skończył mowę
 Starzec, postanowienie u ludu gotowe;

Cieszy nadzieja miru; doświadczenie starca
 Za dowód prawdy wielki znękanym wystarcza.
 Pełkę bili, oplwali, zakuli w kajdany,
 Kagańcem jak psa skuli.

Wkrótce radne pany

Narodu, starzy, siwi, na kij pochyleni,
 Łękliwi a poważni, zżyci, doświadczeni
 Własnej słabości, wróble z miasta wybierali,
 I na poduszkę kładli wielki klucz ze stali. —

Naród w Krakowie wielce sprawą ucieszony;
 Zawsze przy sobie mężów będą trzymać żony,
 Bo już wojny nie będzie. Uśnie wszelka troska,
 Skoro wrogów opieka, jak opieka boska
 I przed śmiercią ochroni i da pełno jada;
 Więc nad znękaném miastem wielka radość siadła.

Z wróblami w ręku w obóz poszli wojewody;
 W łańcuchy skuty płakał w turmie Pelka młody.
 Starcy poprzód Welindą, gdy stanęli kołem,
 Podali klucz i wróble, uderzyli czołem,
 Na brzuchu swym pełzali, jak robaki ziemi;
 A zwycięska Welinda śmiała się nad nimi.
 Na dowód łaski starcom wstążki dać kazała,
 Które z pajęczej śliny sama im utkała. —
 Stanęli tedy starcy, wstążki do rąk wzięli,
 Zaśmieli się z radości, do ust przycisnęli
 Dar królowej.

A teraz poszły w gród załogi.
 Z uśmiechem i ukłonem witał naród wrogi
 Swoje. Na Wawel poszła pani, na stolicę;

Tron sobie uścieliła, wybrała świetlicę
Sypialną.

Potem wróblom przywiązać kazala
Do nóg wełnę płonąca. Na wieżycy stała
Zamkowej, i puszczała ztamtąd na gród ptaki;
Poparzone padały na strzechy, a klaki
Płonące ogień nosły do podłego grodu,
Niecąc wielką pochodnię na pogrzeb narodu
Łuna aż w niebo poszła. Żmij się zaśmiał w jamie,
I Welinda się śmiała na zamkowej bramie,
Wtorując tak Żmijowi. Pośród zamieszania
Żołnierze szli mordować. Miasto dym zasłania
Czarny; przeto niewiadać, jak tam giną podli;
I tylko jęk rozpaczy o litość się modli
Z poza dymu.

Wieczorem zgasły miejskie tyny.
Gdzie miasto było, stanął na kształt wielkiej trumny
Staw wielki, smętny; cicho oddycha staw szary;
Piana śpi na nim, nad nim szeleszczą czahary,
Mówiąc o hańbie ludu i o starców radzie,
O zwątpieniu serdecznem i rozumu zdradzie.
Ponad jeziorem sterczy Wawel spustoszały;
Mchem i pajęczyną obrósł zamek cały;
Ale Welinda w zamku odprawia swawolę.
Pod jej berłem żelazném odtąd Lackie pole
Przekłęte.

Choć deszcz czasem znów na ziemię pada,
Odtąd nędza narodem bezlitośnie włada;
Słoma długa mały kłos gdzieś u szczytu niesie,
Kąkol wyżej od pszennych kłosów w polu pnie się

Do góry; troska siadła przy białej chorobie.
W niewoli żyje naród i w żelaznej dobie;
Jedna jego nadzieja, w zamku dziewczka mała,
Marzanna, która sama przy życiu została
Z rodu Krakusowego. Welinda królowa
Przez litość jakąś dziwną przy sobie ją chowa,
I dziecku nawet każe by ją mamą zwało.
Tyle pociechy w Polsce po Kroku zostało.

<http://rcin.org.pl>

PIEŚŃ IV.

DODOLA.

Noc była ciemna, zimna, gdzieś późno w jesieni.
Do chaty wrócił Nijko stary; drzwi od sieni
Zatrzasnął poza sobą, jakby przestraszony,
I jakby go ścigało coś; a odwrócony
Ku sieni w tył się cofał. Przy ogniu siedziały
Jego córki trzy Nijki; widząc ojca, wstały,
By go przywitać. Ledwo ojciec spojrzy na nie;
Na oczy ręce kładąc, w rogu chaty stanie
I stęka. Długo trwało, zanim spuścił dłonie
I zanim spojrział w ogień, co na piecu płonie
Lepianym, dużym białym. W koszuli powrócił;
Snać uciekając, kozuch swój gdzieś w lesie rzucił;
Bo wyszedł był w kozuchu. Darmo się pytały,
O powód strachu, ojca, córki które stały
Przy nim. Żądał barszczu. Był w garnku barszcz czerwony,
I córki go podały.

Ojciec najedzony

Wreszcie w te oto słowa do córek przymówi;

„Kiedy opowiem wszystko, powiedziéć gotowi
„Ludzie, że oszalałem, że nieprawdę gadam;
„Ale, córki, słuchajcie, co wam opowiadam!
„Dobrze to wiedziéć, dobrze gdy kto zapamięta,
„Że gości jeszcze pośród ludzi moc nieświęta,
„Dawna, i że umarłe pokolenia stare
„Wśród ludzi żywych czasem odbywają karę
„Za dawne swoje grzechy. Jeszcze kiedy władał
„Polską Lech stary, mnie to ojciec opowiadał,
„A wasz dziad. Młody ojcu nie wierzyłem, wtedy,
„Za dni szczęścia. Nastaly teraz czasy biédy
„Ostatniéj za Popiela, a wśród późnych ludzi
„Jeszcze krzyk wielkoludów dawnych lasy budzi.
„Krakus umarł niedawno; wraz z nim się zapadło
„Miasto, królów stolica, co nad Polską władło
„Berłem ze złota. Lechem ojca Kraków zwano;
„On błogo panował tu pod Karpacką ścianą,
„Nad pszennemi łanami i nad mnogim ludem.
„Ojciec Lecha, Asarmot, z północy szedł z trudem
„Wielkim i znojem, poprzez rzeki, poprzez góry,
„W ten kraj; ludzi nie zastał, a cmentarz ponury
„Zastał; przed nim mieszkały olbrzymie narody
„W Polsce, a chłop tu bywał tak dużej urody,
„Że poprzez Dniestr przechodził jednym tylko krokiem,
„I że głowę przekrywał niebieskim obłokiem
„Zamiast kapelusza; przy olbrzymach i karły
„Mieszkały. Te narody przed Lechem pomarły
„Dawno; po nich zostały już tylko mogiły,
„Wielkie zielone świadki pokoleń, co żyły
„Niegdyś w Polsce. Nie wszyscy ludzie o tém wiedzą,
„Że trzej żywi świadkowie po nich dotąd siedzą
„W Polsce, i już nie pomrą; oni się napili
„Wody żywota i już będą wiecznie żyli,

„Chyba Bóg ich powali; unikają wzroku
„Ludzi, jak niedobrego jakiego uroku.
„Dwaj, to wielcy olbrzymi, jeden z karłów rodu.
„Słyszałem o nich, alem nie wierzył za młodu,
„Aż teraz olbrzym starszy, Tur, mi przeszedł drogę;
„Sam go ninie widziałem; wątpić już nie mogę
„Tur w lasach psami zgraję dziką zwierząt goni;
„A brat jego Świętogór wśród dzikich ustroni
„Tatrzańskich, zadumany żyje smętnie, dumnie,
„A na noc spać się kładzie w wielkiej z głazów trumnie,
„Którą sam pobudował; trzeci mały Dziwo,
„Karzel z garbem ogromnym, z długą brodą siwą,
„Także w górach zamieszkał, Dziwożonom włada;
„Czapkę wdziawszy Niewidkę, przez wiatr lecąc, gada
„Z ludźmi poświstem. Ich trzech na ziemi zostało;
„Dziwo nad Morskiem Okiem, Świętogór pod skałą
„Łomnicy leży, a Tur wśród błota przebywa
„Pośrodku téj tu puszczy, a w nocy się zrywa
„Ze snu, w wielki róg swój dmie, i zwierza zwołuje,
„Co pośród dzikiej puszczy żerując, koczuje
„W nocy. Zwierz róg usłyszy; jak szalony goni
„Do Tura ogromnego; on z moczarów toni
„Wychodzi, trzęsąc hełmem, ponad którym rogi
„Stérczą żelazne. Tur to wielkie widmo trwogi;
„Na głowie swój ma rogi i róg w usciech trzyma,
„Głową nad sosny sięga, w pasie się nadyma,
„Jakby błotna poczwara, dmąc w róg pieśń straszliwą.
„Przed nim lecą tabuny z rozpuszczoną grzywą;
„Oczy im płoną, iskry skaczą zpod kopyta;
„Rżąc koń dziki, wichru szum wciąż nozdrzami chwyta,
„Goniąc w cwał; za nim wilków bura mknie gromada;
„Niedźwiedź, żubr, łos i jeleń; a Tur zwierzem włada
„Wszystkiém, przez bór popędza ową dziką trzodę;

„A zwierż gałęzie łamie, mąci rzeźczą wodę,
 „Roztrąca matkę ziemię, i huk taki sprawia,
 „Że na wspomnienie huku, strach się w piersi wznawia
 „Mojój. Rąbałem drzewo, śmił się mrok wieczoru;
 „Wtém zahuczało strasznie w czarnej głębi boru;
 „Mych uszů doszły wszystkie wszystkich zwierząt głosy:
 „Na głowie mój stanęły z trwogi jężem włosy,
 „I ziemia się zatrzęsła pod stąpaniem zwierza,
 „Co za rozkazem Tura prosto na mnie zmierza.
 „Spojrzałem w górę; ponad ciemne sosen szczyty
 „Łeb Tura wzrósł, brodaty, — tułów w gąszcz ukryty.
 „Strach wielki wleciał w moje nogi; uciekałem,
 „Nie odwracałem głowy, cały z trwogi drzałem,
 „A skóra tak płonęła, jakby pośród żaru;
 „Aż w sercu mi huczało od tych zwierząt gwaru.
 „Siekierę zostawiłem w drzewie, co tam stoi
 „Pośród lasu ranione. Mnie się w głowie roi
 „Od rogów i od racic, chrapów i pazurów,
 „Od łosiów rozsochatych, lisów, żbików, szczurów,
 „Od ptactwa kraczącego, sępów, sów i kruków,
 „Od szumu skrzydeł orlich, od zwierzęcych huków.
 „Gdym uciekał, rzuciłem kozuch, by mi było
 „Lżej uciekać, i biegłem niesion jakąś siłą
 „Nieswoją, aż dobiegłem do was tu do chaty —
 „Ze strachu, na pół martwy, a przecie skrzydlaty!“

Tak skończył mówić Nijko, i pod piec się zwałił,
 A potém cicho mrucząc, już się glinie żalił
 Tylko; a długo jeszcze serce w nim tak biło,
 Jak gdyby kowal młotem na kowadło siłą
 Całą walił. A córki Nijka przez noc całą
 Nie spały także; dziwnem to się im wydało,

Co ojciec mówił; sprawy téj nie zrozumiały,
A czekały na ławie, aż przyjdzie dzień biały.

Nareszcie nadszedł późno; przez jesienne chmury
Przekradał się pocichu jakiś ranek bury
Jakby wilk, i zaglądał przez okno nieśmiało,
Jakby sam nierozumiał, co się z Nijkiem stało?
Ujrzał starca na ziemi, — i jeszcze drżał cały
Starzec, a jego córki na ławie siedziały.
Najstarszą Poleciuchą, średnią Gędźbą zwano,
Najmłodszej córce ojciec dał Dodoli miano.

Nijko siadł wreszcie; ale na ciele drżał cały;
A plecami się oparł o piec zimny, biały.
Nad głową starca komin czarną paszczę swoją
Otwierał. Włosy jeszcze ciągle jęzdem stoją
Na głowie Nijka; a twarz jego jak mur blada;
Oczy ma błędne; dolna szczęka na dół spada,
Tak, że usta otwarte jakby jakie wrota,
A na czole u Nijka potu istna ślota
Kapie ze strachu.

Wreszcie przełknięiony powie
Swym córkom słowa drżące, a strach w każdym słowie:
„Zimno mi córki; niemam, czémbym przykrył ciało;
„Gdybym miał kożuch, takby na mnie wciąż niedrżało.
„Drżę biędny; mam gorączkę; niechże która biegnie
„W las po kożuch!“

Rzekł stary; a strach wielki legnie
Na twarzach jego córek; starsza się schowała
Za plecy średniej siostry; średnia drżąca cała
Za plecami najmłodszej siostry przycupnęła;

Jak niegdyś ojca, teraz córki drzączka wzięła;
 Tak się gięły jak trawa, gdy uschnie w jesieni;
 Jak kula szklanna, tak się każdej lice mieni. —
 A Nijko niecierpliwy wciąż o kozuch woła;
 Drzączka tak nim miota, że ledwo siedzieć zdoła.

Dodola patrzy w ojca; ściska się jój serce,
 Że stary rodzic, Nijko, w takiej poniewierce;
 Że ojciec nie przekryty, to za grzech poczyta
 I wreszcie swą odwagę tak oburącz chwyta,
 Jak rycerz miecz potężny, lub dziecię zgłodniałe
 Ciasto świąteczne. Z chaty w lasy poczerniałe
 Jesienią biegło dziewczę; serce w niej płakało,
 Ale szło mimo strachu, bo ojca kochało. —

Co chwila suche liście z drzew na dół padały,
 A od mgły mrocznej kapał gęsto las szcerniał.
 Dodola dobrze znała wszystkie w lesie drogi,
 I wiedziała, którądy ojciec pełen trwogi
 Uciekał wczora. Poszło zatém w tamtą stronę
 Odważne dziewczę, chociaż srodze przeleknione.
 Choć dzień był, wciąż mniemało, że Tura usłyszy.
 Lecz cicho w lesie; tylko wiatr jesienny dyszy
 Tam po gałęziach smętnie.

Leży pod drzewami nisko
 Kozuch wełną do góry, ponad ścieżką śliską,
 Leśną rzucony; przygniótł paprocie czerwone.
 Czarną plamą na ścieżce kozuch, a zwieszono
 W dół gałęzie brzozy drżą nad nim, krople rósy
 Duże z liści spuszczać po żółkłych, na włosy
 Kędzierzawe. Dodola już biegnąć zaczęła
 Po kozuch; ale raptem wśród biegu stanęła;

Bo zobaczyła, że tam pośród czarnej welny
 Coś leży. Zda się, że ten kożuch złota pelny;
 Wśród mgły jesienniej złotem tam korona płonie,
 A wąż jasny, ogromny, pośród welny tonie.
 Położ głowę podnosi; spojrzę na Dodolę,
 I cały się zakłębi i wyrusza w pole,
 Z kożucha złażąc.

Krzyknie Dodola złęknioną;
 Chce uciekać, lecz pada, lękiem przemożona;
 A wąż jak błyskawica przez ścieżkę się stoczył; —
 Tak jastrząb na mysz pada, gdy ją w ścierni zoczył,
 Z chmur w dół zlatując pędem, i zdobycz porywa.

Dodola teraz węża łupem; ledwo żywa
 Czuje ciało położa zimne. Wąż łeb składa
 Z koroną na dłoń dziewczki, a okiem wzrok bada
 Dodoli. W oku węża jakieś są uroki
 Dziwne; wzrok węża niby ludzki wzrok głęboki
 Rozpaczą. Dodola drży a patrzy w to oko,
 Jakby w zaczarowanej wody toń głęboką;
 I czuje, że wzrok węża o coś tęskno błaga,
 I że o litość prosi, a wolę przemaga
 Ludzką, siłą zakłęcia. Dodola zadrżała
 Raz jeszcze dziwnie — i tak niemocną się stała
 W obec węża, jak gołąb. Wąż paszczę otworzył
 I dłoń Dodoli białą cicho do niej włożył;
 Wąż polazł dalej ścieżką, i w Dodoli oczy
 Patrzy jak zakochany rycerz, sploty toczy
 Złote, koronę dźwiga i dziewczynę wiedzie
 Przez las.

Wreszcie ujrzała daleko na przedzie
 Przed sobą skalę białą, zwietrzałą, wapienną,

A pośród białej skały téj, pieczarę ciemną,
 Wysoko wywieszoną ponad drzew konary.
 Skała ta poszczerbiona, jakby zamek stary,
 Opuszczony. Do bramy téj skalnej pieczary
 Wiodła stroma wśród gruzów ścieżka. Dziwne czary
 Tak swém zaklęciem myśli spętały Dodoli,
 Że drapie się po sieżce za węzem. bez woli
 I rozumu.

Tak zaszła Dodola do jamy
 Z Położem, prowadzona, i weszła do bramy
 Pieczary, i szła dalej chodnikiem podziemnym,
 Coraz niższym, ciaśniejszym, a chropawym, ciemnym.
 Lud niedopérzów mnogi uwiśł na skłębieniu,
 W skrzydła otulon, głową na dół, pośród cieniu,
 Do grzybów przewróconych podobny. Tak nisko
 Wreszcie było w jaskini, że na ziemię śliską
 Padła Dodola; już na rękach się czołgała;
 Była wśród nocy ciemnej; trwoga przed nią stała;
 Czar minał. Przez jaskinię szła dalej zmuszona;
 Jak wąż na pierś upadła; myśli, że wnet skona
 Pośród ciasnego grobu. Położ dalej wiedzie
 Dodolę przez czeluście.

Aż światło na przedzie —
 Daleko — mignie jakieś. Już szérsze chodniki,
 I mroczne tylko, wiodą w podziemne tajniki
 Jaskini. Już Dodola na nogach stanęła;
 Przed nią wśród mroku, błyszcząc, cicho się sunęła
 Postać Położa; już jój za rękę nie trzyma;
 Darmo zgaduje dziewczę, jakie przed oczyma
 Ma światło; boć to pewno niesą blaskiienne;
 To świty dziwaczne, od słonecznych odmienne,

A dziwnie szkliste jakieś, lśniące, zwierciadlane.
 Blask otoczył Dodolę, i ujrzała ścianę
 Skalistą i przepastną pod sobą. Na dole
 W głębi, jasne jezioro tworzyło półkole
 Szmaragdowe, zielone. Z przejrzystej topieli
 Światło wychodziienne, po ścianach się ścieli
 Groty ogromnej, pędzi z jeziora do góry,
 I tysiąckrotnie odbite napowrót o mury
 Szklanne jaskini tak się na tęcze rozbija
 Mnogie, że ta pieczara, barwna jakby szyja
 Gołębia migotliwa, a taka świetlana,
 Jakby cała z słonecznych promieni ulana.
 Ponad głową Dodoli wysokie sklepienie,
 Jakby tęczowe światła barwnego zjawienie,
 A z niego słupy szklanne na dół zstępują;
 Ale słupy nie stoją — one ulatują
 Ponad lśniącą powierzchnię dolnego jeziora,
 A tak płoną złociście, jak luna wieczora,
 W toń wody szmaragdową wiecznie zapatrzone.

Stał tu Połoz złoty, wznosił łeb i koronę,
 Co jemu jak królowi ozdobiła ciało —
 Do góry — a zasyczał. W dole zasyczało
 Sto tysięcy głosów — a nad jeziora brzegiem
 Ciał sto tysięcy szybkim się roilo biegiem
 Błyszczą w świetle cudowném. Naród niezliczony
 Węzów pnie się po skale; a blaski korony
 Położa, co jak słońce wśród jaskini płonie,
 Dla węzów drogokazem. Ponad jezior tonie
 Po ścianie przepaścistej pnie się wojsko gadu.
 Tak to pnie się latorośl dzika winogrodu
 Po murach białych dworu, kraszając je zielenią.
 Pną się węże do góry, lnią się, błyszczą, mieniają;

Już są przy królu i już otoczyły wkoło
 Dodolę osłupiałą. Witają wesoło
 Sykiem Położa; on im sykiem odpowiada.

Dodola nie rozumie, co tam naród gada
 Z królem; ale królewski rozkaz zrozumiany.
 Położ ogromny pierwszy wszczął zlazić ze ściany,
 Na dół — tam ku jezioru; a pomniejsze węży
 Dziewczę sobą podniosły; i moc ich zwycięży
 Opór dziewczęcia lekko, jak woda podniesie
 Ruszczkę wierzbową. I ze skały, co tam pnie się
 Na tysiąc stóp nad wodą, spuszcza się tłum gadu,
 Rozkazem swego króla ujęty, w moc ładu
 Dziwnego. Z ciał węzowych tuczyniono sanie,
 Które Dodolę niosą na dół tam w otchłanie
 Nadwodne. W dół leciała — wziął ją zawrót głowy;
 Tego co czuła lecąc nie opiszesz słowy;
 To chyba we śnie czujesz czasem pośród nocy,
 Kiedy ci się wydaje, że lecisz jak z procy
 W otchłań wielką rzucony. Przymrużyła oczy —
 I to tylko wiedziała, że się na dół toczy
 Piorunem. Wtém uczuła ziemię pod stopami;
 Znow w świat spojrzała; jest nad jeziorem; iskrami
 Dziwnymi sypie w górę jezioro zielone,
 A ponad głową płoną słupy zawieszzone,
 Do ognia podobne. I tu pod ziemią cudnie,
 Wspaniale, ale smętnie, dziwnie i odludnie;
 A blask szklanny na skały patrzy z popod wody,
 Sto światel zapalając na zakłète gody.

Węże już się rozeszły; z rzadka błyszczy ciało
 Węzowe, co po stokach szklanych zajaśniało
 Gdzieś. Położ idzie przodem i Dodolę wiedzie

Ku gmachom kryształowym, co płoną tam w przedzie,
Daleko.

Wreszcie zaszedł położ do świetlicy,
Wiodąc z sobą Dodolę. Jakby z błyskawicy
Ulane były ściany; całe promieniały;
Pośród komnaty owęj złote sprzęty stały;
Dwa łoża zaścielono, stoły ustawiono,
A na stolach naczynia różne światłem płoną
Ze złota i z kryształu; a w nich szumią miody
Sycone — legły ciasta, wonieją jagody.
Przy stole było w izbie krzesel złotych dwoje;
Na jedno z nich kładł Położ swe ogromne zwoje
Złociste; a na drugie tuż Dodola siadła,
Miody piła, a ciasta i jagody jadła;
A potem wśród milczenia długo przybywała
Aż wreszcie pośród pieczar także noc nastąpiła.
Bo przez wodę jeziora zachodziło dzienne
Światło tajemną drogą w sklepienia podziemne,
I póty tylko, póki słońce w niebie stało
I świeciło nad ziemią, światło rozpałało
Te zorze tajemnicze nad tonią jeziora.
Lecz skoro tam na ziemi śmił się mrok wieczora,
Tu szybciej gasły światła, zachodziły cienie,
I noc swą czarną kapę kładła na sklepienie
Jaskini. Ciemno było — ciemno jakby w grobie —
Tak ciemo, że wśród nocy i zwątpić o sobie
Można — można zapomnieć, że przecie zostało
Pośród takiej ciemności niewidome ciało.

Dodola po omacku odnalazła łożę,
Ale pośród ciemności téj zasnąć nie może;
Słyszy wśród piersi, serca każde uderzenie,

I źrenicą otwartą patrzy w gęste cienie
 Nocne. A ta myśl duszę jak całun obsiada,
 Że przy niej chyba Połoz z ludem węzów gada,
 Że mownego człowieka tutaj nigdzie nie ma,
 Że nigdy pewno więcej nie ujrzy oczyma
 Twarzy ludzkiej, ni głosu więcej nie usłyszy
 Ludzkiego, sama żyjąc, pośród grobów ciszy.

Wtém usłyszała ponad sobą ludzkie słowo:
 „Ja Połoz jestem,“ rzekło, „lecz do ciebie mową
 „Przemawiam lat dziecinnych, bo wśród cieniów nocy
 „Odemnie odstepują wrogich zakłęb moce.
 „I teraz mam, Dodolo, także ludzkie ciało,
 „Na które niegdyś z nieba słońce się patrzyło
 „Złote. Ja jestem Krakus; i mnie mocne czary
 „Pokonały; i na mnie spadły srogie kary
 „Za dawne grzechy. Alem nie umarł; jam żywy;
 „Dla ludzkich oczu jestem, jako wąż straszliwy,
 „Połoz, — i we dnie mowę z ust u mnie odjęto;
 „A w ciało ludzkie wracam, na chwilę, w noc świętą,
 „Mroczną; i mnie oddano berło nad węzami
 „Syczącemi; tu bawię w nocy, sam ze snami
 „Mojemi. We dnie patrzę na łuny podziemne,
 „A jeśli w świat zachodzę przez kruźganki ciemne,
 „Przez które ciebie wiodłem do mojego gmachu,
 „Na mój widok ludzie mrą od samego strachu;
 „I przeto mnie okropnie!“

I umilkły słowa,
 A na rękę Dodoli kładła ludzka głowa
 Płonące pocałunki.

*

*

*

Odtąd miłość wstała.

Pośród wnętrzości ziemi. Gdy grota jaśniała
 Blaskiem podwodnym, Połoz wielki, w krąg skłębiony,
 Strojny w łuski błyszczące i w złoto korony,
 Spoglądał na Dodolę okiem, co tęskniło
 W nieskończoność. Dodoli na łożu się śniło
 O ludziach i o ziemi, którą trawa stroi;
 A jeśli Połoz zaśnie, to się jemu roi
 O dawnych, dzielnych bojach, o Krakowskim grodzie,
 O dawnym swym królestwie i bitnym narodzie,
 I o trzech żonach, które poznawał za młodu,
 Ze złych czartów i z ludzi i z Rusalek rodu;
 I o tym marzył Połoz snem ukołysany,
 Jakie niegdyś zadawał ludziom, grzesząc, rany
 Boleśne, i jak niegdyś nie dotrzymał słowa,
 I jak się jemu próżnym kłamstwem stała mowa,
 I jak najświętsze niegdyś zdeptał przedsięwzięcia,
 Mimo próśb i przyrzeczeń, święte rwąc zakłęcia:
 Jak długo znosił obce poświęcone czary,
 Aż wreszcie sam zaklęty nie odsiedział kary.

Zanim się zmierzchno, już się budzili oboje
 Pośród groty promiennój. Wąż roztaczał zwoje
 Ciała swojego poprzec oczyma Dodoli;
 W oczach widać mu było, że milczenie boli
 Konieczne, — ale milczał. Dodola patrzyła
 Wtedy na węża smutna, zadumana cała,
 Chcąc zagadkę odgadnąć, jakto duszę może
 Człowieka ciało gadu więzić? A w przestworze
 Groty wielkim blask dzienny gasł powoli; woda
 Jeziora poczerniała, i Dodola młoda
 Wśród ciemności została czarniej, obok węża,

Przy boku podziemnego i dziwnego męża,
Co u jej stóp pełz, niosąc koronę na głowie.

Ale zaraz namiętność ludzka w ludzkiej mowie
Powstała pośród nocy. Dziewczę czuło ciało
Ludzkie przy sobie, co się ciała dotykało.
Król Polski chłopskiej dziewce mówił o kochaniu;
I miłośna rozmowa w podziemném mieszkaniu;
Trwała przez całą noc.

Krok przymówił: „Tyś Tura
„Się nie bała, dziewczyno, choć wielki jak góra
„Tur, i choć zwierza goni moc całą przed sobą.
„Więc myślałem: choć węzem się zjawię przed tobą,
„Zniesiesz widok odważnie, bo masz serce mężne.
„Z miłości dla ojca szłaś na trzody potężne
„Zwierza, które Tur goni przed sobą po borze
„Ciemnym. A więc myślałem: twoje serce może
„Kochać i tu pod ziemią, skoro wieść usłyszysz
„O królu, co jest węzem za to, że żył w pysze
„Pośród ludzi. I przeto ja ciebie porwałem;
„Ciebie mam jedną teraz, sam na świecie całym,
„I przeklęty. Więc kocham ciebie ponad miarę —
„I błagam, abyś domem zwała tę pieczarę
„Na wieki“.

Tak Krok mówił pośród czarnej jamy
Podziemnej. A Dodola odrzekła: „Kochamy
„Nieszczęście, królu, i my wielkość kochać zwykli;
„A choć, Krakusie twoje zamki z ziemi znikły,
„I chociaż we dnie bywasz pełzającym węzem,
„Wielkość ze słów twych płynie, i tyś moim mężem
„Ukochanym. Toć chętnie z tobą żyję w grobie;

„Gdy trzeba będzie, królu, umrę tu przy tobie.
 „Lecz straszno, żem twój twarzyć nigdy nie widziała.
 „Widoku twego, panie, jam stęskniona cała,
 „I błagam, byś wśród nocy kazał ognie krzesić,
 „Abym przy świetle rudém mogła się nacieszyć
 „Tobą“.

Dodola rzekła. A głos z głębi nocy
 Tak odpowiedział: „Wedle zaklęcia i mocy
 „Niedobréj zabroniono, aby ludzkie oko
 „Mnie nie widziało“. I w noc wróciło głęboką
 Milczenie.

Wtedy znowu przymówi Dodola:
 „Niechże się spełnia twoja, czy złych czarów wola!
 „Kiedy być musi, głos twój tylko będę znała,
 „Wśród nocy niewidoméj pogrążona cała,
 „I aż do mojej śmierci z tobą pozostanę;
 „A kiedy dusza pójdzie aż w Raje nieznane,
 „Za Dunaj krwawy, tutaj węże moje ciało
 „Zaniosą do jeziora. Życia dobę całą
 „W nocy przeżyję, albo pośród węzów roju
 „Syczących. Lecz na ziemi jasnej, w niepokoju
 „O mnie, żyje mój ojciec stary. Dajże, Kroku,
 „Niech go obaczę! Niechaj raz przy jego boku
 „Jeszcze usiedę! Potém wiecznie tu zostanę; —
 „Potém już ludzkie lice będzie mi nieznane.
 „Raz jeszcze daj, Kroku, niech ludzkie ujrzę twarze!
 „Potém wrócę, by ciebie kochać, w te cmentarze
 „Z kryształu. Błagam ciebie! Miěj litość! Jam młoda!
 „Piękne są te sklepienia, piękna cicha woda
 „Jeziora, co zielono tam na dole płonie
 „We dnie; ale jam dziecko, co poczęte w łonie

„Niewiasty żywój; i mnie ludzkiego potrzeba
 „Wzroku, i mnie potrzeba powietrza i nieba
 „Chmurnego ponad głową! Puśćże mnie do chaty
 „Na jedną tylko chwilę! Wrócę w ten bogaty
 „Grób potém — ale pozwól Kroku, bym widziała
 „Ojca i siostry jeden raz!

Tak to błagała

Dodola. — I płacz w głosie był. Na to odpowie
 Krakus: „Jest narzekanie wielkie w każdém słowie
 „Twój prośby. Żal mnie ciebie. Ale stokroć gorzej
 „Jam nieszczęśliwy; złego mnie załało morze,
 „I utonałem. Kiedy jutro zaśniesz rano,
 „Możesz do chaty wrócić. Taką moc mi dano,
 „Że możesz wrócić. — Ujrzysz znowu światłoienne,
 „Ojca i twoje siostry. A czy w te podziemne
 „Kraje wrócisz ty potém, do mnie nieszczęsnego,
 „Którego straszne kłatwy pośród nocy strzegą?
 „Czy wrócisz? Bo gdybyś ty już nie powróciła —
 „Dodolo! słuchaj! Wtedy ty byś mnie zabiła!
 „Choć węzem żyję — żyję i nadzieję pieszcze,
 „Że to zaklęcie minie — królem będę jeszcze!
 „Kiedy to będzie, nie wiem — ale mam nadzieję.
 „Więc czekam pośród prochu, i choć sykiem zieję,
 „Czekam aż zmartwychwstanę. Lecz na to bym przeżył
 „Wiek zaklęcia, i kiedyś znowu berło dzierzył
 „Nad zmartwychwstałą Polską, mnie potrzeba ciebie,
 „Bym z rozpaczą nie był sam, po własnym pogrzebie
 „Tu pod ziemią. Więc puszcze ciebie. Lecz Dodolo!
 „Pamiętaj, jak wśród nocy mnie godziny boła,
 „Które miną bez ciebie! Pomów ze swoimi
 „Na ziemi. A gdy już dość nacieszysz się nimi,
 „Mnie wspomnij, węża, co cię kocha ponad życie!

„Mnie wspomnij i podziemne to wspomnij ukrycie
 „Moje! Kiedy się zmierzchnie, odejdz znów do boru,
 „Tam, gdzie cię spotkał najpierw. Tam czekaj wieczoru,
 „A kiedy Bóg już gwiazdy na niebo wywiesi,
 „Usnij pod dębem starym na śniegu, tam w lesie!
 „Wtedy powrócisz tutaj“.

Rzekł Krakus te słowa.

A na wszystko przystała Dodola, gotowa
 Na wszystko; i na wszystko święcie przysięgała;
 Bo choć przez chwilę jedną ojca widzieć chciała
 I siostry swoje w chacie.

Gdy rano nastalo

I gdy z głębi jeziora zorza grotę całą
 Zapaliła dziwnymi blaskami, ujrzała
 Dodola znów Położa przed sobą — i całą
 Jaskinia była węzów pełna. Przeszły dreszcze
 Po Dodoli na myśl, że w téj ciemnicy jeszcze
 Bawi, że do niej jutro powróci na wieki.
 Płacząc, na łożo padła; a sen na powieki
 Jój zeszedł; — usnęła.

Wiatr zimny jój po twarzy

Zawiał; niebo nad głową łśni. Nie wie, czy marzy,
 Czy to niebo prawdziwe, zjawione na jawie!
 Już się zbudziła, z ciała wyskoczyła prawie
 Z radości; w koło siebie widzi ziemskie rano,
 I ziemię jasną, śniegu kobiercem zasłaną,
 I drzewa czarne, które dokoła polany
 Stały; widzi blisko chaty swojej ściany
 I strzechę mchem obrosłą. Jest w domu! Krzyknęła;
 Najpierw się podniosła na ręce; stanęła

Potém na równe nogi. Pies zaszczekał bury; —
 Przybiegl — stanął, a wreszcie podskoczył do góry
 Ku twarzy swojej pani, i piszczał z uciechy,
 I ogonem wywijał. Gołębie zpod strzechy
 Wyrzały, zagruchały, i wnet przyleciały,
 Do stóp Dodoli.

Takim znowu był świat cały
 Jakim bywał dawniej, i tak dobrze jój było,
 Że Dodola się zlekła, czy to się nie śniło
 Tylko? czy nie uludą było? Nie chce prawie
 Wierzyć, by to się wszystko ziściło na jawie.
 Dziękuję Połozowi. Lecz serce zamarło,
 Gdy wspomniało przysięgę, i coś jój się sparło
 W piersi; brakło oddechu. Sparła się o ścianę
 Chaty; rękami lice zakryła rumiane
 Od mrozu; zapłakała. Kiedy lzy otarła,
 Drzwi drewniane od sieni znajomej rozwarła;
 Kury spłoszyła, i w te ściany weszła białe,
 Wśród których przepędziła swe dziedzictwo całe.

Na ławie siedział Nijko, i łupał krzemiona;
 Poleciucha i Gędźba maczały wrzeciona
 Do żywicy drzew leśnych by robić pochodnie.
 Z krzemieniem i pochodnią taką, w las wygodnie
 Iść. Gdy krzesiwem skrzesisz ognia iskrę płową,
 A na taką pochodnię padnie, wnet nad głową
 Twoją las cały czarny od światła zaplonie,
 I dzień się zrobi koło ciebie w każdej stronie
 Lasu; czerwony płomień buchnie wnet do góry,
 I zda się słupem czarnym pójdzie gdzieś aż w chmury
 Niebieskie. Wiatr nie zgasi ognia żywicznego;

Przeto takie pochodnie pilnie w chatach strzegą
Leśnicy.

Nijko ujrzal Dodolę, i powstał
Z ławy, krzemień opuścił ciężki, ręką dostał
Czoła. Patrzał zdziwiony — nie wymówił słowa.
Gędźba milcząc uklękla.

Poleciucha płowa

W głos zawołała: „Czy to jest Dodoli mara?
„Czy to żywa Dodola? Niepodobna wiara,
„Aby wróciła. Już trzy niedziele minęły,
„Jak szła naprzeciw Tura, jak ją Czarty wzięły
„Z ziemi — i jak bez śladu znikła. Nie wracają
„Pomiędzy żywych, ludzie, których porywają
„Duchy leśne“.

„Wróciłam,“ odrzeczł Dodola,
„A już mnie pochłonęła, czarna matka rola;
„Pod ziemią byłam, i już byłam pogrzebiona.
„Ale do swoich wraca czasem ten, co skona
„Już; i ja powróciłam choć nie skonała,
„I choć mnie, żywą jeszcze, zjadła głodna skała.
„Przez ten dzień jeden, z wami zostanę tu w domu;
„Gdy wieczór zajdzie, znowu zniknę pokryjomo.
„I już na zawsze zniknę! Pójdę w ciemne kraje,
„Gdzie słońce nie zachodzi, i księżyc nie staje.

Rzekła i poprzęd ojca na kolana padła,
A żalność z radością wraz rodziną zawładła
Całą w chacie. Płakali i razem się śmieli,
Że znowu i że się raz ostatni widzieli.

Długo trwała o wszystkiém, co przeszło, rozmowa:
 Aż wreszcie, lzy otarłszy, Nij te wyrzekł słowa:
 „Dziwa prawisz Dodolo! Ledwo staje wiary
 „Na twe opowiadanie; ale jam już stary,
 „I już tyle przeżyłem, że nic mnie nie dziwi,
 „Bo większe cuda na swe oczy widzą żywi
 „Ludzie od tych, o których śpiévają pieśniarze. —
 „Niedawno temu — trupów wydały ementarze,
 „A niebo już nie chciało deszczem darzyć ziemię,
 „I gadzin jadowitych obrzydliwe plemię
 „Ziemię całą oblaźło. I niedługo trwało
 „A jakieś cudo straszne pod Kraków zleciało:
 „Zmij obrzydliwy! Siedem głów z jamy wystawił,
 „Ludzi pożerał codzien, miasto dymem dławił.
 „Potem sam Krakus przepadł, król co Polską władał;
 „A wnet w ślad za swym królem i naród przepadał.
 „Wreszcie, gdzie Kraków stawał, stanęło jezioro,
 „A w głębi potonęło ludzi, domów sporo
 „I sporo świątyń Bożych. Gdy kto brzegiem chodzi,
 „Zda się, że to jezioro jakieś jęki rodzi,
 „I głosem dzwonów gada Na zamkowej górze
 „Zła wiedźma potem siadła, i w Lechowym dworze
 „Welinda władła. Wszystkie te cuda widziałem.
 „Niedziw tedy, gdy się czar iści na tym białym
 „Świecie. Być może że Krok w węża przemieniony,
 „Ciebie uniósł ze sobą, gdzieś w podziemne strony.
 „Dawno słyzałem, że czar w nocy moc swą traci,
 „I że zaczarowani do dawnéj postaci
 „W nocy wracają. Niedziw więc, że z tobą gada
 „Położ głosem ludzkim, gdy mrok na jamy siada
 „Podziemne. Ale wiem to, bo mnie to mówiono
 „Dawno że nieraz czarów siłę przemożono,
 „Gdy ogień rozniecono i postać ujrzano,

„Pośród ciemności nocnej, tak rozczarowaną.
 „Może być, że ty Polsce dawną wrócisz chwałę;
 „Może być, że rozsadzisz ową ciemną skałę,
 „Co króla więzi, miasto wywiedziesz z jeziora;
 „Może być, że przez ciebie spadnie z Polski zhora
 „Jaka ją dusi. Weźże dziewczyno krzemiona
 „Te z jądra odłupane. Oto zamoczona
 „W żywicy pochodnia; weź ją; schowaj w zanadrze!
 „Gdy ją w nocy zapalisz, tam w jamie, moc zadrży,
 „Czar umrze. Ty zobaczysz postać Krakusową;
 „Nie węża już, a króla, co ma ponad głową
 „Koronę złotą w jasne ubraną kamienie.
 „Raz ogniem rozświeć owe tam zakłęte cienie,
 „A potem nie w jaskini, w zamku będziesz żoną
 „Krakusową, szerokiej Polski panią czczoną,
 „I wybawczynią świętą“.

Takto Nijko radził,

I patrzył w córkę i twarz ręką dużą gładził
 Dodoli. Usłuchała Dodola rozkazu
 Ojca. Tak pomyślała: „Trzy rzeczy odrazu
 „Zrobię, kiedy ogień tam wskrzeszę wśród jaskini:
 „Złamię czar, co Krakusa królem węzów czyni,
 „I oddam jemu postać i potęgę króla;
 „Przezemnie minie sroga narodu niewola,
 „I Welinda powróci w zamki Popielowe;
 „A w Polsce stanie wolność, stanie życie nowe
 „Przezemnie! Wreszcie sama wśród ludzi powrócę
 „I Krakusa nie zdradzę i niewolę rzucę
 „Wśród jaskini przeklętą“.

Tak to pomyślała

Dodola, a krzemiona i włókna schowała

W zanadrze i przy swych została do mroku;
Potém od nich odeszła, i z odwagą w oku,
I z nadzieją w sercu.

W las szła po skrzącym śniegu,
Bo mróz był. Księżyc w pełni, w swoim nocnym biegu,
Wyszedł już nad brzeg nieba i stanął wysoko
Nad drzewami białemi, jako jasne oko
Zimy. A zda się płynął szybko po za chmury
Srébrne i przezroczyste, pędząc wprost do góry
Na szczyt nieba szklanego. Z rzadka gwiazda płonie
Duża, jak ogień czujnej straży ponad tonie
Niebieskie postawionój.

Pod dębem stanęła
Wreszcie; i tutaj siadła; a zaraz usnęła
Na śniegu i w noc mroźną.

Już się przebudziła.
I nie wiedziała zrazu, czy może nie śniła
Tylko o chacie, ojcu i siostrach. Wśród nocy
Znowu była ciemnej, i czarodziejskich mocy
Siłę czuła dokoła wielką, niezmożoną!
I widziała, że znowu była węża żoną
W jaskini. Toć zamarło jój serce wśród łona.
I znów głos usłyszała. Ciemności zasłona
Gęsta nie dała widzieć mówiącego twarzy.
Głos mówił: „Przecie Bóg mnie rozpaczą nie darzy
„Ostatnią, kiedy w świecie ktoś mnie kocha, węża!
„I kiedyś ty wróciła do dziwnego męża
„Twojego, co wśród nocy mieszka i wśród czaru,
„W krainie, w której słońca nie widać, i gwaru

„Nie słyhać mowy ludzkiej! Bóg dał wielkie serce
 „Tobie, Dodolo, gdy mną w strasznej poniewierce
 „Tój nie wzgardziłaś“.

Ona głosu posłuchała;

Już całkiem rozbudzona o radzie wspomniała
 Ojcowskię, i w zanadrze swą rękę włożyła.
 Tam były dwa krzemiona, tam pochodnia była
 Ukryta, z garści wrześnie w warkocz uplecionej,
 I w żywicę sosnową przez siostry moczonej.
 Nie dała Krakusowi żadnej odpowiedzi;
 Na łożu pochylona nad pochodnią siedzi;
 Krzemień o krzemień zderzy; iskra pryśnie z głazu;
 Na pochodnię padnie; a pochodnia odrazu
 Rudym płomieniem pośród nocy zajaśniała,
 Że się krwią zaiskrzyła wnet świetlica cała
 Szklanna.

Pośród żaru, i przy swoim boku,

Ujrzała żona męża, co majestat w oku
 Miał królewski; dokoła twarzy siwa broda
 I siwe włosy były; ale jeszcze młoda
 Była twarz; a kto postać królewską podziwiał
 Poznał wyraźnie, że król zaklęty posiwiał
 Z cierpienia, a nie z wieku. Miał na sobie zbroję
 Z łuski złocistej, i miał wielkich skrzydeł dwoje
 Orlich, i miał na głowie Położa koronę.
 U stóp leżały więzy z nocy porzucone,
 Leżała skóra węża, i w świetle błyszcziała
 Pochodni, tak jak grota zapłonęła cała
 Od ognia.

Krakus z łoża zeskoczył na nogi,

I z piersi swój wydał krzyk pełen bólu, trwogi

I rozpaczy. A potem takie wyrzekł słowa:

- „Przez ciebie, Dodolo, dziś zginie moja głowa
 „Na zawsze! Tyś mnie śmierci poświęciła ninie;
 „Przepadnę! I ja zginę, i nadzieja zginie
 „Dla narodu. — Kiedy mnie w węża czarowano,
 „Do wróżebnej klątwy, te zaklęcia dodano:
 „Idź w las, pod ziemię, w ciemne jary; raz na dobę
 „Gdy północ na świat dolny włoży swą żalobę,
 „Będiesz człowiekiem. Ale jeśli kto oczyma
 „Ladzkiemi cię zobaczy, wtedy, Kroku, niema
 „Dla ciebie rady — umrzesz! Tyś mnie zobaczyła,
 „I przeto tyś, Dodolo, mnie wzrokiem zabiła.
 „Czuję konanie straszne; śmierć już piersią władnie,
 „Już serce moje szarpie; wnet sen wieczny padnie
 „Na ciężkie już powieki. A myślałem: Może
 „Cud jakiś kiedy czary te niedobre zmoży!
 „A teraz już nadzieja przez ciebie przepadła;
 „Muszę ulecieć w kraje, kędy Zmora władła. —
 „Za Dunaj idę krwawy, w senne wiecznie Raję,
 „Gdzie ziemia boską wodę i owoce daje
 „Święte, ale nie dla tych już, którzy tam siedzą;
 „Śnią pośród maków i o sobie nic nie wiedzą.
 „Idę. Nikt z ludzi nie zna drogi w owe kraje,
 „Wśród których śmierć króluje i wieczny sen staje
 „Z berłem w swych ręku; z żywych drogę ową znają
 „Ci tylko, co po ludzcie umarłym zostają
 „Na ziemi: Tur ogromny i Świętogór duży,
 „I Dziwo karzeł, trzeci. Niechaj ci powróży
 „Z nich który, gdzie mnie możesz znaleźć? Jeżeli wola
 „By była żoną króla, to tam mnie Dodola
 „Znajdzie śpiącego, z berłem, człowieka — nie węża.
 „Nie chciałaś Położa, masz umarłego męża!“

Rzekł i drgnął cały, najpierw upadł na kolana,
 A potem na twarz. Zgasła z sykiem konoplana
 Pochodnia.

Ziemia drżała, jakby wkoło skały,
 I świata posady wraz okropnie zadrżały.
 Umarł Krok. Ziemia w koło tak dziwnie szalała,
 Jak las przez burzę rwany; i po skale skała
 Padła w dno jeziora z góry; przestraszona
 Woda w górę skakała, jak sum latem. Kona
 Zda się świat; wzdycha ziemia; jakby fala w morzu
 Tak wstają i padają, w jaskini przestworzu
 Skały. Dziko Dodolę w górę podrzuciło;
 Krzyknęło dziewczę; ziemię oburącz chwyciło.
 I znowu cicho było; a księżycy oko
 Zwisło na niebie jasnym, nad lasem wysoko.
 Śnieg się bielił dokoła; cienie szafirowe
 Od drzew śniegiem pokrytych padły na ponowę,
 Znaczoną gęstym śladem płochliwej zwierzyny;
 Gwiazdy z rzadka płonęły nad głową dziewczyny,
 Patrząc na nią ciekawie poprzez drzew konary,
 A mchem zielonym przy niej obrastał dąb stary.

Wtém w lesie zahuczało. Ozwały się rogi,
 A wnet za niemi zwierza ryk wszczął chorał trwogi
 Po lesie głosić. Słysząc szum skrzydeł tysiąca;
 Kopyto dzikich koni pierś ziemi roztrąca,
 Dudniąc po twardym śniegu; éma ptactwa przyćmiła
 Niebo, a kraczą kruki, i huczą co siła
 Sowy; tam dalej wilki wyją lśniąc oczyma;
 Żubr zaryczał. Wokoło kurzawa się wzdyma
 Śnieżna, wśród mroźnej ciszy przez zwierza ruszona.

Dodola na to wszystko patrzy niezłęknona;
 Jój już nie lża się trwożyć, i w głos Tura woła,
 Bo wie, że to on goni, otoczon dokola
 Przez zwiérzynę leśną, i że on mówić może,
 Gdzie jest droga do Raju? On jój dopomoże,
 By poszła za Krakusem, i w kraj ten umarły,
 Którego wrota nigdy jeszcze nie rozwarły
 Swoich ciężkich podwoi dla tych, co wracają.
 I tam pójdzie, gdzie ludzie śpiąc, zapominają
 O wszystkiém; obok Kroka tam usnąć gotowa.
 Wróciła do węża; tak dotrzymała słowa;
 Ale męża zabiła zapaliwszy świecę,
 Co jój pokazała tam piękne króla lice
 W jaskini; — piękne, ale smutne. Jeszcze uszy
 Jój pełne były mowy, którą aż w głąb duszy
 Ją przebił Krakus, kiedy konał. A Dodola
 Nie zniesie, by ją przeklął; pójdzie w rajskie pola
 Smętne; tam znajdzie Kroka; tam go ucałuje,
 Tam go wzbudzi i śmierci wydrze, bo moc czuje
 I na to w swojej duszy.

* * *

Kiedy dzikie stado

Tura ujrzało dziewczkę przy księżycu bladą,
 Lecz śmiałą, co na śniegu niewzruszona stała,
 Zdziwiona, zatrzymała się ta zgraja cała
 Zwierząt leśnych. Przybiegły wprost do niój jelenie,
 I chrapami wachały jój włosów pierścienie
 Długie, nieuczesane; konie do niój rżały;
 Zdaleka trząśł burą brodą swoją żubr wspaniały.
 Wilki tworzyły czarne, kudłate półkole,

Kłapiąc zębami, świecąc okiem, drapiąc pole
 Śnieżne łapami. Ale konie kołem stały,
 A kopiać przodem, groźne zębem, nie dawały
 Wilkom się zbliżyć. Ptactwa czarnego zastępy
 Stworzyły chmurę czarną, co ponad ostępy
 Leśne zwisała, rzucając na śnieg skrzydeł cienie,
 Jak płachty ciemne sukna.

Ponad ryk i rzenie,

Wycie i krakanie, głos ludzki się odzywa
 Wielki. Na jego rozkaz cała zgraja żywa
 I kudłata umilkła. Przed Dodolą stoi
 Tur zdziwiony, że dziewczę się jego nie boi,
 Choć on, olbrzym z plemienia co niegdyś mieszkało
 Na ziemi, drzewa leśne przerasta o całą
 Głowę. On wielki, dziki; oczy mu jaśnieją,
 Jak oczy wilka, gdy się w nocy głodem śmieją.
 Broda po pas mu spada, na głowie dwa rogi
 Z hełmu wyrosły. Tarczę, jakby tratwę, srogi
 Tur zwiesił u ramienia.

Jemu się pokłoni

Dodola. Stoi pośród wilków, dzików, koni,
 Niedźwiedzi i jeleni rógatych, przed Tura
 Obliczem. Ona jak mysz przy nim; on jak góra
 Nad nią. Ale on słucha; a wielce go dziwi,
 Że tak odważni czasem mali ludzie, żywi,
 Dzisiejsi; i to dziwi, że dziewczę nie padło,
 Że przed nim i przed jego wzrokiem nie pobladło.

Dodola Turowi w pas nisko się skłoniła;
 Temi słowy do niego śmiało przymówiła:
 „Mnie na imię Dodola; jam pośmiertna żona

Baśń nad Baśniami.

„Króla Polski Krakusa. Mnie dola sądzona
 „Taka, że ja mam kochać króla przekłętego,
 „Którego klątwy strzegły, teraz moce strzegą
 „Śmierci. Jam go zabiła; jam wybawić chciała;
 „Ja pożądałam chwały, a uszła mi chwala!
 „Mnie poradzono, bym ogień krzesiła,
 „Kiedy Krakusa w nocy opuści zła siła
 „Czarów, i kiedy znowu na chwilę przybierze
 „Kształt ludzki; bo był w węża zaklęty. I w wierze
 „Dobrej to uczyniłam. Lecz skorom spojrziała
 „Nań przy odbłasku świecy, umarł. Rzecz się stała
 „Niedobra i okropna, i jam zawiniła!
 „Zbawić go chciałam, Turze, a jam go zabiła!
 „Rzekł, kiedy konał, że go chyba znajdę w kraju,
 „Gdzie umarli śnią wiecznie, za wodą Dunaju
 „Krwawego. Ja tam chcę iść. Choćem nieumarła,
 „Chcę, abym się aż w tamte krainy przedarła,
 „By Krakusowi dowód poprzód oczy stawić,
 „Ze kiedy go zabiłam, chciałam go wybawić;
 „Być może, że tam usnę przy Krakusa boku,
 „Pokonana przemocą sennego uroku,
 „Co w Raju władnie; może go pocałunkami
 „Zbudzę, — bom nieumarła; a może przed nami
 „I sama śmierć kościana wreszcie się ukorze.
 „Miłość już życie we mnie zmogła; toć śmierć zmoże
 „Także“.

Tur zadziwiony słuchał dziewczki mowy,
 A potem odpowiedział temi oto słowy:
 „Gdy w ciebie patrzę, dziewczę, widzę w małym ciebie
 „I ducha ogromnego, i odwagi wiele,
 „Nawet i na olbrzyma. Warto radzić tobie,
 „Kiedy męża chcesz szukać, choćby w czarnym grobie,

„Kiedy chcesz zajrzeć śmiało w śmierci paszczę czarną,
 „I kiedy niezłęknioma, aż na błoń cmentarną
 „Raju chcesz iść, choć żyjesz. — Ja trochę pomogę,
 „Poszlę do trzech Prządek, co ci wskażą drogę;
 „Tobie poradzą chyba owe święte Jędze,
 „Które nie odstępują ludzkich losów przędzy.
 „Jest ich trzy; a w chatach na kurzěj łapce siedzą,
 „Co było, pamiętają, i co będzie, wiedzą.
 „To córy Rachmanowe; dwom na imię dano
 „Niewiei i Niemily, trzeciėj Psioly miano.
 „One drogę ci wskażą, co w Raje prowadzi;
 „Oprócz tych trzech, nikt tobie więćej nie poradzi.
 „Droga do nich daleka; żubr poznał tę drogę
 „Dobrze. Ja tobie żubra, wierzchowca dać mogę,
 „Kiedys taka odważna; chwytaj go za rogi,
 „Skacz mu na plece, on cię zanieś na drogi
 „Koniec“.

Rzekł Tur. Dodola do żubra się zbliża,
 Za rogi go chwyta, i nań skacze. Jak chyba
 Błyskawica, tak leci żubr przez gęste knieje;
 Dziewczę rogów się trzyma, a wiatr mroźny wieje
 Przez grzywę zwierza i przez włosy rozpuszczone
 Dziewczęcia; ale pędzą. Drzewa przelękniome
 Widokiem ich pościgu zda się uciekają
 Wtył Lasy znikły; góry niebotyczne stają
 Poprzed niemi w szérz drogi. Po samotnym boku
 Góry bieży żubr; niesie Dodolę. Na stoku
 Góry wielkiėj wieje wiatr głośniėj; żubra wzywa
 W zapasy, dziewką trzęsie, a śniegu porywa
 Białe tumany, drogę śniegiem zasypuje
 Kopném. Ale Żubr nie dba o to, i wiatr pruje
 Piersią czarną. I wpadł żubr tam, u szczytu, w chmury

Gęste i szare, które otuliły góry
 Wierzchołek dużą czapką. — Żubra tylko widzi
 Dodola, i nic więcej, a wiatr tylko szydzi
 Z gór śmiechem. Białe chmury w jedno z białym śniegiem
 Się pomieśzały. Żubr jak przez nicość, mknie biegiem
 Przez śnieg i przez mgłę białą.

Wtém stanął. Widnieje

Dokoła; w górze niebo, i słońce się śmieje
 Na tarczy nieba szarój; a wkoło polana
 Niby, pośród mgły; jama wielka, wykopana
 Pośród chmur. Chmury białe popiętrzyły wały
 Dokoła, a po środku, pod słońcem, zostały
 Niepokryte śniegi. Śnieg ten iskrami tryska
 Jasnemi. Z nozdrzu żubra, pośród mrozu, pryska
 Para ciepła i chrapy szronem mu pokrywa.

Dodola z żubra skaczy; przez śnieg się dobywa,
 Idąc już piechotą, ku trzem chatom na polu,
 Śród śniegu, stojącym. Jak duży kwiat kąkolu
 Na lodydze swój stoi pośród zielonego
 Żyta, tak te trzy chaty na słupach wśród śniegu.
 Chaty i słupy jasno pośród słońca płoną;
 Boć jedna strzechę złotą, druga posrebrzoną
 Ma, a trzecia spiżową. Każdej chaty ściana
 Także ze złota, srebra, lub spiżu ulana;
 I słup, na którym każda chata ustawiona,
 Złoty, srebrny, spiżowy. Więc jedna czerwona
 Chata — cała ze spiżu, a druga jest biała,
 Trzecia wreszcie się świeci w słońcu żółta cała.
 Chaty nie stoją cicho, jak to zwykle bywa;
 I owszem każda chata skacze, jakby żywa;
 I wszystkie idą razem naprzeciw Dodoli

Zgodnie, jak gdyby tylko popęd jednej woli
Wszystkie trzy łączył z sobą.

Już stanęły blisko

Na smukłych kurzych łapach, nad powierzchnią śliską
Zamarzniętego śniegu. Wkoło dziewczki stoją
Przez chwilę — potem każda wielką łapę swoją
Kurzą, na której tkwiła, ugięła we dwoje
I siadła. Każdej chaty otwarte podwoje
Teraz widzi Dodola; jedne są ze spiżu,
Tamte srebrne i złote, a tak lśnią w pobliżu,
Że oczy z tego bołą. W każdej lśniącey chacie
Prządka jedna siedzi; tu Niewieja w szkarłacie
Pośród spiżu na stołek spiżowy usiadła
I stoma spiżowemi kądzielami władła;
Obok siedzi Niemila w drugiej srebrnej chacie,
Koło kądzieli srebrnych i w srebrzystej szacie;
Trzecia usiadła Psiola; złota przy niej ściana
Jaśnieje; sama w złoto słoneczne ubrana,
I sto złotych kądzieli w koło się obraca.

I niema końca święta wrózek Prządek praca;
Przędą nici żywota,zędą ludzkie losy;
Po kądzielach się toczą srebrne, złote włosy,
I nicie spiżowe. Kto ma w swoim udziale
Nić złotą, temu będzie dane szczęścia wiele
Złotego pośród ludzi; komu się dostała
Nić srebra, temu mierną będzie życia cała
Dola — tak niewyraźną jaką bywa płowa
Światłość księżyca, co noc srebrze; a spiżowa
Nić rzeszy ludzkiej mnogięj, jako udział padła;
I przeto nędza z bratem smutkiem ludźmi władła
Mnogimi na tym świecie.

A siostry trzy miały
 Twarze już nie młode i na czole włos biały.
 Kiedy Dodolę młodą ujrzały zdziwione,
 Patrzały raz na siebie, to znowu w jej stronę.

Nareszcie ze złotego stolka wstała Psiola
 I temi oto słowy na Dodolę woła:
 „Jakaż jest w tobie, dziewczko, odwaga szalona,
 „Żeś przyszła, aż w te strony, kędy ludzkie kona
 „Życie, pośród zimna gór wielkiego? żeś w twarze
 „Nasze śmiała spojrzeć? Toć nikt się nie odważy
 „Na nas spoglądać z istot, które z ziemi żyją,
 „Powietrzem oddychają, szklistą wodę piją.
 „Wielki żubr się odwrócił, aby w nasze lice
 „Nie patrzeć, a głos tylko słyszeć. Błyskawice
 „Naszego oka często śmiałych poraziły,
 „Co chcieli, odwróceni, z wyrocznemi siły
 „Naszemi się rozmówić, aby zbadać dolę,
 „Co na nich czeka w ludzi ziemskich marném kole;
 „Bo jeśli chcieli losu zawrócić koleje,
 „Nie przeznaczone — tylko inne poznać dzieje,
 „Myśmy proźbę ziściły i los odmieniły,
 „Bośmy nazbyt zuchwałych swym wzrokiem zabiły.
 „Przeto tym, którzy znają drogę w te otchłanie
 „Rzadko odwagi, rzadko hartu na to stanie,
 „Aby do Prządek przyszli, do pań przeznaczenia,
 „Które albo zabija albo się nie zmienia
 „Nigdy. Aleś ty dziewczko, niedawno zrodzona;
 „Same nie wiemy, kiedy tobie przeznaczona
 „Śmierć? I pocóż tu przyszłaś przed nasze oblicze?“

A Dodola podniosła swe oczy dziewicze
 Śmiało ku Prządkom starym, i to co mówiła

Pierwój do Tura, teraz wszystko powtórzyła;
 Wreszcie prosiła, by jój Jędze pokazały
 Droę za Dunaj krwawy, którą one znalazły
 Jedne tylko na ziemi.

Gdy Jędze jój słowa

Do końca wysłuchały, wszczęła się rozmowa
 Między niemi szeptana. A wreszcie zawoła
 Najstarsza pośród Przątek, złota pani Psiola;
 „Jeszcześmy nigdy takiej dziewczki nie widziały,
 „Ani męża nie chowa w sobie świat ten cały,
 „Takiego, któremuby dość odwagi stało,
 „Aby za życia zechciał rzucić ziemię białą
 „Od światła słonecznego, i chciał pójść w te kraje
 „Umarłych zapomniane, pośród których staje
 „Wieczny sen. Nas o starość bez końca błagano —
 „Albo o śmierć zupełną, czarną; a nieznaną
 „Jest nam aż dotąd taka, jak ty dziewczka śmiała,
 „Coby iść w Raj, tam w kraju cieniów stapać chciała,
 „Z ciałem żywem i z myślą, co jeszcze poznaje.
 „Ale gdy tego pragniesz, idźże nad Dunaje
 „Krwawe; idźże tam spojrzeć w jedno wielkie oko,
 „Które ojciec nasz Rachmann na czole wysoko
 „Osadził sobie. Rachman to przewoźnik Raju;
 „On mary zwykł przewozić przez wody do gaju
 „Cichego, gdzie mary śpią“.

Takie rzekła słowa

Najstarsza Jędza Psiola; a dwu młodszych głowa
 Biała potakiwała. Potém jeszcze długo
 Nauczały Dodolę, jak nad krwawą strugą
 Dunaju ma stanąć, jak ma przebyć te wody?
 Co jój czynić wypadło, gdy w martwe narody

Zajdzie? Słowem długo Dodolę uczyły
 Jak ma pokonać w Raju możnej Zmory siły
 Zakłętę? co ma czynić, gdy w śmierci ogrody
 Zajdzie? na co się zdały szafirowe wody
 Drugiego Dunaju, co tam wśród Rajów płynie
 Uśpionych?

Gdy to wszystko już rzekły dziewczynie,
 I gdy wszystko z uwagą Dodola słyszała,
 Każda jej Prządka kądziel wraz i pierścień dała,
 Ze srebra i ze złota i rudego spiżu.
 Potem ją wyprawiły na Zachód, do niżu
 Naddunajskiego, gdzieś tam w cieplejsze już kraje.
 Dodola dziękując w pas pokłon Jędzom daje!
 Obręcz złotą na szyi, a na ramię kładzie
 Srebrną, spiżową wreszcie na nogę, tak radzie
 Pierwszej czyniąc już radość.

Wnet na żubra siada.
 Żubr parsknie — grzywą trzęsie — jak piorun wypada
 Z śnieżnej polany, nazad w mgłę, i mgłę rozpruwa;
 Z gór zeskakuje. Dziewczę ciepły wiatr odczuwa
 Na twarzy, co od słońca na zachodzie bije;
 Spojrzy dokoła; pozna kraj, gdzie wieczna żyje
 Wiosna. Tu szumią pośród murawy ruczaje,
 Które lodu nie znały; tu winograd daje
 Ludziom słodkie jagody; tu ogromne kwiaty
 Wonią świat napelniają, a ptaków srokaty
 Orszak śpiewa bez końca.

Krótko czarowanie
 Południa przed okiem Dodoli powstanie;
 Żubr jakby błyskawica już minął te kraje,

I rycząc jakby w trwodze już w gąszcz się dostaje
 Sosnową. Czarne drzewa w smętnym ścisku stają
 I milczą; w koło błota, które ludzie znają
 Pod nazwą Brynia.

Dotąd żubr zaniósł Dodolę;

Daléj za brzegiem lasu jakieś szare pole
 Ostem obrosłe; po niém błędzą jakieś cienie
 Niewyraźne i jęczą. A Dodola drzenie
 Uczuła żubra wielkie pod sobą; już zwierzę
 Daléj nie pójdzie; widać po niém, że je bierze
 Trwoga nieopisana; pada na kolana
 I płacze żubr brodaty, bo daléj nieznana
 Leży kraina śmierci. Z żubra przeto zsiada
 Dodola — żubra głaszcze, i tak doń zagada:
 „Dziękuję tobie zwierzę chrobre, za tę drogę.
 „Tu już śmierć. Ty stąd wrócisz; ja wrócić nie mogę.
 „Nad Dunaj między mary mnie prowadzi droga. —
 „Wracaj w lasy! nie pytaj zwierzę, czy mnie trwoga?„

Żubr te słowa wysłuchał — potem się obrócił
 Jednym skokiem, w głos parsknął i nazad się rzucił
 W las żałobny sosnowy. Już go nie widziała
 Więcéj Dodola, co w kraj śmierci dążyć miała.
 Poszła na błonia szare, smutne, niespożyte,
 Ostem suchym obrosłe, popiołem pokryte
 Szarym. Czasem mijaly ją jakieś postacie
 Na poły przezroczyście, w mglistéj szaréj szacie
 Z cieniu; załamywały swoje blade dłonie,
 I szły daléj. To mary! Zaszła już nad tonie
 Dunaju śmiertelnego. Rzeka toczy krwawe
 Wody pośród popiołu — a niebo szarawe
 Nad nią jakby zgasilo słońce. Blade mary

Siadły nad brzegiem płacząc. A nad wodą szary
 Jakiś Korab spoczywał — duży, przeźroczysty,
 A czarny. Nad korabiem olbrzym stawał mglisty,
 Jak korab czarny; mieczem pruł Dunaju wody
 Niby ogromném wiosłem. Umarłe narody
 Nad brzegiem wyciągały doń wątle ramiona,
 Ale nieruchomego niosła krwią czerwona
 Woda Dunaju. Stał tak jak słup dymu czarny
 Na swym korabiu Rachman przewoźnik cmentarny
 Raju.

* * *

Dodola stała ponad brzegiem rzeki,
 Co umarłych odłącza od świata na wieki;
 A że naukę Przadek dobrze pamiętała,
 Rachmana po imieniu trzykroć zawołała.
 Zadrżało w piersi serce, ale rzekła słowo
 I korab poruszyła wyuczoną mową.
 Mary na brzegu widząc, z radości zawyły,
 A uderzenia miecza falę krwawą ryły
 Dunaju.

Już przy brzegu stanął Rachman duży,
 Któremu jedno tylko oko wielkie służy.
 Stał na Korabiu, a Dunaju czerwona
 Fala korab huśtała wciąż. Z szarego grona,
 Z bladego tłumu, z mglistej rzeszy, krzyki wstały
 Głuche, przeciągłe — i mar białych naród cały
 Cisnął się do korabiu; przeźroczyste cienie
 Tak się tłoczyły, jakby ciżbę potępienie
 Goniło, a chciały ujść mocy potępienia.

* Lecz Rachman wielki jednym rozpędem ranienia
 I miecza ogromnego odstraszył gromady
 Wołając: „A precz duchy! Niemasz dla was rady!
 „Za sprawą Kroka wasze ciała niegrzebane.
 „Do Raju nie wejdziecie, jak długo zostaną
 „Przewoźnikami umarłych. Jam tylko Czuryłę
 „Przewiózł; tak Śmierć kazała sama. Jak mi mile
 „Piekło i płacz i rozpacz, tak was stąd odgonię!
 „Wam niegrzebanym nie spać po tamtej wód stronie!
 „Wam tutaj płakać mary! Wieczne skowytanie
 „Na tym tu brzegu, wam się, strasydła, dostanie!“

A rozpęd miecza mary rozcinał na dwoje.
 Cienie musiały znowu zbierać członki swoje
 Rozsypane po brzegu. Odeszły od łodzi.

I tymczasem Dodola na łódź czarną wchodzi.
 Choć ze mgły łódź umarłych wyglądała zdala,
 Przecież poniosła dziewczę żywe. Krwawa fala
 Pod spodem zamruczała.

Rachman zadziwiony
 Spojrzał na Dodolę. Rzeknie: „Kiedyż żony
 „Żywe zaczęły chodzić w te umarłe kraje?“

Mówiąc zmierzyl się Rachman. Cios wielki zadaje
 W rękę Dodoli. Ale śmiertelne żelazo
 Spadło; obrączka bowiem srebrna przed obrazą
 Każdą obroni rękę. A błysnęło oko
 U Rachmana samotne na czole wysoko,
 I raz zgrzytnął zębami.

Łódź czarna odbiła
 Od brzegu. A tam płacząc wielka duchów siła

Stała; ramiona swoje blade wyciągała
 Ku łodzi z krzykiem; w krwawą falę dusza biała
 Poszła nie jedna; we krwi brnęła po kolana,
 Po pas, po szyję; niosła rzeka przeklinana
 Mary na sobie, które płynąc chwycić chciały
 Korab. Rękami zmarłych już pokryty cały
 Brzeg korabiu; a patrzą na Dodolę głowy
 Umarłych wyjąc; chcą na Dunaj purpurowy
 Brzeg łodzi ciągnąć czarny; łódź pod wysileniem
 Już się ku wodzie kloni. Wtém oręza cieniem
 Żelaznym Rachman wszystkie odciął duchów ręce.
 Odpadły mary w Dunaj krwawy, w strasznej męce
 Wrzeszcząc. Zadrzało dziewczę, i dwie łzy ogromne
 Z oczu błękitnych ściekły na jej lice skromne
 I młode.

Zapłynęli już w połowę wody;
 Na szary brzeg wracały płacząc mar narody;
 W koło nich mruczą zewsząd umarłe Dunaje.
 Wtedy zmierzył się Rachman; cios wielki zadaje
 W nogę Dodoli; ale śmiertelne żelazo
 Spadło; obręcz spiżowa przed każdą obrazą
 Nogę ochroni. Teraz Rachman tak złowrogo
 Zaryczał, że sam Dunaj pokonany trwogą
 Pobladł na chwilę. Mówię, na chwilę się zmienił
 Sam Dunaj ze złej trwogi; lecz się zaczerwienił
 Zaraz na nowo; i łódź poniósł szybkim chodem.

Już łódź o rajskie brzegi uderzyła przodem
 Czarnym. Przed nią spięły się olbrzymie opoki,
 Strome jak ściany czarne, które aż w obłoki
 Szare głową sięgały; z czarnej nocy mury
 Skamieniałe na brzegu. Pod te groźne góry

Wiodą ścieżki kręcone, straszne, przepaściste;
 Na nich gdzieniegdzie widać, jak obłoki mgliste
 Górskie, mary umarłych; leżą na te ściany
 Jęcząc, aby się dostać wreszcie w kraj nieznany.

Tych, których pochowano, w te zawozi kraje
 Rachman. Teraz się zmierzyl, cios wielki zadaje
 W szyję Dodoli; ale śmiertelne żelazo
 Spadło; obrączka bowiem złota przed obrazą
 Każdą szyję obroni. Rachman skoczył z łodzi
 W Dunaj; po krwawej fali sam szybko uchodzi
 Płynąc i skowytając. Mary się zaśmiały,
 Na tamtym brzegu, kiedy jego wstyd ujrzaly.

Dodola na brzeg wyszła. Okiem odmierzyła
 Szczyt brzegu niebotyczny. Drżała, czy jój siła
 Na tę drogę wystarczy? Na Dunaj spojrziała
 Raz jeszcze. Łódź umarłych na nim się zwracała
 Sama powoli; potem poszła za Rachmanem
 Sama, aby mu dalej służyć.

Na nieznanym
 Brzegu, przed czarną skałą i w umarłych kraju
 Stała dziewczyna żywa, za wodą Dunaju
 Przekłętego. Stała teraz przy niej trwoga.
 Od niej się odwróciła; zawołała Boga
 Na pomoc, i szła w górę nad przepaści brzegiem,
 Ponad krwawym Dunaju śmiertelnego biegiem,
 Wysoko! Jakaś siła niosła dziewczę w górę,
 I sama nie wiedziała, kiedy na ponure
 Szczyty się wydostała. — Tu niebo tak niskie,
 Że jak nocą na palce staniesz, możesz bliskie

Gwiazdy wziąć za promienie długie a spuszczone
Ku ziemi.

Gdy ze szczytu tych gór w świata stronę
Spojrzała, Dunaj jak nie ujrzała Dodola,
A za Dunajem w dole, i lasy i pola
I miasta ludzkie rojne wszystkie takie małe,
Że na rękę byś włożył wraz królestwo całe
Ludne.

Już jest u szczytu dziewczę, i już fale
Dunaju znikły poza skałą. Widzi dalej
Przed sobą Raj. Ogromna wznosi się tu krata
Z czarnego spiżu; sięga po wierzchołek świata.
Ptak tędy nie przeleci. Aż po niebo same,
Ztąd bliskie, krata sięga. W dali widzi bramę
Rajską Dodola; za nią już kraina święta
Umarłych leży. Brama żelazna, zamknięta
Na kłódkę wielką, żywych nie puści do Raju.
Mary umarłych mkną do uspiętego kraju
Swojego bez trudu. Bo przez kraty przechodzą
Ciała ich mgliste. Maki za kratą się rodzą
Niezliczone, i głowy ku nam pochylają,
A dalej w głębi mnogie drzewa w Raju stają,
W szeregi albo w koła pięknie ułożone.
Żadna mara nie wraca z Raju w świata stronę
Napowrót.

Koło bramy żelaznej usiadła
Teraz Dodola. Kądział poprzód siebie kładła
Spiżową spiżowemi niemi omotaną,
I na niej prząść zaczęła pod zieloną ścianą
Raju. Nici spiżowe na czółenko wdzięwa,

A nić wielką, ludzką a cudną pieśń zaśpięwa;
Słowa niezrozumiałe, głosy rodzi nowe,
Jakby nić ta dostała była ludzką mowę.

Na odgłos tego śpięwu postać się zbliżyła,
Którą od stóp do głowy czarna szata skryła.
Stanęła z tamtej strony czarnej kraty Raju,
Wyszędłszy zpod topoli zielonego gaju,
Co głowy swe szerokie ponad maku pole
Wznosiły.

Czarna postać pytała Dodolę

Temi słowami: „Zkądżeś dziewczko, przez Dunaje
„Krwawe, przeszła na Latyr górę, aż pod Raję,
„Gdzie śpią umarli, chociaż dziewczko jeszcze żywa?
„Czy nie wiesz, że tu tylko senna mara bywa,
„Co po śmierci zostaje z całego człowieka
„Sama, i z grobu tutaj skowycząc ucieka,
„Przez tę kratę się przemknie, i usypia w Raju!
„Żywym tu chodzić ludziom, dziewczko, nie w zwyczaju!“

Po słowach tych poznało dziewczę panią Zmorę,
Co na początku świata tu na Latyr górę
Wyleciała, i sobie zamek postawiła,
A królową mar śniących pośród Raju była;
Lecz pomna Przadek rady, ni jednego słowa
Tęj pani nie odrzekła, choć pytała mowa
Zmory. Nić jej spiżowa dalej pieśń śpięwała,
A przez tę pieśń zaklęta pani Zmora stała
I słuchała.

Nareszcie usta znów otworzy
I rzeknie: „Kądziel twoja, dziewczę, pieśnie tworzy

„Takie, jakich aż dotąd nie słyszały Raje.
 „Na odgłos cudnej pieśni rozkosz we mnie staje —
 „I chociaż Zmora jestem, myślę, żem szczęśliwa
 „Chwilę. Chciałabym zawsze takie słyszeć dziwa
 „Słodkie. Dajże mi kądziel i naucz przędzenia
 „Cudnego, abym wieki mogła słyszeć pienia
 „Czarowne“.

Usłyszawszy pani Zmory mowę
 I jej prośbę, Dodola swą podniosła głowę,
 I takie teraz Zmorze odpowiedzie dała:
 „Tybyś mojej kądzieli śpiewu słuchać chciała;
 „I ja od ciebie pragnę coś otrzymać w darze.
 „Od dzieciństwa o cudnych gajach Raju marzę,
 „O tych owocach, które rosną pośród Raju,
 „I o wodzie ożywczej drugiego Dunaju,
 „Co tam za kratą wielką wśród ogrodu płynie,
 „I pośród Słowian ludu w starych pieśniach słynie.
 „Aby w te zejść ogrody, przeszłam Dunaj krwawy;
 „Dlatego się nie zlekła pogrzebowej nawy
 „Rachmana. Przeto szłam na niebotyczne skały,
 „Którym to mary imię Latyr Góry dały;
 „I przeto mnie odwagi na to teraz staje,
 „Bym z tobą rozmawiała. Puść mnie w twoje Raje,
 „A dam ci kądziel moją“.

Zmora otworzyła
 Bramę ogrodów Rajskich, i do nich wpuściła
 Dodolę, a wpuszczając od niej kądziel wzięła.
 Potem napowrót czarnej bramy rygle spięła
 Kluczami skrzypiącemi. W niepowrotne Raje
 Weszła jeszcze za życia Dodola; a w gaje
 Topolowe odeszła Zmora, by się w cieniu

Przysłuchiwać spokojnie cudownemu pieniu
Nici spiżowych.

W koło spojrziała Dodola.

Wśród Raju czerwienieją krwawe maku pola,
A ponad niemi jasne bujają motyle;
Dokoła dęby rosna o wieczystej sile,
Rozłożyste topole i lipy miodowe;
Wśród maku jabłoni niska swoją strojną głowę
Rozkłada obwieszoną owocami w koło;
A ponad błonia ptaków tłum śpiewa wesolo.
Dalej wonieją lilie białe, rosna róże;
Piękność nieopisaną u końca podróży
Znalazła tu Dodola.

Tam łąki zielone

Światłem cichém oblane; a po nich spłoszone
Niezwyczajnym widokiem żywego człowieka
Sarny i jelenie. Mknie zwierzyna; ucieka
Po przestworach szczęśliwych — hen — ku innéj wodzie
Dunaju błękitnego. Bo pełno w ogrodzie
Jest zwierza rogatego.

Z innéj Raju strony

Widać, jak lunę jasną, Zmory dom złocony;
Nad nim siedem wież w blasku niezrównanym płonie,
Patrząc wspaniale w szumne, błogie, święte tonie
Dunaju błękitnego, co opływa Raje
I tym, którzy zeń piją, wieczne życie daje.

Wśród kłębów i wśród kwiatów spało mnóstwo ludzi;
Jak żywi tak rumiani; ale ich nie budzi,
Ni odgłos żaden, ani żadne poruszenie.

Nad nimi drzewa swoje roztoczyły cienie
 Przeźroczyście; nad nimi zwisły niezliczone
 Owoce, i rumiane wisznie i złocone
 Jabłka i grona, pełne szumiącego soku; —
 Jednak nigdy nie jedzą wśród łakoci tłoku
 Niezliczonego. Przy nich Dunaj toczy wody
 Nieporównane; ale te śpiące narody
 Wody nigdy nie piją; bo one uspięne,
 W Raju spoczywają przez lata niezliczone.

Dodola przechodziła koło tego tłumu
 Śpiącego, i słuchała wody śpiewnej szumu,
 W niebo patrzała strojne w puszyste obłoki,
 Trzody bydła liczyła, co w Dunaj głęboki
 Szły wodę pić. Tam krowy wymię swe maczały,
 Z którego mléko ciekło. Dalej stada stały
 Końskie aż po kolana w wodzie zanurzone;
 Klacze spokojnie piły nurty zapienione
 Miękką jak gąbka pianą. Ogiery zdaleka
 Rżały zdziwione, że tu żywego człowieka
 Widzą.

Ale Dodola tu nie była sama;
 Nie za nią tylko jedną się zaparła brama
 Rajska. Nie wszyscy w Raju ululani snami
 Długiemi, bo tam dalej nad rzeki brzegami
 Siadła żywa niewiasta, a na niej ubranie
 Kobiety wiejskiej. Do niej szła Dodola. Stanie
 Koło niej, i w te do niej odezwie się słowa:
 „Jeśli ty z Polski rodem, jeśli tobie mowa
 „Słowiańska zrozumiała, to mi odpowiadaj,
 „I pośród ciszy ludzkim głosem raz zagadaj,
 „Aby mnie tu nie było tak nadzwyczaj straszno,

„Za kratą niebotyczną, za górą przepaśną,
 „Po której błędą mary, i której nadano
 „Tu, u ludzi nieznane Łatyr Góry miano,
 „I za krwawym Dunajem, po którym przewozi
 „Rachman dusze umarłych. Bo serce mi mrozi
 „Milczenie“.

Gdy kobieta tę mowę słyszała,
 Wielce była zdziwiona; wreszcie się spytała;
 „Kiedyżeś ty umarła? Co cię obudziło?
 „Powiedz, jak długo tobie się tu śniło
 „W Raju? Jak ciebie zwały żyjące narody?
 „I kiedy się napiłaś wskrzeszającej wody
 „Dunaju błękitnego?“

Pytającej mowie

Dodola — co w Raj poszła — w te słowa odpowie:

„Jam nie umarła dotąd. Jam w te zaszła strony
 „Za życia, w kraj zachodu, nad Dunaj skrwawiony
 „Na Łatyr Górę, i przez kratę, co okala
 „Raj naokoło. Mnie tu żywej być pozwala
 „Pani Zmora“. Kiedy to kobieta słyszała
 Bardziej jeszcze zdziwiona o wszystko pytała.
 Dodola opowiada wszystko od początku,
 I słowa nie opuszcza z opowiadań wątku,
 A kobieta ją słucha. Potém w zamian, żona
 Owa, bardzo powieścią Dodoli zdziwiona
 O sobie mówić wszczęła:

„Dziedzilią mnie zwano

„I na ziemi kobietą wiejską mnie widziano.
 „Byłam zamężną niegdys, miałam dzieci dwoje,
 „I chłopca i dziewczynę. Kochałam oboje

„Nadewszystko. Dziewce méj dałam Żywy miano,
 „Syna mego Czuryły imieniem nazwano.
 „Odumarłam męża, i dusza w tę tu stronę
 „Poszła, gdy pogrzebano ciało. Przez czerwone
 „Dunaje i przez Latyr górę zaszłam w Raję
 „Do cienia podobna; i jakby mgła, w te gaje
 „Zielone zabłądziłam; tak to wszystkie mary
 „Czynią. Nademną zwisły bogate konary
 „Drzew owocowych Rajskich; a jam głodna była;
 „Przetom w rękę wybladłą owoc pochwyciła
 „Jeden, i do przejrzystych ust go zaniiosłam.
 „Smak dziwny wnet uczułam; i w ciało porosłam
 „Znowu, jakby za życia. Było mi wesoło
 „Popatrzyłam po Raju, I ujrzałam w koło
 „Tłumy ludzi uśpionych. I mnie się wydało
 „Że się bardzo rozkosznie tu na kwiecie spało.
 „Przetom się położyła i za chwilę spałam,
 „Lecz we śnie moje małe sieroty widziałam
 „Ciągłe. Zwykle tu mary śpiąc zapominają
 „O wszystkiém, ale jeśli w sercu swoim mają
 „Miłość prawdziwą, wtedy postacie kochane
 „I ze snu nie znikają. Więc mnie było dane
 „Żem moje dzieci ciągle we śnie widywała,
 „I śpiącój znaną była sierót biędnych cała
 „Dola nieszczęсна. Mąż mój drugą powiódł żonę
 „Do mojej chaty, i z nią plemię potępione
 „Narodził: dwie złe córki. Raz gdy jasne zorze
 „Niebo krasily, ujrzał na starym jaworze
 „Lutnię zwieszoną, która na wietrze śpiewała
 „Pieśń; i skusiła męża mego lutnia biała,
 „Lśniąca w promieniach zorzy; a więc lał na drzewo.
 „Był w górze kiedy lutnię chwycił ręką lewą,
 „Prawą wielkiej się trzymał gałęzi. Wtém jękała

„Lutnia żałośnie; gałąź na jaworze pękła
 „I zerwana spadła w dół, a męża porwała
 „Z sobą, tak że padł trupem. Z dziećmi pozostała
 „Macocho, Jaga Baba we dwoje skulona,
 „Sparta o kij sękaty, cała pomarszczona.
 „Gdym to we śnie ujrzała, i miłość i trwoga
 „Z taką potęgą we mnie westchnęły do Boga,
 „Że śmierć przewyciężyły; otworzyłam oczy,
 „I ten Dunaj ujrzałam, co swe wody toczy
 „Nieśmiertelne tu przez Raj; mimo sennych dreszczy
 „Ku rzęce się schyliłam — rękę w Dunaj wieszczy
 „Umaczałam zdrętwiałą, twarz skropiłam białą,
 „Do ust wlałam kroplę; i cudo się stało;
 „Miłość i śmierć przemogła! Powstałam na nogi,
 „Odetchnęłam powietrzem Rajskiem i bez trwogi
 „Chodziłam po ogrodzie. I to zrozumiałam,
 „Że teraz jeszcze jagód rajskich jeść nie miałam.
 „Dunaju woda całą siłę świętą daje,
 „Ale tylko u źródła, z którego powstaje
 „Dunaj, jest woda boska, nieśmiertelna woda.
 „Stałam wśród śpiących ludzi — żywa znowu, młoda
 „I obudzona, i szłam po wodę Dunaju,
 „W najświętszą okolicę pośmiertnego Raju.
 „Tam pośród wielkich kłębów źródło uroczyste
 „Wylewa swoje wody święte, świeże, szkliste,
 „Nieopisane; a przed źródłem gryf zasiada.
 „Naprzeciw tego gryfa poszłam. Miłość włada
 „Światem wszechmocnie, gdy się naprawdę obudzi;
 „Wielkie gryfy ugłaska, zwycięża złych ludzi.
 „Opowiedziałam tedy gryfowi kochanie
 „Moje, i moich dzieci los; opowiadanie
 „Gryfa wzruszyło; puścił mnie do rajskiej wody.
 „Odtąd posiadałam życie nowe, wiecznie młode;

- „Posiadłam wiele, jestem teraz nieśmiertelna,
 „A moc cudowną dała mnie ta woda dzielna.
 „Chodzę bezkarnie między te senne narody,
 „I zjadam codzien cudne drzew rajszych jagody,
 „I mnie one nie szkodzą. Choć tu ciałem bawię,
 „Gdy zechcę, z mocą cudu przy dzieciach się jawię;
 „I tu jestem, i koło Żywy jam jabłonią
 „Dziś. Mary niegrzebane ogniste lzy ronią
 „Daremnie ponad brzegiem krwawego Dunaju;
 „A ja, miłością można, przeniosłam do Raju
 „Ciało niegrzebanego mojego Czuryły;
 „Tak mnie się przez kochanie potęgi ziściły
 „Boskiego cudu. I gdy z tego wnioski snuję
 „I o tobie, Dodolo, ja dobrze rokuję.
 „Już i tak miłość w tobie wielkie iści cuda.
 „Myślę przeto, Dodolo, że się tobie uda
 „Ze wszystkiem śmierć zwyciężyć. Bo przepowiedziano,
 „Że miłości potęga kiedyś ziści rano
 „Wielkie nowego życia, wszystkim co usnęli
 „Tutaj w Raju i w udział zapomnienie wzięli
 „Błogie. Marom złych ludzi co innego padło:
 „Z Latyr Góry spadają w krainę zapadłą
 „Pomiędzy kuźnie czarne, kędy w wiecznej męce
 „Gorące kruszce kują ich przekłete ręce.
 „Tutaj snią sprawiedliwi. Kiedyś ich obudzi
 „Ten, kto będzie najświętszym pośród żywych ludzi.
 „Sam gryf ogromny wodę mu przyniesie w darze,
 „A kiedy nią pokropi wszystkich śpiących twarze —
 „Wszyscy się zbudzą. Tyś tak Kroka ukochała,
 „Że w Raj poszłaś za życia, przeto tyś się stała
 „Może najświętszą. Teraz śmiało jedź jagody
 „Rajske; przez nie snią tylko umarłe narody.

„Kto żywy, ten je bez szkody i strachu spożywa;
 „Wszakżeż co dzień je zjada moja córka Żywa“.

Tak mówiła Dziedzilia; potem jablek z Raju
 Dała Dodoli, — dała jój wody z Dunaju;
 Owoców takich króle nigdy nie jadają,
 A wodzie nie sprostają wina, które znają
 Ludy zamorskie. Potem Dziedzilia Dodolę
 Zaprowadziła w wonne i barwiste pole,
 Gdzie pośród kwiatów wielu usnął wojewoda
 Czuryło. Miał na piersi ranę, lecz twarz młoda
 Rumieńcem była kraśna. A ponad nim kwiaty
 Woniały — więdnąc liście rzucały na szaty
 Krwawe. I długo jeszcze z sobą rozmawiały,
 Aż noc rozkoszna zesłała na ogród wspaniały
 Rajski. Obie usnęły wśród kwiatów natłoku.

Gdy słońce rozegnało szare cienie mroku
 Nocnego, obudziły się obie. Dodola
 Ustępując z kwietnego nad Dunajem pola,
 Weszła w kląby olbrzymie, które otaczały
 Zamek złocisty Zmory. Blaski zorzy grały
 Po kryształowych oknach. Dodola usiadła
 Koło bramy z hebanu; kądziel przed się kładła
 Srebrzystą i srebrnymi nićmi omotaną;
 I na niej prząść zaczęła pod rzeźbioną ścianą
 Z marmuru. Nicie srebrne na czółenka wdziewa,
 A nić wielką, ludzką, a cudną pieśń zaśpiewa,
 Słowa niezrozumiałe, głosy budzi nowe,
 Jakby nić ta dostała była ludzką mowę.
 Na odgłos tego śpiewu Zmora otworzyła
 Bramę swojego zamku. W czarnej szacie była,
 Co ją od głowy do stóp kirem okrywała.

W takiej postaci Zmora przed Dodolą stała,
 I do niej przymówiła w takie oto słowa:
 „Co chcesz za srebrną kądziel, jam ci dać gotowa,
 „Boć jeszcze od kądzieli tamtej cudniej śpiewa
 „Nić każda srebrna, którą na czółenko wdziewa
 „Ręka twoja z kądzieli srebrnej“.

A Dodola

Na to odrzekła: „Dam ci kądziel, jeśli wola
 „Twoja. Ale jeżeli tobie dam tak wiele,
 „To co od ciebie żądam, padnie mnie w udziale.
 „Widzę że zamku twego marmurowe ściany,
 „Brama hebanowa, ze złota dach kowany.
 „We środku zamku muszą istnieć jasne cuda.
 „Jeśli kądzieli śpiewu pożąda twa nuda
 „Samotna, pani, weź ją; a mnie puść w pokoje,
 „Bym podziwiła, pani, wszystkie skarby twoje!“

Tę mowę usłyszawszy Zmora otworzyła
 Bramę zamków złocistych, i do nich wpuściła
 Dodolę; a wpuszczając, od niej kądziel wzięła;
 Potém napowrót czarnej bramy rygle spięła
 Kluczami skrzypiącemi.

Dodola została

Pośród komnat cudownych. Kopuła wspaniała
 Wysoko ponad głowę niebieskie sklepienie
 Udawała. Złociste słońce swe promienie
 Długie roztaczało po błękitnych kamieniach;
 Gwiazd złotych tysiące po kopuły sklepieniach
 Jaśniały; między niemi, jak królewicz młody,
 Księżyc wodził dokoła słońca korowody
 Gwiazd. Bo cała kopuła, jakby zegar jaki,

Misternie urobiona, i różnemi szlaki
 Tam gwiazdy kręślą codzien swe taneczne koło.
 Na ścianach malowanych ptaków rój, wesolo
 Ku gwiazdom ulatuje. Skrzydła ich barwione
 Z małych kamieni drogich sztucznie ułożone,
 Tak, że się każda barwa na tych skrzydłach mieni,
 Jakby pod blaskiem słońca złocistych promieni.

Alabastrowe słupy odrzwia okalają,
 Co koło drzwi wchodowych innych komnat stają.
 W naczyniach złotych rosną południowe drzewa;
 Śród pomarańcz złocistych, palmy liść powiewa
 Jak wachlarz. W innej znowu komnat stronie, kwiaty
 Stroją mury w purpury, szafrany, bławaty.

Pośród tych cudów białe, uścielone łoża.
 Na jedném z nich spoczęła krasawica hoża,
 Królowna, która w pierwszej młodości umarła
 Wśród gachów zrozpaczonych. Dalej głowę sparła
 O wezglowie rycerza starca postać twarda,
 A choć tu śpi zaklęty, siedzi jeszcze wzgarda
 Dla ludzi małych, podłych, na uściech rycérza.
 Tam znowu król spoczywa, a przy nim puklerza
 Porąbanego resztki; on legł w krwawym boju.
 Gdzieindziej śpi królowa, co była w pokoju
 Długim narodu matką, a teraz usnęła.
 W zamku komnat bez liku; w komnatach spoczęła
 Rzesza tych, którzy ludziom za życia władali;
 A w ciemnej i tak wielkiej jak świat cały sali
 Spoczywają olbrzymy przedwieczne i karły,
 Ludy, co w pierw orały ziemię i wymarły
 Już dziś.

Na końcu, w głębi, drzwi zamknięte stoją,
 Drzwi ze złota kutego; kamienie je stroją
 Ogromne; takie perły, jakby kurze jaje;
 Rubiny jak orzechy; w środku dyament daje
 Blask taki ćmiący, że od tego bolą oczy;
 Dyament wielki jak jabłko; mniejszy go otoczy
 Brylantów rój jak dzieci.

Dodola usiadła

Koło bramy złotój, a koło siebie kładła
 Kądziel swą złotą, złotą nicią omotaną;
 I na nią prząść zaczęła tu pod malowaną
 Ścianą, i nicie złote na czółenko wdziewa,
 A nić wielka, ludzką, a cudną pieśń zaśpiewa;
 Słowa niezrozumiałe, głosy budzi nowe,
 Jakby nić ta dostała była ludzką mowę.
 Na odgłos tego śpiewu Zmora się zjawiała;
 Od stóp do głowy całą postać zasłoniła
 Szata czarna. Znow Zmora przed Dodolą stała
 I kądzieli złocistój od niej zażądała,
 Bo tej kądzieli złotój najwdzięczniejsze śpiewy;
 A w zamian spełni Zmora, każdą prośbę dziwiy.
 Dodola zażądała by jój otworzono
 Bramę złotą drogiemi klejnoty sadzoną.
 Tę prośbę usłyszawszy Zmora, otworzyła
 Bramę złotą i przez nią Dodolę wpuściła;
 Wpuszczając, od niej w zamian złotą kądziel wzięła.
 Potém napowrót złotój bramy rygle spięła
 Kluczami skrzypiącemi.

* * *

Dodola została

Pośród małej świetlicy; a świetlica cała
 Kwiatami obłożona tak zewsząd dokoła,
 Że pośród kwiatów ściany nikt dostrzedz nie zdoła.
 Na łożu kwiatów barwnych Krok we śnie spoczywa:
 Twarz młoda jeszcze, ale długa broda siwa
 Na pierś jemu splywa, a na głowę korona,
 Którą niegdyś wąż Poloz nosił, położona.
 Cały w pancierz ubrany, a pośród puklerza
 Orzeł biały skrzydłami śmiało w niebo zmierza.
 Przy boku Kroka wielki miecz rycerski leży,
 A chociaż usnął, jeszcze rękojeście dzierży
 W ręku, jakby przed bitwą. Wielki płaszcz czerwony
 Spada na obie łoża kwiecistego strony;
 Gdy Dodola pięknego tego króla zoczy,
 Krzyknie, i na pierś jego bohaterską skoczy,
 I ustom gorejące pocałunki daje.

Miłość wielka Krakusa obudziła. Wstaje
 Krakus, i obejmuje Dodolę ramiony.
 Chwilę trwało milczenie. Wreszcie obudzony
 Krakus takimi słowy zapyta Dodolę:
 „Kiedyżeś umarła, żeś w Rajskie zaszła pole?
 „Ostatnią żonę, ciebie na ziemi poznałem,
 „I znowu mężem twoim tu w Raju zostałem“.

Na to Dodola wszystko jemu opowiada;
 A czynami swojemi się chwaliła rada
 Tu przed Krakusem. A gdy już skończyła mowę,
 Legła na łożu kwietném, i złożyła głowę
 Obok głowy Krakusa.

Spoczęli oboje

Wśród róż i lilij. Kwiaty słodkie wonie swoje
 Ku nim słały z kielichów barwnych. A Dodola
 Tak mówić rozpoczęła: „Była moja wola
 „Złamać zaklęcie twoje Kroku, gdyś na ziemi
 „Pełzał po piasku, i gdyś przebywał z niememi
 „Wężami, proch jadając. Lecz się nie udało,
 „I nie to, co ja chciałam, jedno źle się stało.
 „Ja chciałam cię wybawić, a jam cię zabiła
 „I w jeństwie swoim trzyma ciebie śmierci siła.
 „Winna, postanowiłam przejść krwawe Dunaje,
 „I przed śmierci godziną te odwiedzić Raję.
 „Przed śmiercią chciałam umrzeć, i spoczną przy tobie.
 „I tu spać będę wiecznie w wonnym, kwietnym grobie.
 „Ślubowałam, że ciebie nigdy nie porzucę,
 „Że od sióstr i od ojca do ciebie powrócę.
 „I oto tu przybyłam. Razem spać będziemy;
 „Żyjącą wraz z umarłym pochowa Raj niemy,
 „Choć piękny“.

Ledwo mowę Dodola skończyła,

A złocistemi drzwiami jakaś wielka siła
 Zatrzęsła zewnątrz. Wielkie drzwi jak listek drżały —
 Wreszcie pękły i padły. Wśród huku wspaniały
 Gryf weszedł do świetlicy. Potężne lwie ciało
 Niosło łeb orli; skrzydeł dwoje powstawało
 Z bark lwich, stercząc do góry — orlich skrzydeł dwoje.
 Za gryfem widać było pałacu pokoje
 Wszystkie światłem oblane. Gryf wita oczyma
 I Kroka i Dodolę, a w swym dzióbku trzyma
 Dzbanek ze złota. W dzbanie owym woda była,
 W której nieśmiertelności nieużyta siła
 Tkwi.

Krakus i Dodola hukiem przerażeni
 Siedli. A gryf im podał wodę, co się pieni
 W dzbanie, i głowę schylił tak bijąc pokłony
 Przed Dodolą i kładąc do stóp przeznaczony
 Dla niej datek. Wreszcie dziób swój roztworzył ptasi
 I ludzkim głosem mówił: „Że miłość śmierć zgasi,
 „Oddawna przepowiedziano. W gwiazdach zapisano,
 „Że wtedy pani Zmora będzie pokonaną,
 „Kiedy kto z miłości, i za życia Dunaje
 „Przejdzie krwawe i Latyr Górę, kiedy w Raję,
 „Zajdzie uspięne, z własnej tutaj spocznie woli
 „Przed swój śmierci godziną. To wszystko Dodoli
 „Ofiarna miłość spełnia. Więc pokłon i chwala
 „I dla niej i dla męża jej w Raju powstała.
 „Już czarna pani zamku Zmora pokonana,
 „Berło już jej zabrałem ja, Gryf, i wygnana
 „Z komnat, odtąd już będzie koło bramy stała
 „Żelaznej; i tego już będzie przestrzegala
 „Tylko, aby do Raju nie wchodzili ludzie
 „Żywi. A wszystkich śpiących ta woda pobudzi
 „Do życia wiecznego. Wam w Raju królowanie,
 „Dla wszystkich święto wieczne i radość nastanie
 „Bez końca. Ja gryf witam króla i królową
 „Nad umarłymi, co dziś rozpoczęli nową,
 „Lepszą dobę żywota, wśród rajskich ogrodów.
 „Ludzie ze wszystkich czasów i wszystkich narodów
 „Wam hołdować będą, i będzie tu wesele
 „Wieczne; boś ty, Dodolo, kochała tak wiele
 „Męża, i boś ty siebie kochała tak mało,
 „Że się przez ciebie światu zmiłowanie stało.
 „Powstańcie-że, i pijcie wodę nieśmiertelną,
 „A da wam młodość wieczną i potęgę dzielną
 „Cudu“.

Tak Gryf przymówił. Krok bierze dzban złoty
 Do ust i pije wodę nieśmiertelnej cnoty,
 Potém wodę cudowną podaje Dodoli.
 Tak się nieśmiertelności napili do woli
 Oboje, i w wielkiej sile na nogi powstali.
 Potém Gryf dalej leciał do tych, którzy spali
 Po komnatach zamkowych i po kłębach Raju;
 I wszystkich skrapiał skrzydłem wodą od Dunaju
 Nieśmiertelnego źródeł; wszyscy się budzili —
 I nawet nie wiedzieli od jak dawna śnili?

Dodola przyoblokła w zamku złote szaty
 Królowej. A gdy wyszła z zamkowej komnaty
 Sparta o ramię Kroka, i gdy pośród ludu
 Powstali obaj sprawcy tych zmartwychwstań cudu,
 Tłum na ich widok kornie do ziemi się skłania;
 Tak to, gdy czasem latem wiatr silny ugania
 Po łanach żytnich, żyto się kłania w pokorze,
 Jak jedno wielkie, święte, płowe, Lackie morze.

Odtąd Krok narodami władnie w pięknym Raju;
 Żywe tłumy pływają po zielonym gaju
 Każdym, albo w rozmowie słodkiej wspominają
 Czasy minione; wszystkim drzew owoce dają
 Słodycz nieporównaną; Krok pośród nich chodzi
 I jak pasterz swe owce, tak narody wodzi
 Po łąkach rajskich. A gdy już się skończy praca
 Królowania codzienna, do komnat powraca
 Krok, i za stołem siada, a przy nim królowa.
 I wtedy w Raju wstaje uciecha godowa.
 Na stół białe łabędzie i zwierzynę noszą,
 I nieśmiertelni ciasta jadają z rozkoszą,
 Które Dodola misi.

Młody wojewoda

Czuryło nieraz uczcie téj ochoty doda,
 Kiedy z ławy powstanie i gdy w swoje dłonie
 Weźmie puhar z kryształu, co jak słońce płonie
 Od światła rajskich; a w ten puhar wina wlewa
 Zielonego, co serce ochotą zagrzewa,
 Półtora wiadra; tyleż syconego miodu
 Słodkiego na uciechę doleje narodu;
 A wreszcie znów półtora wiadra doda piwa
 Szumnego, co myśl w sercu, jak ogień rozgrzywa;
 I ten napitek najpierw Krakusowi daje.
 Krakus jednym tchem pije napój, i podaje
 Potém puhar Czuryle, aby te napoje
 Znowu wlał w puhar. Potém wojewody swoje
 Tym trunkiem Krakus poi. Nam siły nie staje
 Tutaj tak pić na ziemi; lecz kto weszedł w Raję
 Świętę, tylko naonczas koło króla siada,
 I przy wieczerzy sutój z królową pogada,
 Gdy tak pić umie.

Gdy się już skończą biesiady,

Zwoła Krok wojewody na wojenne rady,
 I o tém myśli, jakby złamać moc Popiela,
 Co dolny tam na ziemi świat płaczem zaściela
 I narzekaniem. Czasem swoje wojewody
 Z Raju wysęła między śmiertelne narody,
 Aby szli niewidomie na nieszczęsną ziemię
 Czuwać, by nie przepadło całkiem ludzkie plemię
 Kłeskami ponękanę. A kiedy zawita
 Z powrotem wojewoda, Krok ciekawie pyta
 O Marzannę chowaną na Krakowskim grodzie?
 O naród co zaklęty pod jeziorem w wodzie
 Głębokiej żyje i o Żywę i o Piasta,

Co jak chłopskie dziecię pośród wsi wyrasta
 Cichéj, odkąd swą postać dawną odzyskała
 Żywa, i odkąd znowu wieśniaczką się stała
 Na ziemi i osiadła wśród pilnego ludu
 Na roli? A pociechą dla niej pośród trudu
 Bywa jabłoń i źródło, które matka dała,
 I w której myśl Dziedzilii święta zamieszkała.
 I o Kolędę pyta Krakus, lecz nie wiedzą
 Nic o niej wojewody, co przy uczcie siedzą,
 Bo gdzieś uszła na morze w te krainy szumne,
 Ponad którymi Czecha władnie berło dumne.
 Już Krakus teraz taki, jak Czech nieśmiertelny,
 Ale zazdrośnym bywa fali władca dzielny,
 I przed każdą żrenicą, gdy zechce, zasłoni
 To, co raz zamieszkało pośród morskiej toni.
 Krakus, choć w Raju, i na ziemi bawi duszą;
 Ciągłe się pyta o tych, którzy umrzéć muszą.

A gdy Wierzbęta stary pośród gości staje,
 Sam jeden Krakusowi odpowiedzi daje;
 On jemu radzi, by sam schodził między ludzi;
 Kiedy na ziemi stanie, mścicieli pobudzi
 Co moc Popiela złamią; z roli, z głębi wody
 Wywiedzie bohaterzy, co zbawią narody.
 I w pierw skoro się tylko na ziemi pojawi,
 Niejedno dobro sprawi, mnogie zło naprawi.
 Dadzą mu wdzięczni ludzie imię Białoboga,
 Tak jak go cienie zwały imieniem Swaroga.
 Czynów żąda Wierzbęta, kończąc wróżby swoje;
 Bo im w świętym rogu niósł nieśmiertelne zdroje.
 A gdy to Krakus słyszy przy puharze wina,
 Od stołu wstaje i na wszystko się zaklina,
 Że tak, jako posłał na świat wojewody,

Sam będzie zestępywał pomiędzy narody
Ziemskie.

Tymczasem w Raju sprawa wielkie łowy.

Drużyna wojewody rzuca stół gotowy,
Pospólstwo rajskie woła i szle gonić w knieje;
A na myśl o tych łowach sam Krakus się śmieje,
Śmieją się pany, śmieją się wszyscy dworzanię;
I wśród Raju wielkiego pusty śmiech powstanie.
Czuryło wojewoda psy na smycze bierze,
I tak dziwnie zatrąbi, że doń wszelkie zwierzę
Z Raju przybiega. Z łuków ogromnych strzelają;
Wojewodowie obok króla kołem stają;
Żwierzyna nieśmiertelna pod strzałami pada;
Tury i wielkie łosie zanoszą gromada
Kucharzy do zamkowej kuchni. Przy Dodoli
I Krakusie najedzą się dzisiaj do woli
Wojewodowie. Lecz zwierzę święte jutro wstaje
I znowu żywy biegnie spasać święte Raję.

Kiedy mężę polują, żony u Dodoli
Patrzą w koło zebrane, jak dziatwa swawoli.
Matki się śmieją, kiedy rozhukane dzieci
Wrzeszczą z radości; i czas szczęśliwy tak leci
Szybko, że choć godziny tutaj niezliczone,
Nigdy dosyć tych godzin. Dzieweczki pieszczone
W koło się wiążą wdzięczne i pieśni śpiewają;
Chłopcy pragną zamieszki; niby na bój stają
Krwawy, i mociją się z sobą. Patrzą matki:
Dla nich szczęściem bez miary, że się bawią dziatki
Wesoło; a za zabawę u Dodoli dano
Jéj pośród kobiet Złotéj Baby święte miano.

Starsze dziewice wieńce wyplatają z róży.
 Czasem dziewczę stokrótkę rwąc po listku wróży
 O przeszłości — i marzy. Czasem dziewcząt dwoje
 Pocichu szeptce sobie tajemnice swoje.

Dalej — na łące Rajskiej młodzi dosiadają
 Konie dzielne, co w nogach wiatru szybkość mają.
 Głaszczą ich szyje, albo w cwał puszczą rumaki,
 Że jakby błyskawica mkną, rajskimi szlaki
 Ku Dunajowi. Wreszcie konie w pełnym biegu
 Z jeźdzcami skaczą w wodę z wysokiego brzegu.
 Na chwilę jeźdźca z koniem pokryją topiele;
 Lecz wnet młodzi wypłyną, — i długie kąpiele
 Jeźdźców i konie zmyją, a harce na wodzie
 Dzielnych sprawią młodzieńców tu w Rajskim narodzie.

Gdzieindziej siedli grajki i na gęślach grają;
 Pieśni rozkosznej pary kochanków słuchają
 Tęskne. Serca wtórują każdej nucie śpiewu.
 Jak pączki rozkwitają od wiosny powiewu,
 Tak pieśnie i kochanie dusze otwierają
 Młode. A posłuchawszy gęźby, pary wstają
 Kochanków i odchodzą w gaje poświęcone;
 I każdych dwoje inną cichą szuka stronę.
 By zostać razem z sobą, by się cieszyć chwilką,
 W której zda się wśród Raju jest ich dwoje tylko;
 A wtedy między nimi tak słodkie rozmowy,
 Że nudnym się wyda stół Krakusa godowy.
 O czynach, o chwale, o wszystkim zapomina
 Młodzian; dla niego światem już tylko dziewczyna;
 A dziewczyna co siadła przy nim rozkochana,
 Wśród wszystkich Rajów widzi jednego młodziana.

Szczęście niesie Dunaju nieśmiertelna woda,
I szczęście wieczne w Raju i wieczna pogoda.
I choć się toczy ciągle kolój przeznaczenia
Nic tutaj w błogim Raju nigdy się nie zmienia!

<http://rcin.org.pl>

PIEŚŃ V.

WANDA.

Rosa, królowa morska, a Czechowa żona,
Była państwem podwodném okropnie znudzona;
Zawsze widziała ryby, raki i ślimaki;
Znudził ją nawet połysk pereł wieloraki;
Krów morskich mléko już się jój znudziło,
I wciąż o suchój ziemi się królowój śniło.
Już jój u Czecha kuchnia nawet nie smakuje
Choć Czech dla niój umyślnie ostrygi choduje
Tak tłuste, jak na łądzie paśne wieprze. Przeto
Nudy Rosie do prośby stały się podniętą.
Męża prosiła, by ją na łąd puścić raczył,
By zdrowie poprawiła.

Kiedy Czech zobaczył,
Że żadna już namowa powstrzymać nie zdoła
Królowój pośród zamków z bursztynu, zawoła
Swe morskie masztelarze, do stajen iść każe,
I morskich, szybkich koni prowadzić po parze
Do karet. — A tam różne powozy bywały

Pod morzem; po masztarniach szyldkretowych stały.
 Dyszle były z macicy perłowej zrobione,
 Z łuski było pokrycie; albo też żłobione,
 Wielkie połyskujące muszle układano
 Na koła. Te powozy wyciągnięto rano
 Z masztarni, do nich konie białe założono,
 Co z piany się poczęły popod wodą słoną
 Morską. Wyszła Rosa, a za nią wyszły panie
 Morskie. W powozy siadły, a na pożegnanie
 Głowami się kłaniały.

Konie w pełnym biegu
 Gonią po dnie topieli, dążąc wprost do brzegu
 Morskiego. Wreszcie konie do góry pomknęły,
 Z wody się wynurzyły, na łądzie stanęły
 Wraz z powozami; wodę otrzęsły ze skóry,
 Nozdrzami raz parsknęły, ogony do góry
 Podniosły mokre, i przed siebie pogoniły,
 Po suchój drodze biegnąc, co im stanie siły.
 Brzeg tu był pusty, smętny; sosny wyrastały
 Na piasku, ponad niskie, mchem obrosłe skały;
 Robactwo różne morskie na brzegu bujało
 Przez falę wyrzucone, tu na ziemię białą
 I piaskiem posypaną. Pod sosnami trawy
 Nie było. Z rzadka chudy skrzep nad piasku ławy
 Wyrósł bezlistną długą lodygą. I ptaki
 Morskie ztąd uleciały, powietrznemi szlaki
 Goniąc ponad toż słoną.

Przecież się cieszyła
 Rosa, że nie pod morzem, że na łądzie była
 Teraz. Nad państwo Czecha łoży Popielowe
 Królestwo smętne. A że tutaj wszystko nowe,

Przeto piękniejsze; północ jęj się Rajem zdaje;
 Od morza każe jechać na bok mnogie staje,
 Przez te sosnowe lasy i te piaski niskie,
 Bo chce zapomnieć o tém, że tu morze bliskie,
 Bo nie chce widzieć więcej szumnój morskiej toni.
 Więc za rozkazem pani, powóz dalej goni
 W głąb ładu.

Z panienkami dwoma Rosa siadła
 W olbrzymiej muszli; tęczy zmienna barwa padła
 Na muszli splot kręcony, a złociste koła
 Tę muszlę unosiły. Królowa wesola
 Na świat pogląda z muszli; zwiędza obce kraje,
 A za nią orszak goni. Przeto jęj się zdaje,
 Że mądra, bo w podróży, i że bardzo można,
 Kiedy za nią tak liczna popędza podróżna
 Służba — w sześciu powozach. A do Gdańska wiedzie
 Droga. Będzie się bawić pani, jak przyjedzie
 Tam między ludzi ziemskich.

Przy gościńcu stoi
 Słup, a przy słupie droga w widelec się dwoi.
 „W prawo, furmanie, pewno zajedziesz do Gdańska,
 „Jeśli tam się potoczy kawalkada pańska!
 „A mniejsza, dokąd droga na lewo prowadzi!“
 Królowa nie ciekawa, o to się nie radzi
 Woźnicy.

Przeto wszystkie konie zawróciły
 Na prawo, i tym szlakiem do Gdańska ruszyły.
 Za powozami wielkie tumany kurzawy
 Wstały. Snać konie morskie nie zaśpią swój sprawy;
 Ruszają ku Gdańskowi co tylko sił starczy.

Pod złotemi kołami tak gościniec warczy,
Jakby mu głos był dany.

Już wkoło się zmienia
Okolica, i Rosa wyjechała z cienia
Leśnego, między zboża. Słońce do zachodu
Już się schyliło. Rosa zajedzie za chłodu
Wieczornego do miasta. Gdańsk już niedaleko;
Pewno wnet staną konie ponad Wisłą rzeką
Koło Gdańska.

Znowu bór się czerni sosnowy
Tam u końca drogi, a nad nim księżyc nowy
Swoj błady sierp wywiesił. Za nim miasto stoi,
W którym od ludzi ziemskich, jak w kotle się roi.

Lecz czegoś dziwnie ten las sosnowy się dłuży!
Może to koniom morskim dziś zdrowie nie służy,
Że nie mogą dojechać nareszcie do Gdańska?
A przecież cwałem jedzie kawalkada pańska!
Piasek jest znowu w lesie — i słup jakiś stoi,
A przy tym słupie droga w widelec się dwoi.

Przebóg! toż to miejsce, które opuszczono,
Kiedy konie w południe na prawo zwrócono!
Królowa zabłądziła! To woźnicy wina,
I słusznie jego Rosa strofować zaczyna:
„Trzeba się było lepiej wypytać o drogę!
„Przecież w lesie sosnowym nocować nie mogę
„Z moim orszakiem. Chyba piwo ci szumiało
„W głowie! Toć nie rozumiem, co się z tobą stało,
„Drabie niemądry, żeś mnie, królowę i panią
„Przez twoją nieuważę na takie znękanie

„Naraził. Wiem, że ztąd do Gdańska niedaleko:
 „Bylebyśmy przed nocą ponad Wisłą rzeką
 „Stanęli, dojedziemy do Gdańska bezpiecznie.
 „Ale jedźże na lewo, jeśli nie chcesz wiecznie
 „Błądzić z nami po lesie!“

Więc pojechał przodem

Furman królowej, a za królowej przewodem
 Ruszył orszak na lewo. Tymczasem wieczorem
 Już zachodziło słońce okrągłe za borem;
 Już zaszło. — Na zachodzie czerwone obłoki
 Czas jakiś jeszcze tworzą na niebie głęboki
 Szafir — a potem gasną. Błękit zielenieje,
 Wreszcie czarnym się staje. Przez chwilę się śmieje
 Tam u zachodu księżyc — a potem zachodzi
 W ślad za bratem słoneczkiem; i noc ciemna rodzi
 Miliony gwiazd promiennych. Niektóre rej wiodą
 Tam wśród nieba nocnego, ponad rzeszą młodą
 Gwiazdeczek migotliwych, które ledwie okiem
 Dostrzeżesz; one zwisły ponad ciemnym mrokiem,
 Jak jaskrawe kagańce. W głębi mléczne drogi
 Wygięły łuk od wschodu po zachodu progi.
 Na ziemi wszystko w koło niewyraźne tonie,
 W matki nocy ogromném i spokojném łonie.
 Widzisz tylko, że ziemia czarna w niebo jasne
 Patrzy; na ziemi wszystko zatarły przepaśne
 Ciemności. Cicho; a wiatr czasem tylko wionie
 Od morza. — Ciemność wszystkie siły wzroku chłonie
 Ludzkiego. Konie gonią — jeszcze niema Gdańska!
 Mało że od zmęczenia się nie zwali pańska
 Drużyna. — Konie ledwo swoje nogi wloką —
 I pani i woźnicy już usypia oko
 Znużone długą drogą.

Patrz! słup jakiś stoi
 Wśród boru — tam gdzie droga w widelec się dwoi
 Przebóg! Tożto to miejsce, które opuszczono,
 Kiedy dzisiaj wieczorem na lewo zwrócono!
 Zrozpaczona obłędem kawalkada staje;
 I przykro słuchać, jak królowa laje
 Woźnicę swego! W gniewie z powozu wychodzi,
 Na słup nieznośny idzie, i w słup pięścią godzi;
 Już uderzyła; ale zbroja zadzwoniła
 Pod uderzeniem.

Pani wielce się zdziwiła
 Słyszając ten odgłos. Patrzy: rycierz przed nią stoi
 Jezdny, zbrojny — gdzie droga w widelec się dwoi;
 Koń pod nim stoi dzielny, nieruchomy. Zbroję
 Z łuski złożonej włożył na ramiona swoje;
 Ma z tyłu skrzydła orle, w górę podniesione,
 I płaszcz czerwony, długi i złotą koronę
 Na głowie. A choć jego twarz jest jeszcze młoda,
 Przecież i włosy siwe u niego, i broda.
 Choć to wszystko ukryte napół w nocnym mroku,
 Przecież dosyć wyraźnie to stanęło w oku
 Rosy; osłupiała; i cała jój gromada
 Na dziwo patrzy nocne i słowa niegada.

Wreszcie rycierz skrzydlaty sam przerwał milczenie
 I rzekł: „Odlóżcie trwogę waszą; zadziwienie
 „Wasze niechaj przeminie! Jeszcze większe dziwa
 „Ujrzy na oczy swoje własne, urodziwa
 „Królowa fali słonój. Teraz mnie posłucha,
 „Albo błędząc tu wiecznie, wyda swego ducha,
 „Zanim z koła wyjedzie błędnego. Kazałem
 „Jój błędzić i o sile mojej przekonałem

„Już; A więc jeśli chce wyjść z zaklętego koła,
 „Niech najwyższego Boga na świadka zawoła,
 „Że to uczyni, co ja jój czynić rozkażę;
 „Wtedy tylko powrotem do morza obdarzę;
 „Bo do Gdańska nie dotrze, a wróci do morza,
 „Zanim na niebie złota zajaśnieje zorza;
 „Albo tu błazić będzie aż do dni swych końca,
 „Zginie z głodu, a kości jój w promieniach słońca,
 „Pobieleją“.

Słyszac to królowa zadrżała —

I jako kazał rycérz święcie przysięgała,
 Że go posłucha.

Wtedy rycérz tak jój powie:

„A najpierw niech się o tém pani Rosa dowie
 „Z kim mówi! Jam jest Krok, ja co tu z toką gadam
 „Na ziemi, a wśród Raju umarłymi władam.
 „Tam już w Raju jest szczęście; ale padł na ziemię
 „Srogi pogrom Popiela, i on ludzkie plemię
 „Uciska; we łzach ludzie toną; mnie to boli.
 „Dziewczyna narodzona ze mnie i z Dodoli
 „W Raju: ona posiędzie moce nieśmiertelne;
 „Jak u tysiąca mężów, takie ramię dzielne
 „Będzie u téj dziewczyny; a w jój oczach stanie
 „Moc która wystarcza na śmieć i pokonanie
 „Żmija Popielowego. Lecz na lat szesnaście
 „Muszą jój bronić wielkiej topieli przepaście.
 „Odrazu mocna będzie — lecz w szesnastym roku
 „Dopiero zajaśnieje boska moc w jój oku.
 „Na tym świecie żyć musi, bo tam pośród Raju
 „Wyrośnie dziewczka w nazbyt słodkim obyczaju;
 „I kiedy potem na bój z Popielem wyruszy,

„Choć stanie siły, hartu nie stanie w jój duszy.
 „Na lądzie żyć nie może, bo Popiel ją chwyci,
 „Może zabije, może zanieśie w ukrycie
 „Zamków swoich północnych. Jeżeli ją posiędzie
 „Mąż — moc swoją straci, i zwykłą dziewczką będzie.
 „Więc trzeba będzie dla niój Czechowój obrony. —
 „Gdy wrócisz teraz, Roso, w swe podmorskie strony,
 „Pośród komnat z bursztynu znajdziesz dziewczę małe,
 „Co się tobie zaśmieje, i swe ręce białe
 „Ku tobie wyciągnie; a moja to sierota!
 „Niechaj dla niój powstanie u ciebie pieszczota
 „Matki! Bo już rodzice jój nie powitają
 „Tutaj na świecie ziemskim; w Raju przybywają
 „Pośród umarłych. Ona w morzu się narodzi
 „Sierotą zagrobową, wśród słonój powodzi,
 „Sierotą zagrobową po rodzicach obu,
 „Co przed urodzinami jój zesłi do grobu.
 „Niechajże będzie dziewczę to pod twoją pieczę,
 „I niechaj w morzu rośnie na radość człowieczą!
 „Nadasz jój imię Wandy. Niech Czechowa władza
 „Dziewczynę od Popiela i gachów odgradza!“

Skończył mówić Krok i znikł. I słupa nie było
 Już więcéj ani lasu. Morze się pienilo
 Tuż koło Rosy, a o brzeg niski trącały
 W nocy fale szumiące. I znów ruszył cały
 Orszak królowój; ale leciał wprost do morza. —
 Ani śladu z orszaku już pośród przestworza
 Nadbrzeżnego nie było po chwili. Wśród fali
 Tylko wir się kłębił.

Przed zamek zajechali.
 Rosa wysiadła — w swoje odeszła pokoje.

Powrotem się zdziwiły morskich dworzan roje;
 Dzieci małe królowej naukę przerwały,
 Przybiegły witać matkę, rękę całowały.
 A dwie królewien było i królewicz młody.
 Z miłością na te dzieci patrzyły narody
 Podwodne; a Rzepychą starsze dziewczę zwano,
 Drugie a pieśczołliwe Zabawą nazwano;
 Synek najstarszy nosił imię Złotomora;
 I już dawno minęła dlań postrzyżyn pora;
 Na morskich koniach śmiało już wyprawiał harce;
 Że twarde będzie chłopię, rokowali starcy.
 Rzepycha lat pięć miała; najmłodziej Zabawie
 Półtrzecia roku teraz dochodziło prawie.
 Wszystko ich troje Rosa czule uściskała,
 Gdy teraz niespodzianie do zamków wracała.

Czech się dowiedział, że już pani powróciła;
 Wiadomość ta Czechowi bardzo miłą była,
 Bo chociaż częste swary w małżeństwie bywały,
 Przecież Czecha dla żony afekt był niemały.
 Często od klótni drżały głębokie posady
 Morza, — bo król Czech nie mógł sobie dawać rady
 Z uporem żony; przytém trudno ustępował,
 I dla innych niezłomnym nawet panem bywał.
 Lecz że Rosa Czechowi żona bardzo miła,
 Więc po klótni zawsze na swoim postawiła;
 Czech zawsze potem czele przeproszał swą żonę;
 I tak w końcu małżeńskie swary ułożone,
 Spoczęły pod falami morza. Dzisiaj wita
 Czech powrót Rosy i to za szczęście poczyta
 Wielkie, że już minęły ciężkie nudy owe,
 Które z za morza na ład wyгнаły królowę.
 Oboje się objęli na długo rękoma. —

„Rad jestem“ rzekł Czech „żeś już powróciła doma“.
 Nato Rosa odpowie: „Lepiej było przecie,
 „Byś mnie samój nie kazał był błdzić po świecie!
 „To prawda, że ty grozną brodę masz zieloną!
 „I włos jak grzywa tobie rośnie pod koroną
 „Z szuwaru zielonego; a gdy tupniesz nogą,
 „Taki huk się rozchodzi, że aż ryby mogą
 „Ze strachu poumierać. Marszczysz brwi wspaniale,
 „I mieczem pobrząkujesz świetnie w gniewnym szale.
 „Ale gdy przejdzie dbać o zdrowie twojej żony,
 „Jak trusia siedzisz tutaj, Czechu, otulony
 „W twój wielki płaszcz błękitny. Samam pojechała
 „Na ład — przez twoją gnuśność. Przeto mi się stała
 „Przygoda ciężka. Panu mężu się nie chciało
 „Swój żony dopilnować. W znaki mi się dało,
 „Że jestem żoną Czecha. Na ciebie już kara
 „Spadła za twe lenistwo! Patrzaj jaka stara
 „Jest Popielowa żona, we dwoje skulona,
 „Sparta o kij sękaty, cała pomarszczona
 „Jaga Baba! Przecież jak o własne swe oko
 „Dba o nią Popiel! Popiel bo nosi wysoko
 „Godność królewską. Każdy o nim zgodnie powie,
 „Że nie da ruszyć włosu u Jagi na głowie!
 „A tyś mnie puścił samą, — i błdziłam wkoło
 „Przez całą długą dobę, wcale niewesoło!
 „Służbę dałeś pijaną i draba furmana,
 „Któremu wcale droga do Gdańska nieznana.
 „Ja tego nie pojmuję mój ty mężu zgola,
 „Jak z tobą niedołągą żona wyżyć zdoła!“

To usłyszawszy Czech, był wielce przerażony,
 Bo na przewitanie chciał pieśszoty swój żony,
 A nie gniewu. Przeto już się pyta nieśmiało

O to, co złego morską królowę spotkało?
 A ona z tego, że mąż już spotulniał rada,
 Szeroko złą przygodę jemu opowiada.
 Wreszcie kiedy mężowi ostatek wykryła,
 Twarz groźna króla Czecha obłokiem się sémila
 Czarnym -- i ścisnął pięście, i zatupał nogą
 Tak straszliwie, jak tylko w gniewie tupać mogą
 Królowie morscy. Drżały bursztynowe ściany;
 U wierzchu morza fale wielkie kity piany
 Do góry podrzuciły. Ryby przestraszone
 Tłumnie spieszyły w zamku królewskiego stronę,
 I przez szybę patrzyły, co się w zamku dzieje,
 I dla jakiej to sprawy król znowu szaleje
 W gniewie potężnym? Takie drzenie morze wzięło,
 Że kilka statków Gdańskich wtedy utonęło,
 Kiedy Czech nogą stuknął. A Rosa się śmieje
 Wpół dumnie, wpół litośnie, kiedy mąż szaleje!

Czech zawoła: „I czegoż Krok mi w drodze staje?
 „Ziemi nie mógł otrzymać: teraz posiadł Raję,
 „Nie przez swą własną cnotę, tylko przez Dodolę,
 „Co przed godziną śmierci śmiało poszła w pole
 „Umarłych. Sobie zawsze radził niegodziwie;
 „Jam go zawsze ratowałem; a teraz się dziwię,
 „Że już swojego Raju nie pilnuje przecie —
 „I że mnie na kark kładzie dziecko swoje trzecie!
 „U niego lichy zawsze wyprawiało dziwa.
 „W szarą gęś przemieniona przyleciała Żywa
 „U mnie szukać ratunku; ja ją ratowałem
 „I łódkę bursztynową jój na morzu dałem;
 „Przeło i dotąd żyje, dotąd syna chowa,
 „Gdzieś tam na łądzie — prawa po Krakusie wdowa!
 „Ale na tém nie koniec — przyszła w dobrej wierze

„Do niego Kolęda, a on ją gwałtem bierze.
 „Nie dziw, że boska mądrzej Światłowidy córą,
 „Gdy w moc popadła ludzką, stała się ponura
 „I tak milcząca jak głaz. Ale syna miała;
 „I wtedy wola krzywa Kroka ją wyгнаła
 „Z zamku na Wawelu. Wiem; Krok był uwiedziony;
 „Co chciały z nim czyniły wszystkie jego żony;
 „Jak świstek kory koło palca okręcały,
 „Jeżeli tylko Kroka zażywać umiały
 „Mądrze. Lecz mniejsza o to! Zawsze to się stało,
 „Że Kolędę wygnano w zawieruchę białą;
 „Psy ją ściagały dzikie, więdźmy gnały srogie,
 „Aż ja jój pokazałem, co uczynić mogę.
 „Bardzo mnie jój żal było; przeto z głębi morza
 „Obłok czarny wysłałem w zimowe przestworza;
 „Obłok matkę otulił wraz z dzieckiem u łona;
 „Dotąd nad falą buja przez obłok niesiona,
 „I śpi, jak spały niegdyś dusze ludzkie w Raju,
 „W państwach Zmory, za wodą krwawego Dunaju.
 „Przy niej synek wyrasta, a gdy na młodziana
 „Wyrośnie, może znajdzie u morskiego pana
 „Przytułek. Bom ja dobry. Gdy mnie nikt nie zmusza,
 „Rada drugim dopomóż moja pańska dusza.
 „Lecz Krakus w swoim Raju niemało się myli,
 „Jak myśli mnie przymuszać. Ani jednej chwili
 „Nikogo nie posłucham; bo mnie morze słucha!
 „Na cudze rozkazy toń zawsze bywa głucha!“
 Rzekl Czech i w wielkim gniewie na krzesło upada.

Rosa ze słów Czechowych widać że nierada;
 Od męża odwrócona głośno zapłakała,
 A od żalu i gniewu jakby dziecko drżała.
 Narzekała na chwilę w której Czecha żoną

Została. Woła: „Szczęścia ludzkie w morzu toną!
 „Wiem o tém. Kiedy wstaniesz rano w wielkim gniewie,
 „Zda się że świat szaleje, i w wichru powiewie
 „I w szumie fali; a gdy tupniesz głośno nogą,
 „Statki z falą zburzoną już walczyć nie mogą,
 „I toną; same słyhać krzyki przeraźliwe;
 „Nazajutrz, fala wdowom wyrzuci nieżywe
 „Ciała mężów. Jam głupia o morzu myślała,
 „Że w toni szczęście znajdę. Żem się oszukała,
 „Żem nieszczęśliwsza niżli na ziemi dziewczyna,
 „Co naczynie wyciera, — to już moja wina!
 „Matka mnie przestrzegła, bym nie szła za ciebie;
 „A ja głupia myślałam, że będzie jak w niebie
 „Tu w tém morzu przekłętém i przy tobie gburze!
 „Tu tylko niepogodę znalazłam i burzę
 „I huki. Dobrze mi tak! Czemum nie słuchała
 „Matki, która odemnie lepszy rozum miała!“
 I Rosa głośno szlocha. — A Czech przerażony,
 Pocałunkami wielki gniew ugłaskał żony.
 Przyrzekł, że wszystko zrobi, co ona rozkaże —
 Niech tylko nie płacze, — niech się tylko nie maże!

Wreszcie już poszli razem zgodni małżonkowie,
 W własne Rosy komnaty, ku cichój alkwowie,
 Którą z jednéj ogromnéj muszli urobiono.
 Tutaj zwykł był Czech chadzać, tu się pieścił z żoną
 Po każdych przeprosinach; tu szerokie łoże
 Stało, z owych koralu, które wielkie morze
 W miejsce lasów ukrywa. Łóżko tak czerwone
 Jak krew, a w białe puchy kaczek ustrojone,
 Tu na królów czekało; i tu się rodziły
 Dzieci Czechowe, które wśród pałaców żyły
 Bursztynowych; a koldę ciepłą, zielonawą,

Na łożę wpleciono długą morską trawą.
 Tę koldrę Czech podnosi, a pod koldrą zoczy
 Niemowlę, co bystremi oczętami toczy
 Dokoła.

Jest to Wanda córa Krakusowa.

Tę odtąd Rosa w zamku przy swych dzieciach chowa.
 Razem się bawią dzieci, razem wyrastają,
 I jeden dach nad sobą, jedną matkę znają.
 A kiedy dla harcu na wielkie ryby siędą
 Morskie, i razem na wierzch morza się dobędą,
 By tam pod słońcem igrać i w obliczu nieba,
 To chyba o tém z wieści pewnej wiedzieć trzeba,
 By myśleć, że to niesą jednej matki dzieci.
 W ślad po za niemi czujna ciżba dworzan leci,
 Trzy dziewczyny i chłopca nie spuszczać z oka,
 By królewiczów swych nie straciła głęboka
 Toń morza.

To Rusalek wesola gromada

Czujnie dzieci pilnuje, wielce z tego rada,
 Że ugania po fali. Rusalkami zwano
 Służbę panienek morskich pod rozkaz oddaną
 Rosy. A po fali tak jak rybki pluskają;
 Czasem w górę podskoczą, czasem nurka dają,
 Kryjąc się w pianę morską. I służebne Rosy
 Palcami swemi czeszą długie swoje włosy
 Perłami ozdobione, wodą przesiąknięte;
 A szumnie tańcząc burzą mórz oblicze święte. —

Królewskie dzieci płyną środkiem panien koła,
 A wśród wody bezpieczna ta ciżba wesola;
 Na wielorybach jadą Wodniki na straży,

Po bokach orszaku. To młodzieńcy; na twarzy
 U nich świeci odwaga; siadło ich na rybie
 Jednej po stu, i baczą czy dzieci nie zdybie
 Pańskich ludojad morski, co jest wilkiem wody
 I łakomie pożera podmorskie narody.
 Ryba naga, bez łuski, ogromnego ciała,
 I w tyciąc zębów zbrojna, a z pozoru biała
 Tak, że oko, ostrożnie ledwo ją wybada,
 Gdy się po pastwę cicho pośród piany skrada.
 Czech tę poczwarę srogą wielce nienawidzi,
 Bo ona jedna wśród ryb z jego woli szydzi,
 I robi co roku w morzu zniszczenie nie lada,
 Jedząc ryb tysiące, i nawet Czecha stada
 Kochane. Przeto król gdy swe dzieci wysyła
 Na harce, myśli o tém, by przy nich straż była
 Dzielna. Sto wielorybów na falę wyprawia,
 Na potwór każdy duży stu rycerzy stawia;
 Rycerza każdego w łuk i w strzały uzbroi,
 I w pancierz z łuski rybięj ułożony stroi. —
 Teraz bezpieczny wie, że dzieci mu nie zginą,
 Chociaż na rybach jeżdżą nad morską głębinią.
 Pod falą raki, które dwór dokładnie znają,
 Pocichu sobie o tém wieści powiadają,
 Że możeby Czech takięj nie dał dzieciom straży,
 Gdyby nie wola Rosy, która wszystko waży
 Tam w zamku bursztynowym.

*

*

*

Prędko Wanda rośnie;
 Wśród morza tęskno jakoś dziewczę i nieżnośnie;
 Za łądem suchym tęskni córa Krakusowa,

Chociaż jak ryba w morzu, przy Rosie się chowa
 Pięknowiącej. Jój zazdrość, że już Złotomora
 Wysłano z zamków Czecha gdzieś aż w kraj wieczora,
 Kędy młodzian dorosły własne zamki stawia.
 I codzień Wanda szczęście cołopięce wysławia,
 I płacze nad tém ciężko, że zrodzona żoną,
 I że ją do kądzieli niewieściej sądzono
 A nie do miecza.

Szła raz koło Czecha straży;
 A straż trzymała w ręku włócznię, która waży
 Tyle, że strach powiedzieć. A w téj właśnie chwili
 Ludzie na straży wielkie dziwo zobaczyli;
 Na sto kroków od zamku była morska łąka,
 Po której stado Czecha co roku się błąka
 Szukając paszy pośród ziela żyjącego;
 Osobni pastuchowie tego stada strzegą.
 Raptem wśród toni lśniącey wielki stwór się jawi,
 Cielsko jak worek, ma rąk tysiąc; ten stwór dławi
 Rękami, co dokoła ust uustawione,
 Najlepszą klacz Czechową. Stado przerażone
 Po morskiem dnie ucieka. Nikt je nie dogoni
 Pośród stepów szerokich niezgłębionéj toni.
 Klacz ramiony potworu srodze opleciona,
 W tył głowę zarzuciła, charcze już i kona.
 Pastuchy już wplaw uszli. Straże zamku stoją
 Jak skamieniałe, bo się straż srodze boją.

Gdy Wanda widowisko to straszne ujrzała,
 Od osłupiałéj straży włócznię odebrała.
 Potém się uśmiechnęła; zabłysło jój oko,
 I włócznię ponad głowę podniosła wysoko
 Jedną ręką. I włócznię tę w morze cisnęła.

Włócznia przez wodę leci — leci — aż stanęła
 Wreszcie w ciele potworu. Posoka czerwona
 W krąg wodę zabarwiła; a klacz wypuszczona
 Ze śmiertelnych obieży, chwilę w miejscu stała,
 A potem pogoniła gdzie stadnina cała.

Długo po zamkach o téj przygodzie mówiono;
 Wszyscy teraz żalują, że Wanda jest żoną,
 Że nie jest mężem; siostry mówić z nią nie mogą,
 By siła Wandy ich nie napelniła trwogą
 Tajemną. Odtąd bywa w zamku ciągła rada;
 I Rosa niespokojnie z mężem Czechem gada;
 Myślą, że lepiej może spełnić Wandy wolę,
 I jak wpierw Złotomora puścić ją na rolę
 Suchą. Niechaj tam sobie własne zamki stawia,
 I niech bójną ochotę jak rycérz wyprawia!
 Wandzie przypadła siła i odwaga męża;
 Nienawidzi kądzieli, tęskni do oręża;
 Niech się stanie jój wola!

Wśród komnat z bursztynu
 Czech zawoła Wandę, co upragniona czynu,
 Tak się w świat wrywa, jak ogar na łańcuchu
 Spętany. Czech jój powie, że co chowa w duchu
 To się stanie; wypłynie z cichéj głębi morza
 Na wysokie i suche, słoneczne przestworza
 Łądu, a tysiąc dziewic na łąd pójdzie za nią;
 Zamek Czech jój wystawi; zamku będzie panią
 Samowładną. Lecz teraz trzeba, by wiedziała,
 Kto jój rodzice, jakie przeznaczenie miała?
 Dotąd wierzyła że Czech ojcem, matką Rosa,
 Żona Czecha, królowa morza pięknowłosa.
 Ale tak nie jest; ojca jój chowają Raje

I matkę. Krakusowi Czech ją dziś oddaje
 Rosa wraca Dodoli; lecz że na tém swiecie
 Rodzice jój nie żyją, przeto dalej dziecię
 Czech opieką otoczy. Teraz ją przestrzega,
 Że niebezpieczeństw tysiąc za nią ciągle biega.
 Popiel zechce ją zgubić, gdy z morza wypłynie.
 Nikt jój nie sprosta, gdy jój lat szesnaście minie,
 Bo wtedy moc otrzyma taką dziwną w oku,
 Że wroga w kamień zmieni samą siłą wzroku.
 Ale ma lat czternaście. Jeżeli się dostanie
 W moc męża, będzie słabą odtąd; panowanie
 Jój przepadnie na zawsze; do kądzieli wróci;
 Będzie płakać w pokorze, gdy ją mąż porzuci,
 Albo w podstępach żeńskich szukać zemsty będzie;
 Bo orężnej potęgi więcej nie posiędzie.
 Przed gwałtem Popielowym Czech Wandę obroni;
 Bo zamek jój postawi na wyspie wśród toni
 Morskiej, by Popiel wrogi o tém dobrze wiedział,
 Że jest pod pieczęcią Czecha, i by cicho siedział
 Przeto. A przed podstępem niech się sama strzeże;
 Przed nim jój nie obronią ni zamki, ni wieże,
 Tylko rozum obroni.

Wszystkiego słuchała

Wanda zdziwiona; ale głośno się zaśmiała,
 Gdy o mężu Czech mówił. Za to zaręczyła,
 Że ją w żonę mężowską żadna w świecie siła
 Nie obróci; że woli stokroć czyścić konie
 W stajni, niż głowę męża uczuć na swém łonie.
 Czecha kocha jak ojca; innymi mężami
 Gardzi tak, jak miękkimi morskiemi pianami,
 Które palcem roztrąca.

Więc Czech w tysiąc koni,
 Jechał wzdłuż brzegu w głębi słonej morskiej toni.
 Od téj jazdy tam w górze na brzegu dudniło,
 I przestraszeni ludzie mówili, że było
 Wielkie trzęsienie ziemi — i na twarz padali.
 A Strybóg szukał, gdzieby pośród szumnej fali
 Zamek Wandzie zbudować. Wreszcie miejsce wita,
 Które jako stósowne na zamek poczyta.
 Nogą stuknie i morze ogromne zamąci.
 Fala w górę się spina i tak o brzeg trąci
 Potężnie, że urwisko od ładu odpadło,
 I na kształt wyspy dłuższej na morze się kładło.

Wyspa skalista była zewsząd poszarpana.
 Poszła na nią mularzy gromada wybrana
 Z rozkazu Czechowego — stawiać zamki harde,
 Pośród których by mogły bawić dziewczki twarde
 Jak Wanda. Mury zamku chropawe jak skały
 Z opoki szczytów na świat ponury patrzyły;
 A niskie, krągłe, czarne koło zamku wieże
 Poszły chyłkiem na ładu i morza rubieże.
 Nie było w mocnym zamku ogrodu ni drzewa;
 Bo tych zabawek żeńskich nie chce mężna dziewa
 Wanda; a były stajnie. Wielkie wyrównano
 W murach dziedzińce, gdzieby konie ujeżdżano. —
 Już zamek gotów stanął. Na koniu z pod fali
 Na zamek wyjechała Wanda. Klucz oddali
 Mularze.

Dziewka była smukła jak topola.
 Gdy w zamku zagościła, nastąpiła swawola
 Rycerska wśród dziedzińców utwierdzonych w koło.
 Na koniach harcowano żwawo i wesolo;

Orszak Wandy nie bawił się igłą; po mężku
Próbował kto z gonitwy powróci zwycięsko.
W pancerzach z hartowanej stali szły dziewczęta
Codziennie na igrzyska; a przysięga święta
Wszystkim broniła, aby nigdy się nie stały
Żonami mężów; przeto imię wspólne miały
Nowe; Samożonami zwały je narody.
A hardo żyły w zamku, nad zwierciadłem wody
Morskiej; ze wszystkich mężczyzn głośno uragały,
I każdy chętnie przyznał, że to orszak śmiały
I dzielny. Wnet sąsiedzi cieszyli się niemi;
Wkrótce sława rozeszła się po całej ziemi.

Raz wieczorem gdy słońce zachodziło krwawo,
Nad morza Bałtyckiego tonią błękitnawą,
Łódź długa czarna o brzeg zamku uderzyła.
U przodu postać kruka rzeźbiona zdobiła
Łódź, a w łodzi dziewięciu rycérzy siedziało,
I dziesięciu wiosłarzy falę pruło śmiało
Długimi wiosłami; a na czele rycérzy
Stał mąż piękny a śniady, w opietej odzieży
Z czarnego aksamitu. W takim zwykli stroju
Chodzić na zachodzie, gdy nie ciągną do boju.
Czarna zarzutka z pleców rycerzowi zwisała;
Czarne pióro na czapce, pod niem szpinka błyska
Brylantowa; u boku była cienka szpada,
Co na rzemyku srebrnym z jedwabnego spada
Pasu. Przy nim leżały rynsztunki stalowe.
Skoro łódź podpłynęła pod mury zamkowe
Wyjął z pod pasa trąbkę ze złota kowaną;
A skoro wiosłarze z łodzią już pod zamkiem staną,
Podniósłszy wiosło, zagrał na trąbce. A fala

Lódź podnosi i spuszcza, zbliża i oddala
Od zamkowej opoki.

Dziewica na straży

Ujrzała i rycerzy i dzielnych wioślarzy
Na łodzi; w zamku o tem załodze znać dała.
Wanda tych gości na noc puścić rozkazała
Do zamku: do biesiadnej izby ich prosiła
I przy rycerskim stole swoim posadziła.

Starszy rycerz o sobie mówił, że jest z kraju
Franków: że po tamtejszym rycerskim zwyczaju
Wyjechał na przygody, zwoławszy drużynę
Wojenną; zaszedł najpierw w Nadreńską dolinę,
Co winami swojemi słynie i mężami
Rycerskimi. Wojował długo ze Szwabami,
Aż tam go wieści słodkie o Wandzie dobiegły.
Ritiger miał na imię ów rycerz przebiegły
Jak lis, a jak lew dzielny. Porzucił drużynę,
Aby na morskiej wyspie tę sławną dziewczynę
Zobaczyć, o której już wszystkie trubadury
Do lutni swoich śpiewne wymyślili wtóry;
O której i niemieccy bajają pieśniarze,
O której nawet Arab rozkochany marzy
Pośród cudów południa. Kiedy to powiada,
Spogląda w oczy Wandy, czy też jemu rada?

Potém wino podano. Chodziły puhary
Wkoło. Dawno nad zamkiem już spoczał mrok szary;
Przeto w komnacie jasne świece zapalono;
A odblaski tych światel na pancérzu płoną
U Wandy. Puhar wina starego wypila;
W świetle pochodni rudém piękną Wanda była,

I zpod hełmu włosy rozpuściła płowe,
I snąć mile słuchała Ritigera mowę.

Ritiger tedy powstał, wziął lutnię do rękę
I ze strun lutni dobył pieśń dziwnego dźwięku;
A potem niemieckimi a słodkimi słowy
Opiewał wdzięki Wandy Samożon królowej;
A chociaż królewna słów tych nie rozumiała,
Przecież o rękę sparta przyjemnie słuchała
Cudnie składanej pieśni.

Wreszcie pieśń skończona!

Na ziemi jęła lutnia, z rękę wyrzucona.
Ritigier zapatrzony w Wandy piękną głowę,
Taką rozpoczął słodką a szeptaną mowę;
„Jam słyszał, pani, mnogie o twój cnocie cuda.
„Na polym tylko wierzył, boć bywa uluda
„Marna w słowach u ludzi; jednak przyplynałem
„Tu, a w tym zamku twoim niebem odetchnąłem,
„Kiedym spojrział na ciebie. Byłem przyrzekł sobie,
„Że sam żyć będę zawsze, że sam spocznę w grobie.
„Ja nie chciałem mieć żony. Boć i któraż godna
„Była mnie posiąść? Przecie pleć żeńska, wyrodna
„I gnuśna, obyczajem dzieci, tém się bawi,
„Że jakieś tam błyskotki na swe ciało stawi
„Białe; że do zwierciadła patrzy i pochwałę
„Szuka w zwierciadle. Każda panna ręce białe
„Pieści, jak gdyby ze szkła były. Niewygody
„Nie zniesie wiek niewiasty, choćby taki młody,
„Jak wiosna w Kwietniu bywa. Niechże kto mi powie,
„Na co się taka żona przyda rycerzowi?
„U nas, nie tak jak u was; rycérskim zwyczajem,
„My na rozkaz niewiasty jakby słudzy stajem.

„Nie chciałem poddać siebie i owego narodu
 „Pod rozkaz słabój pani, co mdleje za młodu,
 „Przez zbytek miękkich pieścizot napoły umarła.
 „Nam twardym Frankom zbroja aż w ciało się wzarła,
 „Więc Franków panią winna być chyba mężyni,
 „Co tak jak ty, Wando, na koniu dzielnie czyni,
 „Co mieczem jak mąż włada, i kopią trząść umieć.
 „Taką my posłuchamy w mężów hardój dumie.
 „Odkąd ciebie poznałem, pragnę posiąść żonę,
 „Na której skroń bym włożył Niemiecką koronę!
 „Prawda! Dziś jestem tylko Frankonów hercogiem,
 „Lecz, że cesarzem będę, świadczę ci się Bogiem
 „I tobą, Wando! Na mój kiedyś błysnie głowie
 „Korona, która władnie Zachodniej połowie
 „Świata. Toć moi Franki mężowie z żelaza,
 „Wrogom straszniejsi, niżli morowa zaraza,
 „Przy kobiętach dworniejsi, niż Galscy guślarze!
 „U nich z grzecznością męztwo dziwnie idzie w parze.
 „Jeśli tacy mężowie cnotliwego pana
 „Znajdą, władza nad światem będzie im wydana
 „W ręce. Tym panem Wanda będzie; przed nią padną
 „Świata narody na twarz. Frankowie zawładną
 „Ziemią, morzem i Rajem, jeśli ty hetmanem
 „Będiesz Franków narodu, i niepokonaném
 „Wojskiem będą przy tobie. — U mnie sto twierdz stoi;
 „I w każdym zamku tysiąc jest jasnych pokoi;
 „Słońce dzień cały świeci przez okna wysokie;
 „Ale gdzie ciebie nie ma tam cienie głębokie
 „Nocy wszystko zaćmiły. Przeto bądź mi zorzą!
 „U mnie Franków dziewice piękne hafty tworzą,
 „Ale oręża dźwignąć dotąd nie umieją:
 „Dzieci rodzą; lecz śmierci spoglądać nie śmieją
 „W oko zielone. Takie obmierzły mnie żony.

„Ale skoro zawitasz ty w Frankońskie strony,
 „Niewieście zmienisz serca; — za twoim przewodem
 „Będą wszystkie Fankonki cnych Samożon rodem
 „Orężnym. Przeto patrzaj, jak przed tobą pada
 „Na kolana Ritiger, co Frankami włada
 „Bitnymi. Przybądź do nich! Stań się ich królową!
 „Błagam cię, pani, żoną bądź Ritigerową!
 „A Ritiger czuły świat cały ci podścieli
 „Pod stopy twoje. Ludzie dotąd nie widzieli
 „Męża tak posłusznego, tak szczęśliwej żony!
 „I świat odmłodnieje tym widokiem zdziwiony“.

Mówiąc, Ritiger klęczał dawno; a słuchała
 Wanda zdziwiona. Wreszcie głośno się zaśmiała,
 A jój śmiechowi izba wtórowała głośno
 Z orszakiem całym.

Na tę wesołość nieznośną

Dla uszu zakochanych, zerwał się na nogi
 Ritiger i potoczył po dziewczkach wzrok srogi
 I straszny. Czarne oczy ogniem zajaśniały
 I usta niecierpliwie wielkim gniewem drżały;
 Na poły rozwarł ręce, jakby ptak drapieżny,
 Co chce się wzbąć do lotu, w nieba step bezbrzeżny;
 I obie ścisnął pięście.

Wanda się zaśmiała,

I takimi doń słowy dumnie zagadała:

„Za głupie masz mnie dziwczę, takie bając baję,
 „Że gdzieś w szerokim świecie są dziwaczne kraje,
 „W których bywa posłusznym mąż, a władnie żona.
 „Inna na świecie ludziom kolój przeznaczona;
 „Mąż prośbę swojej żony czasem spełnić raczy;

„Wiele żona u męża wyżebrze, wyplacze;
 „Ale zawsze przez męża żona pokonana,
 „Tylko sługą wszechmocną łaskawego pana.
 „A ja się nie zarzekam, jam służyć gotowa!
 „Lecz przed tym tylko mężem się pochyli głowa
 „Moja, przez którego ja będę pokonana
 „Na prawdę; bo nie mogę mieć słabszego pana
 „Od siebie. Jeżeli zatém chcesz mnie posiadać żoną,
 „Powróć w te moje zamki w porę przeznaczoną
 „Na rycerskie zapasy. Woźnych porozsyłam,
 „Aby w świat rozgłosili, że postanowiłam
 „Wyjść za mąż. Od dziś za trzy miesiące wyjadę
 „W zbroi pełnej na zamku mego esplanadę.
 „Wtędym gotowa wszystkim gachom stawić czoło;
 „A sędzią będzie szranków dziewic moich koło,
 „A na czele królowa morskiej toni Rosa,
 „Cześna żona Czechowa, pani pięknowłosa —
 „Poigramy kopiami; jeśli który z męży
 „W gonitwie na ostre mnie kopią przewycięży,
 „Będę mu żoną; a kto będzie pokonany,
 „Z tego na przyszłość ludziom wszystkim będzie znany,
 „Że w boju pojedynczym Wandzie Samożonie
 „Nie sprostał. Niechże wstydem wielkim potem płonie
 „Do śmierci gach nieszczęsny!“

Gdy tak zawołała

Wanda znak końca uczty nocnej ręką dała;
 Wszystkie zbrojne dziewczęta od stołu powstały;
 Wanda na pożegnanie wzięła dzban niemały
 Złoty, w którym kowane były złote ściany
 Na cal grubości; na nim wzór był wykowany
 Na kształt gonitwy. Dzban był próżny. A spojrziała
 Raz jeszcze w Ritigera dziewica wspaniała. —

I z uśmiechem na twarzy oburącz ścisnęła
 Dzban ten potężny, a tak palcami pomięła
 Jakby chustę płócienną. Potem odrzuciła
 Dzban tak pomięty, — z lekka głowę pochyliła
 Na dobranoc i rzekła: „Niechaj dwie dziewice
 „Gości mych odprowadzą w gościnne świetlice;
 „A życzę rycérzowi, aby spał na puchu,
 „I by śniąc, myśl zwycięztwa w swoim pieścił duchu“.
 To rzekła i odeszła; a poprowadziły
 Dwie dziewczyny gości do komnat; potem śniły
 Same na twardém łożu o boju i męstwie,
 Głośnych przyszłych zapasach, i Wandy zwycięstwie.

* * *

Ale Ritiger nie spał. Wstał ze swego łoża.
 Zwołał drużynę swoją i prosto do morza
 Zeszedł o północy. Tam u dołu łódź stała,
 A wielka fala morska miękko ją huśtała
 Wciąż. Ritiger w milczeniu siadł na łódź rzeźbioną,
 A wiosłarze porali wiosłem falę słoną
 Bałtyku. Pojechali; małał pośród nocy
 Zamek w dali; a kiedy zeszedł brzask północy
 Weznesny, widać już było tylko tam w oddali
 Krwawą od zorzy plamkę wśród błękitnej fali.

Gdy słońce wreszcie zeszło, Ritiger zawoła
 Do swych rycérzy dzielnych wędrownego koła:
 „A pływicie teraz chłopcy do Kurskiej przystani!
 „Jeszcze usłyszycie o nas zamku dumna pani!
 „Ja was teraz pożegnam. Na mnie poczekacie

„Nad wodą cichą i pod skałą, którą znacie
 „Od lat wielu“.

To rzekłszy wzbil się rycérz w górę,
 I w postaci burego sępa, aż gdzieś w chmurę
 Uleciał szarą, co nad morzem spoczywała.
 A łódź do koła z szumem odpłynęła biała
 Piana Bałtyku.

Leciał sęp; zostawił morze
 Za sobą; leciał ponad ziemie, które orze
 Plug, a nie wiosło. Leciał. Wreszcie poprzez chmury
 Dotarł aż na Tatrzańskie niebotyczne góry.
 Tu siadł; trzepnął skrzydłami; dziób otarł o pióra
 Na piersi; i przez chwilę opoka ponura
 Ptaka niosła na sobie; a-potém ptak cały
 Się wstrząsł, i znowu rycérz tam u szczytu skały
 Tatrzańskiej stanął.

Zeszedł na dół. Tam u dołu
 Rosły stare modrzewie, a z niemi pospołu
 Wielkie bryły granitu były pomieszane;
 Snać niegdyś piorun ogniem skalną raził ścianę,
 Albo wiatr straszny zatrząsł był Tatrzańską górę,
 Albo ziemia zadrżała. Leżały ponure
 Na siebie popiętrzone urwiska na ziemi,
 A olbrzym wielki usiadł tam pomiędzy niemi;
 Większy jeszcze od Tura, Tura brat zasiada
 Pośród skał i modrzewi, i z kimś głośno gada.
 To Świętogor; on nagi cały; jego słowa,
 Niby wielka piorunu dalekiego mowa,
 Rozchodzą się po górach; ale z kim on gada,
 Tego nikt nie odgadnie. Czasem odpowiada

Olbrzymowi głos jakiś piskliwy i cienki,
 Jakby mówił człowieczek nadzwyczaj małeńki.
 Lecz kto głos wydaje, nikt tego nie dostrzeże,
 Choć okiem swoim wszystko dokoła przebieży.

Do Świętoga rycérz Frankoński przychodzi;
 Śmiało w oko olbrzyma czarném okiem godzi.
 Olbrzym nań spojrział z góry, pochyliwszy głowę,
 I do Ritigera wszczął taką mówić mowę:

„Pocoś tu przyszedł do mnie małych ludzi królu,
 „Co robakami rządysz teraz w Polskim ulu?
 „Pocóżes szaty jakieś na się przywdział nowe,
 „I we Frankońską czapkę ubrał twoją głowę?
 „Pocóż, Popielu, chodzisz do umarłych ludzi,
 „Których głos mowy żywój darmo z grobu budzi?
 „Wiesz że mój naród wymarł. Ja tylko zostałem
 „Wraz z bratem moim Turem na tym świecie białym,
 „A z karłów został ludu mój przyjaciel Dziwo;
 „Z nimi jęszcze się znoszę, zresztą ziemię żywą
 „Znienawidziłem; chcę być ja także umarły,
 „Jak moi rówieśnicy olbrzymi i karły,
 „I unikam widoku nowych żywych ludzi;
 „Ich widok mnie brzydzi, a ich mowa mnie nudzi.
 „Mnie jest najlepiej, kiedy tutaj sam spoczywam
 „Ze skałami; a w nocy w trumnie odpoczywam,
 „Którą tu sam zrobiłem z szarej téj epoki
 „Tatrzańskiej. Mnie najmilszy jest smutek głęboki
 „I milczenie, a jednéj tylko słucham mowy
 „Chętnie, bo jój nie głosi żaden człowiek nowy,
 „Jak ty, Popielu, tylko druh mój mały Dziwo,
 „Co jak ja znienawidził waszą ziemię żywą
 „I nową; i dlatego z nim rozmawiać lubię,
 „Bo kiedy z nim przybywam, skarbów mych nie zgubię

„Najdroższych, samotności. Oto z nim rozmawiam,
 „A przed oczyma memi pustkę pozostawiam
 „Ukochaną, bo czapkę ma swoją na głowie,
 „Sławną niewidkę. Więc choć często mądrą powie
 „Myśl, co dla mnie pociechą, znudzona powieka
 „Moja żadnego tutaj nie widzi człowieka
 „Przed sobą. Bo ta czapka ma tę moc uroku,
 „Że kto ją nosi, wszystkim całkiem znika z oku.
 „I tu jest teraz Dziwo koło ucha mego;
 „A nawet orle oczy jego nie dostrzegą,
 „Bo czapkę swą niewidkę, włożył na swą głowę.
 „Niewidąc jego ciała, chociaż słyhać mowę. —
 „A mowa dla mnie słodka, jakby pieśń słowicza,
 „Bo Dziwo tylko klęski ludzkie wciąż wylicza;
 „I ciebie mój Popielu bardzo Dziwo chwali,
 „Mówiąc, że twoje berło, jakby ogień pali
 „Ród nowych ludzi. Dziwo ludzi nienawidzi
 „Tak jak ja; lecz ja nimi gardzę, a on szydzi“.

Rycérz wysłuchał mowę olbrzyma. A mowie
 Smętnéj odpowiadając, takie słowa powie:
 „Niedługo Świętogorze potrwa ta pociecha,
 „Że ludzie jęczą; płaczu daléj już zaniecha
 „Ród ludzki; wkrótce moje berło zgruchotane
 „Padnie, jak łupka jaja rzuconego w ścianę
 „Twardą; bo Krakus z Raju dziewczę słał na ziemię,
 „Które z pod moich ręku wydrze ludzkie plemię.
 „Dobrze mi było w moim zamku na północy,
 „Gdzie bawię od lat wielu w niezachwianéj mocy,
 „Przy mojej żonie, Jadze, i przy dziatwie mnogiéj;
 „Którą z Jagą spłodziłem; — a w tém padły trwogi
 „Na mię. W książce wróżebnej, w której zapisano
 „Wszystko, co od początku w świecie czynić miano,

„A którą codzień czytam, przeczytałem słowo,
„Które mi zwiastowało zgubę, co nad głową
„Zwiśla. Wanda zrodzona. W morzu wychowana,
„Przez Czecha już na suchy ląd teraz wysłana
„Pośmiertna córka Kroka z swemi Samożony;
„Już zamieszkała zamek w koło otoczony
„Morską wodą. Jeżeli się dziewczę doczeka
„Lat szesnastu bez męża, otrzyma powieka
„Jój moc, wedle wyroków świętych przeznaczenia,
„Tak potężnego wzroku, że połysk spojrzenia
„Jednego dziewczki Żmija srogiego pokona.
„Na moją zgubę owa dziewczka przeznaczona;
„Wtedy się przecie tylko przed nią wyratuję,
„Jeśli jój moce zaraz w zarodzie zatruje
„Miłość męża. Czytałem. I nie było rady!
„Porzuciłem i żonę i dzieci i gady
„Ukochane, chowane pod zamku powałą,
„I ze sługami mymi otulony w białą
„Mgłę, uleciałem rano. Nad morze przybyłem,
„I w Ritigera duka Franków się zmieniłem.
„Myślałem: zawsze słabą bywa dziewcząt głowa;
„Wandę zdobędzie snadnie postać moja nowa
„I niezwykła. Bo chociaż czasem dziewczę harde
„Dla swojego narodu w sercu chowa wzgardę,
„Zwykle żon wyobraźnia obce przyoblęka
„W barwy, co bóstwo czynią z obcego człowieka.
„Przeto jako Niemiec do zamku zawitałem,
„I wiele Wandzie pięknej pocichu szeptałem
„O dziwnej Niemców cnocie; potem w próżność biłem
„Niewieścią jak taranem; jój chwałę sławiłem
„Széroką, i mówiłem, że wszystkie narody
„Pełne są rozgłosu jój męstwa i urody.
„Ciągle okiem śledziłem, czy też z tego rada

„Co do niej rycérz Niemiec o jój chwale gada?
 „I już myślałem, że się do mnie pochyliła
 „Jakby owoc dojrzały; że już w mocy była
 „Mojój. Niestety! ja się wtedy omyliłem;
 „O zbyt łatwém zwycięstwie ponad Wandą śniłem.
 „Jak jeleń z łoża wstaje, tak dumnie powstała;
 „Jak ty na mnie spojrziała; potém tak się śmiała,
 „Że jój śmiech bódł mi serce, jak jelenie rogi;
 „I ja przed tą dziewczyną stałem pełen trwogi
 „I gniewu niemocnego. Ona mnie wezwała
 „Na pojedynek, mówiąc, że ta ziemia cała
 „Będzie się ze mnie śmiała, kiedy wśród rycerzy
 „Ze wszystkich krajów, dziewczę zwycięsko się zmierzy
 „Ze mną, — królem Popielem! A zwycięstwa pewna
 „Dziewczyna owa hoża i dumna i gniewna
 „Mówi, że będzie żoną tego, co ją zwali
 „W boju pojedyńczym, tam na zamku wśród fali.
 „Za trzy miesiące wszystkich na świecie rycérzy
 „Na bój zwołuje; sama w rycerskiej odzieży
 „Naprzeciw nich wyjedzie, pośród zamku swego,
 „Którego w koło słone fale morza strzegą.
 „I ja wtedy tam stanę. Sam jój nie podolał.
 „Zaledwo jedną chwilę czoło stawić zdołał
 „Tój mężczy. Przeto do ciebie tu przychodzę.
 „Ja wspólną nienawiścią w ludzkie plemię godzę
 „Z tobą. Przeto mam prawo do twojój pomocy“.

Olbrzym mu odpowiedział: „Ja spać lubię w nocy,
 „A we dnie lubię marzyć. Nic mnie nie obchodzi
 „Ludzie śmiertelni, co się z płaczem na świat rodzą.
 „Gdy dziewczę takie mocne, że jój nie podolasz —
 „To źle czynisz, Popiele, że mnie w pomoc wołasz.
 „Ja tutaj w samotności w moich górach siedzę

„I rad jestem, że wami ludźmi się nie biedzę.
 „Jeśli Wandę zwyciężę, niewielka ztąd sława
 „Dla mnie urosnie. Patrzaj! to moja zabawa!“

To rzekłszy wziął Świętogór jeden z lomów skały,
 Co wśród modrzewi przy nim w dolinie leżały.
 Kamień tak wielki, że się dzisiaj darmo trzodzi,
 By zmiejsca go poruszyć i dziesięciu ludzi,
 Wziął Świętogór jak piłkę. Rzucił głaz do góry,
 Że leciał nad doliny skalnej strome mury
 Wysoko; wzbił się jak ptak; ledwo już dostrzeże
 Oko kamień ogromny, co po niebie bieże
 Pomiędzy czarne chmury; chwilę w niebie stanie
 Wśród biegu; ta chwila trwa krótko jak błyskanie
 Wieczne w czas pogodny; potem na dół spada
 Coraz szybciej; pochwycił go olbrzym, co włada
 Siłą nadludzką; w jednej ręce lekko trzyma.

Ale Popiel spokojnie patrzył na olbrzyma;
 Potem rzekł: „Wanda także tak zwykła się bawić,
 „Gdy chce do boju rękę swą dziewczęcą wprawić.
 „Dobrze czynisz, że od niej stronisz, Świętogorze,
 „Że mnie nie chcesz dopomódz! Mógłbyś uleść w sporze
 „Z Wandą; z tego by wielka wyrosła niesława.
 „Człowiek mądry, do boju z silniejszym nie stawia!“

Tak mówił Popiel, a coś głośno się zaśmiało,
 Co w górze koło ucha Świętogora stało
 Niewidomie. To się śmiał mały karzeł Dziwo,
 W swojej czapce niewidce, że mowę zelżywą
 U Popiela usłyszał. A Świętogor w gniewie
 Na równe powstał nogi; oparty na drzewie,
 Które wyrwał z korzeniem, wyglądał jak wieża,

Co przy tumie wyrosłszy prosto w niebo zmierza;
 I tak Świętogór woła: „Przebóg się nie boję
 „Dziewczyny żadnej! Patrzaj, jak tu duży stoję
 „I potężny! I patrzaj na te moje barki
 „I ręce, Toć przedemną ugną swoje karki
 „Wszystkie Samożony, co po świecie tym chodzą!
 „Powiadam tobie: Ludzie nic mnie nie obchodzą;
 „Ale skoro powiadasz, że się Wandy boję —
 „Pozna Wanda, co mogą te dwie ręce moje!
 „Już ja ci dopomogę. Pójdę między ludzi
 „I stara o mnie sława znowu się obudzi.
 „Jak chcesz, tak będę działał; każdy to, co umie
 „Będzie robił; moc moja w rękę, a w rozumie
 „Twoja się ukrywa; — radź!”

Na to Popiel rzecze:

„Dzięki ci za to składam ogromny człowiecze,
 „Że mi chcesz dopomagać. Ale często szkodzi,
 „Kto pragnie być pomocnym. Teraz o to chodzi,
 „Że kiedy Wanda ujrzy, żeś ty mnie pomocą,
 „Złęknie się przed nas obu połączoną mocą;
 „Walki z nami nie przyjmie i do morza skoczy
 „Gdzie ją Czech swoją wielką opieką otoczy.
 „A wtedy ja przypadnę. Szesnastego roku
 „Pod morzem się doczeka Wanda i moc w oku
 „Nieprzemogoną weźmie i Żmija zabije.
 „Gdy zechce w głąz obróci wszystko, to co żyje,
 „A jój przeciwne. Gdybym nie był nieśmiertelny,
 „Nic by wtedy nie wskórał mój rozum piekielny.
 „Teraz, być może samą dziewczynę przemogę;
 „Ale okropną w mojej piersi czuję trwozę,
 „Że może wtedy przy niej bohaterzy staną,
 „O których w księgach dawnych mnie przepowiedziano,

„Że mnie pokonają. Bez Wandy nic nie mogą —
 „I Wanda także sama nie zwycięży. Błogo
 „Zatem i lekko będzie mi na sercu, skoro
 „Wanda przestanie dla mnie być duszącą zmorą
 „Przyszłości. Niech się stanie przez dzień jeden żoną
 „Moją — niech jój na licu rumieńce zapłoną
 „Od rozkoszy — a potem będzie w mojej mocy.
 „A wszystko co się kryje w czarnej piekiel nocy
 „Na mękę dla niej stanie. Na jój serce sięde
 „I jakby kat okrutny dziewczę męczyć będę.
 „Nie znajdzie pewno u mnie żalu ni litości,
 „I na niej ja pokażę dopiero co złości
 „Jest w mojem sercu. Ale teraz, Świętogorze,
 „W czapce niewidce będziesz sługą w moim dworze,
 „A Czarnobóg w hercoga Franków przemieniony
 „Razem z tobą pociągnie znów w Pomorskie strony.
 „Leciałem prędkiej — dłużej teraz iść będziemy;
 „Powrócisz między ludzi niewidzialny, niemy;
 „Choć będziesz między nimi, jakby cię nie było,
 „A tylko Popielowi będziesz służył siłą
 „Ogromną. Kiedy w zamku do zapasów stanę
 „Z Wandą, ty mnie ratować będziesz; a nieznane
 „Będą Wandzie posiłki; przeto zwyciężona,
 „Przedemną padnie Wanda, jako moja żona
 „I służebnica“.

Skończył Popiel, a głos Dziwa

Dotąd niewidomego, teraz się odzywa:

„Dobra to kumie duży, Świętogorze, rada:
 „Tobie olbrzymie słuchać mądrego wypada;
 „Czapkę tobie pożyczę, a sam się ukryję
 „Do jamy, w której borsuk z panią żoną żyje.
 A żeś ty głupi, przeto mam w tobie nadzieję,

„Że czapkę kiedyś oddasz. A teraz się śmieję
 „Na tę myśl, że uczynisz ludziom wielką szkodę.
 „Idźże kumie z Popielem; idźże ponad wodę
 „Morską i pokaż siłę. Czapkę oddasz potem,
 „Kiedy z wyprawy świetnej już będziesz z powrotem.
 „Nieprawda?“

„Oddam,“ rzecze olbrzym. W okamgnieniu
 Zjawił się karzeł sprośny na dużym ramieniu
 Świętogora: bo Dziwo czapkę swoją zdjęło
 I teraz przed oczyma Popiela stanęło
 Widomie. Było Dziwo tak przedziwnie małe,
 Że tylko siedem cali ciało miało całe;
 Broda ogromna, siwa, naprzód wystawała
 I dwakroć taką długość, jak wzrost karła miała.
 W kożuch biały a ciepły cały otulony
 Małym, a bystrym okiem toczył na wsze strony.
 Garb duży wyrósł stylu ponad Dziwa głowę
 I sam stanowił ciała małego połowę
 A na ramieniu nosił karzeł kij tak duży,
 Jak ten co zwykłym ludziom do bójki posłuży.
 Zdjął czapkę swą niewidkę i w rękę ja trzyma;
 Czapka była czerwona.

Między włos olbrzymia
 Położył Dziwo czapkę. I zaraz z widoku
 Znikł Świętogór królowi. Choć stoi przy boku
 Świętogora, nie widzi przed sobą nikogo,
 I wyraźnie poznaje co to czapki mogą
 Zaczarowane. Jak na słupie przeźroczystym
 Powietrza siedzi Dziwo. Tak się stał przejrzystym
 Wielki Świętogor — tak go niema ani znaku!

A teraz Dziwo schodzi po powietrznym szlaku
 Powoli, a bezpiecznie; bo olbrzyma ciało
 Znikło dla oczu, jednak dla Dziwa zostało
 Podpora; i po niczém zlazło na dół Dziwo,
 A potem przed Popielem, gdzieś się pod pokrzywą
 Skryło; a Popielowi teraz się wydało,
 Że prócz gór i prócz drzew, nic przy nim nie zostało.
 A jednak do téj próżni przymówił w te słowa:
 „Choć jój nie widzę, wiem, jak wysoko twa głowa
 „Sięga. Wiem, że tu jesteś i znam twoją siłę;
 „I przeto obietnice twój przyjaźni miłe
 „Cieszą moje serce. Chcę pierwszego dowodu
 „Twojej laski. Olbrzymów przedwiecznego rodu
 „Zacny potomku! dłuższe znacznie nogi twoje;
 „Z tobą nie zdążę; czuję. Więc na barki swoje
 „Weź przyjaciela; zanieś do morskiej krainy,
 „Abym na niczém siedząc, wrócił do drużyny
 „Mojój wspaniale. Mężę co z północnej dali
 „Ze mną przybyli, z hołdem będą mnie witali,
 „Gdy taki będzie powrót“.

Świętogór posłuchał.

Bez skrzydeł wznosił się Popiel, jakby go wiatr zdmuchał.
 Z ziemi potężny, wzniesion Świętogora dłonią;
 Bez skrzydeł bujał Popiel nad powietrzną tonią.
 Świętogór szedł przez Polskę, chodząc tak szeroko,
 Że jednym krokiem milę uszedł. Żadne oko
 Nie widziało olbrzyma; tylko to zdziwiło
 Ludzi, że w tylu miejscach wydeptane było
 Zboże, że połamano krzaki, sady, gaje,

Już przed wieczorem olbrzym wraz z Popielem staje
 Ponad Kurską zatoką. Druhy powitali

Z zapalem pana swego, kiedy go w oddali
 Nadpowietrznej ujrzeli. I tu z nimi bawil
 Popiel, póki się zamiar Wandy nie rozslawil
 Po swiecie; póki doba nie przyszla sądzona,
 W której na harc wyjedzie Wanda Samożona.

Świętogór niewidomy ponad morzem siedział;
 Nikt go nie zobaczył, i słowa nie powiedział,
 I nie o nim Popiela druchy nie wiedzieli,
 A tylko się dziwili, kiedy wśród topieli
 Morskiej czasem wir powstał. To Świętogór chodził
 I w Bałtyckie potwory głodny olbrzym godził;
 To też często wysoko ponad pianą białą
 I szumiącą, coś z morza w górę wyleciało
 I potem znikło. A to wielkie ryby były,
 Co Świętogóra sobą przez ten czas żywiły.

* * *

Nadeszła wreszcie pora oznaczona dawno,
 W której miano pogonić na ostrze ze sprawną
 Dziewczyną o jej rękę. — Aż gdzieś na kraj świata
 Wieść niosła o turnieju tym sława skrzydlata;
 Różni zewsząd rycérze płynęli przez morze;
 Barwna postać ciżba na Wandzinym dworze.
 Przybył Odo z Szampańskiej krainy, i Bozo,
 Co najpiękniejszy zamek ma nad modrą Mozą.
 Przybył Amadis, dzielny król Galskich rycérzy,
 A Roland z Persiwalem od jasnych puklerzy
 W słońcu jaśnieli, gdy na dzielne swoje konie
 Usiedli. Lohengrima tu zanosły tonie
 Morskie z krajów najdalszych; z lutnią stał na łodzi

I śpiewał, a ciągnęły łódź czarną po wodzie
 Szumną białą łabędzie. Gdzieś z Greckiej krainy
 Achilles przybył szybki po rękę dziewczyny
 Lackiej; klnie się na wszystko, że dziewczę zwycięży,
 Boć przecie on o wiele najlepszym wśród męży.
 Był i Samson Żydowski; nie brakło Hektora,
 Ni witezia Tezeja, ani Agenora,
 Co w Tyrze dokazywał. I Zabój przybywa
 Z czeskiej ziemi, a Sławój do boju zagrywa
 Druha swojego. Z innych tutaj dostrzeżono
 Menelaja, co z piękną się rozjechał żoną
 Heleną, i zpod Rzymu Ewandra dzielnego,
 I Zygfyda, którego święte wróżby strzegą;
 Bo kiedy smoka zabił, we krwi wykąpany
 Smoczój, odtąd bezpieczen jest od wszelkiej rany.
 Był i Eneas, co był odjechał Didony,
 I brat jego Palemon, co w Litewskie strony
 Zaniósł plemię Trojańskie. Pośród Lackiej młodzi
 Nikt nie zaprzeczy, że tu Pan Walkierz dowodzi;
 Rad z Galaorem mówi, rycérzem Hiszpańskim
 O bojach i przewagach.

Lecz w rodzie Słowiańskim

Nie on pierwsze wziął miejsce. Ono należało
 Do kniazia Halickiego, któremu się śmiało
 Oblicze jak dziewczęciu Księciu temu dano.
 Po grodzie, w którym władał, Haliczyna miano.
 Lice miał jeszcze gładkie, kędzierzawe włosy;
 A panny wszystkie w zamku chórem w niebogłoso
 Jego piękność chwaliły. Opowiadał cuda
 O tém, co się udało, co się jeszcze uda
 Sprawić jego dzielności. Koń jego przeskoczy
 Jezioro, którego brzeg drugi ledwo zoczy

Mąż, co na jednym brzegu stoi. Raz po drodze
 Spotkał dwie krocie wojska, i pobił je srodze
 Sam — bez pomocy! takie dzielne jego ramię!
 Także i to powiadał, że rękoma łamie
 Obręcz żelazną, co sto cetnarów zaważy.
 Nogą rozdeptał smoka, co stanął na straży
 Przed zaklętą królowną; — pannę uwolnioną
 Uczył potém swego koniuszego żoną,
 I z koniuzym szczęśliwą ta królowna była,
 Kiedy z nim razem w stajni złotolitej żyła
 I koniom Haliczyna z cukru marcypany
 Dawała. Bo w Haliczu owies jest nieznanym:
 Lepiej tam konie żyją, niżli cesarz żyje
 W Niemczech; a pomywaczka, co zlewa pomyje
 Tam na zamku Halickim, tak ubrana chodzi,
 Jak gdzieindziej królowa, co stu królów rodzi.

Tak powiadał Haliczyn, a wszyscy wierzyli,
 Którzy na sławny turniej do zamku przybyli
 Wandy. Jeden Achilles, co był z Grecyi rodem
 I tam zwykł był przebywać z kłamiwym narodem,
 Przeczył Haliczynowi i mówił, że zmyśla —
 Choć Haliczyn na świadka sąsiada Przemyśla
 Brał, którego na zamku u Wandy, nie było.

U widnokręgu coś tam bursztynem zalsniło;
 Z morskiej szumiącej toni Rosa wyjechała,
 I pośród swoich dziewic siadła pani biała
 I pięknowłosa, pośród dziedzińca wielkiego,
 Którego zewsząd czarne, krągłe wieże strzegą;
 Mur pełen strzelnic małych dziedziniec okala,
 A za nim niewidziana głośno szumi fala.
 Dziedziniec wielki pewno zmieści tysiąc koni,

A stu rycerzy na nim swobodnie pogoni.
 Z dwu stron dziedzińca stoją dwie otwarte bramy;
 Pomiędzy niemi siadły wkoło strojne damy,
 Na schodach kobiercami zaścielonych wkoło.
 Bursztyn, koral i perły jaśnieją wesolo
 Na nich; to są Rusalki, a sędzinie sporu,
 Które Rosa przywiozła tu ze swego dworu;
 A pośrodku nich Rosa na muszli zasiada
 Z macicy perłowej i berłem igrzysk włada.

Znak dała. Otworzono szranki. Wyjechała
 Ciżba rycérska, konna i zbrojna, a stała
 Przy jednej bramie zamku, tworząc tam półkole.
 O koniach i o zbrojach już zamilczeć wolę,
 Bo zanimbym rzecz skończył, wypiłbym Dunaje.

U przeciwległej bramy, Wanda zbrojna staje
 Na czele swych Samożon; i pod niemi konie
 Ogniste; na nich jasne zbroje. Wanda skronie
 W hełm złoty przystroiła; na nim lew rzeźbiony,
 Stał zuchwale dęba wśród złotój korony;
 Na Wandzie zbroja srebrna, a pod nią koń wrony;
 U boku Wandy zwiśł miecz, cały osadzony
 Drogami kamieniami, a rękojeść złota;
 W ręku kopia ogromna; ostry koniec grota
 W brylant wielki oprawny; a na tarczy stoi
 Lew drugi. Żadna szata nie przykryła zbroi,
 I Wanda tak jaśnieje pod słońca promieniem,
 Jak samo słońce płonie nad niebios sklepieniem.

Surmy zagrały; Wanda kopią się skłoniła
 Przed Rosą, co królową tych turniejów była;
 Woźny zawołał, by szli w szranki zapaśnicy;

I Wanda czeka na bój; chociaż swój przyłbicy
 Na oczy nie spuściła, do boju gotowa.
 Pośród gachów rycerskich słyhać zgodne słowa,
 Co wysyłają naprzód księcia Haliczyna;
 Najgłośniej się przechwalał, niech taniec zaczyna!
 Pewno zwycięży. Choć mu tego zazdroszczono,
 Wszyscy rzekli, że słuszna, aby jego żona
 Została Wanda.

Ale coś Haliczynowi

Niespieszno; przecież druhom próżby nie odmówi;
 Kiedy na niego wszyscy zgodnie nalegali,
 Wreszcie w szranki wyjechał. Na tarczy ze stali
 Złote słońce jaśniało; a pod sobą konia
 Miał gniadego, o którym prawił, że z nim błonia
 Tak przelatywał szybko, że raz błyskawicę
 W locie pochwycił; a że u Wandy przyłbicę
 Podniesioną widział i swój nie przekrył twarzy.
 O rycerzu piękniejszym i dziewczę nie marzy
 Śniące o narzeczonym. Złotolite szaty
 Przekryły świetną zbroję; tylko hełm skrzydlaty,
 Srebrny, na słońcu jasnym płonął obnażony.

Haliczyn się pokłonił kopią na trzy strony.
 Wreszcie spiął konia swego i popędził cwałem.
 Widzowie dech zaparli na dziedzińcu całym.
 Wanda na swoim koniu stała nieruchoma.
 I zda się kopię trzyma swą palcami dwoma
 Tylko. Ale Haliczyn kopią Wandy pchnięty,
 Zleciał na ziemię, jak źdźbło słomy, z konia zdjęty
 Powiewem prawie tylko. Rosa zawołała
 Radośnie; a milczała widzów ciżba cała
 Zdziwiona; jeden tylko Achilles się śmieje;

Wanda, jakby nie dbała o to co się dzieje,
 Stoi nieruchoma. Dwaj pacholki wzięli
 Na ręce Haliczyna, zbroję z niego zdjęli,
 Że żyw zobaczyli i wodą go skropili.
 Woźni pierwsze zwycięstwo Wandy obwieścili.

Teraz Achilles rzucił zbrojne gachów koło,
 I na pole wyjechał, na koniu, wesolo.
 Koń jego mały, ale tęgo zbudowany,
 Miał grzywę strzyżoną a był z maści bułany;
 Na sobie miał pancerz ze spiżu wyrzeźbiony;
 Czarnym był teraz pancerz, choć niegdyś czerwony,
 We krwi wrogów czerwonej, nieraz był kąpany;
 Na tarczy Achillesa tłum był niesłychany
 Ludzi z przedziwnym kunsztem kowanych; a biała
 Kita na czarnym hełmie, w wietrze morskim drżała.

Wszyscy ciekawie na te zapasy patrzyli.
 Wanda na swoim siodle naprzód się pochyli,
 Włócznie poprawi, ale z miejsca się nie ruszy.
 Znać po niej, że o nowym zapaśniku tuszy
 Lepiej, jak o Halickim księciu; bo go śledzi
 Okiem, i bo na siodle teraz silniej siedzi.
 Ale i te zapasy tylko chwilę trwały.
 Naprzód na koniu pędził Achil rycerz śmiały,
 Wanda nań poczekała, włócznie raz ubodła,
 I jednym ciosem kopii wysadziła z siodła.
 Na ziemię spadł Achilles, i na znaku leży,
 A koń pozbywszy pana rżąc w około bieży
 Dziedzińca zamkowego. Pacholki wzięli
 Na ręce Achillesa, zbroję z niego zdjęli,
 Że żyw zobaczyli, i wodą pokropili;
 Woźni drugie zwycięstwo Wandy obwieścili.

A teraz na drużynę gachów padła trwoga;
 Żaden już w bój nie spieszy; każdy prosi Boga,
 Aby go przed pociskiem hardej dziewczki bronil,
 I od śmiechu ludzkiego i wstydu uchronil;
 Wielki rycerz za średnim skromnie się ukrywa,
 A średni za najmniejszym; nikt się nie odzywa
 Wśród tłumu z wezwaniem. Już Wanda zwyciężyła;
 Żadnego z gachów dzielnych jej nie sprosta siła;
 Rycerze już rzucają swe kopie na ziemię,
 I już z gachów się śmieje w głos Samożon plemię;
 Wanda co w blaskach słońca promieniejąc stoi,
 Uśmiecha się teraz, — i męża się nie boi.

Wtém rzecz cudowna wszystkich pociągnęła oczy.
 Spuszcza się rycerz zbrojny na koniu z przezroczy
 Niebieskich; nieskrzydłaci i nie lecą wcale;
 Niemniej i nie padają; powoli a stale
 Spuszcza się koń z rycerzem; obaj w czarnej zbroi. —
 Tego nikt nie widzi, że na dziedzińcu stoi
 Świętógór w czapce Dziwa. On na swojej dłoni
 Przyniósł Popiela; on wbród wyszedł z morskiej toni
 Na zamek, jednym krokiem mur przeszedł obronny,
 I teraz zwolna spuszcza jeźdźca na przestronny
 Plac. Zadziwiony widzi cudo naród gwarny
 Na zamku. Już się ziemi dotknął rycerz czarny
 Kopytami końskimi; przylbica spuszczone
 Twarzy nie zdradza; tarcza czarna nieznaczone
 Niczym, a przeto niema. Wszyscy zrozumieli,
 Że to nowy zapaśnik, tych zapasów dzieli
 Trudy, chcąc osiąść chwałę i rękę dziewczyny.
 Nie wiedzą tylko, kto go z powietrznej wyżyny
 Spuścił?

Już rycérz stanął; w koło się uklonił
Kopią, i wnet przyłbicę z przed oczu odsłonił.
Ritigera poznano.

Rzekł: „Darujesz pani,
„Żem stanął późno, kiedy inni pokonani
„Już w prochu leżą. Ale chciałem posiąść chwałę,
„Że ciebie zwyciężając, spełniłem niemałe
„Dzieło, godne rycérza“. Rzekłszy kopię zwraca
Ku piersi Wandy. Cały tłum oczy obraca
Ku nowym zapaśnikom; a stoją oboje
Nieruchomie i tylko w słońcu świecą zbroje.

Długo Wanda czekała, a wreszcie zawoła:
„Nie chcę ciebie zabijać. Nikt przeżyć nie zdoła
„Mego natarcia; przeto czekam na rycérza,
„Co w moje piersi kopii swojej cios wymierza
„Pędem. Ja go zatrzymam i o ziem powalę“.

Ritiger odpowiedział: „Twoją litość chwałę,
„Gdzie o zwyczajnych chodzi ludzi. Moje ramię
„Także wszystko zabija, druzgocze i łamie,
„Co mnie w drogę zachodzi. Nie chcę na sumieniu
„Mieć życia twego. Siła, co w mojem ramieniu
„Spoczywa, pragnie tobie służyć przez czas długi.
„Niech pani raczy mierzyć w piersi swego sługi!“

Wanda słowa zuchwale gacha wysłuchała.
Konia spięła swojego, na strzemionach wstała,
I prosto na pierś gacha włócznię obróciła;
Na koniu lecąc pędem, jakby piorun była
Ognisty. Ale tego Wanda nie widziała,
Że poza Ritigerem postać wielka stała

Świętogora, co w czapce swój niewidce stoi
 Dla wszystkich niewidomy. Rycérz jasnej zbroi
 Wandy dotknął się kopią, a Świętogór duży,
 Co Ritigerowi za giermka w boju służy,
 Ręką swą niewidzialną włócznię Wandy chwyta,
 Tak że kopia niemocna, ugina się, zgrzyta,
 I w dwa łamie kawały. Drugą dłoń ogromną
 Położył na królewniej Wandy pierś obronną;
 Tak zaciężył, że Wanda krzykła, jękla, zbladła,
 Włócznię z rąk opuściła i na ziemię padła.
 Nad panią powaloną stanął drząc koń wrony,
 A okrzyk zadziwienia wielki na wsze strony
 Rozebrzmiał po dziedzińcu. Pachółkowie wzięli
 Na ręce swoje Wandę, i zbroję z niej zdjęli,
 Że żywa zobaczyli i wodą skropili;
 A woźni Ritigera zwycięstwo głosili.

Tak skończono zapasy. Wandę zaniesiono
 Do komnat, i na łoże i na Rosy łono.
 Obie rzewnie plakały; Rosa pocieszała
 Wandę, że się dzielnego męża żoną stała;
 Wandzie słuchać o ślubie bliskim straszno było;
 Hardój dziewicy lice wstydem się żarzyło;
 Ręce załamywała i szarpała włosy,
 A śmierć przywoływała żałościami głosy.
 Po zamku się rozbiegły cicho Samożony
 Srodze mężów zwycięstwem tém upokorzone;
 Liczyły na to, że już teraz żeńskie plemię
 Mężom dumnym z rąk wydrze urodzajną ziemię,
 I światu zapanuje; a teraz widziały,
 Że je rycérz Niemiecki pozbawił téj chwały;
 Więc się pokornie gdzieś po kątach sadowiły,

I o swém przeznaczeniu służebném mówily
Ze skargą na swe losy.

Popiela gachowie

Gościli; i każdy w głośnej go chwalił przymowie;
Wszakżeż on rycerskiego był zbawcą honoru;
Wszakżeż on świat sprowadził do słusznego toru
Nazad; wszakżeż świat gnie się na swój wiecznej osi,
I niebo się zapada, jeżeli się wynosi
Rodzaj niewieści ponad mężów. Już wstyd wstawał
Nieopisany; gachów tłum berło oddawał
Męstwa w ręce niewiasty; Ritiger się zjawił
I męstwem niezrównaném, co krzywe, naprawił;
Wysławiano go przeto, a tego nie znano,
Jaką miał pomoc możną, chociaż niewidzianą?

Wanda teraz nie chciała ślubu; lecz gotowa
Do Franków jechać kraju, by dotrzymać słowa
Danego; chociaż płacze, w drogę się wybiera,
I będzie żoną Niemca, choć z tego zamiera
Serce w piersi dziewczęcia.

Ritiger się zgodził

Na żądanie Wandy; ze służby oswobodził
Świętoga, i nazad go w góry wyprawił.
Świętogór niedługo tu na Pomorzu bawił,
Gdy go już uwolniono. Prosto w swoje góry
Pobiegł napowrót olbrzym wielki a ponury,
Jak opoka Tatrzańska. A gdy wrócił doma,
Tam gdzie dlań wielka trumna w skale wyżłobiona,
Usiadł na bryle głazu, z włosów czapkę zrócił
Maleńką i nazad do swych marzeń powrócił
Smętnych gryząc swe ręce. Wyszło Dziwo małe

Z jamy borsuczěj, w którą się skryło pod skałę,
 Czapkę wzięło niewidkę i w głos się zaśmiało,
 Tém ucieszone, że mu się znowu udało
 Ludziom zaszkodzić.

Rosa do morza wróciła.

Skoro pośród swych dzieci, w swych komnatach była
 Bursztynowych, wnet męża swego zawołała,
 I o nieszczęścia Wandy, Czecha oskarżała
 Gorzko. To jego tylko była przecie wina,
 Że na zamek swój własny jechała dziewczyna,
 Że ten zamek na lądzie stanął, a nie w morzu;
 Że turniej ów sprawiła Wanda na podwórze
 Zamkowém, nadto ufna w swe nadludzkie siły;
 I że tak srodze Wandę nadzieje zmyliły.
 On sam był winien, bo mu przecie wypadało,
 Jak mężowi mieć rozum na rodzinę całą!
 Tak to męża swojego oskarżała Rosa,
 Żona Czechowa, pani morza pięknowłosa;
 A Czech słuchał cierpliwie. Tylko czasem brodą
 Zatrząśł Czech groźny, pan, co władnie morską wodą
 I podwodnemi ludy.

* * *

Z zamku wyruszyła

W drogę drużyna Wandy. Droga prowadziła
 Najpierw przez kraj wielki, a ludny do Krakowa,
 Gdzie Welinda Marzannę na Wawelu chowa,
 Ponad miastem zapadłém wpół senne jezioro.
 Z Wandą i Ritigerem pojechało sporo
 I rycerstwa i dziewic. Osobno jechali

Mężowie z ziemi Franków w zbroicach ze stali,
 Na których czele stanął sam Ritiger hardy;
 A osobno stapały na gościniec twardy,
 Ze spuszczonei głowy, teraz pokonane
 Służebne Wandy, niegdyś pod imieniem znane
 Samożon. Na ich czele Wanda smętnie jedzie,
 Koniem nie kieruje a oko smutne wiedzie
 Po szarój ziemi; z nikim nie zamieni słowa,
 Zawsze milcząca, zawsze zapłakać gotowa.
 Samożony bezbronne, i Wanda zrucila
 Zbroję. Jeszcze trwa przy niej dziewicza jój siła
 Nienaruszona. Obóz osobno rozkłada
 Na noc — i Ritigera nie widuje — rada
 Z tego, że go nie widzi; ale to jój serce
 Targa, że już niebawem będzie w poniewierce
 Jako sługa u męża; że w Franków krainie
 Dziewczęctwo jój przepadnie i ramienia minie
 Potęga niepowrotnie!

Wreszcie zajechano

Do Krakowa. Na zamku podróżni zostaną
 Przez tydzień. Pani zamku, Welinda, poznała
 Pana swego Popiela i z nim rozmawiała
 Długo i pomódz jemu dziś postanowiła.
 Przeto Wanda w Krakowie tak się zabawiła,
 Jak niegdyś na swój wyspie; choć w żeńskiej odzieży
 Chodziła, odbierała hołd korny rycérzy;
 I Wandzie się klaniano, dziewczicy sławionój,
 Co z enotą męską z fali wypłynęła słonój
 Bałtyku, i królowej przyszłej Franków ludu,
 Którą rycérz najlepszy zdobył pośród trudu
 Wojennego. I pieśni i pąsy i słowa
 Podchlebne, dla swych gości sprawiała królowa

Welinda. Wanda pośród zabaw zapomniała
 Prawie, że narzeczoną męża już się stała;
 Podchlebstwa się wkradaly cicho do jęj łona;
 Niejedną rzecz słuchała wielce zadziwiona
 Harda Samożona; raz piérwszy tu pojęła,
 Ze kobięta bez boju królowanie wzięła,
 Swoje wśród mężów; że jęj uśmiech więćej może,
 Niżeli miecze, łuki i hartowne noże,
 Niż nienawiść i wojna i świećące zbroje,
 I wojsk do bitwy wprawnych niezliczone roje.
 I pojęła, że żona rycérskiego pana
 Ponad dziewczkę wojenną bywa szanowana;
 I zrozumiała wreszcie, że choć siłę straci
 Swoją dziewiczą, stokroć za to jęj zapłaci
 Miłość Ritigerowa. I już dumną była,
 Że się z takim rycerzem jak on zaręczyła.
 Milczyć przestała wreszcie; twarz uśmiechem stroi
 I przyszłości u Franków więćej się nie boi;
 I w szczęście swoje przyszłe odtąd uwierzyła,
 I odtąd Ritigera twarz śniada tak miła
 Dla nięj była jak słońce, co u Wschodu staje
 I światło dobroczynne narodom rozdaje.
 Coraz już więćej z przyszłym mężem rozmawiała,
 I coraz swobodniejszą ludziom się wydała.
 Coś u nięj w głębi serca tak przedziwnie dniało,
 Jakby się ledwo teraz życie zacząć miało.
 A Samożon patrzała drużyna zdziwiona,
 Jak hoża i wesola i zarumieniona
 Wanda przy skocznęj gęźbie w płasające koła
 Chętnie wstępuje, gdy ją Ritiger zawoła.
 I tego tylko biędna Wanda nie przeczuła,
 Jaka nienawiść serce Ritigera struła,

Jakie zamiary rycérz pod uśmiechem chowa,
I jaką straszną zgubę na nią zdradnie kowa?

Wiedząc, jak Wanda dzielną na morzu bywała,
Welinda wielkie łowy dla niej zgotowała.
Postanowiono gonić wśród puszczy jelenia.
Konna drużyna książąt wjechała do cienia
Leśnego; nad głowami dęby zaszumiały,
Gdy obu narzeczonych witał las wspaniały.
Lowcy na smyczy wiedli zażarte ogary,
A na tropy jelenie wywiódł leśnik stary.

Pośród łomu leśnego rogacz znaleziony
Przed psami wyskoczył i w mateczników strony
Pogonił, gałąź niższą druzgocąc rogami.
Krzykiem jelenia gonią, tętętem i psami
Szczekającymi śpiéwnie, głośno, nieustannie.

Wanda w pogoni piérwsza, a tuż przy swéj pannie
Ritiger pędzi cwałem. Załamane dęby
Przeskakują, i w coraz nowe leśne zręby
Lecą cwałem; na szyję koni się kłaniają,
Jeśli konary niskie w poprzek drogi stają;
O nic w świecie nie dbają, choć twarz podrapana
Cierniem leśnym, i chociaż ta knieja nieznana
Im zgoła; pędzą, huczają, wszystko zapomnieli;
Przez jar najdzikszy dobra droga im się ścieli;
Choć drużynę myśliwską zostawili w dali,
W pogoń za jeleniem bez pamięci jechali.

Niewiedzieć jak daleko gonitwa poniosła;
Wreszcie w miejsce przybyli, kędy gąszcz wyrosła
Taka, że jeleni spuścił swą rogatą głowę,

Aby rogów nie złamać. A psów wzięły nowe
 Ognie. Jeleń powolój biegnie — psy go gonia.
 Nareszcie, jak się jeleń przed bezbrzeżną tonią
 Mateczników przeląkł, wraz się na miejscu zwrócił
 I wielkimi rogami na sforę się rzucił;
 Zbódl jednego ogara i krwawe swe rogi
 Ku innym zwrócił śmiało w znak śmierci i trwogi.
 Sfora cofa się wyjąc.

Raptem jeleń zoczy

Dwu myśliwych i ku nim przez sforę przeskoczy.
 Na Ritigera pędzi. Rogi pokrwawione,
 Jak dwa szczerbiaste miecze w jego zwrócił stronę.
 Ritiger łuk spiął; strzelił; lecz chybiła strzała;
 Tylko raniła zwierzę i w boku stérczała,
 Drażniąc, nie zabijając. Rogacz ryknął, skoczył
 Raz jeszcze, a Ritiger z konia się potoczył;
 A rogacz nad nim stoi i rogami bodzi.
 Ryczy w tryumfie i po Ritigerze chodzi,
 Jakby po trupie.

Wanda na to nadleciała,

O oręż nie pyta, choć oręż z sobą miała
 Dwojaki: i łuk, i miecz; tylko obie dłonie
 Swe białe wyciąga ku rycérza obronie.
 Wanda chwyciła ręką jelenia za rogi,
 I tak go przycisnęła, że zwierz zadrzał z trwogi,
 I na kolana upadł. Dziewica wyniosła
 Za oba rogi w górę jelenia podniosła,
 Jakby jaką zabawkę, którą bawia dzieci.
 Przez Wandę podrzucony jeleń w górę leci
 Na drzewa, na kształt piłki; wreszcie na dół pada,
 Kość pacierzową łamie, członkami nie włada

Więcej gibkimi; płacze, zajęczał i ginie.
Tak to rycerz był winien zbawienia dziewczynie!

Wanda teraz rycerza upadłego wzięła
I na ręce jak dziecko maleńkie podjęła;
Na rękę go piastując, znów konia dosiadła,
I w głos wołając ludzi, z gęstwiny wypadła
Leśnej. Rycerz na rękę Wandy twarz zasłaniał,
Jak gdyby przed oczyma ludzkimi się wzbraniał
Ciekawemi, jak gdyby strasznie zawstydzony,
Nie śmiał zaglądać w oczy przyszłej swojej żony.

Lecz Wanda pochyliła piękną swoją głowę
I do rycerza taką rozpoczęła mowę:
„Nie wstydz się Ritigerze! Tak to czasem bywa,
„Że nawet bohatérska siła się przyćmiewa
„Na chwilę; nie przepada, potem znowu wraca,
„I znowu ramię chwałą słoneczną ozłaca.
„Siła moja przypadnie, gdy ślubną zasłoną
„Skronie ubiorę, i gdy będę twoją żoną;
„Ale patrzaj, jak teraz jeszcze powróciła
„Moja dziewicza, moja niezużyta siła!
„Kiedyśmy się na zamku moim potykali,
„Rękę czułam, co pancérez mój dobry ze stali
„Gięła i pierś dusiła; choć serce się wzdyma
„Do boju pod pancierzem, niby dłoń olbrzyma
„Moc mnie całą zabrała i z konia strąciła.
„Olbrzyma nie widziałam. To uroków siła
„Mnie pokonała pewno; albo krew niezdrowa
„Mnie powaliła. Teraz powróciła nowa
„Siła. I patrzaj! Otom ciebie wybawiła!
„Mam zostać twoją żoną; przeto równie miła
„Jest dla mnie twoja chwała, jak i chwała własna;

„Bo pójść za tchórza, dla mnie hańba to przepaśna,
 „I jak śmierć głęboka. Coś ciebie dziś przemogło.
 „To chyba i samemu Bogu stać się mogło
 „Najwyższemu! Ja podam tobie pewną radę
 „Na zmycie twojej klęski i hańby, zagładę“.

Popiel rzecze: „Zdrów jestem. Nic mi się nie stało.
 „Sam nie wiem, co na koniu dziwnie mną zachwiało,
 „Gdy mnie jeleni dopadał, i tak ze mną było,
 „Jak z tobą tam na zamku; uleciało z siłą
 „Moją bohaterską coś, niemocy mnie dało
 „W ręce. Oto leżałem na znak pod wspaniałą
 „Żwierną, co mnie bodła szczerbatemi rogi,
 „I co rycząc zwycięsko wzięła mnie pod nogi.
 „Szczęście, że pancierz tylko mój porysowała;
 „Że zdrowe wszystkie gibkie członki mego ciała!
 „Puść mnie na ziemię. Żem zdrów, biędz przy tobie będę;
 „Jeśli konia dopadnę, znów konia dosiędę.
 „Myślę, że koń mój nie żyw. Jeleni w srogim gniewie,
 „Swym rogiem rozsochatym podarł jemu trzewie.
 „Ale skoro drużynę naszą dopadniemy,
 „Konie świeże i zdrowe znowu mieć będziemy.
 „A teraz ufam, Wando, twemu rozumowi,
 „Że o tej hańbie mojej ludziom nie powie;
 „Powiesz im że zabiłem rogacza jelenia.
 „Mowa roztropna rzeczy przeszłe często zmienia;
 „I nie to potém prawdą, co się ludziom stało;
 „To tylko bywa prawdą, co się kłamie śmiało!“

Nie cieszy Wandy jakoś Ritigera mowa.
 Już więcej ni jednego mu nie rzekła słowa;
 Na ziemię go puściła On na równe nogi
 Stał, jak gdyby się go nie dotknęły rogi

Jelenia. I choć Wanda wodze swego konia
 Rozpuściła, przy koniu, przez lasy i błonia
 Pobiegł rześko Ritiger; czasem nań spojrziała
 Wanda z góry; lecz znowu uparcie milczała.

Wreszcie Welindy orszak spotkali myśliwy.
 Wanda witając rzekła: „Dobrze jest, że żywy
 „Wraca Ritiger; prawie zginął od jelenia.
 „Bywają dziwne chwile niemocy, zwątpienia,
 „Nawet u bohaterów; taka się trafiła
 „Ritigerowi; jeleni go dopadł, i siła
 „Bohatérska odeszła od niego na chwilę,
 „Tak, że aż mój zwycięzca nie podolał sile
 „Leśnej zwierzyny. Jeleń zabił konia; męża
 „Na ziemię zwałił. Jeleń myślał, że zwycięża,
 „I już się rykiem chęłpił, kiedym go chwyciła
 „Temi oto rękami i tak podrzuciła
 „W górę, jak chłopiec piłkę. Tak zwierza zabiłam
 „I tak zbawczynią męża sądanego byłam
 „Ninie. Jako na życiu, tak na sławie zbawię
 „Dziś Ritigera. Wszystko zepsute naprawię.
 „A poproszę Welinę, jako zamku panię,
 „Aby dziś jeszcze, gdy się skończy polowanie,
 „Igrzyska urządziła. Do próby staniemy
 „Wszyscy; patrząc podziwiać będzie naród niemy
 „Potęgę bohaterów. Z łuku puszczyć strzałę
 „Na cel daleki; strzelę; a rycerstwo całe
 „Wezwę, by tak strzeliło. Wiem; nikt się nie stawia;
 „Tylko Ritiger jeden drugi grot wyprawi
 „Dalej odemnie w świat. Ja potem cisnę głazem;
 „Wszyscy w ślad za mną, za twym Welindo rozkazem
 „Będą rzucać kamieniem. Nikt mnie nie podola,
 „Aż Ritiger powstanie wśród naszego kola;

„I tak kamieniem ciśnie, że Wandę zawstydzi.
 „Tlum patrząc w takie sprawy, uwierzy, że widzi
 „Męża godnego Wandy; i mnie wstyd nie będzie;
 „Z takim mężem bez wstydu pokażę się wszędzie
 „Pośród ludzi. Nareszcie pobiegnę na pola,
 „Szérokie. Niech mnie wtedy goni czyja wola!
 „Pozwolę pieszo gonić i konno pozwolę,
 „A jestem pewna, że jak ptak umknę przez pole,
 „Dopiero gdy Ritiger zacznie zamną gonić,
 „Nie stanie mi szybkości, aby się obronić;
 „Jak sokół bystry ptaszka, tak on mnie dogoni,
 „Bo nikt nie sprosta jemu biegiem pośród błoni
 „Ziemskich. I Wanda potem słusznie dumną będzie,
 „Że przy takim rycerzu jako żona siedzie“.

Tak Wanda głośno mówi; a Welinda słucha.
 Znać po Ritigerze, że sposobnego ducha
 Niema teraz, i słowa Wandy dlań niemile;
 Wyraźniej widać było mu nad skronią żyłę,
 Co w gniewie puchnie. Ale Ritiger gniew tłumi
 I żartuje z Welindą; boć udawać umie.

Na zamek powrócili. Choć skończone łowy,
 Słońce jeszcze rozpuszcza na świat włos swój płowy
 I jeszcze spać nie poszło. Z konia pozriadali
 I poszli biesiadować do zamkowej sali,
 W której Krakus swych dworzan ugaszczal przed laty.
 Światel tysiąc płonęło. Mieniły się szaty
 Dam i dzielnych rycerzy. A przecie nie było
 Przy biesiadzie wesoło, choć od światel ćmiło.
 Pocichu z Ritigerem Welinda się zmawia;
 Wanda nietknięte wszystkie potrawy zostawia,

A panów zasepienie tak na dworzan wpływa,
 Że się nikt przy biesiadzie głośno nie odzywa.

Wreszcie koniec biesiady. Już słońce w swym biegu
 Staje u wieczornego na zachodzie brzegu,
 I tak światłem czerwonym obléwa pokoje,
 Jakby rumieńcem wstydu.

Wanda oczy swoje
 Smiało w koło potoczy i tak się odzywa:
 „Od wszystkich rzeczy gorszym wstyd nieznośny bywa.
 „Ja tego nie przeniosę, by o mnie mówiono,
 „Żem nienajdzielniejszego męża narzeczoną;
 „I dowieść muszę w obec wszystkich ludzi w świecie,
 „Że siła Ritigera duża wszystko zgniecie,
 „Co po swój spotka drodze. I nikt się nie zdziwi
 „Potém, że taki rycérz Wandę w zamku żywi,
 „Żoną sobie poddaną. Więc chodźcie dworzanie!
 „Wanda na bramie zamku tego z łukiem stanie
 „Wielkim, który wywiozły z morza Samożony;
 „I z tego łuku ciśnie Wanda grot ostrzony;
 „Daleko strzeli, mocno razi swoim grotem.
 „Niechaj przy łuku wielkim, wszyscy staną potém!
 „Niechaj strzelają! Wiem że mnie się nikt nie stawia;
 „Tylko Ritiger jeden drugi grot wyprawi
 „Dalej ode mnie w świat; a dla mnie będzie chwała,
 „Ta, że jam narzeczoną rycérza została
 „Najdzielniejszego“.

Tak to Wanda przymówiła;
 Staęła: Samożony swoje prowadziła
 Na bramę zamku. Za nią szli wszyscy rycerzy,
 I Ritiger niechętny. W niewieściej odzieży

Świetnej stanęła Wanda u bramy Wawelu,
 W krwawém świetle wieczoru, pośród mężów wielu
 Milczących. Samożony wierne łuk podały
 Wandzie wielki podmorski, i żelazne strzały;
 A drewna z ogromnej jodły były utoczone;
 Na cięciwę wycięto mocną, wielorybią błonę.
 Ostrza z żelaza kute takiej wagi były,
 Że nato, by je podnieść niejednemu siły
 Z mężów zabraknie.

Wanda łukiem zaigrała

Jakby cackiem; przez chwilę cięciwa zadrżała,
 Potém z łuku ogromna wyleciała strzała
 W dal, i w stronę jeziora, co śniło pod górą,
 I w stronę słońca, które gasło lśnięciem purpurą.
 I strzała zasyczała i jezioro całe
 Przeleciała pamięcią umarłych zsiniałe.
 Pół mili przeleciała, aż spotkała w biegu
 Dąb wieczysty, co wyrósł na przeciwnym brzegu
 Jeziora. Drzewo ostrzem strzały uderzone
 Wstrząsało swoją ogromną zieloną koronę,
 Jękło, pękło i padło. Wanda się zaśmiała,
 I Samożonom nazad łuk wielki oddała.
 Wszyscy rycerze stali wkoło jakby wryci,
 Bo żaden z nich podobną siłą się nie szczyci.

Wanda na Ritigera ramieniem skinęła,
 Potém narzeczonego za rękę ujęła
 I w takowe słowa do niego przymówiła:
 „Jeżeli tobie moja chwała jeszcze miła,
 „I chwała twoja własna dzielny Ritigerze,
 „Weź łuk i strzel. Niech ujrzą zdziwieni rycerze,
 „Co może twoje ramię!“

Na to powiedzenie

Większe jeszcze jak dotąd nastąpiło milczenie.
 Ritiger głowę spuścił; ale ukrył w dłoni
 Nożek niewielki; chwycił się Samożon broni
 Ogrómnój i łuk oparł o ziemię usilnie,
 I niby w cel daleki się wpatrywał pilnie;
 Strzały nie ruszał z ziemi; pocichu cięciwę
 Przecinał nożem; pękła i głosy jęklive
 Z siebie wydała. Popiel niby zadziwiony,
 Okiem swoim potoczył smutnie na wsze strony; —
 Łuk puścił, obie ręce szeroko roztworzył,
 Na znak niemocy; potem znów na piersi złożył.

Wanda słowa nie rzekła; usta zacisnęła,
 I w swoje ręce kamień wielki z ziemi wzięła.
 Koło téj bramy bowiem głaz leżał spiętrzony,
 Dla naprawy zamkowych ścian nagromadzony.
 Kamień był czworogranny na łokieć szeroki.
 Krzyżąc rzuciła Wanda kamień w staw głęboki,
 Na dwieście kroków. Kamień z pluskiem wpadł do wody;
 Zdziwione na czyn Wandy patrzyły narody;
 I wkoło nieruchomi stanęli rycerze,
 I nikt z nich do takiego rzutu się nie bierze,

Wanda gniewném już okiem spojrzała dokoła,
 A potem wielkim głosem Ritigera wola:
 Mówiąc: „Weź Ritigerze! Niechaj twoja ręka,
 „Dalej kamieniem ciśnie! Wszak kamień nie pęka,
 „Jak mdłe cięciwy, które bohater uchwyci.
 „Niech ujrzą ludzie, jaki to mąż mnie zaszczyci
 „Ręką w krainie Franków!“ Tak to zawołała,
 I drugi równy kamień rycerzowi dała.

Ritiger wziął kamień. Krwią zaszło piękne lice,
 I okiem nienawiści spojrzal na dziewicę;
 I cisnął tym kamieniem. Ale kamień duży
 W dwadzieścia kroków już był u końca podróży;
 I kamień tak rzucony był u końca biegu,
 Choć nawet się nie zbliżył do płaskiego brzegu
 Jeziora. Z wyteżenia przecie ręka spuchła
 Ritigerowi.

Wanda ogromnym wybuchła
 Smiechem. Kiedy się Wanda do syta naśmiała,
 W takie się gorzkie słowa głośno odezwała:
 „Widać, że Wandę słabość raz tylko opadła,
 „Ale, że nieustannie Ritigerem władła.
 „Widać, że Wandę jakieś лихо zwyciężyło,
 „Że Ritigera żadnej zasługi nie było,
 „Kiedy z konia zleciałam na zamku w turnieju.
 „Gdy jego żoną będę, słusznie się zaśmieją
 „Ludzie ze mnie; tych śmiechów się nie doczekają
 „Ludzie, którzy najlepiej siną zawisć znają
 „Ze wszystkich rzeczy. Jeśli chce mnie mieć za żonę
 „Ritiger, niech mnie złapie. Będę biegła w stronę
 „Pomorza ku północy; niech na konia siada,
 „Jeśli chce; tak jak umie, niechaj mnie dopada!
 „Wiem już że w biegu własnym rycerz mi nie sprostą.
 „Jeżeli mnie na koniu złapie, niech mnie chłosta,
 „Jak zbiegłą niewolnicę! Chcę tego. Niech goni
 „Za mną, jak umie! Będę biegła pośród błoni
 „Krakowskich tak szybko, jak ptak“.

Rzekłszy, skoczyła

Wanda z miejsca; za chwilę tak daleko była,
 Że prawie z oczu znikła. Welinda krzyknęła

Przeraźliwie; tchem czeladź ze stajen wyjęła
 Konie, co najbystrzjsze. Konie osiodłano,
 I na siodła skoczono, i ostrogą dano;
 Za Wandą pogoniono w cwał; Popiel na czele
 Pędził; piana splywała rumakom po ciele —
 Tak pędzono. Wieczorem pola czerwieniały;
 Dzieci co pasły bydło, po drodze patrzyły
 Zdziwione na gonitwę; Wanda tam u przodu
 Daleko pędzi.

Teraz zda się zwalnia chodu.
 Widać ją coraz lepiej. Patrz; Na ziemi siadła!
 Pewno zmęczona. Gonia; pędzą; moc opadła
 Dziewczyny; już zmęczona; już ją chwycić można!
 Raduje się już dusza Popiela beżbożna;
 O mękach różnych myśli, które Wandzie zada,
 Gdy dziś upokorzony dziewczyną zawłada.
 Już zaraz, zaraz, Popiel zmęczoną dogoni;
 Jeszcze kroków kilka, a nikt już z jego dłoni
 Nie wyrwie Wandy. Ona sama; on z drużyną;
 Ona bezbronna; on się rozprawi z dziewczyną
 Hardą, ostrym żelazem; nikt jój nie zasłoni
 Przed męką, która teraz już tuż za nią goni.

Wanda powstała. Wielkim głosem raptem wrzała
 I skoczyła. W téj chwili słońca jasność zgasła
 Tam u krańców zachodu. Patrzaj! tam u góry
 Wanda leci przez błękit i przez złote chmury,
 Sama w promieniach zorzy wieczornój czerwona,
 Jak gdyby gwiazda nazbyt wcześniej zaświecona.

Pogoń stanęła. Głowę podnosi do góry
 Bezsilnie. Patrzą — Popiel drapieźnemi pióry

Obrasta sępa. W ptaka znowu przemieniony,
 Za Wandą pędzi lotem, w podobłoczne strony.
 Darmo!

Wanda do Wisły w pół mili skoczyła;
 Na łądzie suchym tylko ślad pozostawiła
 Skoku swojego; ziemię nogą tak zorała,
 Że wśród kwietnej równiny mogiła powstała
 Wielka, którą do dziś dnia zwiędzają narody
 Pomne, że ztamtąd Wanda skoczyła do wody
 Wiślanej. W wodzie Wanda, jakby w domu była;
 Wszakżeż od lat najmłodszych pod wodami żyła
 U Czecha na opiece. Wisła ją ujęła
 Nurtami matczynymi; — Wisłą popłynęła
 Ku morzu Bałtyckiemu i w Czechowe kraje.
 Tu nowy, bursztynowy zamek dla niej stał;
 Tu z płaczem Czech ją wita i królowa Rosa,
 Bezdennej, morskiej toni pani pięknowłosa,
 I tu ją powitały siostry ukochane,
 Zabawa i Rzepycha w muszle uczesane
 I wielkie perły morskie. Samożony swoje
 Na zamek zawołała, w przejrzyste pokoje
 Z bursztynu; w szyk bojowy znowu je ustawia,
 I tu bezpiecznie dawne swe harce odnawia.
 I choć osobny zamek pośród morskiej toni
 Dostała, w morzu bawi — Czech ją dzielnie broni.

Popiel nie śmie zaczynać z królem Czechem wojny,
 Bo chociaż w złość i w czary wielkie Popiel zbrojny,
 Tego mu starczy, że bój z Krakusem prowadzi,
 I drugiej wojny rozum już jemu nie radzi.
 Jednak tak jemu wstydno i tak Wandy łaknie,
 Tak jemu pomsty krwawej i okrucieństw braknie,

Że nie wraca do żony swojej Baby Jagi.
A być może, że jemu i brakło odwagi
Słuchać jój śmiechu i jój dzikiego lajania.
Woli nie czynić prędko przed żoną zeznania
O swojej, klęsce. Przeto nie zmienia postaci;
Dziób krzywy zachował i piór sępich nie traci,
Ponad morze ulata — w toni upatruje
Miejsca, gdzie Wanda z swémi dziewczęty harcuje;
Trzepie skrzydłami, łaknie Wandy i szkaradnie
Wrzeszcząc zgaduje, co się dzieje w morzu na dnie!

PIEŚŃ VI.

LESZEK.

Dziad i baba pośród wsi długie lata żyli
I bardzo się kochali; bezdzietnymi byli
Jednak. Było pięćdziesiąt lat, jak się pobrali;
A majątynymi byli; cały grunt orali;
Mieli na stajni wołów białych cztery pary;
Baba chowała kury, a pasiekę stary;
W ich sadzie owocowym piękne rosły drzewa,
A dziadek z dziesięć słusznych stogów siana miewa
Co lata osuszonych; tylko smutno było
Staruszkom, że im szczęście dzieci odmówiło.
Jednak, że dobrzy byli, nic nie narzekali;
I owszem Bogu dzięki codziennie składali
Za to, że im dał długie życie i dostatek,
I że miłość małżeńską przez pięćdziesiąt latek
Przechował.

Kiedy tedy nadeszło wesele
Złote, pospraszali na gody dziadów wiele
Ubogich, i sieroty i nieszczęsne wdowy,

Tłumacząc ten uczynek temi oto słowy:

- „Nam starym już nie trzeba śmiechu ni zabawy.
 „Nie zaprzątamy głowy światowemi sprawy,
 „Bośmy zanadto bliscy trumny i mogiły.
 „Toć co innego, gdyby u nas dzieci były
 „I wnuki; dla nich warto śmiech i gęźbę sprawiać
 „I miód sycony, słodki, na dębowe stawiać
 „Stoły. Nam warto tylko odmawiać pacierze,
 „Czekając rychło śmierć nas do Raju zabierze;
 „Ale w pacierzach Bogu dzięki składać trzeba,
 „Bo tu na ziemi wszystkiem nas darzyły nieba,
 „Tylko dzieci nie dały. Pomiędzy pacierze
 „Wszystkie, te Bóg najchętniej jako dary bierze
 „Do swojej chwały, które czynami się jawią;
 „Nudzą go często ci, co go słowami sławiają
 „Co chwila mruczonemi; na podziękowanie
 „Bogu, sprawimy tedy dla głodnych śniadanie
 „Sute. Niech się biedacy najedzą przy stole,
 „A kiedy staną od nas i odejdą w pole,
 „Niechaj każdy zabierze z sobą tyle chleba,
 „Ile na suty miesiąc życia jemu trzeba!
 „Choć potem mało w naszej spiżarni zostanie,
 „Mniejsza o to! my Bogu takie dziękowanie
 „Za długie dnie sprawimy. A nam mało jadła
 „Potrzeba; śmierć nam rychło na pokarm przypadła“.

Tak oboje mówili i na wszystkie strony
 Czeladź posłali prosić biędny, wygłodzony
 I wynędzniały naród. Na złote wesele
 Przyszło na ich obejście żebractwa tak wiele,
 Że czarno było od głów ludzkich. Małżonkowie
 Aż się przelękli, że w swój nie znajdą alkwie
 Chleba, by gościa raczyć. A co najdziwniejsza,

Ilość gości proszonych jest o wiele mniejsza
 Od nieproszonych. Przyszedł jakiś dziad nieznanym,
 Młody jeszcze choć siwy i w lice lachmany
 Ubrany, chociaż chodził prosto, rzesko, śmiało;
 O kij się oparł duży; długą brodę białą
 Głaskał ręką potężną; a z sobą prowadził
 Tłum dziadów niezliczony który tu osadził
 Na dziedzińcu przed chatą. Tłum był rozmaity;
 Byli w nim starcy, młodzi, dzieci i kobiety;
 Wszystko strasznie obdarte, a chore, zgłodniałe;
 Lachmanami przykryte, strasznie wynędzniałe;
 Drżąc klepało pacierze. Żebrak, co na czele
 Stał, mówił, że przywiódł na złote wesele
 Gości ze wszech stron świata, ufny w starców cnotę;
 A żebracy okropnie jeść mieli ochotę,
 A zęby wystrzężali w chatę, co się bieli
 Przed nimi tak, jak gdyby tę chatę zjeść chcieli.

Wszyscy wiedzą, że kiedy gość w domu, Bóg w domu;
 Więc mąż żebraków wita, żona pokryjomo
 Poszła do komory i ztamtąd wydobywa
 Wszystko co się tam znajdzie; myśli, że pieczywa
 Przecie gościom wystarczy; ale że ostrożna,
 I że nigdy na pewne zgadywać nie można,
 Jeszcze do żarna swoje dziewczki posadziła,
 By na przypadek każdy biała mąka była
 Na pogotówiu.

Goście poprzed chatą siedli,
 A piwem popijali; chleb i kaszę jedli.
 A owi nieznanymi tacy byli głodni,
 Że zda się cały wielki Boży świat zjeść godni.
 Z talerzy wszystko znika; wkrótce niema śladu

Z gotowanego dla nich tak suto obiadu.
 Z krupek i z mąki nowój prędko zgotowano
 Kaszę na drugie danie; do stajni wysłano,
 Czeladź z wielkim pośpiechem i zabito ciele;
 Aby nikt nie narzekał na złote wesele.

Na nic się to nie zdało; ledwo upieczone
 I ledwo zgotowane, już było zjedzone.
 Wielki stuk słyhać łyżek o płaskie talérze,
 I choć wszystko już znikło, dziwny jakiś bierze
 Głód tych obcych żebraków. Nie chcą wstać od stołu,
 Póki gospodarz nie da piezzonego wołu;
 Żebak, co im przewodzi, głośno się domaga
 Wołu na stół całego; a gościa zniewaga
 To grzech największy; przeto raźnie się krzątają
 I dziad i baba; woła prędko na stół dają;
 A chociaż w pośpiechu wół był niedopieczony,
 Zaledwo go podano a już był zjedzony,

A żebrak starszy woła: „Hejże dobrzy ludzie!
 „Przecież nam się należy po żebraczym trudzie
 „Ciężkim, choć kawał jeden pożywnego jadła.
 „Przecież praca nie mała nam ninie przypadła
 „Przyszliśmy tutaj aż gdzieś z dalekiego kraju,
 „By z wami się nacieszyć podług obyczaju
 „Starego, i tu także moc nam padła trudu.
 „Czyż wy myślicie, że to fraszka, kiedy ludu
 „Różnego tyle pilnie łyżkami wywija?
 „Wy może myślicie, że to praca niczyja
 „Jeść i pić bezustanku przez długie dni boże?
 „Zęby nie podolają, jeśli nie pomoże
 „Język pilny w robocie. Zlitujcie się ludzie!

„I dajcie choć kawałek jadła po tym trudzie
 „Ciężkim naszym!“

Gość w domu, Bóg w domu! Więc stary
 Każe czeladzi zabić drugiego już z pary
 Wołu. I ten niedługo na stole się bawi;
 A wnet i z trzecim wołem hołota się sprawi
 I z czwartym. Tak niedługo wesele potrwało,
 A po niém nic już w stajni całej nie zostało
 Żadnej, ani w kurniku, ani nawet w chłwie:
 Tak jedli i tak pili owi goście chciwie.

Babie trochę markotno na ten widok było;
 Gdy kury zabijano, na twarz się stoczyło
 Pomarszczoną lez parę. Bo dzieci nie miała
 Baba i tylko kury czubate kochała.
 Ale dziad ją strofuje i tak jój powiada:
 „Babo, to grzech jest, żeś ty tym gościom nie rada.
 „Cóż nam przyjdzie z dobytku? Śmierć już nasza bliska,
 „A nigdy w naszej chacie nie stała kołyska;
 „Żadnego nam Bóg nie dał dziecka, i nie wiemy,
 „Komu chatę zostawić, kiedy już pomrzemy.
 „Najlepiej, babo, przeto, kiedy nasze mienie
 „Ubogim, głodnym ludziom damy na jedzenie.
 „I podziękować za to chyba przyjdzie Bogu,
 „Że u nas dziś ubodzy się pocieszyć mogą“.

Więc baba lzy obtarlszy tém się kłopotala,
 Że już więcej dla gości nic w domu nie miała.
 Wreszcie wszystko zjedli do ostatniego ziarna;
 Gospodarzy zegnała gości ciżba gwarna,
 I błogosławiąc biednych odtąd, zostawiła,

Gdy jedząc, całe mienie Dziada spustoszyła
Ze szczętem. Wszyscy poszli, klepając pacierze.

Na widok pustki dziada i babę strach bierze.
Mniejsza o to, że ziarno wszystko uprzątńiono,
Bo już na polu widać pszenicę zieloną
I żyto srebrne; za trzy tygodnie dojrzeją;
Ale straszno, że ściany stajenne bieleją
Pustką, i że przepadły duże białe woły,
Co niegdyś snopy wiozły do dziada stodół;
Że na wieki umilkły te czubate kury,
Których widok u baby zwykł rozganiać chmury
Troski każdej; że niema już kaczek w strumyku,
I że chléw osierociał już po nieboszczyku
Wieprzu, którego baba tak czule tuczyła.
I stajnia końska nawet teraz pustką była,
Bo gdy innego jadła dla gości nie stało.
Dano gościom koniki na sztukamięs białą.
Kości po nich leżały teraz wśród półmiska
Polewanego; serce u dziada się ścisza
Na ten widok. Sam jeden pies, przyjaciół domu,
Żyje dotąd i kości gryzie pokryjomo
Pod stołem.

Żebrak obcy o młodzieńczej twarzy,
A białych włosach, jeszcze nie poszedł. On marzy
O czémś, sparty o białe ściany starłej chaty;
Marząc, w rękę obraca długi kij sękaty
Żebraczy; z sobą samym pocichu rozprawia
O czémś ważném; na piasku kijem znaki stawia
Jakieś, jak człowiek, który myśląc, pisze myśli,
By być sądu pewniejszym, kiedy czyn w świat wysła
Stanowczy. Wreszcie stanie i do gospodarzy

Się zbliży; uśmiechnie się; ukłonem ich darzy
 I rzeknie: „W téj tu lasce są przedziwne moce;
 „I przez tę laskę kiedyś dzień potęgę nocy
 „Przełamie; księżyc pójdzie po niebiosach przodem,
 „A miesiący dwanaście za jego przewodem;
 „Pomiędzy niemi jasna się zaświeci zorza
 „I stanie się pogoda od morza do morza
 „Po całej Polskiej ziemi. Dawno laskę miałem
 „W ręku ale daremnie rodziców szukałem,
 „W którychbym ręce oddał laskę życiodajną,
 „By nią błogosławili ziemię urodzajną.
 „I serca próbowałem już u wielu ludzi;
 „Lecz długo ten się człowiek po tym świecie trudzi,
 „Kto szuka ludzi, którzy nie myślą o sobie
 „Tylko, w każdej długiego życia krótkiej dobie.
 „Bo tę piękną, miłą i ofiarną ziemię
 „Posiadło małe, brzydkie, samolubne plemię,
 „Co Bogu nie zaufa, chociaż wierzy w Boga
 „Niby. Człowiek łakomy zna człowieka wroga
 „Łakomego; u niego jadłem ciągle troska
 „O jutro; bajką tylko jest opieka boska;
 „Dlań cała życia kolój jedno błędne koło;
 „Zwiedzione samolubstwo mu pomarszczy czoło,
 „Jakby rolę w jesieni, i szczęście zawodzi,
 „Ilekoć z samolubstwa chudego się rodzi.
 „Wreszcie was tu naszedłem. Zawiodła mnie droga
 „Do ludzi mądrych, którzy zaufali w Boga
 „Więcej niżli w rachubę, która zawsze myli;
 „Znalazłem ludzi, którzy gościom radzi byli,
 „Choćby ostakiem służyć, i którzy niedbali,
 „Karmiąc głodnych, o to, że głodni narzekali
 „Na swoich dobrodziejów złym ludzkim zwyczajem,
 „Wedle którego zwykle zło za dobro dajem.

„Więc was upodobałem. Wyście sprawiedliwi;
 „Jakoście zaufali, Bóg starość wyżywi
 „Waszą. Dziś na piastunów łaski was wybrałem,
 „I nowe miano starym ja dzisiaj nadałem:
 „Staremu nadam Czasu rodziciela miano:
 „Baba będzie Przemianą od dzisiaj nazwaną.
 „Niezapomnijcie o tych nazwach, które dają;
 „Teraz odchodzę nazad za krwawe Dunaje,
 „I ponad Latyr górę, moje panowanie
 „Sprawować pośród Raju. A tutaj zostanie
 „Moje błogosławieństwo. Chowajcie tę łaskę
 „Przy sobie i uczcijcie w niej Swaroga łaskę
 „Nieśmiertelnego. Łaska dobrze wam poradzi.
 „Idźcie tam zawsze, kędy łaska poprowadzi!“

Takto Krakus przymówił; boć on był żebrakiem,
 Co przyszedł na wesele z łakomym orszakim
 Starców, kobiet i dzieci. Rzekłszy znikł z przed oczu
 Tylko łaskę zostawił i jasność w uźroczu
 Niebieskiem, co czas jakiś jeszcze światłem tłało.
 Teraz Czas poznał, stara Przemiana poznała,
 Jaka potęga z nimi rozmawiała. Starzy
 Ukłękli i podjęli łaskę, którą darzy
 Starych moc Białoboga. W drżące swoje dłonie
 Wzięli łaskę, a w piasek pochylili skronie
 Swoje, całując ziemię, której się tykały
 Stopy święte. Przed nimi zniknął promyk biały
 Światła powoli. Wreszcie pierwsza Baba wstała
 I swą rękę z pomocą Dziadowi podała,
 Bo Dziad po długiej, ciężkiej swojej ziemskiej doli,
 Tak pokaleczał, że się już ruszał powoli
 I nie mógł z miejsca powstać bez ręki Przemiany.
 Z pomocą żony powstał, jeszcze i o ściany

Chaty rękę oparłszy. Baba mu podała
 Obie ręce; tymczasem laskę odkładała
 I na bok i na ziemię.

Bocian długonogi

Gniazdo swe usadowił nad dziadowskie brogi,
 I tam na pustej teraz szopie wiódł swe dzieci.
 Gdy starzy z ziemi wstają, bocian z szopy zleci
 I do swojego dzioba bierze laskę śmiało,
 I z nią na gniazdo leci. Kiedy to się stało,
 Strach wziął dziada i babę; długo z sobą radzą,
 Jak teraz sobie z ową laską radę dadzą?
 Baba po laskę kogoś chce posłać z czeladzi;
 A Dziad samemu na dach się gramolić radzi.
 Długo Dziad nadaremnie się sadzi i sili;
 Nareszcie dwaj parobcy Dziada wysadzili
 Na bróg; wylazł na gniazdo, spojrzął i osłupiał,
 Potem w głos się roześmiał; jakby już był zgłupiał
 Na starość i dziecienniał tak głośno chichocze,
 I tak się cieszy stary, że aż tam podskoczy
 Na strzesze, klaszcząc w dłonie. Aż odmłodził cały
 Ów człowiek od starości, i drżący i biały
 I słaby.

Baba na to z dołu patrząc woła

„Jaka to tobie rzecz się zdarzyła wesola
 „Nad podziw, żeś twe stare tam zapomniał lata?
 „Czyś znalazł tam cesarskie złote berło świata?
 „Czyś może znalazł wodę, co młodość oddaje?
 „Czy może masz tam księgę, o której lud baje,
 „Że w niej wszystkie mądrości świata napisano?
 „Mów! Może nieśmiertelność tobie teraz dano?
 „Widzę, laska wskazała dary Białoboga.

„Mówże! Jaka tobie rzecz ponad wyraz błoga
 „W tém gnieździe zaświtała?“

Na swe zapytanie,
 Zaraz Przemiana taką odpowiedź dostanie:
 „Nie berło cesarskie mnie się z gniazda zaśmiało,
 „Ale stokroć lepszego coś się ninie stało
 „Dla nas żono kochana! Niemasz tutaj wody,
 „Coby ci powróciła wdzięk młodej urody
 „Dawnéj; nie masz i księgi, która mądrość chowa;
 „Jednak szczęścia naszego nieopiszą słowa.
 „Niepowiem tobie jakie zobaczyłem cuda;
 „Choćbym i chciał powiedzieć, mnie się to nie uda!
 „Chodź Babo! Chodźże prędzej — niech cię tu wysadzą —
 „Choć wiem, że ważysz dużo, przecież radę dadzą
 „Tobie moi parobcy. Własnymi oczyma
 „Zobaczysz nasze szczęście; a patrz niech wytrzyma
 „Radość twe stare serce; łatwo pęknąć może,
 „Gdy ujrzy te cudowne, święte, dary Boże“.

Kiedy baba te słowa dziada usłyszała,
 Z pomocą sześciu chłopów na bróg się drapała;
 Ledwo babę poniosła brzoźowa drabina;
 Powoli — długo — baba do męża się wspina
 Na dach; wreszcie stękając do męża przylazła;
 Z radości zapłakała, gdy w gnieździe znalazła
 Skarb dawno upragniony, o którym myślała,
 Że już go nigdy w świecie nie będzie widziała;
 A chociaż bardzo dobrą naszą baba była,
 Tego jednego często ludziom zazdrościła;
 A teraz takie szczęście się babie ziściło,
 O jakim jój się nawet od dawna nie śniło.
 Z gniazda już wylazły podrosłe bociany

Młode; jednak niepróżne były gniazda ściany;
 Inne w nich zamieszkało młode pokolenie,
 Przez Kroka przysłane na starców pocieszenie;
 Aż trzynaście chłopczyków w owém gnieździe było,
 Z nimi jedna dziewczynka; na ciałeczkach lśniło
 Słoneczko; rączki śliczne, okrągłutkie, białe,
 I niezrównanie piękne były buzie małe,
 Co się światu zaśmiały.

Do chaty niesiono

To całe dzieci małych najśliczniejsze grono;
 A że w Polsce dla dzieci czuły naród bywa,
 Mimo wesela starcom na niczém nie zbywa;
 Czternaście matek do chaty przybyło,
 I mlęczną piersią karmi tę dzieciarnię miłą,
 A głośną krzykiem; także i starcom podano
 Chlęba i pirogów i kaszę jaglaną,
 Aby pociechy z dzieci swoich mogli dożyć,
 I potem kiedyś winne dzięki Bogu złożyć
 Za łaskę nadzwyczajną.

* * *

Niewiele kłopotu

Dzieci starym sprawili; i nie trzeba potu
 Czola i znoju ciała, by wychować dzieci;
 Dla innych czas się czolga, dla nich chyba leci
 Piórem sokolem; one jak na drożdżach rosną;
 Już nazajutrz mówili Polską mową głośną
 I wyraźną; nie chcieli już z piersi brać mlęka,
 A żądali dla siebie pokarmu człowieka
 Dorosłego; a ledwo minęło tygodni

Dwa, już przy starcach obu stanęli dorodni
 Młodzieńcy, i stanęła córka krasawica,
 Co oczy ma błękitne a płonące lica
 I włosy takie jasne, jakby blaski ranne,
 Co słońce wyprzedzają, biegnąc w niebo szklanne.
 Chłopcom starszym dwunastu imiona nadano
 Dwunastu miesięcy, a córce Zorzy miano.

Dla syna najmłodszego imienia nie stało;
 A miał włosy tak czarne jak noc, i twarz białą,
 Jak księżyc pośród nocy. A jednak nie śmiano
 Króla nocy księżycu nadać jemu miano,
 Choć sam się chłopiec głośno upominał o to,
 Wróżąc dla siebie pośród ludzi przyszłość złotą,
 Taką, jaka przypadła wśród gwiazd księżycowi.

Gdy prośby odmówiono, takie słowa powie
 Chłopiec zuchwały: „Róbcież ze mną, co zechcecie!
 „Księżycem będę, choć mnie jak bądź tam nazwiecie.
 „Zamek wam wybuduję i komnaty pańskie,
 „Tak wielkie, jak księżyc pałace niebiańskie,
 „I tam was umieszczę i umieszczę mych braci.
 „Tak brat najmłodszy starszych swych braci wzbogaci,
 „Że zajaśnieją pośród ludzi, jako pany,
 „Którym od wszystkich pokłon korny bywa dany;
 „A siostrze Zorzy takie przygotuję losy,
 „Że niebiańskimi gwiazdy swe wystroi włosy,
 „Kiedy do ślubu stanie z morskim królewiczem:
 „Wielkie perły rusalek wydadzą się niczém
 „Przy gwiazdach mojej siostry. Z dworu królewskiego
 „Wezmę sobie królownę, której czary strzegą
 „Popielowe; i tutaj wam ją przyprowadzę,
 „Bo jam chłopiec przebiegły. Na wszystko poradzę.

„Na tym tu świecie rozum możniejszy od siły
 „Ramienia; ótóż dla mnie Rozum zamówiły
 „Jędze, które w chatach na kurzej łapce siedzą,
 „Co było pamiętają, a co będzie, wiedzą.
 „Księżycą się lękacie, co po nocy chodzi
 „I bladym swoim światłem ziemię senną chłodzi.
 „Może się nie lękacie innego rycérza,
 „Co także w nocy błędząc, w kurniki uderza
 „Ludzkie chytrze i zmyślnie, i kury porywa,
 „Głośno na gwałt krzyczące, choć zapobiegliwa
 „Gospodyni tak kury te zazdrośnie strzeże,
 „Jak królewien zamkowe czarne strzegą wieże.
 „Tak jak lis kury, tak ja królownę zabiorę.
 „Jak on chytrością dziwi cichą nocną porę,
 „Tak ja niski świat zdziwię. Lisa rozum noszę
 „W głowie; przeto o lisa imię także proszę
 „I chcę, aby mnie Leszkiem pośród ludzi zwano,
 „A po takim imieniu i cnotę poznano
 „Odrazu“.

Takto mówił syn najmłodszy śmiało;

Stary Czas odpowiedział na mowę zuchwałą;
 „To możesz dostać imię, kiedy cię to cieszy;
 „Lecz młodość nierozważna tak się w tobie spieszy
 „Po królownę. Już głodno zaraz w chacie będzie,
 „I siostra twoja poszcząc koło braci siedzie,
 „I ręce załamując. Dotąd pomagali
 „Ludzie — a wnet zapomną — i wtedy się zwali
 „Na nas nędza. Choć słońce na niebie przygrzywa,
 „I choć pod jego światłem na polu dojrzywa
 „Już pszenica, nie to nam ninie nie pomoże,
 „Bo nikt nie zwiezie z pola złote dary Boże. —
 „Wszystko, co w stajni było, pozjadali dziady,

„Kiedy ich naprowadził tu Krakus na zwiady,
 „Czy dobre mamy serce? I przeto przepadnie
 „Żniwo, które tam w polu dojrzewa tak ładnie
 „Tego roku, jak na złość“.

Leszek na to powie;

„Na wszystko znajdę, Ojczy radę w mojej głowie“.
 I braci swych przywołał, z nimi ruszył w pole,
 I pod lasem usiadłszy, uczył ich, jak wole,
 Jak końskie udać głosy, i jak wilków wycie
 Można ludzkiemi usty udać wyśmienicie.
 O wiele najsprawniejszym w tej szlachetnej sztuce
 Był Leszek sam, i musiał przy braci nauce
 Niemało się namęczyć; wielkie utrudzenie
 Zwłaszcza sprawiało zrazu braciom końskie rzenie.
 Wreszcie się nauczyli. Wtedy do nauki
 Dalszej przystąpił Leszek; i krakania sztuki
 Wyuczył dosyć łatwo; nawet szare wrony,
 Krakaniem uludzone w te zleciały strony,
 Gdzie szkoła była Leszka, mądrze zadziwione,
 Że głupi człowiek może naśladować wronę
 Tak doskonale. Łatwém wołanie jelenie
 Się wydało i drżące owieczek beczenie,
 Psów szczekanie, i nawet mruczenie ponure
 Niedźwiedzia, co pod wiosnę swoje łapy bure
 Liże zniecierpliwiony długim zimy trwaniem.
 Tylko darmo się trudził, by z ptaków śpiewaniem
 Braci swych zaznajomić; niedołęzne głowy
 Nie mogły się wyuczyć leśnych grajków mowy.
 Wreszcie zaniechał tego daremnego trudu,
 Rad, że on sam przynajmniej śpiew ptasiego ludu
 Umie udawać dźwięcznie.

Gdy już skończył szkołę,

Do braci się odezwał w te słowa wesole:

- „Wiecie bracia, jak rządzi teraz w naszym kraju
 „Welinda, nie po dawnych ojców obyczaju,
 „Ale twarda jak Niemka; i pani się tuczy
 „Potem narodu; swoje sługi tego uczy,
 „Jak mają wszędzie wachać, jakie kto ma mienie?
 „A jeśli tylko komu wystarczy jedzenie
 „Na rok cały, na niego wnet ta zgraja spada,
 „Jakiś ciężki podatek na kark mu nakłada,
 „I chatę i stodołę łakomie obdziéra,
 „A co gorzej ze stajni dobytek zabiera
 „Tak, że potem bez wołów smutne stoją pługi
 „Nierade, że nie mogą panom dać usługi
 „Zwyklój. A wszystko to, co do zamku przybywa,
 „Zła królowa na nowy nasz ucisk używa;
 „Niemce sługi najmuje i uzbraja strażę.
 „Dzisiaj na czyn enotliwy z wami się odważę;
 „Bo kto Welindzie środki do ucisku bierze,
 „A dobrym na chleb daje, ten ci w każdej mierze
 „Dobrze czyni. Do zamku dziś tędy pogonią
 „Przez las słudzy królowej, to co chciwą dłonią
 „Ludowi wydzierali i co przeznaczone
 „Na nowe ciężkie jarzma na karki strudzone
 „Nieszczęśliwego ludu. My to zabierzemy
 „I tak dobrodziejami rodziców będziemy.
 „Nie braknie tam i ziarna, ale głównie woły,
 „Konie, świnię i owce zagnamy w stodoły
 „Ojca i matki starój. Będzie im uciecha.
 „Od dostatku zakwitnie nam słomiana strzecha
 „Chaty naszej“.

Na wszystko bracia się zgodzili.

Co dalej trza robić, od Leszka się uczyli
 Potém obszernie. Wreszcie gdzieś w lesie przepadli,
 Czatując nad gościńcem, o którym odgadli,
 Że tamtędy popędzą zbirowie królowej
 Od narodu wydarty dziś podatek nowy.
 I nie omylili się. Drogą okopaną
 Ciągną słudzy królewscy długą karawaną
 Przez las. Dziś na noc pewnie karawana stanie
 Na wielkiej pośród lasu zielonej polanie;
 Tu koniom siodła zdjęto, nogi skrępowano,
 I razem z inném bydłem paść się koniom dano,
 A namioty rozbito, aby mogli ludzie
 Przecie odpocząć w nocy po podróznym trudzie
 Całodziennym, a ognie jasne zapalono,
 I psy czujne ze sfory na straż wypuszczono.
 Woły trawę popasły, a gdy się najadły,
 Dla przeżuwania ciężko na kolana padły.

Księżyc wzbil się na niebo i spoglądał z góry
 Na ten obóz wędrowny, sbręcząc drobne chmury,
 Co jak białe baranki na bezbrzeżnym stepie
 Chodzą cicho a tłumnie po olbrzymim sklepie
 Niebieskim.

Kiedy wszystko ucichło wśród boru
 Otulone sbręczystą zasłoną wieczoru
 Letniego, usłyszano w gąszczu leśnej długie
 A przeraźliwe wycie — raz jeden, raz drugi
 I trzeci. Obudzone psy wraz zaszczekały;
 Bo w wyciu owém wroga swego głos poznały,
 Wilka; a w ich szczekaniu było drzenie trwogi,
 A choć groziły, ogon ciasno popod nogi
 Ułożyły kundysy, i na kupę zbite

Zwróciły lśniące oczy nieruchomo white
 W bór. Niespokojnie rżały przerażone konie;
 A pewnoby w dalekie gdzieś uciekły błonie,
 Gdyby nie to, że grubym sznurem skrępowane
 Pobiedz prędko nie mogły.

Źrenice zaspane

Ludzi na szczekanie psów zwolna się rozwarły,
 A woły duże ciała, rycząc, razem sparły,
 I wielką białą kupę wśród ciemnej stworzyły
 Polany, a rycząc wciąż, rogami groziły
 Niewidomemu jeszcze nieprzyjacielowi.

Ludzie wstaną, a wtedy odwaga się wznowi
 W psach; głośniejsz zabuczało po lesie szczekanie.
 Ogon psom się podniesie, sierść na karku wstanie
 Gniewnie i tłumnie pędzą w gąszcz i w wycia stronę,
 Sztuką misterną braci Leszka stumanione.
 A coraz dalej w puszcze wycie uchodziło;
 A za wyciem psy poszły, całą swoją siłą
 Szczekając; poszli ludzie. Bydło pozostało
 Na polanie wśród lasu, pod okrągłą, białą
 Tarczą księżycy, którą Bóg wśród czarnej nocy
 Na niebo zwiesił jako widomy znak mocy
 Swojej.

Połowa braci Leszka w lesie wyla,
 Połowa druga bliżej w gąszczy się ukryła,
 I teraz na czworakach na stado wypadła,
 Kiedy po coraz dalszém wyciu wilczém zgadła,
 Że chwila jest po temu; a na czele braci
 Sześciu lał cicho Leszek; a czasu nie traci;
 Jak błyskawica skory, zwinny jak gadzina

Krótkim nożykiem pęta u koni przecina.
 Konie zadziwione swą wolnością, zarżały
 Raz jeszcze i w lot w ciemny las się rozleciały
 Na wszystkie strony, chcąc ujść przed wileczą pogonią.
 Tymczasem bracia Leszka woły białe gonią
 Ku Wiśle, co opodal płynęła; i drogą
 Leśną idą niemądre woły. Szybką nogą
 Tymczasem rączy konie pośród lasu gonią,
 I zda się, że przepadły.

Ponad modrą tonią

Wisły stanęli wreszcie z wołami Leszkowi
 Bracia; Leszek, spojrzawszy wokół, im powie,
 Aby woły zagnali aż po brzuch do wody.
 Z braćmi przy wołach stanie w Wiśle Leszek młody;
 Woda po pas obływa chłopców ciemną strugą;
 A kto w dół Wisły spojrze, ten przed sobą długo
 Widzi srebrny gościnniec rozlany na wodę
 Przez światło księżycowe. Lecz rodzeństwo młode
 Leszka nie w rzekę patrzy, i nie w gwiazdy nieba;
 Im teraz oprócz wołów jeszcze koni trzeba
 Szybkich. Teraz nauka Leszka im się przyda,
 I trud mozolny przednie swe owoce wyda.
 Zarzeli bracia chórem, i na oddalenie
 Wielkie słyhać wśród lasu głośnie braci rzenie.
 Konie rozpierzchłe głos ten udawany słyszą...
 Stają... uszami strzygą, a nozdrzami dyszą
 Głośniej jak dotąd; swoje ogony podnoszą
 Dumnie, a wnet od siebie powitanie głoszą
 Nowém rzeniem dla braci, których głos rozbrzmiewa
 Po lesie. I znów braci chór się w głos odzywa.
 Rozmowy téj słuchają Wisła i noc. Konie
 Tém rzeniem przywołane nad wiślane tonie,

Przybiegły po jednemu; wodę obwąchały;
Potem w wodę skoczyły ciemną.

Tabun cały

Się zeszedł. Teraz Leszek nowe hasła daje,
I na czele pochodu niezwykłego staje;
Na przekór rozumowi, na przekór wygodzie,
Braciom każe popędzać zdobycz przeciw wodzie.
Tak z trudem szli pod wodę więcej jak pół mili,
Zanim swą zdobycz na ląd suchy wypędzili,
Na twardą paszę, która do Wisły przylega
Tak, że tu niema śladu piaszczystego brzegu.
I tu niebawem tamci bracia przyplływali
Przez rzekę — kiedy wilków udawać przestali.
Zdobycz była ogromna; gnali ją wesoło
Lasami i łąkami w swe rodzinne sioło,
Gdzie na nich matka czeka — i gdzie ojciec siedzi
Stary.

Służba królewska tymczasem się biędzy
Darmo; wilków już niema, gdzieś uszły im z ręką,
I nikt wilka nie widział, mimo że od jęku
Wilczego aż las stękał. Niepyszni wracali
Na tę wielką polanę, kędy nocowali
Przedtém. Lecz na polanie nowa zgroza wstała;
Stada nie było; pustka tylko ich witała
Pośród nocy srebrystój. Włosy z głowy rwali
I nieporadnie pośród swych namiotów stali.
Najprzypadniejszy wreszcie takie daje rady,
By wybadali ludzkie i zwierzęce ślady,
Które im pewnie prawdę o wszystkiém powiedzą.
Zatém na dzień czekając niecierpliwie siedzą
Koło ognisk czerwonych.

Wreszcie ognie zbladły,
 Kiedy czerwone świty zorzy na las padły
 Szumiący; jasno było; rozrzucone ślady
 Końskie żadnej wyraźnej nie dawały rady,
 Ale ślad bydła z ludzkim śladem pomieszany
 Latwo został przez sługi pańskie rozeznany;
 I za tym śladem poszli, aż doszli do brzegu
 Wisły; i tu poznali, że u końca biegu
 Szybkiego, wiele koni do Wisły przypadło.
 Uradowane przeto serce służby zgadło,
 Że teraz na trop przyszła swojej zguby całej.
 Niedługo już się sługi sprawne namyślały;
 I rozum o tém świadczył, świadczyła wygoda,
 Że zdobycz gdzieś poniosła w dół wiślana woda.
 Więc z brzegiem rzeki poszli odnajdywać ślady
 Złodziejskie. Wszakżeż mędrszej już nie znajdziesz rady?
 A jeśli całą dobę śladu poszukali
 I go nie odnaleźli, przecież im się chwali
 Rozum; to się złodziejom gani niepomalo,
 Że tak zielono widać w głowie im bywało,
 Że przeciw rozumowi i przeciw wygodzie
 Nie z wodą uciekali, tylko przeciw wodzie.

Słudzy królewscy ciężką męką utrudzeni
 I na głupotę zbojów słusznie oburzeni,
 Nie śmieli teraz wrócić przed oblicze pani;
 Bo wiedzą, jak surowo niedołęztwo zgani;
 Bo myślą, że im może głowa z karku spadnie.
 Zanadto bywa srogą pani, która władnie
 Na Wawelu; nie przyzna się przed nią do winy
 Nikt o życie swe dbały. Niepoprawne czyny
 Bywają sług, u pani która nie przebacza,
 I srogość zbytnia najpierw samego przytłacza

Króla potęgę. Nigdy prawdy się nie dowie,
 Kto przez trwogę panuje. Sługa prawdę powie
 Panu pobłażliwemu; jeśli się omyli
 Sługa groźnego pana, to błąd jednej chwili
 Będzie przyczyną zdrady przez najdłuższe lata,
 Bo miłość, a nie przestach bywa władcą świata.

Pośród wsi stoi starców mchem obrosła chata.
 Słońce na niebie świeci, a Leszek kołata
 Do drzwi u chaty; za nim stoją bracia tłumnie;
 Woły ryczą smętnie; a konie głowy dumnie
 Podnoszą. Wszyscy ludzie ze wsi zadziwieni
 Patrzą; a dziad odchylił cicho drzwi od sieni,
 Spojrzał i oczy przetarł; gdy dostatek mierzył
 Nowy, za ledwo swoim własnym oczom wierzył.
 Leszka uściskał czule, i zawołał żonę,
 Aby staręj pokazać stada ułowione
 Przez synów swych dorodnych.

Oczekując żniwa,

Konie rosłe puszczono, i woły, gdzie niwa
 Zielenieje pastwiskiem. Trawa wybujala
 Tam wiosenna od kwiatów jaskru strojna cała,
 Jak od guzików złotych. Krowy wybierały
 Kwiaty żółte, a potem na dwójnasób dały
 Mléka.

A źrebców wzięli bracia po jednemu
 Sobie pod wierzch. Koń kary się dostał młodszemu,
 Leszkowi; był tak czarny jak noc; przeto dano
 Żrębcowi temu zgodnie Czarnolotka miano.
 Na nim cuda wyprawiał Leszek; a jak zsiadał
 Z konia Leszek, jak gdyby z człowiekiem z nim gadał,

Głaszcząc mu grzywę; w oko całując rumaka.
 Rzadko pomiędzy braćmi bywa przyjaźń taka,
 Jak między Leszkiem i tym koniem.

* * *

Raz z wieczoru,

Kiedy Leszek na koniu swym powracał z boru
 Bliskiego, skoczył z konia i zdjął z niego siodło
 I uzdę. Wtém go w oku końskiem coś ubodło
 Do wzgardy podobnego.

Leszek na to woła:

„Hejże! Cóż Czarnolotek mnie zarzucić zdoła,
 „Że na mnie tak spogląda, jakby mnie winował?
 „Wszakem starym rodzicom tak słowa dochował,
 „Jak słońce, które zawsze tak się zjawi rano,
 „Jak pierwój obiecało, kiedy po za ścianą
 „Zachodu szło spać? Mają teraz po pas bydła!
 „Na zawsze już wygnana od ich chaty zbrzydła
 „Nędza“.

Tak mówił Leszek, co do konia gada
 Jak do człowieka. Lecz i źrebiec odpowiada
 Po raz pierwszy człowieczą mową. Zadziwiony
 Leszek słyszy, jak mówi głośno koń kradziony:
 „Ty myślałeś, że tobie jednemu to dano,
 „Że umiesz mówić mową zwierząt udawaną;
 „Zresztą myślałeś Leszku, że całe stworzenie
 „Zna tylko głos własnego rodzaju; mówienie
 „Ludziom dane; zwierzętom inne różne głosy;
 „Morze ma szum fali, a grzmot mają niebiosy.

„Ale ty się myliłeś, Leszku; rajskie błonie
 „Wychowało po ludzku gadające konie.
 „Jam z tego rodu. Ale, Leszku, gardzę tobą,
 „Bo teraz okłamujesz siebie sam przed sobą;
 „Wmawiasz w samego siebie, że już mądrą głową
 „Wszystko to dopełniłeś, na co dałeś słowo.
 „A ty ukradłeś tylko w lesie konie, woły
 „I krowy; przeoczyłeś drugiej słów połowy
 „Trudniejszej i ważniejszej. Wszakżeś obiecywał,
 „Że na królewskim dworze będziesz gachem bywał?
 „Że i dla siebie i dla swoich dzielnych braci
 „Zdobędziesz łup królewski, co wasz ród wzbogaci
 „Na zawsze; że z pod zamków i z pod zaklęć siły
 „Zdobędziesz z królewnami ślubny żywot miły;
 „A niebotyczne zamki rodzicom postawisz
 „I złotemi cackami się z braćmi zabawisz,
 „Jak król. Ty nie królewskie, a złodziejskie sprawy
 „Ziścilesz. Nie pochwalisz się nadmiarem sławy.
 „Wiem czemu na cię patrzę, Leszku, okiem wzgardy!
 „Tyś nie powinien wznosić czoła chłopcze hardy,
 „Lecz jak panienka skromnie spuszczać nadół oczy,
 „By skryć przed ludźmi wstyd, co niesławnego toczy!“

Kiedy Leszek bodzącej téj wysłuchał mowy,
 Zapłonęło mu lice, a takimi słowy
 Dał odpowiedź; „Jeżeliś jest tak mądry koniu,
 „Coś się, po ludzku mówiąc, w rajskim chował błoniu,
 „Powiedz, jak mam poradzić, by dotrzymać słowa?
 „Bo temu nie sprostała wcale ludzka głowa,
 „Co język obiecuje nad miarę zuchwały,
 „Kiedy próżnemi słowy chce przyczynić chwały
 „Kłamiącemu“.

Koń na to w te słowa odrzeczę:

- „Gdy pytasz o radę, dam ją młody człowiecze!
 „Bo mnie do serca wcale przypadła twa śmiałość,
 „Czynów twoich męstwo, i większa słów zuchwałość.
 „Idź prędko! na wyprawę zwołuj twoich braci,
 „A za odwagę Bóg ci stokrotnie zapłaci.
 „Niema Popiela w zamku; on za Wandą goni,
 „Co przed nim już bezpieczna, ukryta wśród toni
 „Morskiej. Ale przegranej przeboleć nie może,
 „I w sępa przemieniony na morskie przestworze
 „Wciąż jeszcze ulatując, powietrze skrzydłami
 „Orze. A Baba Jaga ze swemi córkami,
 „Trzynastoma Wilami zrodzonymi późno,
 „Zamczysko zamieszkuje i łożnicę prózną
 „Popielową. Po Wilę radzę, abyś jechał,
 „Jeżeliś jeszcze słowa twego nie zaniechał
 „Danego rodzicom. Lecz tylko radzić mogę
 „Wtedy takiej wyprawy, jeśli w śmiałą drogę
 „Wyjedziesz uzbrojony. A nie tyle zbroi
 „Potrzebujecie ty i dzielni bracia twoi,
 „Ile krédki i kija z trzęsącej osiki.
 „Bo koło Jagi Baby są biesy, chochliki,
 „Czarły przeróżne, strzygi, wiedźmy i upiory.
 „Więc jeśli jedziesz śmiało do straszliwej nory
 „Czarownicy, trzeba, byś się przeoblekł zbroją,
 „Któręj złe duchy nocy się jedynie boją;
 „A tém jest krédka i tém jest kij osikowy.
 „O reszcie później ciebie już przestrzegę słowy
 „Mądremi, gdy nadejdą na to czas i pora.
 „O łożku nie mów rano; czas mówić z wieczora“.

Dla Leszka niepotrzeba zbyt długiej namowy.
 Wnet braci zawołał swych i różnemi słowy

Nakłonił do wyprawy. Rodzicom się skłonił,
Siostrę pożegnał, wziął kij i kródkę, pogonił
Na koniu Czarnolotku ku zamkom Popiela,
I braci wziął ze sobą.

Droga się rozściela

Długa przed nimi, a tam gdzieś u końca drogi
Stańał ponury zamek, mieszkanie złój trwogi,
Gdzie bawi Jaga Baba we dwoje skulona,
Sparta o kij sękaty, cała pomarszczona.

Kiedy Leszek jechał przez zasiewane pole,
Z porady konia swego zsiadywał na role
Złoczone, i szedł między maki i bławaty,
Aby tam zrywać krwawe czarodziejskie kwiaty
Rośliny, co usypia, i której nadano
Pośród ludzi śmiertelnych, dla téj mocy, miano
Snu Ziela. Za zanadrze chował krwawe kwiecie,
Bo wiedział, że dla niego to skarbem na świecie
Będzie wkrótce największym. Choć nie pojął czemu,
Przecie w téj mierze wierzył już koniowi swemu.

* * *

Zamek Popiela groźny u północy krańcu
Mgłą w koło osłonięty na swym czarnym szańcu
Stał, pośród trzęsawiska, dumny, smętny, czarny;
A trzęsawisko w koło, obrósł las emętarny,
Sosnowy jak dawniej. Gdy bracia dojechali
Do krańców trzęsawiska, zamek śmił się w dali,
Jak to często zwykł czynić. Sosny na pustkowie
Patrzyły tylko błotne, wśród którego mrowie

Mieszkało obrzydliwe gadów. Mgły tumany
 Gęsto na środek bagna siadły; niewidziany
 Przęto był zamek czarny; że często tak bywa,
 Zatem naród północny Niewidkiem nazywa
 Ten zamek Popielowy.

Czarnolotek śmiało

Wraz z jeźdźcem swoim Leszkiem, poszedł w tę mgłę białą,
 Wiodąc braci dwunastu na zdradliwe kłody,
 Popod które w bagnie czyhały narody
 Biesów; bo z kłód na błoto długi położono
 Most. Konie szły ostrożnie i z głową spuszczoną
 Po moście kalinowym. Jeden szedł za drugim
 Pośród mgły białej, po tym moście czarnym, długim
 I śliskim; a parobcy wdziali na rękawy
 Sukmany swoje, bo wiatr zimny wśród przeprawy
 Wiał; mało ciężkich czapek nie zerwał im z głowy.
 Taki to nawet w lecie, był ten kraj zimowy!
 Kij osikowy długi miał każdy chłop w dłoni;
 Kij taki od złych czarów najpewniej ochroni;
 Jeśli bies jaki łapę przez szparę wystawi,
 Wnet jego chłopiec raźnie tym kijem odprawi,
 Tak że skowycząc zły duch pod kłodę się chowa.
 Jada bracia ostrożnie, niemówiąc i słowa,
 I wciąż patrzą przed siebie we mgłę napiętrzoną.
 Zawsze zamku niewidać za białą zasłoną
 Mgły. Tak dla bezpieczeństwa swych dzieci i żony,
 Popiel zamek zasłonił, gdy w dalekie strony
 Sam odleciał.

Nareszcie poprzód braćmi stanie
 Rów, jakby wstęga czarna — za nim murowanie
 Zamkowe niedostępne. Nad rowem zwodzony

Most stérczał pośród szarej mgły — w górę wzniesiony
 Na dwu wielkich łańcuchach; za nim brama stała.

Przed tym rowem drużyna braci zakrzyczała
 Głosem wilków trzynastu żalośnie i długo.
 Olbrzym, który przy bramie był odźwiernym sługą,
 Słyszając to wycie zmrużył swoje jedno oko,
 Które nosił na czole sześć sążni wysoko
 Nad ziemią, i pomyślał, że to przyjaciele,
 Wilcy się przedarli przez bagniste topiele
 Do zwodzonego mostu, aby wejść w te progi,
 Wśród których władnie Popiel pan śmierci i trwogi
 Potężny. Spuścił tedy most na fosę dużą;
 Zajęczały zawiasy, co mostowi służą,
 I czarna brama ciężkie podwoje rozwarła.
 A na ten widok cwałem drużyna się wdarła
 Między nogi olbrzyma, co u bramy służy
 Do wielkich na zamczysku Popiela podwórzcy.

Olbrzym zdziwiony spojrział na konie i ludzi;
 Na dziedzińcu gromada zwierząt się obudzi
 Z wyciem, zgrzytem, skowytem. Świecą wilcze oczy —
 I zęby błyszczą wilcze — niżej gad się tłoczy
 Jadowity i syczy. Niedźwiedź wstał kudłaty
 I łapami zagroził; sępów tłum skrzydlaty
 Wraz z krukami czarnými zwił braciom nad głową,
 Grożąc im przeraźliwie swoją ptasią mową,
 A rysie grzbiet skuliły do skoku gotowe.
 Wtém zwierzęta zdziwione własną swoją mowę
 Usłyszały, bo bracia zatrzymali konie,
 I jakby domowymi byli w zwierząt gronie,
 Do zwierząt przymówili. Każdy inne głosy
 Z piersi swych wydobywa i wrzask pod niebiosy

Leci straszliwy. Aż się bestye przestraszyły;
 Pod mury się cofnęły i tam z całej siły
 Odpowiadały wrzeszcząc. A ptaki pod chmury
 Wzleciały, aby z gośćmi niezwykłymi z góry
 Rozmawiać swobodnie; nikt wrzasku nie opisze,
 Jakiego nawet piekło czarne nie usłyszy
 Nigdy. Aż zamek czerniał od wrzasku, a uszy
 Zatkanął sobie wielkolud, myśląc, że zagłuszy
 Myśl jego wrzask nie ludzki.

Jaga właśnie spała

Pośród komnat królewskich, kiedy usłyszała
 Te hałasy okropne. Krzykiem przerażona
 Na dziedziniec wybiegła, Popielowa żona;
 O kij się sparła duży i swe małe oczy
 Ze złością po dziedzińcu wkoło siebie toczy.
 Ubrana w złotogłowie, jeszcze się wydaje
 Brzydszą, jak dawniej; z gęby zęb czarny wystaje,
 Jedyny, a na czole pomarszczoném srodze
 Korona złota siedzi. Wszystkie bestye w trwodze
 Wielkiej zaskowytały na widok królowej;
 I wreszcie umilkł duży dziedziniec zamkowy.

Leszek z konia zeskoczył i czapkę zdjął z głowy,
 I przymówił do Jagi Baby temi słowy:

- „Myśmy Czaśa synowie i starój Przemiany
- „Mieszkamy na wsi, gdzie świat zresztą jest nieznany
- „Ludziom prostym; a jednak i do tego siola
- „Doszedł rozgłos piękności, której nic nie zdoła
- „Wyrównać. Wszystkie wrony tam na strzechach prawią
- „O córach twych trzynastu Wilach. Wdzięk ich sławią
- „Niezrównany i rozum. Wieścią poruszeni,
- „Wśród niebezpieczeństw wielu do zamkowej sieni

- „Dotarliśmy twojej i chcemy wziąć za żony
 „Ród twój dla wdzięku na świat cały rozstawiony.
 „Myśmy nie królewicze; może wzgardzisz nami.
 „Aleśmy mimo tego dziarskimi chłopcami.
 „Pewno żadna królowna nie przeboli tego,
 „Jeżeli nie posiedzie chłopca tak żwawego
 „Jak który z nas. Za dowód niechaj ci już stanie
 „Nasze do twego zamku odważne jechanie.
 „Nie każdy to potrafi. Przez góry i wody,
 „Przez lasy i błota, aż w te twoje narody
 „Przekłętę jechać, przyznasz, to chyba nie żarty!
 „Gościniec taki nie dla tchórzów jest otwarty.
 „Ale za to u końca niebezpiecznej drogi
 „Najwspanialszą nagrodę zgotowały bogi.
 „Jeszczem nie widział żadnej z twoich cór oblicza
 „I nie wiem, jaka ztamtąd jaśnieje dziewicza
 „Piękność. Lecz ciebie widzę, i podziwiam ciebie,
 „Bo tyś piękniejsza Jago, niż słońce na niebie!
 „Dobroć twoja wyrówna zapewne piękności;
 „Więc tuszę, że przewitasz rada twoich gości.
 „Pokażesz swoje córki; zaprosisz do stołu
 „Twego, byśmy się z niemi bawili pospółu.
 „Konie każesz prowadzić do stajni; zmęczone
 „Obroku potrzebują, bo w północną stronę
 „Długo jechały. Wreszcie i to śmiało tuszę,
 „Że sam ztąd z żoną młodą do domu wyruszę,
 „I że brat każdy z sobą weźmie młodą żonę,
 „Gdy z powrotem pojedzie w południową stronę“.

Jaga słów tych słuchała. Do smaku przypadły
 Te słowa wiedźmie. Słowa podchlebne odgadły
 Słabość Jagi ukrytą; dawno nie słyszała
 Pochwały swjej piękności, i nawet została

Żoną Popiela za to, że szkaradną była.
 Zdziwiona przeto Leszka się mową cieszyła
 I grzecznie zaprosiła braci w swe podwoje,
 A z końmi odesłała trupy, sługi swoje,
 Do stajen. Trupy owe po krużgankach stały
 Zamkowych; zasuszoną, żółtą skórę miały
 Na sobie; skóra koło ust pomarszczona
 Zęby białe odkryła; z głowy wystrzężona
 Żrenica na wierzch lazła. Trupy nieruchome
 Zwykle na zamku stały, ale na znajome
 Jadze Babie zakłęcia, trupy się ruszały.
 Teraz konie do stajni zawiodły i dały
 Koniom obroku. Jaga w zamek prowadziła
 Gości.

U końca ciemnych, długich ganków, była
 Sala wielka, wśród której wieczne nocne mroki
 Sklepienia zakrywały. Ledwo mrok głęboki
 Sto lamp rozświetliło u dołu, a u góry
 Panował nieustannie w sali cień ponury.
 W lampach szklanych płonęły świętojańskie muchy,
 Które dla Jagi Baby po cmentarzach duchy
 Lapały nieczyste. Wśród sali rozłożono
 Ogromny stół kościany; na nim także płoną
 Lampy z much świętojańskich. Dziewcząt trzynaścioro
 Przy owym stole siedząc, haftowało skoro
 Jakiś kobierzec złoty; wszystkie piękne były
 I rozpuszczone włosy na szyję puściły
 I ramiona; a krucze nosiły warkocze;
 A czarne i płonące jasno miały oczy;
 Złociste długie szaty na sobie nosiły
 Te córki Jagi, i nad wyraz piękne były.
 Wilami je nazwano. Najmłodsza jaśniała

Pośród sióstr, jak pośród gwiazd księżycą twarz biała
 I świetlana. Imię jój Lichodziewy dano,
 A jeśli czasem wyszła na podwórze rano,
 Zorza zazdrosna tak się z gniewu rumieniła,
 Że cały sklep niebieski wstydem obwiesiła
 Czerwonym.

Oprócz tych sióstr dwu braci siedziało
 Pośród komnaty. Trudno na nich spojrzeć śmiało,
 Tak to okropne plody Jaga urodziła,
 Odkąd w zamku królową u Popiela była.
 Córki miała przepiękne, lecz syny szkaradne
 Chowalo na swym zamku stadło wielowładne
 Panów srogich północy. Starszy imię Miecza
 Dostał, i z nim przydomek dostał Samosiecz; a
 Miał żelazne, a chude, bardzo cienkie ciało,
 Które się na zawiasach żelaznych ruszało,
 Jak ślusarska robota. Tam gdzie zwykle bywa
 Szyja, tam to rękojeść u niego spoczywa
 Żelazna, w ciało wkuta, a w tej rękojeści
 Więcej jak na trzy łokcie długi miecz się mieści;
 Klinga stalowa, ostra i tak obrócona,
 Że naprzód patrzy ostra długiej klingi strona;
 W rękojeści zmieszczono dwoje małych oczu,
 Pod stalową powieką tak gdzieś na uboczu
 Ukrytych, że ich nie znać. Jego bratu dano
 Na postrzyżynach, Gęśla Samograja, miano;
 Nogi miał obie z drzewa i ręce drewniane,
 A ciało przyplaszczone, w struny przyodziane;
 A na kształt rękojeści wyrastała głowa.
 Ten Gęśl Samograj nigdy nie mówił i słowa,
 Tylko palcami z drzewa po strunach trącając,
 Umiał przedziwnym pieniem i świat cały zając,

Gdy chciał. Teraz Miecz milczał, a Wile śpiewały;
 Na Samograju struny potrącane drgały,
 Wtorując z cicha pieśni.

Gdy w izbę wpuszczono
 Leszka i jego braci - za stół zaproszono
 Kościany, oni pokłon dzieciom Jagi dali,
 A potem koło stołu rzędem posiadali
 Naprzeciw Wil trzynastu. Śpiewu zaniechano,
 I miodu syconego dzban na stół podano.
 Każdy miodu się napił, spoglądając w oczy,
 Które naprzeciwko u dziewczki pięknej zoczy.
 Wnet rozpoczęto ciche, szeptane rozmowy;
 Niedługo o miłości już mówiono słowy
 Słodkimi; bo dziewczęta niby słoma sucha;
 A chłopcy to niby żar. Ledwo słów posłucha
 Chłopca jakiego dziewczę, już ogień zapłonie —
 I pożar wstanie, w którym panieństwo utonie
 Na zawsze.

Jaga Baba z boku się wpatruje
 Na nic ową miłośną, co się cicho snuje
 U kościanego stołu. Wreszcie z krzesła wstanie
 I takie oto głosi córkom rozkazanie:
 „Córki moje kochane, Wile niezrównane,
 „Dzisiaj przy waszym ślubnym już kobiercu stanę.
 „Owi młodzieńcy dzielni po was przyjechali
 „Gdzieś z po za siódmej rzeki, z zapadłej oddali
 „I z po za siódmej góry. Choć ich król nie rodzi,
 „Chociaż w sukmanach chodzą, przecie dzielni, młodzi
 „I piękni. Już widzę, że wam się podobają,
 „Choć grubą chłopską odzież na swém ciele mają.
 „Bywało to już nieraz, że królewne złote

„Synów kmięcich kochały za pięknosc i cnotę.
 „Zatęm dziewczęta, tego nie bronię kochania,
 „Ślepą bywa ta matka co ślubu zabrania,
 „Gdy miłość ślubu żąda; bo życie zatrute
 „Bywa, jeżeli jarzmo ślubne złotem skute,
 „A nie dwojga kochaniem. A więc rozkazuję
 „Nawet ślubu; a służba łożnice zgotuje
 „Tu po komnatach zamku, gdziebyście spoczęli
 „Pospołu przez noc pierwszą! Chłopcy, wyście wzięli
 „Już żony! Córki moje sama wam oddaję.
 „Wnet rozpoczniemy w zamku weselne zwyczaję
 „Obchodzić; wnet powstanie już ślubna ochota!
 „Wam trzeba się dziś cieszyć, bo dzisiaj żywota
 „Doba jest najprzedniejsza!“

Tak stara rodzica

Przymówiła. Rumieniec pokrył kraśne lica
 Dziewcząt trzynastu. Chłopcy raźnie z miejsca wstali;
 Dziewczęta uciekały, chłopcy doganiali;
 Śmiało biegli przez wszystkie zamkowe komnaty
 Pomiędzy złoto, srebro, kryształ i bławaty;
 Pomiędzy trupy suche, co przy ścianie stały
 I okiem zgaslęm na te obrzędy patrzyły.
 Chłopcy nawet na nogę Żmija nastąpili
 Goniąc, i tron Popiela na ziemię stręcili.
 Wszystko im uszło płazem, bo tak Jaga każe;
 Jadze posłuszne ślepo trupie zamku strażę
 Baczą, by jęj rozkazy we wszystkiém spełniano.
 Przeto jak oka w głowie chłopców szanowano.

Wreszcie każdy młodzieniec dziewczynę uchwycił
 I z nią wracając, żonę zdobytą się szczycił;
 Wraz z dziewczętami chłopcy przed Jagą klęknęli

I jój błogosławieństwo macierzyńskie wzięli.
 A potem podskoczyli i w ręce klaskali.
 Teraz większa ochota powstała wśród sali
 Zamkowej; Gęśl Samograj zagrał pienie nowe,
 Aż dotąd niesłyszane; to pienie godowe,
 I do tańcu muzyka. Słyszac skacze ciało,
 Drgają pod spodem nogi. Tak się skakać chcieli
 Przy téj muzyce, że trup nawet w górę skoczył
 Każdy zasuszony, i taniec się potoczył
 Po krążgankach szalony, w którym ludzie, trupy,
 Sprzęty hulaly razem, wiążac się do kupy,
 To znowu rozplatając, skacząc, krzycząc, lecąc,
 I wszędzie dzikie krzyki, śmiechy, wrzaski niecąc.
 Jak opętana leci po zamku gromada
 Tańcząca; baba Jaga jój przewodzi, rada
 Z téj dzikiej pohulanki. Nawet zamku mury
 Przez muzykę zakłete skakały do góry,
 Drgając aż po posady; a zamkowy szaniec
 Patrzył na drugi, dziksz jeszcze zwiérzając taniec.
 I konie gachów biegły w takt sprawując skoki;
 Karzeł w sieni zapląsał, i olbrzym wysoki
 Hulal zapamiętale; pod nim zwiérz szalony
 Wyprawiał dzikie skoki w różne świata strony;
 Nad nim ptastwo latało, miarowemi kręgi
 Tworząc popod chmurami tańców różne wstęgi
 Weselne.

Wreszcie granie to dziwne ustało,
 I wszystko znów na dawnem swém miejscu leżało
 Nieruchomie. I przy stole znowu siedli
 Wszyscy bracia Leszkowi, i rozmowę wiedli
 Czując z dziewczęty swemi. Leszka brakowało;
 Przeto najmłodsze dziewczę samotnie siedziało

Na swoim krześle pięknym. Smutnie Lichodziewa
 Na siostry swe pogląda; widać, że się gniewa,
 Bo swe czoło zmarszczyła, i błyszczące oczy
 Do dwu ogni podobne po komnacie toczy
 Niecierpliwie. Lecz nic jej nie pomogą gniewy,
 Poszedł bowiem do stajni chłopiec Lichodziewy;
 Leszek wie o tém dobrze, że najlepszej rady
 Tam dostanie, i przeto tam chodzi na zwiady
 Do Czarnolotka swego. Koło żłobu siada,
 I tam pocichu z koniem-przyjacielem, gada,
 Co z téj rady wyniknie, kiedyś się dowiemy,
 Kiedy o dalszych sprawach Leszka opowiemy.

Ale i Jagi Baby nie było wśród sali,
 Kędy bracia Leszkowi z Wilami gadali
 O kochaniu, i kędy obok złotogłowi
 Sukmany chłopskie siadły. Jaga z Mieczem mówi
 W tajnej komnacie, w której pozostali sami;
 I teraz Jaga prawdę mówi; już nie kłamie,
 Jak kłamała dzień cały, niby uśmiechnięta,
 Wszelkiego w świecie złego królowa nieświęta,
 Jaga Baba, zła jędza, we dwoje skulona,
 Sparta o kij sękaty, cała pomarszczona.

A tak mówi Jaga do Miecza Samosieczka:

- „Słuchaj mój synu! Wielka zuchwałość człowieka,
 „I ludzie zaglądną czasem śmierci w oczy
 „I w oczy jej się śmieją, chociaż na nich skoczy
 „Zaraz i choć ich zaraz szponami długimi
 „Zadławi. Przecież nie masz i pomiędzy nimi
 „Takich, coby bez trwogi aż w zamki Popiela
 „Jechali, tu gdzie wieczna zima rozpościela
 „Śmierć wieczną, tu gdzie trwoga i gdzie przestrach władnie.

- „Zatém nikt mocy chłopców śmiałych nie odgadnie,
 „Co tutaj przyjechali; a wiem tylko tyle,
 „Że to być muszą ludzie o bajecznej sile,
 „Gdy tak zuchwale w moje zajechali progi,
 „Mimo méj złości strasznej i śmiertelnej trwogi,
 „Co tu wiecznie przybywa. A więc ich przyjąłam,
 „Podstępnie jak przyjaciół, i za rękę wzięłam,
 „I córki im oddałam. Ale zginą światy
 „I słońce zaleją krwi śmiertelnej szkarłaty,
 „Chyba, nim oni wyjdą z zamku tego żywo.
 „Nie darmo czarownicą jestem ja prawdziwą,
 „Nie darmo się najadłam niegdyś trupich kości;
 „Umiem nie puścić z domu nieproszonych gości:
 „Sile swéj zaufali; a ja rozumowi
 „Mojemu ufam. Boju broniłam gminowi,
 „Co me berło uznaje. Może siłę dały
 „Nadludzką tym junakom Jędze — i nie mały
 „Mord by sprawili może pośród méj czeladzi,
 „Gdyby się bój rozpoczął. Chytrze przeto radzi
 „Jaga Baba; posęła gości na łożnicę;
 „Każdy junak uściśnie swą oblubienicę
 „I uśnie; już się ze snu tego nie obudzi;
 „Konia swego powrotem więcéj nie utrudzi!
 „Ty pójdiesz synu luby! Ty tam pójdiesz Mieczu!
 „Przy każdym ślubném łożu staniesz, Samosieczu,
 „Pośród ciemnej komnaty, jako mściciel matki!
 „Bo tyś chłopiec jest ostry, zwinny, twardy, gładki!
 „W pociemku pójdiesz zawsze do lewej łożnicy,
 „Bo młodzian każdy spocznie w lewo od dziewicy
 „Swojéj, przez nią uśpiony słodkim pocałunkiem
 „Poślubnym, najdzielniejszym na sen twardy trunkiem;
 „I tam wymierzysz cięcie, utniesz gościa głowę.
 „Na ziemię lby się stoczą; spoczną trupy nowe

„W zamku; na wieki usną. Mądre córki moje
 „Milczeć będą, gdy będziesz przechodził pokoje
 „Ich ślubne, zabijając. Zczezną chłopcy śmiałe,
 „Co chciały z zamku zabrać moje córki białe,
 „Moje białe królewne. Podczas mordowania
 „Krzyk żaden nie rozerwie nocy cichój spania
 „Rozkosznego“.

Skończyła Jaga; Miecz w milczeniu
 Potakiwał i czekał w mrocznej izby cieniu
 Chwili zabijania. A Leszek stajnię rzucił
 I po rozmowie z koniem do izby powrócił,
 W której dziewczki siedziały z chłopcami pospołu.
 Leszek przy Lichodziewie u wielkiego stołu
 Kościanego siadł i jój takie szeptał słowa,
 Jakiemi przepelnioną jest kochanków mowa.

Wreszcie kiedy już późna wybiła godzina,
 Swoją łożnicę ścielić odeszła dziewczyna
 Każda; a Leszek braci zwołał do gromady
 W środku sali i wszystkim jakieś dawał rady
 Mądre. Bracia słuchali uważnie; a potem
 Za żonami do izb swych odeszli pokodem
 Spać.

Kiedy Leszek do swój wszedł komnaty,
 Zastał już żonę w łóżku; zrzucił z siebie szaty
 Grube i wdziawszy cienką bieliznę, do łoża
 Wszedł swego; koło niego spoczywała hoża
 Królowna; pocałunek Leszek na jój lice
 Złożył; potem Snem Zielem, usypiał dziewicę
 Piękną; na twarz ziele kładł, a dziewczęcę zasnęło,
 I do kłody podobne na łożu spoczęło

Nieruchomie; wtedy to Leszek jakby kłodę
 Na swych ramionach silnych dźwignął pannę młodą,
 I nieruchomą zawsze przełożył na lewe
 Łóżko — tak śmierci pewnej poświęcając dziewę
 Złą, co wraz z matką gościom zgubę zgotowała,
 I już jutro na trupa Leszkowego chciała
 Patrzeć.

Co Leszek zrobił i bracia zrobili,
 Bo wszyscy już przez Leszka przestrzeżeńi byli
 O zdradzie gotowanój, i bo wszystkim dano
 Cudownego Snu Ziela, którém usypiano
 Dziewczęta jak kamienie. A Leszka samego
 Wszystkiego ponauczał rajski rumak jego,
 Wszewhiedny Czarnolotek. I te wszystkie sprawy
 Mądre, które porobił w ciągu téj wyprawy
 I piérwój i téż potem, wszystkie pochodziły
 Od rady, którą dawał Czarnolotek, miły
 Przyjaciel.

W izbach ślubnych światła pogaszono;
 Dziewczęta, jakby klody, spały pod zasłoną
 Nocy nieprzeniknioną. Miecz Samosiecz wstaje
 Z kąta swojego i po gości się udaje
 Ze szczękiem; szedł do każdój izby po kolei,
 W każdój jedno dał cięcie w pewnej téj nadziei,
 Że łeb gościowi ścina; a gdy ostrze krwawe
 Podnosił pośród mroku i gdy skończył sprawę,
 Którą miał w izbie każdój dopełnić z rozkazu
 Jagi, krew siostry ciekła; i każdego razu,
 Kiedy niechybnym ciosem ścinał ludzkie głowy,
 Siostrze głowę ucinał. Bez jęku, bez mowy
 Odkakiwała głowa; na ziemię padała;

I od krwi mokrą była potem pościel cała
 U weselnój lożnicy. Gdy po wszystkiém było,
 Straszdyło to żelazne do izby wróciło
 Swojej, i tam stanęło koło białej ściany;
 Bo dla Miecza wygodny w łożu sen nieznany;
 On wraz z bratem — nie ludzie to spelna, nie sprzęty,
 Połowiczne istoty jakieś i przekłęte;
 Bez własnej myśli, wszelkiej pozbawione woli,
 Nie wiedzą, co ich cieszy, nie czują, co boli;
 Tylko cudze rozkazy wypełniać gotowi,
 Sami bez mowy, czynią wszystko, co pan powie.

Leszek zerwał się z łożka — poszukał krzesiwa;
 Światło zapalił, szaty swe dawne przywdziéwa
 Ostrożnie, aby się krwią ludzką nie zwały,
 I ze zgrozą spogląda na bezgłowy, biały
 Trup, co leży obok niego. Gdy był już ubrany,
 Zdjął czerwono płonącą pochodnię ze ściany,
 Do której ją przybito i zabrał do dłoni
 Garść ogromną Snu Ziela, o przedziwnej woni
 Usypiającej. Ziele zapalił; dym ziela
 Woń swoją czarującą po zamku zaściela;
 I wszystko w całym zamku tak twardo zasnęło,
 Jak gdyby wszystko z życiem rozbrat wieczny wzięło.

Całkiem było do śmierci podobne to śnienie.
 Z pochodnią poszedł Leszek przez zamkowe sienie,
 I przez sale drzemiące, do skrytej komnaty,
 W której usnęły oba Wil dziwaczne braty:
 Samograj i Samosiecz. Izba małą była,
 I pochodnia wyraźnie całą rozświeciła;
 Innych sprzętów nie było; przy ścianie stanęło
 Tylko dwie poczwar sztywnych i twardo usnęło; —

Stoją oparłszy głowy twarde o mur biały;
 Nieruchomie jak drągi, przed swym cieniem stały
 Oba te dziwolągi. Leszek przyszedł śmiało
 Do śpiących i naznaczył obu krędą białą.
 A taka jest moc krędy, że od naznaczenia
 Złych potęg istność sama całkiem się przemienia,
 I odtąd naznaczone Jagi Baby dzieci,
 Co dotąd tylko zgubę nosły ludziom w świecie
 Szérokim, się zmieniły w Leszka korne sługi,
 I pełniąc jego wolę, musiały swe długi
 Dawne spłacać zasługą.

Gdy tak Leszek radę
 Czarnolotka wypełnił i gdy znaki blade
 Krédowe już położył na te dziwne stwory,
 Które musiały jemu służyć od tej pory
 Ślepo, trąbki od pasa dobył, i zadzwonił
 W trąbkę ową; a trąbiąc głośno snu zabronił
 Dalszego tym, co spali za sprawą Snu Ziela.

Wszystko znowu się budzi wśród zamków Popiela,
 Miecz i Gęśl odstąpili od bielonej ściany;
 Przed nowym panem głowę schylił Miecz pojmany
 Pokornie; i Gęśl nisko się panu pokłonił.
 Prowadząc obu z sobą szybko Leszek gonił
 Napowrót w sień zamkową. Tu z komnat wypadli
 Bracia przerażeni i zdyszani i zbladli;
 Oręż jeszcze do boków swych przywiązywali,
 Gdy na głos Leszka wpadli do zamkowej sali;
 A wspominając krwawe tej nocy wesele,
 Drżeli jeszcze.

A Leszek woła: „Mówić wiele
 „Nie czas teraz. Nam trzeba omylić pogonie,

„Bo za chwil kilka zemsta okropna zapłonie
 „Nad naszą głową; bo wnet dusicielka ludzi,
 „Jaga Baba, w komnacie swojej się obudzi,
 „I całą moc przekłątą do siebie zawoła,
 „Która nas tysiąckrotnie marnie zgubić zdoła!
 „Więc prędkiej idźcie, chłopcy! do stajni, po konie!
 „Nie nam tu dłużej bawić, w tej przeklętej stronie
 „Północnej!“

Tak zawołał Leszek. Co tchu starczy,
 Bracia do stajni pędzą. W tém głośno zawarczy
 Na dziedzińcu tłum wilków; zęby wyszczerzają,
 A obok nich niedźwiedzie bure dęba wstają.
 Zwierz rozjuszony już się nie da wstrzymać krzykiem;
 Naprzód pogoni, straszny i siłą i-likiem,
 Zuchwalszy tu jeszcze, jak w rodzinnej kniei,
 I gotów podrzć śmiałych na zamku złodziei.
 Zwierzęta czują wroga i noc im dodaje
 Wścieklój odwagi; śmierć już ponad głową staje
 Zbyt zuchwałych junaków; serce w nich truchleje;
 Puszczyk już się z ich zgonu tam na baszcie śmieje
 Czarnój zamkowej, już jak trupy jakie zbladli.
 Ale Leszek ma rozum; przeto nie przepadli.

Leszek się wrócił śmiało i wydał rozkazy,
 Aby Miecz Samosiecz ich bronił swemi razy.
 Miecz rozkazom posłuszny ich odwrotu broni;
 A kto zna Mieczą, ten wie, że on ich zasłoni,
 Śmierć rozsiewając wkoło straszną. Już na czele
 Pogoni stanął olbrzym, któremu Popiele
 Straż od bramy oddali; podniósł obie dłonie,
 Aby niemi zgnieść braci; oko jemu płonie
 Jedyne, jak latarnia. Wtém przygasło oko,

Co tam groziło gdzieś na sześć sążni wysoko,
 I olbrzym krok się cofnął; a cofnął się z trwogi,
 Bo w oko ostrzem błysnął długim Miecz złowrogi.
 We dwoje zgiął swe ciało, głową ostrą siecze,
 Jakby nie jeden był Miecz, jakby setne miecze
 Sztuką krzyżową taniec krwawy rozpoczęły.
 Wszędzie od razu błyski żelazne stanęły.
 Sam z sobą Miecz się zderza — iskry jasne sypie,
 A dokoła krew tryska i kość biała skrzypie
 Na dwoje przecinana. Syczy żywe ciało;
 I na dziedzińcu strasznym chórem zajęczało
 Stado zwierząt pobite i zdziętkowane;
 Ze strachem, wyjąc, cofa się pod zamku ścianę.
 A duży olbrzym upadł; ziemia się zatrzęsła,
 Kiedy upadł konając, i tam jama wklęsa
 I głęboka do dziś dnia jeszcze pozostała
 Gdzie padło ciężkie brzemie ogromnego ciała.

Teraz piorunem chłopcy dopadli swych koni;
 Czarnolotek wraz z Leszkiem na ich czele goni;
 Przez bramę i przez most i poprzez wielkie błoto,
 Do lasu sosnowego mkną bracia z ochotą,
 Uciekając przed śmiercią. Biegając zawołali
 Miecza. Za nimi pędzi sługa ich ze stali,
 Niosąc do góry głowę, ostrą, pokrwawioną;
 Patrzą ze strachem na nią gwiazdy, co tam płoną
 Na niebie; a przy Mieczu bieże Gęśl drewniany.
 Już drużyna dopadła do sosnowej ściany,
 Bezpiecznie wyszła z grząskich błót przepasných toni!
 I przez las leci! Już jej Jaga nie dogoni!

*

*

*

Jagę głośny krzyk wzbudził; gdy krzyk usłyszała,
 Z łóżka się nie zerwała, tylko się zaśmiała,
 Bo pomyślała, że to jej wola się dzieje,
 Przeto ze śmierci gachów Jaga zła się śmieje;
 I swe ręce zacięra, i nazad się składa
 Do snu, dumna z tych czarów złych, któremi włada
 Przemownie. Już powieki znów się zamykały,
 Kiedy od skowytania zadrzał zamek cały.
 Zwiérząt głosy poznała; i nastawia ucha,
 I krzyku nie rozumie choć uważnie słucha.
 Oddźwięk słyszy stalowy; wyraźnie poznaje,
 Że to syn jój Samosiecz tam do walki staje,
 Lecz i to, słyszy, że to walka z zwierzętami,
 Które jój dworu strzegą. Gdy się gryzą sami
 Dla krotochwili dworu złego wartownicy,
 Rogaci i zębaci dworu wojownicy,
 Podobny krzyk sprawiają; przecie nie tak głośny,
 Jak ten wrzask przeraźliwy, dziki, wściekły, sprośny,
 Który się rozległ teraz po zamku.

Więc wstaje

Powoli Jaga Baba, bo jój się wydaje,
 Że coś się niedobrego tam na dworze dzieje; —
 I pochodnię zapala i już się nie śmieje;
 Przeszła przez puste sale — na dziedziniec schodzi —
 Patrzy, a widzi, jak tam zwiérząt chór wywodzi
 Okropne swe lamentsy; patrzy, skaléczone
 Kochane jój zwiérzęta wszystkie w jedną stronę
 Się zbiły, i skowyczą, drżą całe od trwogi
 I wyglądają, jakby był przeszedł bóg wrogi
 Jakiś nad ich głowami; różnych zwiérząt trupy
 Legły, jak po zwycięztwie straszném, krwawe łupy,

Na polu zostawione; a największe ciało
Olbrzyma zabitego pośrodku leżało.

Jaga, nic nie rozumieć; darmo myślą godzi
W tej nocy tajemnice; do zamku odchodzi
Ciężko zadumana, i w weselne komnaty
Idzie. Do pierwszej zaszła; patrzy, krwawe szaty
Córeczki ukochanej leżą na podłodze;
Do łoża biegnie Jaga Baba w strasznej trwodze,
Na łożę się schyliła, i na nie spojrzała,
I jak w burzę osika, tak Jaga zadrzała
Z boleści; bo nie gacha widzi martwe ciało;
Bez głowy ciało córki własnej tam leżało,
Martwe i pokrwawione! Obok legła głowa
Na ziemi.

Jaga Baba nie rzekła ni słowa,
Tylko głowę podniosła drżącemi rękami;
Usta jej się skurczyły; oko zaszło łzami;
Milcząc, dalej pobiegła, i choć już odgadła,
Jaka to straszna dola na nią ninie padła,
Z komnaty do komnaty szła. Wszędzie widziała
Córek swoich kochanych mordowane ciała.
Wreszcie, jakby w jesieni niebo, zapłakała,
I płacząc do komnaty synów poleciała;
Synów tu nie zastała, tylko puste ściany!

Wszystko zniszczył od razu gość w zamkn nie znany,
Któremu nie zabroniła zdradliwie przystępu,
Do zbytku zaufawszy w potęgę podstępny
Zgubnego. On snąc wszystkie posiadał moce świata!
Płacz i śmiech zebrała na swe stare lata
Jaga Baba, i hańbę wzięła i ból wściekły.

Wszystkie razem nieszczęścia serce jój upiekły,
 Jak gorące żelazo. A więc niosąc głowę
 Uciętą Lichodziewy na mury zamkowe
 Biegła i pośród czarnej, cichej, zimnej nocy,
 Wyciem swém przeraziła otchłanie północy
 Milczące. Bo w jej głosie zrozpaczonym wyło
 Tysiąc gardzieli wilczych, z całą wściekłą siłą
 Głodu zwierząt drapieżnych. Aż chmury zadrżały,
 Które nad zamkiem zwisły nisko, gdy słyszały
 To wycie nielitośne i to narzekanie.

Po chwili w oczach Jagi dziki ogień stanie,
 Z kuźni piekiel wyjęty; ogień ten zapłonie
 Czerwono; najpierw Jagi pomarszczone skronie
 Zaczerwienił swym blaskiem; ale wnet zapłonął
 Tak potężnie, że blasku kres gdzieś w niebie tonął
 Przepastnem. Rumieniła się czarna noc cała,
 I z oczu Jagi Baby luna wielka wstała,
 Zorza północna, która niebo rozświeciła;
 A pośród blasku zorzy Jaga Baba wyła
 Tak, że niebo swém straszném wyciem napelniała.
 Czerwoną była zamku okolica cała
 Od oczu Jagi Baby. Bagna krwią splonęły,
 I krwawém kołem lasy ciemne kraj objęły,
 Luną rozpromieniony.

Raptem się ujawił

Pośród ognia, co niebo całe blaskiem krwawił,
 Sęp duży, czarna plama wśród nieba krwawego.
 I sęp ten zleciał na dół z nieba czerwonego,
 Siadł na baszcie zamkowej, i tam wstrząsł się cały:
 Wstrząsł się, a pióra jego sępie w świat leciały,
 Przez wichry poniesione. Na zamkowym ganku

Stań, nie sęp już, ale pan wielkiego zamku,
 Popiel. Jęk Jagi straszny doleciał nad morze,
 Gdzie Popiel Wandy szukał; więc rzucił przestworze
 Nieskończone a słone, aby lecieć w kraje
 Północne, kędy straszny jęk ten Jagi wstaje.
 Teraz na baszcie stań i spojrzaj na żonę,
 Na oczy obłąkane i ręce skrwawione,
 Które głowę pieściły uciętą jej córy.

Widząc, przymówił do niej Czarnobóg ponury
 W te słowa: „Widzę Jago, żeś nie dobrze władła
 „Zamkiem, na którym tyś się jak pani rozsiadła,
 „Kiedym za Wandą leciał“.

W takie krótkie słowa

Przymówiła do żony zamku wielka głowa,
 Pan północy; gdy głos męża usłyszała,
 Przestała Jaga jęczyć i odpowiedź dała.
 Długą, często straszniemi kłątwy przerywaną.
 Gdy Popiel słyszy, włosy mu na głowie staną
 I drży cały, a srodze mu się marszczy czoło,
 Z oczu mu płynie ciemność, i znów płaszcz swój wkoło
 Rozwiesza, gasząc lunę jaskrawą, czerwoną.
 Wśród nocy czarnej stań tu Popiel wraz z żoną
 Na zamku, w kapę ciemną nocy otuleni,
 I narzekali okropnie pośród nocnych cieni.
 Popiel Wandę przeklinał, a Jaga płakała,
 Że przez zdraдного Leszka córki postradała
 I synów.

Wreszcie Popiel w te słowa zawoła:

„Widzę, że zguba na nas już czyha dokoła;
 „Po śmierci Kroka, wstają teraz Kroka dzieci,

„I niepowstrzymanie moc przeznaczenia leci
 „Przez czas nieprzemierzony, koniec panowania
 „Naszego wieszcząc; tron nasz mocny już się skłania
 „Na brzeg otchłani; jeszcze nam nie dadzą rady
 „Wylęgle dotąd z Raju Krokowego gady.
 „Choć Wanda taka mocna, że méj uszła dłoni;
 „Choć Leszek śmierć tu zaniósł w swych trzynaście koni,
 „Znajdę ja w moich księgach zakłęcie tak mocne,
 „Że jeszcze me utrwale panowanie nocne.
 „Przeciwko tym dwom razem; ale wiem, że w świecie
 „Niejedno jeszcze dobro przeciw nam się plecie,
 „I zgubę rodzi dla nas; trzeba jęj przeszkodzić;
 „Nie trzeba, bym na ziemi światłu dał się rodzić!
 „Krokowi dopomaga, Czech pan morskiej toni,
 „I on przed naszym gniewem naszych wrogów chroni.
 „Ponad brzegami morza dotąd Żywa żyje,
 „Owoce rajskie jada i z Dunaju pije
 „Wodę; a przy nięj rośnie Piast. To wróg nielada
 „Będzie, gdy całą mocą swą przyszłą zawłada.
 „Trzeba go zdławić teraz. Jeśli jego struję,
 „Resztę potęgi naszęj, Jago, wyratuje
 „Jeszcze“.

Tak mówił Popiel; długo potem w nocy
 Cieszyli się wzajemnie panowie złej mocy,
 Tam na baszcie zamkowej. Czasem zapłakała
 Jaga Baba, gdy córek swoich mord wspomniała;
 A czasem Popiel zgrzytnął. Przecież się cieszyli,
 Kiedy o zgubie ludzkiej i klęsce mówili;
 A gdy straszne pokusy Popiel wszczął układać,
 By mocą grzechu ludziom śmierć okropną zadać,
 Dobrze na sercu obu czartom się zrobiło;

I odetchnęli wreszcie; czując, jak im miło
Grzeszne czyny wspominać!

* * *

Do wsi zajechali

Rankiem Bracia Leszkowi. Wszyscy ich witali
We wsi radośnie; wszyscy wielce się dziwili
Gdy za nimi biegnących jeńców zobaczyli.
Biegli za końmi z Gęślem Samosiecz niecnota;
Z drzewa jeden — z żelaza drugi; z poza płota
Patrzała na nich dziatwa wiejska, i dziewczęta
Za płoty się chowały; matki niemowlęta
Do piersi przytulały; srodze przelęknione
Patrzą w obydwu poczwar niewidzianych stronę.
Nawet parobcy, zwykle zuchwali nad miarę,
Bali się wyjść z obejścia i spotkać poczwarę,
Jaką do wsi prowadził Leszek, z braćmi swymi,
Z trzynastu junakami — chłopcy zwycięskimi.
Przed chatę pojeżdżali, gdzie starzy mieszkali;
Tu konie postawały i jeńce ze stali
I z drzewa urobieni.

Wyszli na dwór starzy.

Wielki strach się malował, na babinej twarzy,
Kiedy Miecza ujrzała. A stary zawołał:
„Toś takie mnie synowe przyprowadzić zdołał?”

Leszek się nie zawstydził, tylko odrzekł śmiało:
„Zobaczysz zaraz ojcze, że się dobrze stało“.
Z konia zeskoczył; bracia za nim zeskoczyli;
Wszyscy rodzicom do nóg padli w jednej chwili.

Miecz z Gęślem jak żołnierze poza nimi stali,
Na rozkazy czekając, w przystojnej oddali.

Konie same do stajni klusem pogoniły,
A Leszek dalej mówił: „Słuchaj ojcze miły,
„I słuchaj ukochana matko! Złe tam były
„Dziewczęta w czarnym zamku. Przeto je zabiłem
„I braci dwu królewien, do was sprowadziłem
„Jako jeńców. A kiedyś wezmę sobie żonę
„Lepszą, niżli dziewczęta one potępione;.
„Wezmę ja sobie córkę piękną Krakusową,
„Co ludzką mówić zwykła, a nie czartów mową,
„I z nią razem przywrócę ludziom czasy dobre,
„Jak te, co były, kiedy Krakus czyny chobrze
„Spełniał w Polskiej krainie; wtedy mi pomoże
„Ten tu sługa mój wierny, który wiele może
„W boju. Miecz ten Samosiecz już wypróbowany
„Przeciwno zgrai zwierząt u północnej ściany
„Świata, tam gdzieśmy wczoraj byli. Lecz w spokoju
„Wieczór nam rozweseli po roboczym znoju
„Całodziennym drugi brat, któremu nadano
„Przy postrzyżynach Gęśla Samograja miano.
„A teraz choć jasno słońce świeci, spróbujecie
„Jego potęgi. Nie masz pono już na całym świecie
„Grajka takiego. Gęślu, Gęślu, Samograju,
„Zagraj do tańca, a tak wesoło jak w Raju!“

Gęśl Samograj posłuszny w swe struny uderzył
Wesoło i pogodnie — i cały odświeżył,
Świat urokiem swój pieśni. A u wszystkich nogi
Skakać zaczęły. Taniec rozpoczął się błogi
Po wsi całej. Tańczyli i starzy i młodzi.
Dziadowi nawet noga sama skocznie chodzi,

I Baba skacze żwawo. Parobcy, dziewczęta,
 Tak się skocznie bawili, jak nigdy na święta.
 Ptaki tanecznie lecąc po niebie krążyły;
 I drzewa nawet liście swe w takt podnosiły
 I spuszczały; a tańcząc psy podskakiwały
 I biegły za panami; zatańczył świat cały.
 Dnia owego tak błogo było i szczęśliwie,
 Że słońce spoglądało w promiennym podziwie,
 Nerozumiejąc, jak to owe liche plemie,
 Które złością zazwyczaj kala matkę ziemię,
 Mogło dzień cały zapleść takie zgodne koło,
 Mogło dzień cały jeden potańczyć wesolo,
 I mogło zawistnego zaniechać zwyczaju,
 I mogło żyć na ziemi czarnej jakby w Raju!



I N O W Y T O W
 BADAN LITERACKICH PAN
 Biblioteka
 ul. ... w Warszawie
 00-000 Warszawa
 Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

<http://rcin.org.pl>

NOWSZE WYDAWNICTWA KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA
WE LWOWIE.

	zl. ct.
Antoni dr. J. Opowiadania historyczne, 1 tom. Ser- ywa VI	3 40
— Nowe opowiadania historyczne	3 —
Biliński L. Dr. System ekonomii społecznej. 2 tomy. Wydanie wtóre	10 —
— System nauki skarbowej	6 —
Borkowski. Spis nazwisk szlachty Polskiej. 1888	6 —
Chłędowski K. Sylwetki społeczne	2 40
Ćwikliński. Homer i Homerycy	1 80
F. S. X. Wiara i niewiara w stosunku do szczęścia osobistego	3 —
Jokay M. Złote czasy Siedmiogrodu 2 tomy	3 40
Kantecki K. Elżbieta, trzecia żona Jagielly.	1 20
— Z podróży Oświęcima	1 80
— Dwaj Krzemieńczanie. Wizerunki literackie. 2 tomy	3 60
Kalina. Historia jez. polskiego. Tom I. Formy gra- matyczne. Praca konkursowa	6 —
— Rozbiór krytyczny pieśni „Bogarodzica“	1 60
Koszczyk W. Wieś dla wsi	1 40
Kraszewski. Zbiór powieści 102 tomy	40 —
Krechowiecki Ad. Zmarnowani. Nowelle	2 40
Łoziński Wal. Czarny Matwij; obacz: Bibl. pp.	
Łoziński Wład. Galicjana. Kilka obrazków z pier- wszych lat historii galicyjskiej	1 20
— Hazardy. Powieść współczesna	2 40
— Nowe opowiadania I. M. Pana Wita Narwoya, Rótmistrza konnej gwardyi koronnej. (Sere- nissimus. Szlachcic Zakuta. Petyhorzec. Ho- spodarska głowa)	3 —

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

F.
698₁